



*Rosamunde Pilcher*  
*Spod znaku Bliźniąt*



# ROZDZIAŁ 1

## ISOBEL

Stał przy oknie, odwrócony do niej plecami, obramowany wyblakłymi zasłonami, które kupiła przed czterdziestu laty. Jaskrawe niegdyś róże spłwiałały od słońca, a materiał przetarł się tak, że pranie groziło ostateczną katastrofą. Ale dla niej te zasłony były czymś w rodzaju starych przyjaciół. Wprawdzie jej córka, Isobel, powtarzała od dawna, że czas najwyższy kupić nowe, ale Tuppy wiedziała swoje. „Przeżyją mnie — mówiła za każdym razem, nie bardzo zdając sobie sprawę ze znaczenia tych słów. — Zobaczysz, że jeszcze mnie przeżyją.”

Teraz rzeczywiście wszystko na to wskazywało. Przez siedemdziesiąt siedem lat dopisywało jej zdrowie, aż pewnego wieczoru przeholowała z pracami w ogródku, czego efektem było przeziębienie i zapalenie płuc. Z tego drugiego zapamiętała niewiele: mroczny, ciasny tunel, a potem lekarz wzywany trzy razy dziennie i pielęgniarka do opieki. Pielęgniarka nazywała się McLeod, była wdową i mieszkała w Fort William. Wysoka i szczupła, z twarzą przypominającą konia, na którego warto postawić, ubierała się na granatowo, chodziła w nakrochmalonym, sztywnym jak pancerz, sięgającym szyi fartuchu i w iście siedmiomilowych trzewikach. Jeśli pominąć aparycję, była z niej całkiem miła osoba.

A więc umieranie nie było już daleką i abstrakcyjną perspektywą, ale konkretnym faktem, który należało przyjąć do wiadomości.

Dla Tuppy oznaczało to nie tyle lęk, ile niewygody. Jej myśli ześlizgiwały się coraz częściej w przeszłość, w czasy, gdy jako dwudziestoletnia młoda małżonka zorientowała się, że jest w błogosławionym stanie. Wtedy też pierwszym uczuciem było rozdrażnienie na samą myśl, że w Boże Narodzenie będzie okrągła i obszerna niczym londyński Albert Hall, i że straci wszystkie świąteczne potańcówki, ale teściowa pocieszyła ją słowami: „Nie ma wygodnych terminów na rodzenie dzieci”. Może tak samo jest z umieraniem? Najprościej przyjąć to ze spokojem.

Tego dnia poranek był piękny, ale potem zachmurzyło się i masywna sylwetka stojącego przy oknie doktora przepuszczała do pokoju tylko niewiele światła.

— Czy będzie padać? — spytała Tuppy.

— To tylko nadmorska mgła — wyjaśnił doktor. — Wysp już nie widać. Eigg zniknęła pół godziny temu.

Przyjrzała się postawnemu, twardemu jak skała mężczyźnie, ubranemu w znoszony, wygodny tweedowy garnitur, stojącemu z rękami w kieszeniach, jakby nic pilniejszego nie miał do roboty. Był dobrym lekarzem (równie dobrym, jak kiedyś jego ojciec), chociaż początkowo czuła się nieswojo, przyjmując wskazówki i polecenia od kogoś, kogo pamiętała jako upartego urwisa biegającego wiecznie z ubłoconymi kolanami i z nadmorskim piaskiem w czu-prynie.

Teraz, obserwując go na tle okna, spostrzegła z odrobiną bólu pierwsze ślady siwizny na jego skroniach. Na ten widok poczuła się jeszcze starsza niż na samą myśl o śmierci.

— Siwiejesz — powiedziała nieco szorstkim tonem, niezbyt pewna, czy wypada jej pozwolić sobie na taką poufałość.

Odwrócił się i z zakłopotaniem przesunął dłonią po włosach.

— Wiem. Wczoraj fryzjer też mi to powiedział.

— Ile właściwie masz lat?

— Trzydzieści sześć.

— Młody chłopak. Masz jeszcze czas na siwienie.

— Może to wszystko przez tę twoją chorobę, Tuppy.

Pod tweedową marynarką nosił szydełkowy pulower. Przetarł mu się w okolicach szyi, a dziurka na piersiach też dopraszała się zacerowania. Ten widok sprawił, że Tuppy poczuła ból w sercu. Taki zaniedbany i opuszczony. Że też zagrzebał się na tym szkockim odludziu, odwiedzając w kółko tych samych rybaków i kilku farmerów. Powinien praktykować w Londynie lub w Edynburgu, w statecznym budynku z bentleyem w garażu i z nazwą specjalizacji wygrawerowaną na tabliczce na drzwiach gabinetu. Powinien uczyć innych, prowadzić naukowe badania, publikować uczone artykuły i tworzyć historię medycyny.

Był świetnym studentem, traktującym swój fakultet z rzadkim entuzjazmem i ambicją. Wszyscy wróżyli mu błyskotliwą karierę. A potem poznał w Londynie tę głupią dziewczuchę; jak jej tam było? Chyba Diana. Przywiózł ją tutaj, do Tarbole, gdzie nikt nie mógł jej ścierpieć, ale obiekcje ze strony ojca utwier

dziły tylko syna w zamiarze małżeństwa. Zawsze był uparty Cały Hugh! jak muł, a już najbardziej, gdy próbowano mu coś wyperswadować. Jego ojciec powinien był to wiedzieć. Stary doktor Kyle pokpił sprawę i gdyby żył i był tu teraz, Tuppy nie omieszkałaby mu tego wygarnąć.

Małżeństwo zakończyło się tragicznie, a gdy było już po wszystkim, chłopakowi pozostało tylko wziąć się w garść, wrócić do Tarbole i przejąć praktykę po ojcu.

Teraz wiódł samotne i bezbarwne życie starzejącego się odludka. Pracował ponad siły i Tuppy wiedziała, że o swoich pacjentów dba o wiele bardziej niż o siebie, a jego kolacja składa się często ze szklanki whisky i przekąski w miejscowym pubie.

— Kiedy wreszcie Jessie McKenzie zaceruje ci ten pulower? — spytała.

— Nie wiem. Pewnie zapomniałem jej o tym powiedzieć.

— Powinieneś się ożenić.

Jakby chcąc zmienić temat, podszedł do jej łóżka. Niewielki kłębek futra spoczywający w nogach Tuppy przybrał natychmiast kształt yorkshi-re teriera, który poderwawszy się niczym kobra z puchowej kołdry, zawarczał ostrzegawczo, szczerząc groźnie wyszczerbione przez czas zęby.

— Spokojnie, Sukey! — skarciła psa Tuppy, ale doktor nie wydawał się przestraszony.

— Sukey nie byłaby sobą, gdyby nie groziła mi przegryzieniem gardła, ilekroć zbliżam się do ciebie.

Wyciągnął dłoń w pojednawczym geście, ale warczenie przeszło w donośne ujadanie.

— Na mnie już pora — powiedział, schylając się po torbę.

— Kogo masz teraz w planie?

— Panią Cooper. A po niej Annę Stoddart.

— Annę? A cóż jej dolega?

— Nic jej nie dolega. Powiedziałbym nawet, że wręcz przeciwnie. Poufnie wyznam ci, że będzie miała dziecko.

— Anna? Po tym wszystkim, co przeżyła? — Tuppy nie posiadała się z radości.

— Wiedziałem, że cię to podbuduje. Ale nikomu ani słowa. Anna chce, by pozostało to tajemnicą, przynajmniej przez pewien czas.

— Nie puszczę pary z ust. Dobrze się czuje?

— Jak dotąd świetnie. Nie ma nawet porannych nudności.

— Będę trzymała za nią kciuki. Żeby tylko donosiła ciążę. Obiecaj mi, że będziesz miał na nią oko... Głupstwa gadam, Hugh. Wiem, że będziesz, ale tak bardzo mnie to ucieszyło.

— Czy masz jeszcze jakieś życzenia?

Spojrzała nań, zmierzyła wzrokiem dziurę w pulowerze, a jej myśli przeszły od dzieci na śluby i w sposób nieunikniony na jej wnuka, Anto-ny'ego. — Iak, mam życzenie. Chciałabym, żeby Antony przywiózł tutaj Rose.

— Czy coś stoi temu na przeszkodzie? — spytał po namyśle.

Namyśł był tak krótki, że Tuppy wołała wierzyć, iż to tylko jej przywidzenie. Posłała mu czujne spojrzenie, ale doktor nie zareagował, zajęty dopinaniem torby.

— Zareczyli się miesiąc temu — kontynuowała Tuppy. — Chciałabym raz jeszcze zobaczyć Rose. Mija pięć lat, od kiedy była z matką tu, w Beach House, i nawet nie pamiętam, jak wygląda.

— Myślałem, że jest w Ameryce.

— Wyjechała tam zaraz po zaręczynach, ale według tego, co mówił mi Antony, powinna już wrócić. Wspominał mi, że przywiezie ją do Szkocji, ale ostatnio nie mam żadnych wieści. Nie wiem, gdzie i kiedy zamierzają się pobrać. Jest mnóstwo spraw do omówienia i ustalenia, ale ilekroć do niego dzwonię, uspokaja mnie, że chwilowo nie może ruszyć się z Edynburga. Nie znoszę, gdy się mnie uspokaja. To bardzo irytujący zwyczaj.

— Porozmawiam o tym z Isobel — obiecał z uśmiechem doktor.

— Niech przy okazji poczęstuje cię szklaneczką sherry.

— Tuppy, przecież mówiłem ci, że mam jeszcze w planie panią Cooper. — Pani Cooper była kierowniczką urzędu pocztowego w Tarbole, a na dodatek fanatyczną abstynentką. — Ma o mnie wystarczająco kiepską opinię nawet bez okadzania jej oparami alkoholu.

— Głupia kobieta — mruknęła Tuppy.

Wymienili uśmiechy na znak pełnej zgody w tej materii, po czym doktor wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Uspokojona Sukey wpełzła na łóżko i zwinęła się pod opiekuńczym ramieniem swojej pani. Okienne skrzydło grzechotało delikatnie pod naporem wzbierającego na zewnątrz wiatru. Tuppy spojrzała w tę stronę, ale szyba była zasnutą mżawką. Wkrótce nadejdzie pora lunchu. Oparła głowę o poduszkę i szybko — jak zwykle ostatnimi czasy — odpłynęła w przeszłość.

Siedemdziesiąt siedem lat. Cóż się z nimi stało? Starość przyszła znienacka

i zupełnie ją zaskoczyła. Tuppy Armstrong nie była stara. To inni byli starzy:choćby jej babka lub postacie z książek. Pomyślała o Lucylli Eliot z *Ziela łaski* Elizabeth Goudge. Klasyczny przykład idealnej ma-trony.

Tyle że Tuppy nigdy nie czuła sympatii do Lucylli. Uważała ją za osobę despotyczną i zaborczą. Do tego snobkę, paradującą w czarnych, uszytych z wdziękiem kreacjach. Tuppy nigdy nie miała czarnej, uszytej z wdziękiem kreacji. Oczywiście miała w życiu sporo ładnych kiecek, ale żadna z nich nie była czarna ani uszyta z wdziękiem. Z reguły czuła się najlepiej w przedpotopowych tweedowych spódnicach i pocerowanych na łokciach kardiganach — praktycznej odzieży, odpornej na kolce różanych krzaków i stawiającej czoła nagłym ulewom.

A jednak zdarzały się sytuacje, gdy aksamitna niebieska suknia wieczorowa była konieczna, by czuć się statecznie, a zarazem kobieco. Zwłaszcza jeśli spryskało się ją wodą kolońską, a na powyginane artretyzmem palce z trudem włożyło staroświeckie pierścionki z brylantowymi oczkami. Być może, gdy Antony przywiezie Rose, trzeba będzie urządzić ślubne przyjęcie. Żadnej pompy. Sami najbliżsi. Oczyma wyobraźni ujrzała białe irlandzkie obrusy, srebrne lichtarze i umieszczony na honorowym miejscu bukiet kremowych róż na nową drogę życia.

Z entuzjazmem pani domu zaczęła planować szczegóły. Jeśli Antony i Rose mają się pobrać, czas pomyśleć o liście gości ze strony pana młodego. Może powinna zrobić to już teraz i zlecić zaproszenia Isobel? Ot tak, na wszelki wypadek...

Nagle odpędziła od siebie tę myśl. Przytuliła mocno do siebie drobne ciało Sukey i ucałowała czubek jej skudłaczonej i niezbyt wonnej głowy. Sukey zrewanżowała się mlaśnięciem języka i zapadła w sen. Tuppy też przymknęła oczy.

Doktor Hugh Kyle zszedł na półPietro i zatrzymał się, oparłszy dłonie o poręcz schodów. Miał powody do zmartwienia. Nie tyle przez Tuppy, ile za sprawą zakończonej przed chwilą rozmowy. Gdy zmagał się z myślami, samotny w połowie drogi między piętrem i parterem, rozterka i poczucie odpowiedzialności okryły chmurą jego oblicze.

Poniżej był przestronny, pusty hol. Na jego przeciwnym końcu szklane drzwi prowadziły na taras i dalej do ogrodu opadającego w stronę zamglonego teraz morza. Hugh wodził wzrokiem po wyfroterowanej posadzce, wiekowych dywanach, starej skrzyni z umieszczoną na niej miedzianą wazą pełną dalii, po

tykającym statecznie ściennym zegarze. Oczywiście w holu były i inne, mniej malownicze, materialne ślady egzystencji rodziny Armstrongów: zniszczony trzykołowy rowerek Jasona, ewakuowany tu przed deszczem; psie miski i koszyki; para zabłoconych gumowców, czekających cierpliwie, aż ich właściciel raczy zanieść je w bardziej odpowiednie miejsce. Dla Hugh nie było to nowością, bo Fernrigg znał od urodzenia. Ale teraz wydawało mu się, że cały ten dom czeka z zapartym tchem na wieści o Tuppy.

Wszędzie panowała cisza, w czym zresztą nie było nic niezwykłego. Jason był w szkole, a pani Watty najprawdopodobniej przygotowywała w kuchni lunch. Hugh zastanawiał się tylko, gdzie może znaleźć Isobel.

Nie trwało to długo. Wkrótce usłyszał jej kroki dobiegające z saloniku, a wraz z nimi skrobanie łap Piummera o parkiet. Po chwili w drzwiach ukazała się Isobel wraz z towarzyszącym jej krok w krok tłustym, leciwym spanielem.

Natychmiast spostrzegła go i zatrzymała się, unosząc głowę. Hugh wyczuł w jej oczach odbicie własnego przygnębienia, więc szybko przybrał wyraz jowialnego optymizmu.

— Gdzie się podziewałaś, Isobel?

— Tuppy? — szepnęła przez ściśnięte gardło.

— Wszystko w porządku — uspokoił ją i wymachując torbą, z ręką w kieszeni spodni, zszedł do holu.

— Myślałam... Gdy zobaczyłam cię tam na schodach... Pomyślałam, że...

— Przepraszam, Isobel. Po prostu zamyśliłem się. Naprawdę nie chciałem cię przestraszyć.

Nie była w pełni przekonana, ale zdobyła się na uśmiech. Była pięćdziesięcioletnią, niezbyt lotnego umysłu domatorką, która nigdy nie wyszła za mąż. Jej życie emocjonalne koncentrowało się na matce, domu, ogrodzie, psie, znajomych, kuzynach, a teraz na małym Jasonie, który zamieszkiwał w Fernrigg podczas pobytu rodziców za granicą. Włosy Isobel — płomiennorude, gdy była młodą dziewczyną — przybrały kolor piasku pomieszanego z kredą, ale Hugh nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek zmieniła uczesanie. Podobnie jak wyraz twarzy; wciąż dziecinny i niewinny, może przez życie w izolacji od świata. W jej niebieskich oczach, odbijających niczym zwierciadło cudze emocje, było też coś z dziecka, ale i z nieba w wietrzny dzień: czasem rozpromieniała je radość, a czasem zasnuwały łzy, nad którymi nigdy nie potrafiła zapłakować.

Teraz był w nich lęk i Hugh wiedział, że jego sztuczna jowialność nic tu nie pomoże.

— Czy ona... czy Tuppy?... — Usta Isobel nie były w stanie wymówić tego zakazanego słowa. Hugh wziął ją pod ramię, zaprowadził do salonu i przytknął drzwi.

— Chcesz wiedzieć, czy może umrzeć? — dokończył. — Może. Ma swoje lata i wiele przeszła. Ale jest twarda. Twarda jak stary korzeń wrzосу. Ma sporo szans, by z tego wyjść.

— Nie wyobrażam jej sobie jako inwalidki. Przykutej do łóżka, niezdolnej robić tego, co chce. Ona chyba też sobie tego nie wyobraża.

— Wiem to równie dobrze jak ty.

— A więc co możemy zrobić?

— Co zrobić?... — Przełknął ślinę i potarł dłonią kark. — Jest pewna rzecz, która mogłaby dodać jej sił. Gdyby tak Antony przyjechał tu z tą swoją dziewczyną...

Isobel najeżyła się. Ona też pamiętała go jako małego urwisa, czasami bardzo uprzykrzonego.

— Hugh, przestań nazywać ją „dziewczyną”, zwłaszcza w takim kontekście. Ona nazywa się Rose Shuster i znasz ją równie dobrze, jak my wszyscy. Może nie aż tak dobrze, ale znasz.

— Przepraszam, Isobel. — Zapomniał, jak bardzo była lojalna wobec wszystkich osób związanych, choćby odlegle, ze swoją rodziną. — A więc nazywajmy ją Rose. Myślę, że Tuppy bardzo chciałaby ją znów zobaczyć.

— Tak jak każdy z nas. Ale przecież wyjechała z matką do Ameryki. Tę podróż zaplanowano jeszcze przed zaręczynami Rose i Antony'ego.

— Może już wróciła? Tuppy naprawdę na tym zależy. Czy Antony nie mógłby znaleźć trochę czasu i przywieźć ją tu choćby na weekend?

— Przecież wiesz, jak ciężko pracuje.

— Mogłabyś opisać mu sytuację... Poproś go, żeby nie odkładał tego zbyt długo.

Tak jak podejrzewał, oczy Isobel natychmiast wypełniły się łzami:

— A więc *wiesz*, że ona umrze! — Nim zdążył odpowiedzieć, sięgnęła po chusteczkę.

— Uspokój się, Isobel. To ty powinnaś wiedzieć, kim jest dla Tuppy Antony. Kimś więcej niż wnukiem. Nie wiesz, ile dla niej znaczy?

— Oczywiście, że wiem. — Isobel mężnie wytarła nos i pozbyła się chusteczki. Próbując ukryć emocje, skupiła się na karafce sherry. — Napijesz się, Hugh?



— Nie teraz — pokrył śmiechem napięcie. — Wybieram się do pani Cooper. Znów ma sercopłąs i obawiam się, że zapach alkoholu wcale by jej nie pomógł.

Isobel też zdobyła się na wymuszony uśmiech. Pani Cooper zawsze była obiektem rodzinnych żartów. Razem opuścili salon i przeszli przez hol. Isobel otworzyła drzwi, zza których powiało wilgotnym, mglistym przedpołudniem. Samochód doktora, zaparkowany tuż przy stopniach, był mokry od deszczu.

— I obiecaj mi, że zadzwonisz, jeśli coś cię zaniepokoi — poprosił.

— Zadzwonię. Ale teraz, gdy jest tu pielęgniarka, nie mam tak wiele powodów do niepokoju.

To właśnie Hugh namówił ich na wynajęcie pielęgniarki. Przekonał ich argumentem, że alternatywą jest zabranie Tuppy do szpitala. Na samą myśl o stałej pielęgniarce wyobrażnia Isobel poszybowała w niebezpieczne regiony. A więc z Tuppy jest bardzo źle, a poza tym skąd wziąć pielęgniarkę? Co powie na to pani Watty? Pewnie obrazi się i w kuchni zapanuje fatalna atmosfera.

Ale Hugh przewidział wszystko. Pani Watty i pielęgniarka szybko zaprzyjaźniły się, a Isobel mogła wreszcie spać spokojnie w nocy. Twardy był z niego gość. Odprowadziwszy go do drzwi, Isobel zadała sobie po raz setny pytanie, co by bez niego zrobili. Patrzyła, jak wsiada do samochodu i odjeżdża krótką ścieżką między wilgotnymi rododendronami, obok domku, w którym mieszkali pani i pan Watty, jak znika za białą, nigdy nie zamykaną bramą. Czekała, aż straci go z oczu. Zaczął się przyływ i słyszała, jak szare fale uderzają o skały tuż poniżej ogrodu.

Zadygotała i weszła do domu, żeby zatelefonować do Antony'ego.

Telefon — jak przystało na staroświecki dom — znajdował się w holu. Isobel przysiadła na skrzyni i sprawdziła służbowy numer Antony'ego w Edynburgu. Nigdy nie miała pamięci do numerów i za każdym razem musiała sprawdzać nawet te wykręcane regularnie: sklepu spożywczego lub stacji kolejowej. Zerkając jednym okiem w książkę telefoniczną, starannie wybrała numer i czekała cierpliwie przy słuchawce. Jej rozdygotane myśli biegły we wszystkich kierunkach. Dalie w miedzianym wazonie pewnie zwiędną do jutra i trzeba będzie zerwać nowe. A może Antony już wyszedł na lunch? Nie powinna być tak samolubna w stosunku do Tuppy. W końcu każdemu z nas kiedyś śmierć pisana. Jeśli Tuppy nie będzie mogła pracować w swoim ukochanym ogródku ani wyprowadzać na spaceru Sukey, życie będzie dla niej utrapieniem. Ale jaki bezmiar pustki pozosta-

wi po sobie im wszystkim! Wbrew logice, Isobel modliła się z głębi serca: Nie pozwól jej umrzeć. Nie pozwól jej opuścić nas. Dobry Panie, bądź nam miłościw...

— McKinnon, Carstairs i Robb. Czym możemy służyć?

Energiczny młody głos w słuchawce poderwał ją z miejsca. Sięgnęła po niezastapioną chusteczkę, otarła oczy i wzięła się w garść:

— Przepraszam... Czy mogę prosić pana Armstronga? Pana Antony'ego Armstronga?

— Z kim mam przyjemność?

— Isobel Armstrong. Jego ciotka.

— Proszę chwilę poczekać.

Coś kilka razy pisnęło, zaległa cisza, a potem, cudownym zrzędzeniem losu, rozległ się znany głos:

— Ciocia Isobel?

— Och, Antony!

— Czy coś się stało? — W głosie zabrzmiał niepokój.

— Nie, nic złego. — Powinna była opanować emocje. Nie panikować bez przyczyny. — Był właśnie Hugh Kyle. Przed chwilą wyjechał.

— Czy Tuppy się pogorszyło? — spytał bez ogródek Antony.

— Och... doktor mówi, że trzyma się świetnie. Mówi, że jest twarda niczym stary korzeń wrzosu. — Próbowała obrócić wszystko w żart, ale głos zdradził ją żałością. Nie mogła usunąć z pamięci posępnego spojrzenia doktora tam na schodach. Czy na pewno powiedział jej prawdę? Czy przypadkiem nie próbował oszczędzić jej bólu? — Doktor... znaczy Hugh, rozmawiał dzisiaj z Tuppy i podobno prosiła, żebyś przyjechał tutaj z Rose. Czy masz od niej jakieś wieści? Wróciła już z Ameryki?

Na drugim końcu linii zaległa cisza. Isobel spróbowała koniecznie ją czymś wypełnić:

— Wiem, że masz zawsze mnóstwo pracy i nie chciałam ci przeszkadzać...

— W porządku, Isobel — przerwał jej Antony. — Oczywiście, że Rose już jest w Londynie. Dziś rano dostałem od niej list.

— To bardzo ważne dla Tuppy.

Znów cisza, a potem Antony spytał poważnym tonem:

— Czy to już koniec?

Isobel nie wytrzymała. Wybuchnęła płaczem, którego, przeklinając sama siebie, nie była w stanie pohamować:

—Nie wiem... naprawdę nie wiem! Hugh pocieszał mnie, ale nigdy nie widziałam go tak przygnębionego. Pomyśl tylko, co będzie, jeśli Tuppy nie zobaczy ciebie i Rose? Przecież wiesz, czym dla niej były wasze zaręczyny. Jeśli przywieziesz ją tutaj, może coś to zmieni. Może znajdzie siły...

Więcej nie była w stanie powiedzieć. Nawet tyle nie zamierzała, a na dodatek nie widziała już nic przez łzy. Czuła się pokonana, wyczerpana, zdruzgotana własną samotnością. Wytarła nos i rzuciła bezradnie w słuchawkę:

—Spróbuj, Antony...

Na więcej nie było jej stać. Tym razem głos Antony'ego przypominał jej własny:

—Nie wiedziałem, Isobel...

—Ja też, jeszcze dziś rano...

—Skontaktuję się z Rose. Jakoś to załatwię. Wpadniemy w najbliższy weekend. Obiecuję ci.

—Och, Antony! — Poczowała wielką ulgę. A więc przyjadą. Jeśli Antony coś obiecał, wiadomo, że dotrzyma słowa, nawet na przekór piekłu i wichurze.

—I nie zamartwiaj się zbytnio o Tuppy. Skoro Hugh mówi, że jest twarda jak korzeń wrzосу, coś w tym musi być. Jeszcze przetańczy niejeden bal i pewnie przeżyje nas wszystkich.

—Kto wie, czy i tak się nie zdarzy... — odpowiedziała pocieszona nieco Isobel, wydobywszy z siebie nawet coś na kształt chichotu.

—Wszystko może się zdarzyć — dodał Antony. — A więc do najbliższego weekendu.

—Dzięki, Antony.

—Trzymaj się, Isobel. I uściskaj ode mnie Tuppy.

## ROZDZIAŁ 2

### MARCIA

Pora wracać — powiedział, chyba już piąty raz, Ronald Waring.

Jego córka, Flora, wyczerpana słońcem i pływaniem, też wiedziała, że pora wracać, ale oboje nawet się nie ruszyli. Siedziała, wpatrując się w urwisko opadające ku kryształowej zatoce, będącej każdego wieczora ich prywatnym basenem. Jej twarz złościły resztki zachodzącego słońca. Na policzkach czuła sól morskiej wody, a mokre włosy przyklepiały się do pleców. Wołała przyciskać ramionami kolana i kontemplować roztapiający się w zmierzchu morski horyzont.

To był ostatni dzień lata. Czy jesień naprawdę zaczyna się we wrześniu? Flora nie była tego pewna. Wiedziała, że tutaj, w Kornwalii, lato przychodzi, kiedy chce. Wiedziała, że w tym obwarowanym urwiskami kraju nie wieją wiatry, a wyziębiona ziemia przyjmie każdy promyk słońca.

Zbliżał się przypływ. Pierwszy strumyk wpłynął właśnie między inkrurowane małżami skały i rozlał się w zatoczce. Wkrótce zmieni się w rwącą rzekę, a wodne oczko zamącą wielkie, idące znad Atlantyku fale. Pokryją skały i zatokę, i wszystko zniknie aż do kolejnego odpływu.

Nie pamiętała, ile już razy obserwowali, zauroczeni, ten sierpniowy przypływ. Tym razem patrzyli długo, wiedząc, że to już ostatni raz. Pójdą ścieżką nad urwiskiem, przystaną, spojrzą na ocean. Potem na skróty, przez pole, do Seal Cottage, gdzie Marcia czeka pewnie z ciepłą kolacją i z kwiatami na stole. A po kolacji Flora umyje włosy i spakuje się, bo jutro pora ruszać do Londynu.

Tak ustalono i sama się na to zgodziła, ale teraz nie miała ochoty o tym myśleć. Nie lubiła opuszczać ojca. Patrzyła, jak siedzi tam, w dole, na skalnym urwisku. Opalony, długonogi chudzielec. Wytarte szorty, przedpotopowa koszula z podwiniętymi rękawami. Do tego przeredzone, zmierzwiłone dłonią włosy i szczeka opadająca na widok szybujących tuż nad morzem kormoranów.

— Nie chce mi się stąd wyjeżdżać — powiedziała Flora.

— Przecież nie musisz — odparł, puszczając do niej oko.

— Muszę. Sam wiesz, że muszę. Czas ruszyć w świat i zarobić na siebie. Zbyt długo się tu zasiedziałam.

— Wolałbym, żebyś została tu na zawsze.

— Przestań — rzuciła, czując skurcz w gardle. — Mógłbyś powiedzieć coś w mocnym stylu. Jak orzeł wypędzający dorosłe pisklę z gniazda.

— Powiedz szczerze, Floro, czy twój wyjazd ma coś wspólnego z Marcia?

— W pewnym sensie ma — odpowiedziała szczerze Flora. — Ale nie o to chodzi. Sam wiesz, że ją uwielbiam. — Ojciec nie uśmiechnął się, spróbowała więc obrócić wszystko w żart: — No dobrze. Jest typową nickszemną macochą. Uciekam, zanim zamknie mnie w piwnicy wśród szczurów.

— Zawsze możesz wrócić. Obiecuj mi, że to zrobisz, jeśli nie znajdziesz pracy lub coś będzie nie tak.

— Znajdę pracę i wszystko będzie tak.

— Chcę, żebyś obiecała.

— Obiecuję. Żebyś tylko nie żałował, gdy za tydzień znów się tu zjawię. A teraz — dodała, podnosząc plażowy ręcznik — już naprawdę pora do domu.

Prawdę mówiąc, Marcia wcale nie chciała poślubić ojca Flory. „Nic z tego nie będzie — powtarzała. — Jesteś panem profesorem od języków obcych w porządnym gimnazjum. Powinieneś ożenić się z przykładną niewiastą noszącą niemodne kapelusze i umiejącą trzymać chłopców w ryzach.”

„Nie lubię układnych kobiet — odpowiadał nieco poirytowany. — Gdybym lubił, już dawno ożeniłbym się z moją gospołą.”

„Ale ja nie nadaję się na panią profesorową Waringową. Wyobrażasz mnie sobie wręczającą twoim wychowankom srebrny puchar za skok wzwyż? Pewnie poplątałyby mi się nogi lub język, a puchar wylądowałby na ziemi albo trafił w ręce ostatniej ofermy.”

Ronald Waring należał jednak do mężczyzn, którzy wiedzą swoje, i upartymi próbami dopiął celu. Pobrali się z początkiem lata w kamiennym kościółku, starszym niż sięga pamięć, pachnącym omszałą pleśnią. Marcia włożyła na tę okazję wystrzałową szmaragdową sukienkę i wielki słomkowy kapelusz z opadającym rondem, w którym wyglądała jak Scarlett O'Hara.

Ronald Waring wdział, co rzadko mu się zdarzało, skarpetki do pary, a węzeł jego krawata zasłaniał tym razem najwyższy guzik koszuli. Flora stwierdziła, że są cudowną parą. Zrobiła im zdjęcia, gdy rozpromienieni wychodzili z kościółka, a nadmorski wiatr wyczyniał cuda z rondem kapelusza panny młodej i ustawił na sztorc rzadniejące włosy oblubieńca.

Marcia urodziła się i wychowała w Londynie. Przetrwiała w wolnym stanie do czterdziestego drugiego roku życia, według Flory chyba głównie z powodu braku czasu na wyjście za mąż. Próbowwała szczęścia w szkole teatralnej, praktykowała jako garderobiana w objazdowej trupie, a później radośnie szła przed siebie, zmieniając profesje, by wreszcie osiąść w Brighton, w sklepie sprzedającym, jak sama to określała, arabskie fatalaszki.

Wprawdzie Flora pokochała Marcie od pierwszego wejrzenia i robiła wszystko, by umocnić jej związek z ojcem, miała jednak pewne wątpliwości co do jej umiejętności kuchennych. Jak każda dziewczyna, wolała nie narażać staro na odżywianie się przez resztę życia odgrzewanymi pasztecikami, pizzą z lodówki i zupą z puszek.

Ale Marcia i pod tym względem potrafiła ją zaskoczyć. Okazała się doskonałą kucharką, entuzjastyczną gospodynią, a z czasem odkryła w sobie nieoczekiwane talenty ogrodnicze. Warzywa rosły w równych szeregach, kwiaty rozkwitały na samo jej spojrzenie, a parapet nad kuchennym zlewem wypełniły gliniane donice z geranium i margaretkami.

Tego wieczoru, gdy wracali do domu stromą ścieżką, a potem przez chłodne, jak to o zachodzie, pola, Marcia wypatrzyła ich przez kuchenne okno i wyszła naprzeciw. Miała na sobie zielone spodnie i bawełnianą bluzkę przyozdobioną toporną ręką wiejskiej hafciarki. Ostatnie promienie słońca zamieniły jej jasne włosy w istny płomień.

Na widok Marcii Ronald Waring uniósł z dumą głowę i przyśpieszył. Flora, nie mogąc dotrzymać mu kroku, doszła do wniosku, że jest coś niezwykłego w widoku dwojga niemłodych już ludzi połączonych nie tylko uczuciem, ale i namiętnością, którzy padają sobie w objęcia na samym środku pola, jakby ich rozłąka trwała co najmniej miesiąc. Może tak właśnie czuli? Któż wie, skoro każde z nich czekało tak długo na drugiego.

To właśnie Marcii przypadło nazajutrz w udziale odwiedzenie Flory na pociąg do Londynu. Fakt ten napełniał ją prawdziwą dumą i satysfakcją. Jej bogata biografia nie obejmowała jeszcze do niedawna, oprócz zamążpójścia, również prawa jazdy.

Indagowana w tej materii, wymyślała zawsze setki ważnych przyczyn. Brak żyłki technicznej, samochodu, kogoś, kto pokazałby jej, jak się czymś takim kieruje. Gdy poślubiwszy Ronalda Waringa osiadła w wiejskim domku na kornwalijskim odludziu, było jasne, że wykrety na nic się nie zdadzą. „Teraz lub nigdy” — powiedziała sobie Marcia i usiadła za kierownicą.

Najgorsze były egzaminy. Konkretnie trzy. Pierwszy oblała, omal najechawszy przednimi kołami na wyglancowane buty miejscowego konstabla. Drugi tylko dlatego, że manewrując na zatłoczonym parkingu, trafiła bez żadnych złych intencji w dziecięcy wózek, szczęśliwym trafem pozbawiony w tym momencie użytkownika. Flora i ojciec wąpili, czy zdecyduje się na trzecie podejście, ale nie docenili Marcii. Podeszła i zdała. Teraz, gdy jej mąż stwierdził z żalem, że nie może odwiedzić Flory na pociąg z powodu szkolnej konferencji, w której musi uczestniczyć, rozpromieniona Marcia oświadczyła z dumą, że chętnie go w tym wyręczy.

Flora przyjęła to z odcieniem ulgi. Nie lubiła pożegnań, a na dźwięk kolejowego gwizdka nie potrafiłaby opanować emocji. Czowała, że jeśli na dodatek uczestniczyć będzie w tym jej stary, rozplacze się i nic dobrego z tego nie wyniknie.

Ten dzień był równie ciepły i bezchmurny jak poprzednie, a błękitne od początku roku niebo przybrało barwę złocistej paproci. Przejrzyste powietrze nadawało wszystkim pospolitym obiektom kryształowe kontury. Marcia, której myśli z reguły szybko wydostawały się na zewnątrz, zaczęła nucić namiętym kontraltem:

— Och, cóż za piękny ranek, ach, jakież piękny dzień... — po czym, zaniechawszy wokalizy, sięgnęła dłonią w kierunku torebki, co oznaczało, że tęskni za papierosem. Samochód zakołysał się złowieszczo i przejechał ciągly biały pas.

— Może ja to zrobię — powiedziała pośpiesznie Flora i wyciągnęła pudełko, podczas gdy Marcia powróciła na właściwą stronę szosy. Flora włożyła jej papierosa w usta i podała ogień. Wołała, by Marcia trzymała obie ręce na kierownicy.

Marcia zaciągnęła się i podjęła śpiew:

— Bosko mi, słodko mi... — Nagle przerwała i zachmurzyła się. — Przysięgnij mi, Floro, że nie wracasz do tego obrzydliwego Londynu przeze mnie.

Przez ostatni tydzień zdanie to powracało w regularnych interwałach. Flora westchnęła głęboko.

— Przecież sama wiesz. Po prostu chcę zrobić coś z własnym życiem i zacząć tam, gdzie przerwałam przed rokiem.

— Wiem, ale nie mogę się pozbyć uczucia, że wypłoszyłam cię z twojego własnego domu.

— Nic podobnego. Spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Teraz, gdy wiem, że ojciec znalazł kobietę swojego życia, mogę zostawić go z czystym sumieniem.

— Żebym tylko wiedziała, jak ci się ułoży. Mam paskudne przeczucia i wciąż widzę cię w jakiejś klitce odżywiającej się zimną fasolą z puszki.

— Mówiłam ci, że znajdę sobie mieszkanie, a na razie mogę zatrzymać się u mojej koleżanki, Jane Porter. Ustaliśmy to. Jej sublokatorka wyjechała na wakacje ze swoim chłopakiem i jedno łóżko jest wolne. Zanim tamta wróci, będę miała własny kąt, pracę i wszystko pójdzie jak z nut... — Jednak Marcia wyglądała nadal na zatroskaną. — Mam dwadzieścia dwa lata — kontynuowała Flora. — Nie jestem już dzieckiem, a w stenografii mało kto mi dorówna. Czym się tu martwić?

— Obiecuj mi, że jeśli sprawy potoczą się źle, dasz mi znać, a wtedy przyjadę i będę ci matkowała.

— Nikt nigdy mi nie matkował i jakoś żyję — przerwała jej Flora. — Wybacz, Marcio — zmitygowała się. — Nie zrozum mnie źle.

— Rozumiem cię dobrze, kochanie. Tylko że im dłużej o tym myślę, tym bardziej nierealne wydaje mi się to wszystko.

— A cóż w tym nierealnego?

— Twoja matka. Zostawiła ciebie i ojca, gdy byłeś niemowlęciem. Nie rozumiem kobiety opuszczającej własnego męża. A już zupełnie nie pojmuję kogoś, kto opuściłby RONALDA... do tego z dzieckiem! Przecież to nieludzkie. Skoro ma się już dziecko, chce się je zatrzymać przy sobie, no nie?

— Co do mnie, cieszę się, że nie zatrzymała mnie przy sobie. Byłabym teraz kimś innym. Nie wiem, co sądzi o tym tato, ale lepszego dzieciństwa nie mogłabym sobie wymarzyć.

— Wiesz, kim jesteśmy? Ty i ja, Floro? Honorowymi członkiniami fanklubu RONALDA Waringa. Ciekawa jestem, czemu go zostawiła. Znalazła sobie innego? Nigdy nie chciałam go o to pytać.

— Nie sądzę. Po prostu nie pasowali do siebie. Tak zawsze mówił mi tato. Nie podobało jej się, że jest tylko pozbawionym ambicji belfrem, którego nie interesują koktajle i uciechy życia. Nie mogła ścierpieć jego roztargnienia, zafascynowania pracą, tego, że zawsze wygląda, jakby wyję-



to go z worka ze starą odzieżą. Zresztą wiadomo było, że nigdy nie będzie zarabiał na miarę jej oczekiwań. Widziałam raz jej zdjęcie wciśnięte w najdalszy kąt szuflady. Duży szyk i klasa. Zupełnie nie w stylu taty.

— Musiała być z tych twardych jak stal. Jakim cudem w ogóle się pobrali?

— Pewnie poznali się na nartach w Szwajcarii. Może nie wiesz o tym, ale tato był znakomitym narciarzem. Podejrzewam, że oślepiło ich słońce i śnieg, a alpejskie powietrze uderzyło im mocno do głów. A może zemdliło ją na widok ewolucji, jakie wyczyniał na górskim stoku? Z tego, co wiem, tak się to zaczęło, a gdy przyszłam na świat, było już po wszystkim.

Dojeżdżały już do stacyjki, na której Flora miała wsiąść w pociąg do Londynu.

— Mam nadzieję — powiedziała z niepokojem Marcia — że mnie nie każe jeździć na nartach.

— A czemu nie?

— Bo nie umiem.

— Nie sędzę, by bardzo się tym zmartwił. Uwielbia cię taką, jaka jesteś. Nie wiesz o tym?

— Wiem — przytaknęła Marcia. — Wiem i dlatego jestem najszcześniejszą kobietą pod słońcem. Ale ciebie też spotka szczęście. Urodziłaś się pod znakiem Bliźniąt, a z horoskopu, który sprawdziłam dziś rano, wynika, że wszystkie planety stoją we właściwym szyku i że skorzystasz ze sprzyjających okoliczności. — Marcia była prawdziwą ekspertką w dziedzinie horoskopów. — A to oznacza, że znajdziesz świetną pracę, eleganckie mieszkanie, a może i wysokiego bruneta w maserati. Gwiazdy nie kłamią.

— I to wszystko w tym tygodniu? Nie za mało czasu?

— Ani o dzień dłużej. W przyszły piątek twój horoskop będzie już inny.

— Zrobię, co w mojej mocy.

Pożegnanie nie trwało długo. Ekspres do Londynu zatrzymał się tylko na chwilę i ledwo Flora zdążyła ze swoim okazałym bagażem wejść do wagonu, zawiadowca ruszył wzdłuż pociągu, zatraskując drzwi i unosząc do ust gwizdek. Flora wychyliła się przez okno, aby ucałować zwróconą ku niej twarz Marcii. Tamta miała w oczach łzy, a z makijażu pozostały nędzne szczątki.

— Zadzwoń. Chcemy wiedzieć, jak ci się układa.

— Obiecuję, Marcio.

— I pisz do nas!

Na więcej nie było czasu. Pociąg ruszył i nabrał szybkości; peron nikł w oczach. Flora machała dłonią, a gdy stacyjka i sylwetka Marcii w niebieskich spodniach umknęły z zasięgu jej wzroku, odgarnęła z czoła rozwiane włosy, zamknęła okno i opadła na narożne siedzenie w pustym przedziale.

Spojrzała przez okno. Do tradycji należało śledzenie, jak wszystko oddala się, podobnie jak do tradycji podczas jazdy w przeciwnym kierunku należało wypatrywanie już od Fourbourne kolejnych znajomych elementów krajobrazu.

Teraz poziom *morza* był niski, a perłowobrunatne piaski przybierały błękitny odcień w miejscach, gdzie rozlewiska nieruchomej wody odbijały niebo. Gdzieś daleko bieleły wśród drzew wiejskie domki, za nimi migały wydmy, a gdy wyteżyło się wzrok, można było spostrzec białe oceaniczne grzywacze uderzające w piaszczystą ławicę.

Potem linia kolejowa odbiła w głąb lądu, pojawiły się pastwiska, a ocean skrył się za pstrokacizną nadmorskich, letnich rezydencji. Pociąg przemknął nad wiaduktem i wjechał w małą, zieloną dolinę, pełną białych domostw i ogródków, w których rozwieszane na sznurach pranie dziarsko wydymało się i trzepotało w rześkim, porannym powietrzu. Mignął rozjazd i opuszczony szlaban, a za nim czerwony ciągnik z przyczepą wypełnioną ułożoną w bele trawą.

Flora mieszkała w Kornwalii od piątego roku życia. Przedtem jej ojciec uczył łaciny i francuskiego w ekskluzywnej i drogiej szkole w Sussex, ale z czasem znużyła go ta wygodna synekura, a zwłaszcza konwersacje odpowiadające gustom wyfutrowanych matek jego forsiastych podopiecznych.

Zawsze kusiło go, aby osiedlić się gdzieś blisko morza. Jeszcze jako chłopak spędzał wszystkie wiosenne i letnie wakacje w Kornwalii. Nic dziwnego, że gdy pojawiła się szansa objęcia etatu nauczyciela przedmiotów klasycznych w gimnazjum w Fourbourne, zgłosił się natychmiast, ku rozpaczy dyrektora swojej szkoły, zakładającego, że młody, zdolny pedagog zasługuje na lepszy los, niż wbijanie języków obcych w tępe łby synów farmerów, sklepikarzy i techników górniczych.

Ronald Waring był jednak nieugięty. Osiadł wraz z małą Florą w górniczej dzielnicy Fourbourne. Pierwszym, co zapamiętała z Kornwalii, była ponura przemysłowa miejscina, której horyzont wyznaczały wieże wyciągowe, sterujące jak wyszczerbione zęby na płaskich wzgórzach.

Ale gdy tylko osiedli na własnym i ojciec zadomowił się w nowej szkole, kupił przedpotopowy automobil i odtąd w każdy weekend przemierzali wspólnie Kornwalię w poszukiwaniu tego wymarzonego miejsca.

Pewnego dnia, dzięki sugestiom pośrednika do spraw nieruchomości w Penzance, zapędzili się z St Ives aż pod Land's End i po kluczeniu na tym końcu świata zahamowali wśród jeżyn na ścieżce, za którą było już tylko morze. Skręcili, przejechali przez przepływający w poprzek ścieżki strumyk i odkryli Seal Cottage.

Dmuchało, jak to zimą. Domek był w opłakanym stanie, nie miał kanalizacji ani bieżącej wody, a gdy sforsowali zbutwiałe drzwi, pierwsze powitanie zgottały im myszy. Flora nigdy nie bała się myszy, a Ronald od razu pokochał domek, a zwłaszcza rozpościerający się z niego widok. Kupił go od ręki i odtąd domek stał się ich prawdziwym gniazdem.

Początkowo żyli tam w isticie spartańskich warunkach. Ciepło, higiena i pokarm były wyzwaniem. Ale Ronald Waring znalazł się na filologii równie dobrze, jak na ludzkich duszach. Wystarczyło, że wszedł do pubu, a już po kwadransie wszyscy miejscowi traktowali go jak swojego.

Szybko skumplował się z murarzem, który naprawił ogrodowy mur i wyprostował sypiący się komin. Przez murarza poznał Pinchera — miejscowego cieślę — i Toma Roberta, którego bratanek, hydraulik, nie narzekał na nadmiar roboty z piątku na sobotę. Ten z kolei znał Artura Pypera, a że i jemu się nie przelewało, pani Pyperowa zaczęła co dzień dojeżdżać na rowerze z pobliskiej wioski, żeby pozmywać gary, zmienić pościel i rzucić okiem na Florę.

Flora nie była zachwycona, gdy w dziesiątym roku życia posłano ją do szkoły z internatem w hrabstwie Kent, gdzie spędziła następne sześć lat. Po ukończeniu szkoły zaliczyła też kurs stenografii, a potem kucharzenia w sam raz pasującego do dobroczynnych stołówek.

Jako kucharka zatrudniła się w Szwajcarii (zimą) i w Grecji (latem). Po powrocie do Londynu wybrała karierę sekretarki, dzieląc wynajęty pokój z koleżanką, czekając w kolejkach na autobus, a czasami umawiając się z ubogimi chłopakami doksztalającymi się z księgowości, lub mniej ubogimi, którzy wkrótce mieli otworzyć pierwszy własny butik. W przerwach wskakiwała w pociąg do Kornwalii, by pomóc w wiosennych porządkach lub dopilnować świątecznego indyka.

Z końcem ubiegłego roku, po ostatniej grypie i sercowym niepowodzeniu, rozczarowana wielkim miastem, wybrała się do Kornwalii na Boże Narodzenie i z ochotą zgodziła się zostać dłużej. Były to cudowne, trwające rok wakacje,

podczas których zima przeszła we wczesną wiosnę, a potem w lato i wszystko to mogło nie mieć końca. Nie było kalendarza i zakreślonego w nim dnia, gdy przyjdzie pora spakować walizkę i wrócić w kierat.

Oczywiście pracowała dorywczo: trochę dla zabicia czasu, a trochę, żeby zaoszczędzić nieco grosza, ale były to zajęcia chwilowe, niezobowiązujące i z reguły zabawne: dostarczyć żonkile miejscowemu kwiaciarzowi, obsłużyć klientów w kawiarni, opchnąć orientalne kaftany letnikom, żeby mogli na coś wydać pieniądze.

To właśnie w sklepie z „egzotyką” poznała Marcie i zaraz zaprosiła ją do Seal Cottage na drinka. Obserwowała z radosną niewiarą, jak między Marcia a jej ojcem od razu coś zaskoczyło. Coś, co szybko okazało się nie tylko przelotną fascynacją.

Uczucie sprawiło, że Marcia rozkwitła jak świeży pąk, a stary spojrzał wreszcie w lustro i nazajutrz bez niczyjej namowy wybrał się do sklepu po nowe spodnie. W miarę jak afekt krzepł, Flora wycofywała się dyskretnie na drugi plan, tłumacząc, że nie może towarzyszyć im w wyprawach do przydrożnego baru i wymyślając liczne preteksty do wieczornych wyjść, byle tylko tamci mieli Seal Cottage wyłącznie dla siebie.

Gdy tylko pobrali się, Flora zaczęła przebąkiwać o rychłym powrocie do Londynu, ale Marcia namówiła ją, żeby została z nimi do końca lata. Została, ale każde lato ma swój koniec. To już nie była jej sprawa, a Seal Cottage nic był już jej domem. Obiecała sobie, że wraca we wrześniu. Gdy nastał wrzesień, oświadczyła Marcii, że pozostawia ich oboje w uwitym gniazdku.

Było, minęło. Wszystko należało do przeszłości. A przyszłość? Jak to powiedziała Marcia? „Urodziłaś się pod znakiem Bliźniąt i wszystkie planety stoją we właściwym szyku.”

Flora nie była tego aż tak pewna. Wyciągnęła z kieszeni płaszcza list, który przyszedł dziś rano i który po przeczytaniu szybko ukryła przed Marcia. To był list od Jane Porter.

*Mansfield' Mews 8*

*SW10*

*Kochana Floro!*

*Wydarzyła się rzecz straszna i mam nadzieję, że ten list dojdzie do Ciebie jeszcze przed wyjazdem do Londynu. Betsy — ta, z którą mieszkam — pokłóciła się makabrycznie ze swoim chłopakiem i wyobraź sobie, że po dwóch dniach w*

*Hiszpanii wróciła pod mój dach. Mieszka ze mną, beczy dniami i nocami i wciąż czeka na próżno na telefon od niego. A więc z łóżka, które Ci obiecałam, raczej nici. Wprawdzie zawsze możesz ułożyć się w śpiworze na podłodze, ale atmosfera jest tak paskudna, a Betsy tak nie do wytrzymania, że nawet najgorszemu wrogowi nie życzyłabym czegoś podobnego. Mam nadzieję, że szybko znajdziesz sobie jakiś lepszy ką. Strasznie mi przykro, ale chyba mnie zrozumiesz. Zadzwoń do mnie i zdrowo sobie poplotkujemy. Tęsknię za Tobą i naprawdę jest mi strasznie głupio, że tak wyszło, ale przecież sama wiesz, że to nie moja wina.*

*Tysiąc całusów, Jane*

Flora westchnęła, złożyła list i wcisnęła go do kieszeni płaszcza. Nie wspomniała o tym ani słowa Marcii, ponieważ ta, od kiedy weszła w nową rolę żony i matki, stała się niemożliwą panikarą. Przeczuwała, że Flora wyląduje w Londynie na bruku i pewnie nie wypuściłaby jej za drzwi. A Flora wiedziała, że nie ma sensu opóźniać wyjazdu ani o jeden dzień.

Teraz postanowiła przemyśleć wszystko na chłodno. Oczywiście miała kilka innych przyjaciółek, ale po roku rozłąki nie wiedziała, co robią ani gdzie i — co ważniejsze — z kim mieszkają. Dziewczyna, z którą dzieliła poprzednio pokój, wyszła za mąż i mieszkała teraz gdzieś w Northumberland, a oprócz niej Flora nie miała praktycznie nikogo, do kogo wypadałoby z nagłą zatelefonować i spytać o jakieś locum.

Istne błędne koło. Nie chciała wynajmować mieszkania, zanim nie znajdzie pracy, ale trudno będzie uganiać się po urzędach zatrudnienia, nie mając gdzie złożyć bagażu.

W końcu przypomniała sobie o „Shelbourne” — małym, staroświeckim hoteliku, gdzie jej ojciec zatrzymywał się podczas swych rzadkich wypadów z Kornwalii. (Może w drodze na narty do Austrii, a może do tych swoich cudacznym kumpli, którzy nabyli na własność rozlatujący się młyn gdzieś w Prowansji). „Shelbourne” nie należał do ekskluzywnych hoteli, a skoro ojciec tam się zatrzymywał, pewnie był i niedrogi. Przenocuje tam, a nazajutrz ruszy na łowy za pracą.

Było to nie tyle rozwiązanie, co kompromis. A życie — jak mawiała Marcia, przyszywając rondo starego słomkowego kapelusza do nowszego — polega na kompromisach.

„Shelbourne” był istnym zabytkiem, przypominającym nieco starą rzeczną barękę osiadłą na martwej wodzie, mijaną przez płynące głównym nurtem statki. Mieścił się na tyłach Knightsbridge w wąskiej uliczce, kiedyś może i

eleganckiej, ale z czasem skarłałej w zestawieniu z wykwintnymi hotelami, biurami i nowymi kamienicami. Trzymał się jednak krzepko, niczym stara aktorka odmawiająca zejścia ze sceny.

Na zewnątrz nowy Londyn tętnił życiem: korki samochodowe, klaksony, kołujące samoloty, krzykliwi sprzedawcy gazet, wypacykowane dziewczyny kuśtykające w drewniakach.

Ale gdy przeszło się przez obrotowe drzwi, „Shelbourne” oferował powrót do przeszłości. Nic się tu nie zmieniało: ani palmy w donicach, ani twarz portiera, nawet zapach stanowiący mieszaninę środków dezynfekujących, pasty do podłogi i cieplarnianych roślin. Miał w sobie coś szpitalnego.

W recepcji siedziała ta sama leciwa dama w obwisłej czarnej sukni. Ciekawe, czy suknia też jest ta sama?

Recepcjonistka przyjrzała się Florze.

— Dobry wieczór pani.

— Czy mogłabym wynająć pojedynczy pokój na dzisiejszą noc?

— Zaraz sprawdzę.

Zegar tykał. Flora czekała z malejącym optymizmem. Coś jej mówiło, że odpowiedź będzie negatywna.

— Tak, mam dla pani pokój, ale niestety od podwórza.

— W porządku. Biorę go.

— Proszę tu podpisać. Zaraz poproszę portiera, by zaniósł pani bagaże.

Jednak sama myśl o długim, dusznym korytarzu i ciemnej klitce ulokowanej na samym końcu przekraczała wytrzymałość Flory.

— Może później. Muszę jeszcze gdzieś wyskoczyć... coś przekąsić — dodała, improwizując rozpaczliwie. — Wrócę przed dziesiątą. O bagaż proszę się nie martwić. Niech sobie tutaj poleży. Potem sama go zaniosę.

— Oczywiście. A nie chce pani obejrzeć pokoju?

— Nie, to drobiazg. Jestem pewna, że będzie bardzo miły.

Flora poczuła, że brak jej tchu. Wszystko tutaj było tak strasznie przedpotopowe. Podniosła torbę i wycofała się, burcząc coś pod nosem. Omal nie potknęła się o palmę, wykonała piruet i wypadła na świeże powietrze.

Po kilku mocnych wdechach poczuła się lepiej. Wieczór był boski: orzeźwiająco chłodny, lustrzane niebo zwiędzało dachy domów, a kilka rumianych obłoków szybowało sobie swobodnie jak balony wysoko w górze. Flora włożyła rękę w kieszenie płaszcza i ruszyła przed siebie.

Po godzinie stwierdziła, że jest w samym środku Chelsea i zmierza na południe, w kierunku King's Gross. Uliczka, obramowana statecznymi kamienicami i sklepikami, była znajoma. Czymś nowym była za to włoska restauracyjka w miejscu, gdzie — jak sięgała pamięć Flory — zakurzona witryna rymarza oferowała psie smycze, ściągacze do walizek i nie wiedzieć czemu, plastikowe saszetki.

Restauracyjka nosiła nazwę „U Seppiego”. Szef kusił przechodniów wystawionymi na zewnątrz drzewkami laurowymi, jaskrawą, biało-czerwona markizą i świeżo pobieloną elewacją.

Jakby na widok Flory drzwi otworzyły się i mężczyzna wyniósł na chodnik stolik przykryty serwetą również w biało-czerwona kratkę. Na chwilę zniknął, powrócił z dwoma metalowymi krzeselkami i butelką chianti w słomianej plecionce, po czym wszystko to starannie poukładał.

Wiatr zatrzepotał serwetą. Mężczyzna spojrzał z zatroskaniem i spostrzegł Florę. Błysnął czarnymi oczyma i posłał jej iście śródziemnomorski uśmiech. — *Ciao, signorina.*

Flora stwierdziła, że Włosi są boscy. Uśmiech, pozdrowienie, wszystko to sprawiło, iż poczuła się z dawna oczekiwanym gościem. Nic dziwnego, że ludzie tłumnie odwiedzają te włoskie restauracyjki.

— Witam. Jak się kręci? — uśmiechnęła się.

— Fantastycznie! A jakby mogło inaczej w taki wieczór? Zupełnie jak w Rzymie. Panienska też wygląda jak Włoszka, która właśnie wróciła z wakacji nad morzem. Ta opalenizna! — Pokiwał z uznaniem głową, cmoknął i strzelił palcami. — Bajeczna!

— Miło mi... — Rozbrojona przystanąła, żeby przeciągnąć nieco tę całkiem sympatyczną konwersację. Spoza otwartych drzwi restauracji dochodziły niebiańskie zapachy sugerujące czosnek, soczyste pomidory i naturalną oliwę. Flora uświadomiła sobie, że jest dziko głodna. W pociągu nic nie przekąsiła, a od opuszczenia „Shelbourne” przewędrowała niejedną milę. Bolały ją nogi i zaschło w gardle.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do ósmej.

— Czy jeszcze otwarte?

— Dla panienski o każdej porze.

— Tylko omlet lub coś równie szybkiego — zrewanżowała się za komplement.

— Wszystko, czego *signorina* zapragnie... — Wyprężył się przy drzwiach, wykonał szeroki gest i Flora zaproszona tak wylewnie weszła do środka.

Wewnątrz znajdował się niewielki bar, a za nim długa, wąska sala. Wzdłuż jednej ściany stały w rzędzie kanapy obite pomarańczowym, gru-zełkowym materiałem, a przy nich sosnowe stoliki ze świeżymi kwiatami i jaskrawymi obrusami. Ściany pokrywały lustra, a na posadzce ułożono słomiane maty. W głębi — sądząc ze szczęku naczyń, aromatów i donośnych włoskich głosów — znajdowała się kuchnia. Wszystko było tu tak chłodne i świeże, że Flora, mająca za sobą wyczerpujący dzień, poczuła się jak w domu. Zamówiła ciemne piwo i wyruszyła na poszukiwanie damskiej toalety, gdzie zmyła z dłoni i twarzy kolejowe brudy i doprowadziła się do porządku. Gdy wróciła na salę, młody Włoch trwał w gotowości przy odsuniętym od ściany stoliku, na którym oczekiwała wysoka i obiecująco zaparowana szklanka piwa, a do tego oliwki i orzeszki.

— Czy jest panienka pewna, że wystarczy omlet? — spytał kelner, gdy Flora usiadła, a stół wrócił na właściwe miejsce. — Mamy dziś w karcie bajeczną cielecinę. Moja siostra, Francesca, przyrządzi ją panience tak, że palce lizać".

— Wystarczy omlet. Może być z odrobiną szynki. I trochę zielonej sałaty.

— Przygotuję ją specjalnie dla panienki.

W tym momencie drzwi pustej jak dotąd restauracji uchyliły się i kilku gości pożeglowało w stronę baru. Młody kelner przeprosił Florę i ruszył im na spotkanie, pozostawiając dziewczynę jej własnym myślom. Pociągnęła łyk zimnego jak lód piwa, przejrzała się w lustrze i pomyślała z ciekawością, czy każda przedstawicielka jej płci, której zdarzy się zejść w te gościnne strony, jest tu równie wylewnie witana. Wszyscy powtarzali jej, że Londyn staje się z roku na rok coraz bardziej oziębłym miastem, a jego mieszkańcy nie mają dla nikogo i na nic czasu. Miło było stwierdzić naocznie, jak bardzo się mylili.

Postawiła szklankę, uniosła głowę i spojrzała w taflę lustra na przeciwnej ścianie. Wypłowały błękit jej dzinsowej kurtki i pomarańczowe obicie kanapki miały w sobie coś z Van Gogha. A ona sama?... Lustro odbijało szczupłą dziewczynę o mocnych rysach, ciemnych oczach, z ustami może zbyt wydatnymi w stosunku do reszty twarzy. Opalona kornwalijskim letnim słońcem cera była gładka i lśniąca, a włosy w kolorze połyskliwego mahoni, przycięte byle jak na wysokości policzków, przypominały uczesanie chłopca, za którym od dawna rozgląda się fryzjer. Do tego wytarte dzinsy, także kurtka, biały sweter z golfem i zawieszony na szyi złoty łańcuszek. Ręce i dłonie



wyłaniające się spod podwiniętych mankietów były kościste i smagłe jak twarz.

Zbyt długo nie było mnie w Londynie — pomyślała. — Z taką aparycją niełatwo będzie mi znaleźć pracę. Trzeba by przyciąć włosy. No i kupić sobie...

Drzwi wejściowe otworzyły się i zaraz zamknęły.

— Hej, Pietro! — rozległ się dziewczęcy głos, którego właścicielka ruszyła dziarsko wzdłuż baru do sali restauracyjnej, jakby знаła te kąty na pamięć. Nie rzuciwszy okiem na Florę, zatrzymała się przy sąsiednim stoliku, odsunęła go od ściany i opadła na kanapę, przymykając oczy i prostując długie nogi.

Jej zachowanie było takie swobodne, jeśli nie wręcz nonszalanckie, że Flora pomyślała, iż dziewczyna musi być krewną właścicieli włoskiej restauracji. Może jakaś kuzynka z Mediolanu dorabiająca sobie w Londynie...

*Hej, Pietro.* Nie, to nie było w stylu Włoszek. Raczej Amerykanka z jakiejś nowojorskiej gałęzi rodu.

Florę zaintrygowała ta ciekawa hipoteza, ale nie chcąc przyglądać się nachalnie, skierowała dyskretnie wzrok w stronę lustra na przeciwnej ścianie. Ot tak, z czystej ciekawości. Opuściła głowę i znów uniosła ją tak szybko, że poczuła, jak włosy muskają jej policzek. Zdublowane ujęcie — pomyślała. — Typowe zdublowane ujęcie.

Zobaczyła siebie.

Nie, nie siebie, bo w lustrze znajdowały się dwa oblicza.

Dziewczyna, nieświadoma hipnotycznego wzroku Flory, zdjęła z głowy jaszkrawą jedwabną przepaskę, odrzuciła z czoła włosy i wyjąwszy z czarnej krokodylej torebki papierosa, zapaliła go zapalką z kartonika leżącego w popielniczce na stoliku. Wnętrze wypełniło się natychmiast aromatem mocnego francuskiego tytoniu. Zaczepiła wysokim butem o nogę stolika i niedbałym ruchem przyciągnęła go ku sobie. Pochyliła się, odwróciła profilem do Flory i raz jeszcze przywołała Pietra.

Flora nie była w stanie oderwać oczu od lustrzanej tafli. Włosy dziewczyny, choć dłuższe, miały ten sam ciemny mahoniowy odcień. Makijaż był bez zarzutu, ale mimo to podkreślał mocne rysy twarzy i zbyt wydatne usta. Oczy miała ciemne, a rzęsy długie i dodatkowo przyczernione tuszem. Flora dostrzegła błysk imponującego pierścionka, czerwień paznokci i dłonie, może drobniejsze, ale kształtem przypominające bliźniaczo jej własne. Nawet ubrane były podobnie: obie w dżinsach i białych golfach.

Tylko że sweter tamtej był z kaszmiru, a kurtka, która teraz zsunęła się jej z ramion, z ciemnych, mieniących się szynszyli.

Młody kelner obsłużył klientów przy barze i ruszył w te pędy na wezwanie.

— *Signorina* wybacz, ale myślałem, że...

Nagle wytracił szybkość, a jego ruchy, słowa i sam ton głosu przypominały teraz staroświecki gramofon, któremu pożałowano obrotów korbką.

— No, co myślałeś? — spytała po chwili dziewczyna. — Chyba domyślasz się, że konam z pragnienia.

— Myślałem... To znaczy, wydawało mi się, że...

Pobladł, a jego czarne oczy powędrowały podejrzliwie na Florę. Był tak zaskoczony, że Flory nie zdziwiłoby wcale, gdyby się przeżegnał lub wykonał gest, którym w jego ojczystych stronach odpędza się złe moce.

— Co z tobą, Pietro?

Rozdrażniona dziewczyna uniosła głowę i dopiero teraz dostrzegła Florę wpatrującą się w lustro.

Milczenie wydawało się nie mieć końca. Wreszcie przerwał je Pietro:

— To zadziwiające — wykrztusił z siebie pełnym podziwu szeptem.

— Za-dzi-wia-jące!

Obie oderwały wzrok od lustra, spojrzały jedna na drugą, ale równie dobrze mogłyby nadal spoglądać w zwierciadło. Tamta szybciej doszła do siebie.

— Tak, to zadziwiające — rzekła tym razem mniej pewnym głosem.

Florze nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź.

Pietro i tym razem przerwał milczenie:

— *Signorina* Schuster wybacz, ale myślałem, że tamta druga *signorina* jest panią... Strasznie mi przykro — zwrócił się do Flory. — Proszę wybaczyć mi moją poufałość, ale *signorina* Schuster przychodzi tu często, a że ostatnio jej nie widziałem, więc gdy panienka weszła...

Poufałość? Wzięłam ją za oznakę gościnności.

Długowłosa dziewczyna wciąż analizowała twarz Flory spojrzeniem czarnych oczu, niczym koneser stojący przez studium portretowym.

— Wyglądasz zupełnie jak ja — odezwała się z odrobiną przygany, jak gdyby było w tym coś niewłaściwego.

Flora postanowiła nie kapitulować.

— Ty też wyglądasz jak ja — zripostowała delikatnie. — Obie jednakowo wyglądamy. Nawet głosy mamy nieco podobne — dodała stanowczym tonem.

Spotkało się to z natychmiastowym potwierdzeniem Pietra, który stał jak wrośnięty w ziemię i wodził wzrokiem to po jednej, to po drugiej twarzy, niczym kibic śledzący tenisową rozgrywkę.

— Dokładnie tak. Ten sam głos, te same oczy. Nawet podobne stroje. Nie uwierzyłbym, gdybym sam tego nie widział. *Mamma mia*, wy chyba jesteście bliźniaczkami! Podobne jak... — strzelił palcami, nie mogąc znaleźć właściwego idiomu.

— ...dwie krople wody — dokończyła za niego Flora.

— To właśnie miałem na myśli. Coś niebywałego!

— Bliźniacze sobowtórki? — mruknęła podejrzliwie dziewczyna.

Ich zaskoczenie oraz to, że nie mogą oderwać oczu jedna od drugiej, dotarły wreszcie do Pietra.

— To znaczy, że panienki nigdy dotąd się nie widziały?

— Nigdy.

— Ale przecież musicie być siostrami?

Dotknął dłonią serca. Przez chwilę wyglądało na to, że jest z nim niedobrze. Flora zastanawiała się, czy nie zemdleje. Wołała, żeby raczej tego nie robił. Na szczęście wybrał bardziej praktyczne rozwiązanie:

— Otworzę butelkę szampana. Na koszt firmy! Też sobie łyknę, bo coś podobnego w życiu mi się nie zdarzyło. Panienki poczekają... — Zaczął gwałtownie manipulować stolikami, jak gdyby w obawie, że mu uciekną. — Dosłownie jedna chwila!

Pomknął w stronę baru, preżąc dumnie pierś pod nakrochmalonym, białym służbowym wdziankiem.

Nie śledziły jego słów i niemal nie zauważyły, gdy się oddalił. Siostry! Flora poczuła dziwny skurcz w krtani.

— Siostry? — ośmieliła się wymówić to słowo na głos.

— Bliźniaczki — przytaknęła nieznajoma. — Jak się nazywasz?

— Flora Waring.

Tamta przymknęła oczy, po czym otworzyła je tak powoli, jakby doznała olśnienia.

— To również moje nazwisko — dodała z wystudiowanym spokojem.

— Tylko że ja mam na imię Rose.

## ROZDZIAŁ 3

### ROSE

Rose Waring?

— Rose Schuster... Właściwie Rose Waring Schuster... Pierwsze nazwisko mam po ojcu... Harry Schuster to mój ojczym. Jest moim ojczymem od lat, więc ja też nazywam się Schuster, ale Waring to moje właściwe nazwisko... — Przerwała, wyraźnie dla złapania oddechu.

Wpatrzony był jedna w drugą, wciąż zaskoczone, ale coraz bardziej świadome wagi spotkania.

— Wiesz, kim był twój ojciec? — zapytała Flora, przerywając milczenie.

— Nigdy go nie widziałam. Matka rozstała się z nim, gdy byłam dzieckiem. Podobno uczył w szkole.

Flora pomyślała o starym. Fakt, że był roztargniony, nieposkładany i trochę świr, ale na jego słowach zawsze można było polegać. *Nie, to nie w jego stylu. Przecież wspomniałby mi o tym.*

Cisza przedłużała się. Rose nie miała już nic do powiedzenia. Flora postanowiła zaryzykować jeszcze raz:

— Czy twoja matka ma na imię... — wyłowiła to zapomniane imię z zakamarków podświadomości. — Czy ma na imię Pamela?

— Zgadza się.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia dwa.

— Kiedy obchodzisz urodziny?

— Siedemnastego czerwca.

— Wystarczy. Ja też.

— Jestem spod znaku Bliźniąt — dodała Rose, a Flora poczuła się nieswojo, słysząc słowa, które jeszcze dziś rano wymówiła Marcia. — Bliźniąt albo, jeśli wolisz, Bliźniaczek. — Rose rozpromieniła się, dumna z żartu.

Siostrzyczka. Bliźniaczka — pomyślała Flora.

— Ale jak doszło do naszego rozdzielenia? — spytała.

— Normalnie. Rozeszli się i każde z nich wzięło połowę.

— Wiedziałaś o tym?

— Skądże. A ty?

— Też nie. Nie chce mi się wierzyć.

— Dlaczego? Postąpili jak rozumni ludzie. Uczciwie i naturalnie.

— Nie wspominając nam o tym?

— A niby po co? Czy coś by to zmieniło?

Rose była bardziej rozbawiona niż wstrząśnięta wydarzeniem.

— Zwariowana sprawa — orzekła po chwili. — Zwariowana, jak ci nasi rodzice. A nasze spotkanie to już zupełne wariactwo. Byłaś kiedyś w tej restauracji?

— Nigdy.

— Weszłaś przypadkiem, z ulicy?

— Przyjechałam do Londynu dziś po południu. Przez rok mieszkałam w Kornwalii.

— Czysty obłęd! Żeby w tak wielkim mieście... — machnęła ręką, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

— Niektórzy mówią, że Londyn to wielka gmina złożona z wiosek — dokończyła Flora. — Prędzej czy później spotkasz każdego, jak to na wsi.

— Coś w tym jest. Wystarczy wejść do Harrodsa i co drugi to znajomy. Ale to... aż w głowie się nie mieści! — odrzuciła ręką włosy z czoła.

Flora aż oniemiała, rozpoznając swój własny gest.

— Co robiłaś w Kornwalii? — spytała Rose, jakby odpowiedź mogła coś wyjaśnić.

— Byłam u ojca. Mieszka tam. Jest nauczycielem.

— Belfruje?

— Tak, uczy w szkole. — Czas był najwyższy, żeby pozbyć się tremy. Flora postanowiła potraktować spotkanie równie naturalnie, jak Rose. — A jak tobie się układało? — spytała z głupia frant, jakby gawędziły sącąc koktajle podczas party.

— Matka wyszła drugi raz za męża, gdy miałam dwa lata. Mój stary nazywa się Harry Schuster. Jest Amerykaninem, ale większość życia spędził w Europie jako przedstawiciel swojej firmy.

— A więc wychowałaś się w Europie?

— Nazwijmy to tak. Czasem Paryż, czasem Rzym, a jeśli nie Rzym, to Frankfurt. Wiesz, jak to bywa...

— Powiedz coś o nim. Jaki jest ten pan Schuster?

— Stary? Zaczny gość.

I pewnie nieźle nadziany — pomyślała Flora, zerkając na kurtkę z szynszylki, kaszmirowy sweter i torebkę z krokodyla. Pamela zawiodła się na prowincjonalnym nauczycielu, ale za drugim razem wiedziała, gdzie ulokować aktywa.

— Masz rodzeństwo? — spytała po chwili zadumy Flora.

— Jestem jedynaczką. A ty?

— Ja też. Jestem i pewnie zostanę. Tato ma drugą żonę. Ma na imię Marcia. Jest świetna, ale nie do tych rzeczy.

— Jak wygląda twój stary?

— Trudno opisać... Wysoki. Na oko mózgowiec. Bardzo miły. Nosi okulary w rogowej oprawie... trochę roztargniony i... jakby ci to powiedzieć... — Flora szukała przymiotnika, który określiłby jej ojca, ale jedynym, co przyszło jej do głowy było: uroczy. — I bardzo szczery — dodała. — Właśnie dlatego tak trudno mi w to wszystko wierzyć.

— Znaczy, że nigdy nic wstawiał ci bajerów?

— Bajerów? — spytała zaskoczona Flora. — Nie sądzę, żeby umiał ukryć prawdę, a już na pewno nigdy by nie skłamał.

— Ciekawy gość — pokręciła głową Rose, krusząc papierosa w popielniczce. — Moja stara umie, jak mało kto, zatajać prawdę, a buja jak z nut. Poza tym też jest urocza. Zwłaszcza gdy chce.

Flora nie mogła ukryć uśmiechu, ponieważ opis Rose potwierdzał w pełni jej własne podejrzenia.

— Czy jest przystojna? — spytała.

— Szczupła... wygląda młodo. Może nie piękna, choć wielu tak uważa. Nie wyprowadza ich z błędu.

— A czy jest teraz w Londynie? — zapytała z wahaniem Flora. *Jeśli jest i spotkam się z nią, jak właściwie powinnam się zachować? Co jej powiedzieć?*

— Jest w Nowym Jorku. Matka, Harry i ja wyrwaliśmy się na krótko do Europy. Wylądowałam na Heathrow tydzień temu. Mama chciała, że bym została tu dłużej, ale muszę wracać, bo...

Nie dokończyła. Spojrzała na bok, wyjęła z paczki kolejnego papierosa i sięgnęła do torebki po zapalniczkę.

— Mam swoje powody — dokończyła niezbyt klarownie.

Flora liczyła, że-dowie się czegoś o tych powodach, ale pojawił się Pietro z butelką szampana i kieliszkami. Przyjął oficjalną pozę, odkorkował

i rozlał trunek, nie uroniwszy ani kropelki. Wylał butelkę śnieżnobiałą serwetką i uniósł własny kieliszek.

— Za spotkanie. Za cudownie odnalezione siostry. Coś mi mówi, że Bóg maczał w tym palce.

— Dzięki — przytaknęła Flora.

— No to zdrówko — dodała Rose. Pietro oddalił się z lekko wilgotnymi oczyma, pozostawiając dziewczyny sam na sam z butelką. — Urzniemy się tym — mruknęła Rose — ale to drobiazg. Na czym skończyłyśmy?

— Mówiłaś, że musisz wracać do Stanów.

— Fakt. Ale wcześniej zahaczę o Grecję. Wystartuję jutro, może pojutrze. Sama jeszcze nie wiem.

Brzmiało to jak reklama ekskluzywnych linii lotniczych.

— Gdzie mieszkasz w Londynie? — spytała Flora, oczekując, że Rose wymieni co najmniej „Connaught” lub „Ritza”. Okazało się, że Harry Schuster ma służbowe mieszkanie w Londynie, a także w Paryżu, Frankfurtcie i w Rzymie. To londyńskie było w Cadogan Gardens.

— Kilka kroków stąd — rzuciła od niechcienia Rose. — Wpadam tu, gdy chcę coś przekąsić. A ty?

— Gdzie mieszkam? Chwilowo nigdzie. Mówiłam ci, że właśnie przyjechałam z Kornwalii. Chciałam zatrzymać się u koleżanki, ale sprawy skomplikowały się i będę musiała poszukać jakiegoś kąta. Pracy też, ale to mniej istotne.

— A gdzie dziś przenocujesz?

Flora opowiedziała jej o „Shelbourne”, złożonym w holu bagażu, palmach w donicach i dusznej atmosferze.

— Trochę odwykłam od tego. Drobiazg. To tylko jedna noc.

Uświadomiła sobie, że czarne oczy Rose przyglądają się jej chłodno i uważnie. Ciekawe, czy i ja czasami tak patrzę? — pomyślała. Z wyrachowaniem, cisnęło się na usta, ale szybko odpędziła od siebie to słowo.

— Nie wracaj tam — powiedziała Rose. Zaskoczyło to Florę. — Wiem, co mówię. Przekąsimy tu coś, weźmiemy taksówkę, podskoczmy po twój bagaż do hotelu i zanocujesz w mieszkaniu Harry'ego. Sporo tam miejsca i mnóstwo łóżek. Zresztą, skoro ruszam jutro do Grecji i mamy sobie tyle do powiedzenia, musimy jakoś wygodnie spędzić tę noc. Możesz zostać tam dłużej, zanim nie znajdziesz sobie czegoś własnego.

— Ale... — Flora, nie bardzo wiedząc czemu, szukała wykrętu przed tą kuszącą propozycją. — Czy nie będę komuś przeszkadzać? — dokończyła z braku lepszych argumentów.

— A niby komu? Uprzedzę portiera. Harry nie wtrąca się w moje sprawy. A matka... — Nie dokończyła, najwyraźniej czymś rozbawiona. — Ciekawe, co by powiedziała, widząc nas tu razem? — parsknęła śmiechem. — Przyjaźń od pierwszego wejrzenia. A twój stary? Co on by powiedział?

— Nie mam pojęcia — odparła niepewnie Flora.

— Opowiesz mu o naszym spotkaniu?

— Nie wiem. Może kiedyś.

— Nie sądzisz, że to okrutne — Rose przybrała nagle poważny ton — rozdzielić dwie bliźniaczki? Przecież bliźniacze siostry to jak dwie połowy tej samej osoby. Zupełnie jakby rozciąć kogoś na pół.

— Może zrobili to dla naszego dobra.

— Może. — Oczy Rose zwęziły się. — Ciekawe, dlaczego matka wybrała mnie, a ojciec ciebie?

— Załóżmy, że rzucili monetą. — Flora obróciła pytanie w żart, nie mając ochoty roztrząsać dylematu.

— A co by się stało, gdyby moneta upadła odwrotnie?

— Wtedy wszystko potoczyłoby się na odwrót.

*Na odwrót?* Pomyślała o ojcu, o Seal Cottage w blasku buzującego zimną paleniska, o płonących, pachnących smołą, wyrzuconych przez morze szczapach. Pomyślała o łagodnych wczesnych wiosnach i migoczącym latem morzu. O wypełnionej czerwonym winem karafce na wyszorowanym stole i o kojących dźwiękach „Symfonii Pastoralnej” z nastawionego na całą moc gramofonu. A jakby tego było mało, Florze przypomniła się zacna, kochana Marcia.

— Chciałabyś, żeby ułożyło się na odwrót? — spytała Rose.

— Nie — odparła, kryjąc uśmiech.

Rose przysunęła popielniczkę i zgasiła nie dopalonego papierosa.

— Ja też nie. Niech już wszystko pozostanie po staremu.

Był piątek.

W Edynburgu, po deszczowym i chmurnym ranku, słońce przebiło się przez mroczną zasłonę, niebo odzyskiwało swoją barwę, a miasto zabłysnęło złotem jesieni. Na północy, za granatowymi wodami zatoki Firth of Forth, wzgórza Fife drzemały statecznie pod błękitnym niebem. Po drugiej stronie ulicy Princess miejski park kusił oko jaskrawymi daliami, a za torami kolejowymi urwisko przechodziło z fantazją w zamek z dumnie powiewającą flagą.



Antony Armstrong wyszedł z biura przy Charlotte Square i przystanął zaskoczony urodą miasta. Ranek miał ciężki, jak to przed dłuższym weekendem. Nie było czasu na lunch. Nie było czasu, żeby spojrzeć w okno i przekonać się, że dzień nie jest tak podły, jak się zapowiadał.

Zafrasowany i niespokojny, ruszył w kierunku samochodu, by znaleźć się jak najszybciej na lotnisku. Byle tylko dotrzeć do Londynu i odnaleźć Rose. Mimo pośpiechu przystanął zafascynowany odbijającym się w kałużach słońcem, złotym blaskiem liści na drzewach przy placu, zapachem. Był to zapach wsi i jesieni, przypominający torfowiska i wrzosa północnych stron. Świeży podmuch od nie tak bardzo odległych wzgórz. Antony, stojąc na chodniku z przerzuconym przez ramię deszczowcem i podręcznym bagażem w prawej dłoni, podelektował się przez chwilę powietrzem przypominającym Fernrigg i Tuppy. Ten zapach dodał mu energii. Pomógł mu odprężyć się i rozluźnić.

Czas jednak nagiął, więc Antony ruszył ostro na lotnisko, gdzie zaparkował i sprawdził rozkład lotów. Miał wolne pół godziny, w sam raz na łyk piwa i zakąskę w barze na górnej kondygnacji.

Barman znał go z częstych służbowych podróży do Londynu.

— Ostatnio rzadko pan u nas bywa.

— Tak, będzie miesiąc lub więcej.

— Szynka, jajeczko?

— Może jedno i drugie.

— Dziś też do Londynu?

— Zgadł pan.

— Nie ma to jak weekend — przytaknął wyrozumiale barman.

— Może i nie weekend. Kto wie, czy nie wrócę jutro. Różnie może być.

— Weekend, nie weekend, zawsze to Londyn — barman przysunął zamaszystym ruchem kufelek. — Podobno niezła tam dziś pogoda.

— Tu też nie mamy na co narzekać.

— Tak, popołudnie może być niezłe. Będzie pan miał miły lot.

Barman przetarł ladę i zajął się innym podróżnym. Antony wziął piwo i talerzyk, usiadł przy stoliku koło okna, odłożył deszczowiec i zapalił papierosa.

Za szybą, poza tarasem portu lotniczego, ujrzał wzgórze, postrzępione chmury i chybotający wskaźnik kierunku wiatru. Był głodny. Piwo i kanapki czekały. Antony, obserwując chmury przesuwane się po kałużach na pasach startowych, zapomniał o głodzie i skoncentrował się na Rose.

Nie było to trudne. Ilekroć przypominał sobie o Rose, jego myśli zaczynały biec utartym torem, niczym stary pies biegający w kółko z trzymaną w zębach kością.

Machinalnie wyjął z kieszeni list, który czytał już tyle razy, że chyba znał go na pamięć. List nie był w kopercie, bo też nigdy jej nie posiadał, a do rąk Antony'ego dotarł w niedbale zapakowanej paczce zawierającej pudełeczko, a w nim pierścionek z brylantem i szafirem, który kupił kiedyś Rose.

Wręczył go jej przed czterema miesiącami w restauracji hotelu „Connaught”. Skończyli właśnie kolację, kelner podał kawę i nagle, nie wiedząc czemu, Antony doszedł do wniosku, że czas, miejsce i okoliczności są odpowiednie. Ruchem magika wyjął z kieszeni pudełeczko, otworzył je i pozwolił załsnąć ukrytemu w nim cacku.

— Ależ to piękne — nie wytrzymała Rose.

— To dla ciebie — odparł Antony.

Spojrzała mu w oczy z mieszaniną niedowierzania, zauroczenia i jeszcze czegoś... Antony nie był w stanie dociec, czym było to trzecie.

— To pierścionek zaręczynowy — powiedział Antony. — Kupiłem go dziś rano. — Z pewnych powodów wolał poprosić ją o rękę z pierścionkiem w roli dodatkowej zachęty i materialnego argumentu. — Myślę... mam nadzieję, że ty też tego chcesz. Chyba powinniśmy się pobrać.

— Ależ Antony!

— Nie bądź staroświecka.

— Nie jestem staroświecka... raczej zaskoczona.

— I nie mów, że to tak nagle, bo przecież znamy się od pięciu lat.

— Tylko że niewiele o sobie wiemy.

— Sądzę, że wiemy wiele.

Antony mówił wtedy naprawdę to, co myślał. Ich związek był jednak dość niezwykły, a najbardziej niezwykłe było w nim to, że Rose pojawiała się w życiu Antony'ego w najmniej oczekiwanych momentach, jakby wszystkim kierowała ręka losu.

Gdy zobaczył ją pierwszy raz, nie wywarła na nim szczególnego wrażenia. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat i serce złamane przez młodą aktorkę występującą sezonowo w Edynburgu. Rose miała lat siedemnaście. Jej matka, Pamela Schuster, postanowiła spędzić letnie wakacje w Beach House w Fernrigg. Antony wpadł do domu na weekend i pewnego dnia, towarzysząc Tuppy w drodze na plażę, został przedstawiony obu damom i nawet zaproszony do Beach House na drinka. Pamela była czarująca i atrakcyjna,

natomiast Rose tamtego popołudnia niczym nie imponowała. Antony zapamiętał ją jako długonogą, mrukliwą pannicę, odpowiadającą monosylabami na wszelkie próby nawiązania konwersacji. Gdy po tygodniu wpadł znów na weekend do Fernrigg, matka i córka zwinęły już żagle.

Rok temu, podczas służbowego wypadu do Londynu, Antony spotkał Rose w barze hotelu „Savoy”, popijającą w asyście rozprawiającego o czymś z przejęciem młodego amerykańskiego okularnika. Rose była zupełnie inna. Patrząc na nią, Antony nie mógł uwierzyć, że to ta sama dziewczyna. Zgrabna i wystrzałowa, skupiała na sobie bardziej lub mniej ostentacyjne spojrzenia wszystkich mężczyzn w barze.

Antony podszedł, przedstawił się, a Rose, być może znużona nadętą wylewnością swojego towarzysza, zareagowała radośnie i obiecująco. Wyjaśniła, że jej starzy spędzają wakacje na południu Francji. Ona sama leci tam jutro po południu. Wszystko to sugerowało pośpiech, toteż Rose pośpiesznie pozbyła się Amerykanina, wybierając kolację z Antonym.

— Kiedy wrócisz z Francji? — spytał, odpędzając od siebie myśl o rozstaniu.

— Nie wiem. Cóż za różnica?

— Masz jakąś pracę, zajęcie?

— Żartujesz. Nie nadaję się do żadnej pracy. Nic nie robię na czas, nie umiem pisać na maszynie i mała byłaby ze mnie pociecha. Poza tym nie muszę pracować. Straszny ze mnie darmozjad.

Antony, jak przystało na rasowego Szkota, nazwał ją „trutniem i zakałą społeczeństwa”, ale ubawiony jej szczerością obrócił to w żart i Rose wcale się nie obraziła.

— Też tak sędzę — przytaknęła, studiując w lusterku wyszukany makijaż.  
— Wiem, że to paskudne.

— Zadzwoń, gdy wrócisz z Francji.

— Jasne, że zadzwonię — dodała, zatraskując puderniczkę. — Obiecuję, kochany.

Nie zadzwoniła. Antony nie miał pojęcia, gdzie mieszka w Londynie, nie mógł więc się z nią skontaktować. Próbował namierzyć Schusterów w książce telefonicznej, ale numer był zastrzeżony. Dyskretnie przepytował Tuppy, ale ta pamiętała matkę i córkę jedynie z pobytu w Beach Ho-use i nie знаła ich stałego adresu.

— Po co ci to? — głos Tuppy w słuchawce zdradzał wyłącznie zaciekawienie.

— Spotkałem Rose w Londynie. Chciałbym się z nią skontaktować.

— Rose? To śliczne dziecko? Niesłychane!

Z początkiem lata Antony znów spotkał Rose. Londyn pachniał bzami, a parki zdążyły przybrać barwę młodej zieleni. Wpadł do Londynu, by porozmawiać z klientem o kondycji jego firmy. Podczas lunchu u „Scotta” na Strand spotkał kolegę ze szkolnej ławy, który zaprosił go na nocną imprezę. Kolega mieszkał w Chelsea i gdy Antony wkroczył na malownicze poddasze, pierwszą napotkaną osobą była Rose.

Cała Rose. Poznał ją na tyle, by przewidzieć tego typu wyskoki, ale zamiast wpaść w złość, wpadł w osłupienie. Rose miała na sobie spodnium z lnu, kowbojskie buty, a jej czarne włosy sięgały łopatek. Rozmawiała z jakimś facetem, ale nie on był tu ważny. Ważna była Rose i to, że wreszcie ją odnalazł. Ręka losu. Ona sprawiła, że znów się spotkali. Antony, wychowany w starym szkockim domu, wierzył głęboko w rękę losu.

Wziął drinka z wędrującej wśród gości tacy i ruszył do akcji.

Tym razem układy były idealne. Antony miał przed sobą trzy dni w Londynie, a Rose nie wybierała się na południe Francji. Wyczuł, że raczej nigdzie się nie wybiera. Zostawiła starych w Nowym Jorku, żeby dołączyć do nich, gdy przyjdzie jej ochota. Byle nie za szybko. Aktualnie mieszkała w apartamencie ojca w Cadogan Court. Antony uregulował należność w swoim służbowym hotelu i też się tam przeniósł.

Wszystko układało się jak w bajce. Nawet pogoda. Słońce świeciło, bzy rozkwitały pod bezchmurnym niebem, balkonowe skrzynki mieniły się tęczo-wo i wystarczyło strzelić palcami, by podjechała taksówka, a w restauracji czekał najlepszy stolik. Nocami przyplływał srebrzysty księżyc w pełni, okrywając Londyn romantyczną poświatą. Antony szastał forszą, jakby miał własną mennicę, a szczytem rozpusty było udanie się pewnego poranka do jubilera przy ulicy Regent i zakupienie pierścionka z brylantem i szafirem.

Zaręczyli się. Antony nie mógł w to uwierzyć. Dla potwierdzenia tego faktu zadepeszowali do Nowego Jorku i zatelefonowali do Fernrigg. Tuppy była zaskoczona, ale też szczęśliwa. Od dawna oczekiwała dnia, gdy Antony ożeni się i ustatkuje.

— Musisz ją tu przywieźć — powiedziała Tuppy. — Chybabym jej nie poznała. Ciekawe, jaka jest teraz.

— Jest piękna — odparł Antony, wpatrując się w Rose. — Najpiękniejsza pod słońcem.

— Nie mogę się jej doczekać.

—Tuppy mówi, że nie może się ciebie doczekać — przekazał jej zaraz Antony.

—Obawiam się, że trochę to potrwa. Muszę wpaść do Stanów. Obiecałam mamie i staremu. Harry nie lubi, gdy coś mu psuje szyki. Taki już jest. Wyjaśnij to Tuppy.

Antony wyjaśnił. Obiecał, że przyjadą wkrótce. Gdy tylko Rose wróci z Ameryki, on przywiezie ją do Fernrigg i Tuppy będzie mogła dokładnie przyjrzeć się Rose.

Potem Rose odleciała do Nowego Jorku, a Antony upojony miłością i szczęściem wrócił do Edynburga. „Czekaj na list” — rzuciła przed odlotem i nie odezwała się więcej. Antony posyłał za ocean długie, miłosne elaboraty — wszystkie pozostały bez odpowiedzi. Zaczął się niepokoić. Przeszedł na telegramy, ale i te nie skutkowały. W końcu zdobył się na kosztowny telefon do jej domu w Westchester County, ale Rose była akurat nieobecna. Służący, który odebrał telefon, władał dość egzotyczną angielszczyzną. Antony domyślił się, że Rose wyjechała nie wiadomo gdzie i trudno powiedzieć, kiedy wróci.

Pierwszą kartkę otrzymał, gdy był już bliski rozpaczy. Widokówka przedstawiała Wielki Kanion, a z nagryzmołonego na odwrocie tekstu niewiele mógł wywnioskować. Po tygodniu przyszła druga kartka. Rose spędziła w Ameryce całe lato, a każda z kolejnych pięciu pocztówek zawierała mniej treści niż poprzednia.

Ponaglenia z Fernrigg bynajmniej nie poprawiały sytuacji. Antony zbywał je wyjaśnieniami, w które sam zaczynał wierzyć. Po prostu Rose nie należała do osób skwapliwie sięgających po pióro.

Mimo wszystko wątpliwości rosły i przybierały kształt burzowych chmur, zaciemniających jasny horyzont. Antony czuł, że traci wiarę w tradycyjny, trzeźwy, szkocki zdrowy rozsądek. Czyżby sam siebie okłamywał? Czyżby spędzone z Rose w Londynie rajskie dni były tylko złudzeniem prawdziwej miłości i szczęścia?

A potem zdarzyło się coś, co kazało mu w jednej chwili zapomnieć o Rose. Isobel zatelefonowała z Fernrigg i poinformowała go o chorobie Tuppy; o przeziębieniu, zapaleniu płuc i wynajęciu pielęgniarki. Isobel próbowała opanować emocje i uspokoić Antony'ego.

—Wszystko będzie dobrze. Dzwonię tylko po to, żebyś wiedział. Przepraszam, że cię niepokoję, ale wiesz, jak to jest...

—Będę u was lada dzień — odpowiedział natychmiast.

— Nie, Antony! Ona zaraz pomyśli, że jest z nią źle. Może później, gdy Rose wróci z Ameryki. Chyba że... — Isobel zawiesiła głos. — ...chyba że już wróciła?

— Nie, jeszcze nie wróciła — wyjaśnił Antony. — Ale wróci lada dzień.

— Oczywiście, że wróci — potwierdziła Isobel. Brzmiało to pocieszająco, jakby znów był małym chłopcem, choć teraz to on powinien pocieszać Isobel. Antony poczuł się jeszcze bardziej parszywie.

Przypominało to atak ślepej kiszki przy równoczesnym bólu zęba. Nie wiedział, co zrobić. Ostatecznie, wbrew swojej naturze, postanowił nie robić nic.

Trwał w apatii przez tydzień, a potem sprawy przybrały dramatyczny obrót. Pewnego ranka otrzymał wysłaną z Londynu niechlujną paczkę od Rose, a w niej zaręczynowy pierścionek i oczekiwany od tak dawna list. A jakby tego było mało, zaraz potem zadzwoniła Isobel. Tym razem nie była w stanie udawać optymizmu. Łkanie i drżący głos w słuchawce i tak zdradziłyby smutną prawdę. Hugh Kyle najwyraźniej martwił się stanem Tuppy. Stanem o wiele gorszym, jak podejrzewała Isobel, niż wszyscy się spodziewali. To mogły być ostatnie dni.

Tuppy chciała ujrzeć Antony'ego i Rose. Potrzebowała ich obecności, potrzebowała ślubnych planów. Isobel powiedziała, że byłoby straszną rzeczą, gdyby Antony i Rose nie zdążyli na czas.

Podtekst był jasny. Antony nie był w stanie wyjawić Isobel prawdy, ale składając obietnicę nie do spełnienia, zastanawiał się, jakim cudem uda mu się wywiązać z przyrzeczenia. Wiedział tylko, że musi.

Z chłodną desperacją przystąpił do działania. Porozmawiał z szefem i pod byle pretekstem poprosił o kilkudniowy urlop. W wisielczym nastroju zatelefonował do londyńskiego apartamentu Schusterów, a nie doczekawszy się odpowiedzi, posłał obszerny telegram. Potem zarezerwował bilet na samolot do Londynu. Teraz, siedząc w barze na lotnisku, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął list. Ciemnobłękitna papeteria była bez zarzutu, a nadrukowany adres też mówił swoje.

CADOGAN COURT 82 LONDON, SW 1

Niestety, charakter pisma Rose wyraźnie odstawał od adresu. Koślawe, infantylne litery biegły skosem w poprzek papeterii, a o interpunkcji lepiej było nie wspominać.

*Kochany Antony!*

*Strasznie mi głupio odsyłać Ci ten pierścionek ale mimo wszystko z tym naszym ślubem to był jeden koszmarny niewypał. Może niezupełnie koszmarny, bo miły z Ciebie chłopak, i fajnie nam razem było, ale teraz patrzę na to inaczej i wiem że nie nadaję się na żonę, zwłaszcza tam u Was w Szkocji i nie żebym miała coś przeciw Szkocji bo to fajny kraj tylko że nie dla mnie. To znaczy nie na stałe dla mnie. Wpadłam do Londynu przed tygodniem na dzień lub dwa bo nie wiem jak się mi ułoży. Moja stara Cię pozdrawia ale też mówi, że nie nadaję się jeszcze na żonę a gdy będę się nadawała nie sądzi żebym pasowała do Szkocji. Mama też uważa że Szkocja nie dla mnie. Okropnie mi przykro ale lepiej mieć to już raz z głowy. Rozwody to parszywe sprawy a do tego ciągną się latami i kosztują kupę forsy.*

*Twoja (wciąż) Rose*

Antony złożył list, wsunął go do kieszeni i powiódł palcem po gładkiej skórze pudełeczka z brylantowo-szafirowym pierścionkiem. Sięgnął po piwo i kanapkę. Nie zdążył skończyć, gdy zapowiedziano samolot.

O wpół do czwartej wylądował na Heathrow, wsiadł w lotniskowy autobus, a potem w taksówkę. Londyn wydawał się cieplejszy niż Edynburg, a do tego jaśniał jesiennym słońcem. Liście na drzewach trzymały się krzepko, ale trawa w parkach zbrunatniała od długiego lata. Ulica Sloane roiła się od rozkrzyczanych dzieciaków holowanych ze szkoły przez odziane w wyjściowe kreacje młode mamusie. Jeśli nie zastanę Rose — przyrzekał sobie Antony — przysiadę gdzieś i będę czekał do skutku.

Taksówka objechała plac i zatrzymała się przed dobrze znanym Antony'emu budynkiem z czerwonej cegły. Był to nowy dom, bardzo szykowny, z drzewkami laurowymi zasadzonymi z obu stron prowadzących do wnętrza kamiennych stopni, a elewacja kusiała oko szklanymi płytami.

Antony zapłacił taksówkarzowi i pokonawszy schody, wszedł do środka przez oszklone drzwi. Brunatny dywan sięgał od ściany do ściany, w donicach rosły palmy, a powietrze pachniało skórą i dobrymi cygarami.

Portiera nie było w recepcji ani nigdzie w zasięgu wzroku. Naciskając guzik windy, Antony pomyślał, że pewnie urwał się po wieczorną gazetę. Winda zjechała bezszmerowo. Jej drzwi rozsunęły się, również nie wydawszy dźwięku. Antony wszedł i zamknęły się za nim posłusznie. Przycisnął guzik czwartego piętra i unoszony w górę przypomniał sobie słodkie momenty

spędzane w tej samej windzie wraz z Rose, pocałunki wymieniane na każdym z mijanych pięter. Było to bolesne wspomnienie.

Winda przystanęła i drzwi rozsunęły się. Antony wziął bagaż, ruszył długim korytarzem, zatrzymał się przed numerem 82 i nacisnął dzwonek. Gdzieś wewnątrz rozległo się dyskretne buczenie. Położył neseser przy drzwiach i oparty o ich framugę czekał cierpliwie bez większej nadziei. Czuł, że nie ma jej w domu. Przygotował się z rezygnacją na ten fakt.

W tym momencie usłyszał wewnątrz czyjeś kroki. Zesztywniał i przywarował niczym myśliwski pies. Odgłos zamykanych gdzieś w głębi drzwi, potem otwieranie drugich. Kroki dochodziły z prowadzącego z kuchni korytarzyka i zaraz potem ktoś przekreślił szybkim ruchem gałkę. Na progu stała Rose.

Antony otworzył szeroko usta, nie mogąc zebrać myśli. Jest. Znalazł ją! Nie wygląda na zbyt rozjuszoną. Przycięła włosy!

— O co chodzi? — spytała trochę idiotycznie, ale przecież cała ta sytuacja była idiotyczna.

— Czołem, Rose — powiedział Antony.

— Nie jestem Rose — odpowiedziała Rose.



## ROZDZIAŁ 4

### ANTONY

Dla Flory cały piątek był dniem spowitym mgłą nierzeczywistości, remanentem poprzedniego, równie niewiarygodnego dnia. Zamierzała zrobić bardzo wiele, a w końcu nie osiągnęła niczego.

Jej nogi przemierzyły niezliczone biura i agencje wynajmu mieszkań, jednak myśli nie mogły skoncentrować się na tak przyziemnych sprawach.

— Czy chce pani pracę stałą, czy okresową? — spytała dziewczyna za biurkiem, a Flora patrzyła na nią nieobecny wzrokiem, rozmyślając wciąż o rzeczach odległych od pisania na maszynie i stenografii. Jakby obcy ludzie najechali i opanowali nagle jej zaciszne domostwo. Nie była w stanie myśleć o niczym oprócz ich obecności.

— Mamy mieszkanie na parterze w Fulham — usłyszała zza innego biurka. — Ciasne, ale dla pani będzie chyba w sam raz...

Oczywiście że w sam raz. Powinna zaraz się tam udać.

— Tak, pomyślę o tym. — Wyszła na ulicę i ruszyła przed siebie, bez celu, myśląc o czymś innym.

Jej stan wynikał po części z niewyspania, fizycznego zmęczenia i bolesnych doznań poprzedniego dnia. Zwariowany był to wieczór. Flora i Rose posiliły się u Seppiego, dokończyły wspólnymi siłami szampana, napoczęły kolejną butelkę na koszt firmy i siedziały przy kawie do momentu, gdy Seppi, molestowany przez długą kolejkę oczekujących na wolny stół klientów, wypuścił je z bólem z restauracji. Rose uregulowała rachunek kartą kredytową. Dla Flory kwota była wręcz niebotyczna, ale Rose zbyła ją wzruszeniem ramion. Powiedziała, że to drobiazg, bo i tak koszty pokrywa tu Harry Schuster. Tak już się przyjęło.

Złapały taksówkę i pojechały do hotelu „Shelbourne”, gdzie Rose poddała krytyce wystrój wnętrza, obsługę i gości, a Flora, próbując ukryć wesołość i zakłopotanie, wyjaśniła ponurej damie w recepcji, że zaszły nie-

przewidziane okoliczności. Portier zgodził się, choć niechętnie, odnieść bagaże do taksówki i obie ruszyły do Cadogan Court.

Apartament mieścił się na czwartym piętrze. Flora nawet w snach nie widziała podobnego luksusu: tyłu dywanów, tak dyskretnych świateł, łazienkowych instalacji kojarzących się na pierwszy rzut oka z podbojem kosmosu. Przydymione okienne szyby rozsuwały się na boki, otwierając drogę na zaciszny balkon przypominający małą oranżerię. Wystarczyło przycisnąć guzik, by pozbyć się dyskretnych, lnianych zasłon. Dywan w sypialni był biały i gruby na dwa cale (Rose twierdziła, że dostaje szału, ilekroć musi szukać w tej gęstwinie upuszczonego pierścionka lub spinki do włosów), a łazienka pachniała najdroższymi mydłami i olejkami.

Rose wskazała Florze sypialnię (jasnobłękitne kotary z tajlandzkiego jedwabiu, co krok lustro) i powiedziała, żeby czuła się tu jak u siebie, ale gdy tylko Flora zdążyła wyjąć z walizki nocną koszulę, Rose przysiadła na łóżku.

— Chciałabys zobaczyć, jak wygląda ojciec? — spytała Flora wiedzona nagłym impulsem.

— Masz zdjęcia? — Rose zareagowała, jakby nigdy wcześniej nie zetknęła się z fotografiami.

Flora wyciągnęła oprawiony w skórę albumik i podała go Rose, po czym obie ulokowały się wygodnie na łóżku, jedna przy drugiej. Liczne lustra odbiły dwie bliźniaczo podobne ciemnowłose głowy.

Oglądały Seal Cottage, ogród, Marcie i ojca wychodzących z kościoła po ślubnej uroczystości utrwalonej przez Florę. Było też duże zdjęcie siedzącego nad urwiskiem, poniżej domku, ojca z opaloną twarzą i rozwianym włosom, a w tle szybujące mewy i morski odpływ.

Reakcja Rose nie pozostawiała wątpliwości: — Facet z dużą klasą! Prosto z filmu, i te okulary! Nie dziwię się, że matka poleciała na niego. Ale wciąż mi coś nie gra. Bardziej pasują do niej tacy jak Harry.

— Bogaci?

— Nazwijmy to tak. — Znów spojrzała na fotografię. — Ciekawe, dlaczego właściwie się pobrali? Myślisz, że coś ich łączyło?

— Może zauroczenie. Poznali się na nartach. Matka nigdy ci o tym nie wspominała?

— Chyba żartujesz.

— Narty zimą to trochę tak, jak morskie wycieczki latem, tak mi przynajmniej mówiono. Rześkie powietrze, opalone twarze i nic do roboty oprócz fizycznego wysiłku i zawrotu głowy kimś innym.

— Ciekawe. Będę musiała też o tym pomyśleć — mruknęła Rose, nagle znudzona zdjęciami. Odrzuciła je na jedwabną kołdrę i długo przyglądała się siostrze. — Chciałabyś się wykapać? — spytała nagle, równie obojętnym głosem.

Obie wzięły kąpiel, a potem Rose zajęła się adapterem i stosem płyt, a Flora przygotowaniem sporej porcji kawy. Włożyły nocne koszule (Flora swoją starą, internatową, Rose coś bajecznie zwiewnego z kwiecistego jedwabiu), przysiadły na łące królewskiej pluszowej sofie i powróciły do rozmowy.

Rozmowy bez końca. Sporo miały sobie do opowiedzenia. Rose opisała Florze swój paryski dom, szkolne lata w Chateau d'Oex, zimowe wypady do Kitzbühel. Flora zrewanżowała się własną biografią (nawet w połowie nie tak ekscytującą), złożoną głównie z odkrycia i nabycia Seal Cottage, pojawienia się Marcii i dorywczych prac w Szwajcarii i Grecji. To ostatnie z czymś się jej skojarzyło.

— Wspomniałaś, Rose, że ty też wybierasz się do Grecji?

— Sama nie wiem. Właściwie całe lato spędziłam w Stanach w samolotach i czuję, że mam już serdecznie dość latania.

— Przez całe lato nie było cię w Europie?

— Przez większość lata. Harry już od dawna planował pokazanie nam Ameryki i zaliczyliśmy wszystko: od spływu przełomem Salmon River, po przejażdżkę przez Wielki Kanion na mułach objuczonych, jak i my, aparatami fotograficznymi. Typowi turyści. — Zachmurzyła się. — Kiedy twój stary ożenił się drugi raz?

Trudno było śledzić tok myśli Rose.

— W maju — odparła Flora.

— Lubisz tę Marcie?

— Już ci mówiłam. Wspaniała kobieta. — Flora uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie rozkołysanych bioder Marcii i napiętych guzików jej bluzki. — Wspaniała pod każdym względem.

— Staremu też nic nie brakuje. Dziwne, że tak długo wytrwał w celibacie.

— Też się dziwię.

Rose przesunęła dłonią po włosach i otaksowała Florę spojrzeniem rzuconym spod aksamitnych, czarnych rzęs.

— A jak u ciebie z tymi sprawami? Masz kogoś, jesteś zaręczona, chcesz wyjść za mąż?

— Jak na razie nie.

— A w przyszłości? Myślałaś o tym?

— Wiesz, jak to jest — zachnęła się Flora. — Początkowo myślisz, że każdy poznany chłopak zaprowadzi cię prędzej czy później do ołtarza. Potem to już nie tak ważne. — Spojrzała z zaciekawieniem na Rose. — Też tak sądzisz?

— Dokładnie tak samo. — Rose wstała i sięgnęła po papierosa. Zapaliła, a jej długie, czarne włosy przez chwilę zakrywały twarz. — Kto by zresztą chciał zamknąć się w czterech ścianach i niańczyć rozwrzeszczane bachory?

— Może to też ma swoje uroki.

— Dla ciebie pewnie tak. Coś mi mówi, że ciągnie cię na tę zabita deskami prowincję, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Flora poczuła, że powinna wystąpić w obronie wiejskiej egzystencji.

— Lubię tamte strony. Zresztą mogłabym żyć wszędzie, byle tylko z kimś, na kim naprawdę mi zależy.

— Nawet gdybyś musiała go poślubić?

— Zwłaszcza gdybym zechciała.

Rose zaciągnęła się papierosem i odwróciła plecami do Flory. Podeszła do okna, zasunęła zasłony i przyglądała się oświetlonemu lampami placykowi przed domem.

— A co do tej Grecji... — powiedziała po chwili. — Gdybym mimo wszystko poleciała tam jutro, miałabyś do mnie żal?

— Jutro? — Florze aż odebrało głos.

— W piątek. Ściśle mówiąc, dzisiaj, bo jest już po północy.

— Już dzisiaj? — wykrztusiła na przekór sobie Flora.

— Miałabyś żal. — Rose odeszła od okna. — To całkiem naturalne.

— Chyba żartujesz. Dlaczego miałabym czuć do ciebie żal? Po prostu myślałam, że nie mówisz tego serio. Sama przed chwilą miałaś wątpliwości.

— Tak, miałam. Zarezerwowałam nawet bilet na samolot do Grecji, ale nie wiedziałam, czy naprawdę mam na to ochotę. Nagle coś mi się odmieniło. Chyba nie sądzisz, że to podłe z mojej strony?

— Oczywiście, że nie — odparła pokrępijając Flora.

Rose uśmiechnęła się.

— Chyba jednak nie jesteśmy aż tak podobne, jak początkowo sądziłam. Ty jesteś znacznie uczciwsza i otwarta. Dobrze wiem, co sobie myślisz.

— Wiesz, co myślę?

— Myślisz, że to wredne zostawić tak nagle siostrę. Zastanawiasz się, skąd przyszła mi do głowy ta Grecja.

— Więc może mi to wyjaśnisz.

— Pewnie już sama zgadłaś. Chodzi o faceta. Zgadłaś czy nie, powiedz szczerze?

— Powiedzmy, że zgadłam.

— Poznałam go na party w Nowym Jorku, tuż przed odlotem do Londynu. Mieszka w Atenach, ale wczoraj rano przysłał mi telegram z wyspy Spetsai, gdzie wynajmuje dom od przyjaciół. Chce, żebym tam wpadła.

— Więc wpadnij.

— Mówisz to serio?

— Całkiem serio. Dlaczego miałabyś z mojego powodu zostać w Londynie? Zresztą ja też muszę zabrać się za poszukiwanie pracy i mieszkania.

— Na razie możesz zatrzymać się tutaj.

— Tutaj?

— Obgadam wszystko z portierem. Zgoda? — Głos Rose brzmiał niepewnie i prosząco. — Powiedz, że się zgadzasz. Przynajmniej na jeden lub dwa dni. Przynajmniej do kortca weekendu. To dla mnie naprawdę bardzo ważne.

Flora była zaskoczona, ale cóż właściwie stało na przeszkodzie, żeby skorzystać z tak kuszącej oferty?

— W porządku. Ale tylko do poniedziałku. Pod warunkiem, że na pewno nie sprawię kłopotu.

— Żadnego! — twarz Rose rozjaśnił szeroki uśmiech, przypominający Florze jej własne lustrzane odbicie. Rose podbiegła i uściskała ją z teatralną afekcją, po czym natychmiast przybrała swoją zwykłą, spiętą pozę. — A teraz pomóż mi szybko spakować walizki.

— Przecież to dopiero trzecia nad ranem!

— Nieważne. Możesz też zaparzyć kawę.

— Przecież... — Flora chciała wyjaśnić, że pada z nóg, ale postanowiła pominąć to milczeniem. Rose taka już była. Gdy wpadła w trans, wszyscy musieli dotrzymać jej kroku i mknąć w ślad za nią, nawet nie zdając sobie sprawy, ku czemu właściwie zmierzają.

Była już jedenasta, gdy Rose wyruszyła w długą podróż ku wyspie Spetsai. Pozostawiła Florę na chodniku przed domem.

— Do zobaczenia — powiedziała na odjeźdźnym, obdarzając Florę po żegnalnym uściskiem. — A klucz zostaw portierowi.

- Przyślij mi widokówkę.
- Obiecuje. Było wspaniale. Czekać na wiadomość.
- Baw się dobrze, Rose.

Tamta wskoczyła do taksówki; zatrzasnęła drzwiczki i wychyliła się przez opuszczoną szybę.

— Uważaj na siebie! — zawołała i pomachała ręką wyłaniającą się z szynszylowego futerka. Flora stała na chodniku, dopóki taksówka nie okrążyła placu, by zniknąć w ulicy Sloane.

Było, minęło. Flora obróciła się, weszła do środka i wjechała windą do pustego apartamentu. Pod nieobecność Rose wszędzie panowała niczym nie zmącona cisza.

Weszła do salonu i machinalnie zabrała się za wygładzanie tapicerki, wietrzenie i usuwanie zawartości popielniczek. Wkrótce jej uwagę przyciągnęła podręczna biblioteka Harry'ego Schustera. Zapomniała o porządkach i stwierdziła, że właściciel czytuje Hemingwaya, Roberta Frosta, Normana Mailera i Simenona (po francusku). Przy adapterze stały w rzędzie nagrania Aarona Copelanda, a nad kominkiem wisiało płótno Fredericka Remingtona — dowód amerykańskich korzeni i dumy z narodowych osiągnięć.

Harry Schuster zaczął przypominać konkretną postać. Flora doszła do wniosku, że chyba by go polubiła. Gorzej było z matką, rozkosznie porzucającą tuż po porodzie jedno z dzieci i szukającą szczęścia w nowym małżeńskim związku, do tego przywłaszczającą sobie drugie z bliźniąt.

Dzięki nocnej rozmowie z Rose i fotografiom, Flora zbudowała obraz Pameli Schuster tak realny, jak gdyby ją poznała: kobieta wytworna i światowa, pachnąca „Patou's Joy”, ubierająca się u Diora lub dla odmiany kusząca smukłą sylwetką w chłopięcych lewisach; Pamela w St. Tropez, Pamela śmigająca na nartach w St. Moritz, Pamela podczas lunchu w „La Grenouille” w Nowym Jorku; czarne, rozbawione oczy, czarne, krótko przycięte włosy, promienny uśmiech. Bez wątplenia przebojowa i światowa osoba, ale czy kochająca i troskliwa? Co do tego Flora miała wątpliwości.

Zegar na kominku wybił południe. Ranek minął. Flora wróciła do prozy życia, zjadła kanapkę, popiła mlekiem, spakowała torbę i opuściła apartament.

Bez entuzjazmu ruszyła na poszukiwanie pracy. Wróciła pod wieczór bez żadnej oferty, przeklinając własną bezradność i indolencję. Miała serdecznie dość pieszych wędrówek i wspinań po kolejnych schodach. Weszła do kuchni, marząc o filiżance gorącej herbaty. Potem wykąpie się,

spojrzy w telewizor i wreszcie się wyśpi. Rose proponowała jej pobyt przez cały weekend. Może do poniedziałku nabierze sił i weźmie się w garść? Czajnik zagwizdał, a równocześnie ktoś zadzwonił do drzwi.

Jeszcze tego brakowało. Flora zakląła, wyłączyła czajnik i wybiegła z kuchni.

Kątem oka ujrzała w mijanym lustrze z mordowaną, niechlujną dziewczucę, zlaną potem, z podwiniętymi byle jak rękawami białej bluzki. Sprzątaczką, której przerwano mycie podłogi. Otworzyła drzwi.

Mężczyzna w korytarzu był wysoki, smukły i dość młody. Garnitur w jodełkę leżał na nim jak ulał, a włosy o odcieniu spatynowanej miedzi przypominały irlandzkiego setera. Klasyczne rysy twarzy i jasna, lekko piegowata cera — z tych, które przypalają się na słońcu, nim zdążą nabrać opalenizny. Oczy jasne, bystre, szare z domieszką zieleni. Teraz oczy te wpatrywały się we Florę, jakby oczekując od niej pierwszego ruchu.

— O co chodzi? — spytała Flora.

— Czołem, Rose — powiedział nieznajomy.

— Nie jestem Rose — odparła Flora.

Zaległa cisza, podczas której oblicze młodego mężczyzny przybrało nieco odmienny wyraz.

— Proszę? — zachnął się, jak gdyby nie dosłyszał.

— Nie jestem Rose — powtórzyła Flora bardziej stanowczym tonem, na wypadek, gdyby rozmówca był głuchy, upośledzony umysłowo bądź jedno i drugie. — Na imię mam Flora.

— Flora? Z kim mam przyjemność?

— Właśnie ze mną — odparła bezradnie Flora i natychmiast poczuła się nieswojo. — Zostanę tutaj tylko do poniedziałku — wyjaśniła.

— To chyba jakiś żart?

— Wcale nie żartuję.

— Przecież wyglądacie identycznie... — głos odmówił mu posłuszeństwa.

— Wiem o tym.

— Jak bliźniaczki — dokończył niepewnie.

— Zgadza się.

— Siostry? Flora przytaknęła.

— Przecież Rose nie ma siostry.

— Nie miała, ale teraz ma. Konkretnie od wczoraj wieczór.

— Czy mogłaby mi pani to wyjaśnić? — spytał po krótkiej pauzie.

— Oczywiście, że tak. No więc...

— A czy wcześniej mógłbym wejść do środka?

Flora zawahała się, próbując zebrać galopujące myśli. Apartament Schustera był pełen cennych rzeczy, za które odpowiadała teraz ona. Nieznajomy mógł przyjść tu w niecznych zamiarach... Odebrało jej na chwilę głos.

— Nie wiem, kim pan jest.

— Nazywam się Antony Armstrong. Jestem przyjacielem Rose. Przyjechałem właśnie z Edynburga.

Flora wciąż była niezdecydowana. Młody człowiek zaczął tracić cierpliwość, może i nie bez racji.

— Może pani spytać Rose. Jeśli jej tu nie ma, wystarczy zatelefonować do niej i spytać. Poczekam w korytarzu.

— Telefon nic tu nie da.

— A niby dlaczego?

— Bo wyjechała do Grecji.

— Do Grecji?

Jego przerażony ton i nagła bladość przekonały ostatecznie Florę. Nawet najwytrawniejszy oszust nie potrafiłby zagrać z takim przekonaniem.

— Proszę wejść — powiedziała, uchylając drzwi.

Spostrzegła z ulgą, że nieznajomy czuje się tu jak w domu, gdy tylko rzucił swój podręczny bagaż i deszczowiec na krzesło w przedpokoju ruchem starego bywalca apartamentu. Uspokojona, zaproponowała mu filiżankę herbaty. Zdawkowo wyraził zgodę. Weszli do kuchni i Flora jeszcze raz włączyła czajnik. Układając filiżanki i spodki, czuła na sobie czujny wzrok, śledzący każdy jej ruch.

— Indyjską czy chińską? — spytała.

— Indyjską. Może być mocna. — Przysiadł na wysokim, kuchennym taborecie i rozprostował kości. — Słucham, proszę mówić...

— A co chciałby pan wiedzieć?

— Naprawdę jest pani siostrą Rose?

— Tak, naprawdę.

— Ale jak...

Flora streściła mu wszystko w kilku zdaniach: nieudane małżeństwo RONALDA i PAMELI WARING, rozdzielenie bliźniaczek, losy dwóch sióstr, z których żadna nie wiedziała o istnieniu drugiej aż do wczorajszego spotkania u SEPPIEGO.

— Naprawdę poznałyście się wczoraj?



— Przecież powiedziałam.

— Niewiarygodne!

— Dla nas to też było niewiarygodne, ale taka jest prawda. Mleko czy cukier?

— Jedno i drugie. Co było potem?

— Potem? Zjadłyśmy obiad, Rose zaprosiła mnie tutaj i przegadałyśmy całą noc.

— A dziś rano poleciała do Grecji?

— Dokładnie tak.

— A ty co zamierzasz robić?

— Sama nie wiem. Przyjechałam wczoraj pociągiem z Kornwalii. Mieszkałam tam przez rok z moim ojcem i jego żoną. Na razie nie mam mieszkania ani pracy. Myślałam, że znajdę coś dzisiaj, ale nic nie znalazłam. Rose powiedziała, że mogę tu zostać przez weekend. Mówiła, że nie ma sprawy. — Podając Antony'emu filiżankę z herbatą, wyczuła nagle jego czujne spojrzenie. — Portier wie o tym — zapewniła.

— Czy to Rose zaproponowała ci, żebyś została tu przez weekend? — spytał Antony.

— Tak, a co w tym dziwnego?

Wziął od niej filiżankę i spodek i zaczął mieszać herbatę, wpatrując się wciąż jasnymi oczyma w twarz Flory.

— Czy nie wspomniała ci przypadkiem o moim przyjeździe?

— Wiedziała, że przyjeżdżasz?

— A nie mówiła nic o moim telegramie?

— Nie — zaprzeczyła zaskoczona. — Pierwszy raz o tym słyszę.

Antony pociągnął tęgi łyk parzącej usta herbaty, odstawił filiżankę, podniósł się z taboretu i wyszedł z kuchni. Po chwili wrócił, trzymając w dłoni telegram.

— Gdzie go znalazłeś? — spytała Flora.

— Tam, gdzie ludzie z reguły zostawiają telegramy, zaproszenia i listy, na które chcą odpisać w wolnej chwili. Za starą cukiernicą na płycie kominka. Tylko że w tym mieszkaniu rolę cukiernicy spełnia wypolerowana bryła alabastru. Sama przeczytaj — rzekł, podając telegram Florze.

Flora wzięła niechętnie telegram, podczas gdy Antony przysiadł znów na taborecie i zajął się herbatą, jakby nic nie zaszło.

— Czytaj, śmiało.

Flora przeczytała.

PACZKĘ I LIST OTRZYMAŁEM. SPRAWA BARDZO PILNA. TUPPY POWAŻNIE CHORA. PRZYŁAPUJĘ DO LONDYNU W PIĄTEK. BĘDĘ U CIEBIE W PIĄTEK PO POŁUDNIU. ANTONY.

Potwierdzało to najgorsze obawy Flory. Telegram był prawdziwym krzykiem serca. Rose zignorowała go i nawet słowem nie wspomniała o nim Florze. Jej wyjazd był ucieczką.

Trudno było wymyślić jakiś inteligentny komentarz.

— Kim jest Tuppy? — spytała w końcu Flora.

— Moją babką. Czy Rose mówiła ci, dlaczego wybiera się do Grecji?

— Wspomniała, że... — Flora spostrzegła niespokojne spojrzenie Antony'ego. Poczula, że może lepiej zataić prawdę. Próbowwała przybrać obojętną minę i wymyślić na poczekaniu jakieś obojętne kłamstwo, ale to nie miało sensu. Wpadła po same uszy i nie było sposobu, by się z tego wykaraskać.

— Co powiedziała? — przynaglił Antony.

Flora skapitulowała.

— Miała spotkać się tam ze swoim nowojorskim znajomym. Poznała go na party tuż przed odlotem do Londynu. Wynajmuje willę na Spetsai i zaprosił tam Rose. — Antony przyjął wiadomość z kamiennym milczeniem. — Miała zarezerwowany bilet. Poleciała dziś rano — dokończyła Flora.

— Rozumiem — przytaknął po chwili. Flora odłożyła telegram.

— Ale ja nie rozumiem, co twoja babcia ma wspólnego z Rose?

— Rose i ja jesteśmy zaręczeni i mieliśmy się pobrać. Tydzień temu odesłała mi pierścionek i poinformowała o zerwaniu. Rzecz w tym, że Tuppy nic nie wie. Myśli, że wszystko jest na najlepszej drodze.

— A ty nie chcesz, żeby się dowiedziała?

— Nie chcę. Mam trzydzieści lat i czas najwyższy, żeby się ustatkować. Tuppy pragnie zobaczyć nas oboje i porozmawiać o przyszłości.

— Czego oczekiwałaś od Rose?

— Tylko tego, że pojedzie tam ze mną. Że odegra rolę mojej narzeczonej. Że Tuppy będzie szczęśliwa.

— Krótko mówiąc, mistyfikacja.

— Tylko przez ten weekend — przytaknął zamyślony Antony. — Tuppy jest ciężko chora. Ma siedemdziesiąt siedem lat. Może to już jej koniec.

Ostatnie, wymówione z determinacją słowo zawisło ciężko w powietrzu. Flora nie była w stanie przerwać milczenia. Niezgrabnie przysunęła krzesło i usiadła przy kuchennym stole, opierając łokcie o wypolerowany blat. Teraz trzeba było skupić się na konkretach.

— Gdzie to jest? — spytała energicznie.

— W zachodniej Szkocji. W Arisaig.

— Nic mi to nie mówi. Nigdy nie byłam w Szkocji.

— Hrabstwo Argyll.

— Twoi rodzice tam mieszkają?

— Nie mam rodziców. Ojciec zaginął na morzu podczas wojny, a matka zmarła wkrótce po porodzie. Wychowała mnie Tuppy. W swoim własnym domu... Wioska nazywa się Fernrigg — dodał po chwili.

— Czy Rose zna Tuppy?

— Tak, ale niezbyt dobrze. Pięć lat temu Rose i jej matka wynajęły Beach House, letniskowy domek w Fernrigg, i spędziły tam dwa tygodnie. Potem wyjechały i słuch o nich zaginął, aż do ubiegłego roku, gdy przypadkiem spotkałem Rose w Londynie. Tuppy nie widziała jej od tamtych wakacji.

Fernrigg, hrabstwo Argyll, Szkocja. Rose ani słowem nie wspomniała o Szkocji. Nawijała coś o Kitzbiihel, St Tropez, o Wielkim Kanionie, ale nic o Szkocji. Wszystko to było bardzo dziwne. Jedno nie ulegało wątpliwości. Rose postanowiła czmychnąć w obliczu kryzysu.

— Wspomniałeś, że przyleciałeś z Edynburga?

— Pracuję tam.

— Wrócisz tam teraz?

— Jeszcze nie wiem.

— A co chcesz zrobić?

Antony wzruszył ramionami i odstawił pustą filiżankę.

— Bóg raczy wiedzieć. Pewnie wyruszę sam do Fernrigg. Chyba że...

— Spojrzał na Florę i dokończył, jakby składając najoczywistszą pod słowem propozycję: — Chyba że ty pojedziesz tam ze mną.

- Ja?

— Tak, ty.

— A co miałabym tam robić?

— Udawać, że jesteś Rose.

Tym, co naprawdę uraziło Florę, był chłodny ton aroganckiej propozycji: złożonej spokojnie, oficjalnie, bez śladu wyrzutów sumienia. Już sam

pomysł podstawienia fałszywej Rose w roli narzeczonej był szokujący. Do tego w taki sposób!

Stwierdziła, że irytacja nie pozwala jej znaleźć odpowiednich słów.

— Stokrotne dzięki — zdołała wydusić z siebie bardzo słabym głosem.

— Czemu nie? — spytał Antony.

— Czemu nie? Bo byłoby to podłe, nikczemne kłamstwo. Do tego okłamałabym osobę, którą, jeśli dobrze zrozumiałam, darzysz wielką sympatią.

— I właśnie dlatego jestem gotów ją oszukać.

— Co do mnie, nie zamierzam nikogo oszukiwać, więc lepiej zacznij rozmyślać nad innym rozwiązaniem. Na początek weź swoją walizkę, płaszcz i daj mi święty spokój.

— Polubiłabyś Tuppy.

— Nie polubiłabym nikogo, przed kim grałabym komedię. Nie lubi się ludzi, wobec których czujemy się winni.

— Ona też by cię polubiła.

— Nic z tego.

— A gdybym cię poprosił?

— Żadna różnica.

— Tylko przez ten weekend. Ani dzień dłużej. Jeden jedyny weekend. Przecież obiecałem. Nigdy nie złamałem obietnicy złożonej Tuppy.

Flora poczuła, że jej oburzenie słabnie i było to niepokojące. Jak dotąd obrażona poza była najlepszą obroną przeciw temu rozbijającym szczeremu młodemu człowiekowi. Wzruszenie się jego wyznaniem nic by nie dało. Współczucie jeszcze mniej.

— Nie zrobię tego — powiedziała. — Przykro mi, ale nie mogę.

— Na pewno możesz. Przecież sama mówiłaś, że nie masz pracy ani mieszkania, jeśli nie liczyć tego. Twój ojciec mieszka w Kornwalii, więc raczej nie będzie się o ciebie martwił... — Na chwilę zawiesił głos i dodał: — Chyba że chodzi o kogoś innego.

— Masz na myśli kogoś, kto szaleje za mną i telefonuje co pięć minut? Nie ma takiego kogoś.

Antony nic nie odpowiedział, ale Flora spostrzegła w jego oczach coś na kształt rozbawienia.

— Co w tym śmiesznego? — spytała.

— To nie jest śmieszne, a jeśli już, to raczej absurdalne. Zawsze uważałem Rose za najpiękniejszą z żeńskich istot naszego gatunku, a ty jesteś

jej bliźniaczą siostrą. Mówię to bez żadnych ukrytych intencji, wierz mi, Floro. Po prostu ocena konesera. Dziwię się tym waszym flegmatycznym Anglikom. Wzrok im odebrało czy co? — dokończył ze śmiechem i dopiero teraz Flora ujrzała go w nowym świetle. Dotąd wydawał się jej dość pospolitym młodzieńcem, może nawet typem sympatycznego brzydala. Uśmiech sprawił, że w jednej chwili doceniła jego urodę. Zaczynała rozumieć wrażenie, jakie wywarł na Rose. Co więcej, zaczęło ją dziwić, że tamta puściła go kantem.

Uśmiechnęła się również, niechętnie i wbrew sobie.

— Jak na mężczyznę porzuconego przez ukochaną, nie wyglądasz zbyt tragicznie.

— Być może — przyznał, przybierając poważny wyraz twarzy. — Ostatecznie w głębi duszy jestem trzeźwym szkockim biznesmenem i wiem, że z przeznaczeniem nikt nie wygra. Tak czy owak, mężczyzna, który nigdy nie zbłądził, niczego nie osiągnie. Zresztą dobrze nam było razem.

— Szkoda tylko, że tak nagle cię opuściła. Przecież wiedziała, jak bardzo jej potrzebujesz.

— Ciebie też potrzebuję — odparł Antony, skrzyżowawszy ramiona.

— Nie mogę tego zrobić.

— Wspomniałaś, że nigdy nie byłaś w Szkocji. Pomyśl tylko: zjawiam się znikąd, funduję ci darmową wycieczkę, a ty odmawiasz. Druga taka okazja może się nie powtórzyć.

— Też tak sędzę.

— Spodobałoby ci się Fernrigg. Tuppy też. Zresztą Fernrigg i Tuppy zrosły się tak nierozzerwalnie, że trudno oddzielić jedno od drugiego.

— Czy ona mieszka sama?

— Tuppy? Chyba żartujesz! Mieszka tam cała nasza rodzina. Ciocia Isobel, pan Watty zajmujący się ogrodnictwem i jego żona odpowiedzialna za kuchnię. Jest jeszcze mój starszy brat, Torquil, i jego żona, Teresa. No i ich dzieciak, a mój bratanek, Jason. Cały klan Armstrongów.

— Twój brat też mieszka w Fernrigg?

— Nie. Teraz jest z Teresą nad Zatoką Perską. Jest nafciarzem. Jaso-na zostawili pod opieką Tuppy i dlatego malec przebywa w Fernrigg. Dla chłopców w jego wieku to istny raj. Dom na odludziu, gdzie nie spojrzeć morze i piaski, a do tego maleńka przystań, gdzie z Torquilem melinowaliśmy naszą łódkę. W głębi łądu strumienie, w których aż roi się od pstrągów, jeziora pokryte wodnymi liliami. We wrześniu zakwitną wrzosa i ja-

rzębiny będą czerwone, zupełnie jak korale. Koniecznie powinnaś to zobaczyć.

Wszystko to wyglądało na szyte zbyt grubymi nićmi. Flora, wciąż oparta łokciami o blat stołu, spojrzała głęboko w oczy Antony'ego.

— Czytałam kiedyś powieść o człowieku nazwiskiem Brat Farrar — powie-  
działa. — Udawał kogoś innego. Powiedzmy, że podszywał się pod inną oso-  
bę. Miesiącami uczył się wszystkiego o kimś, kim miał być. Na samą myśl o  
tym cierpła mi skóra.

— Ale przecież ty — Antony podniósł się z taboretu i usiadł naprzeciw Flo-  
ry tak, że przypominali teraz parę spiskowców — nie będziesz musiała niczego  
się uczyć. Nikt tam nie zna dobrze Rose. Ostatni raz widzieli ją przed pięciu  
laty. Nikt nie wie, co się z nią dzieje, z wyjątkiem tego, że zaręczyliśmy się.  
Tylko to ich interesuje.

— A cóż ja właściwie wiem o tobie?

— Jestem trzydziestoletnim kawalerem wyznania prezbiteriańskiego.  
Kształciłem się w Fettes, zawodową praktykę odbyłem w Londynie, wróciłem  
do Edynburga, żeby zatrudnić się w firmie, w której aktualnie pracuję. Nigdy  
nie zmieniałem pracodawcy. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Chcę wiedzieć, czy naprawdę sądzisz, że zgodzę się na taką nik-  
czemność.

— Nikczemność? Ja nazwałbym to życzliwością.

— Nazwij to, jak chcesz. Nigdzie się nie wybieram.

— A gdybym cię poprosił? Gdybym raz jeszcze poprosił, żebyś przy-  
najmniej to rozważyła? Pamiętaj, że nie proszę o to dla siebie, lecz dla Tuppy.  
Dla Isobel też. Po to, żeby nie złamać przyrzeczenia. Zrozum mnie, Floro.

Strasznie chciała być twarda; byle tylko nie wzruszyć się i nie ulec sen-  
timentom. Potrzebowała siły utwierdzającej ją we własnych zasadach. Racja  
była po jej stronie. Co do tego nie miała wątpliwości.

— A jeśli się zgodzę, kiedy wyruszymy? — spytała ostrożnie.

Oblicze Antony'ego przybrało wyraz z trudem skrywanego podniece-  
nia.

— Dziś wieczór. Właściwie zaraz. Samolot odlataje po siódmej. Zdamy  
na niego, jeśli się uwiniemy. Mój samochód czeka przed dworcem lotniczym w  
Edynburgu. Pojedziemy prosto do Fernrigg. Będziemy tam wczesnym ran-  
kiem.

— A kiedy mam wrócić?

— Muszę być w pracy w poniedziałek rano. Ty wsiądziesz w pierwszy samolot do Londynu.

Wiedziała instynktownie, że może mu ufać. Antony nie należał do mężczyzn rzucających słowa na wiatr.

— Nie myśl tylko, że będę Rose — powiedziała. — Potrafię być tylko sobą.

— Tylko tego od ciebie oczekuję.

Chciała mu pomóc. Polubiła go, ale wszystko to łączyło się też w niejasny sposób z Rose. „Azaliż jestem stróżem brata mego?” — przypomniało się Florze.

— Rose zachowała się paskudnie — zawyrokowała. — Jak mogła zostawić cię z całym tym kramem na głowie?

— To wszystko równie moja, jak i jej wina. Rose nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań. Zresztą ty także.

Flora wiedziała, że ostateczna decyzja należy do niej. Mimo wszystko trudno było nie być pod wrażeniem determinacji, z jaką Antony Armstrong postanowił wywiązać się ze złożonej obietnicy. Tłumaczyła sobie, że może niegodziwy uczynek dokonany w zbożnym celu jest równie zbożny, a przynajmniej nie tak zupełnie niegodziwy.

Kłamstwo to jednak niebezpieczna sprawa. Lepsza część natury Flory, kształtowana pracowicie latami przez jej ojca, wzdragała się gwałtownie na myśl o tej wariackiej intrydze. Cokolwiek by powiedzieć, Stary miał w tym też trochę udziału. W końcu to on odpowiadał za moralny dylemat, którego teraz nie była w stanie rozwikłać. Choćby dlatego, że nigdy nie wspomniał jej o istnieniu Rose.

A jakby tego było mało, dochodziły i inne nieoczekiwane motywacje. Miały coś wspólnego z Rose. Wynikały częściowo z ciekawości, a częściowo, przyznawała ze wstydem Flora, z zazdrości. Przecież Rose miała wszystko. Kusząca, złożona przez młodego mężczyznę propozycja stania się Rose choćby przez kilka dni zakiełkowała zbyt mocno, by odrzucić ją w nagłym impulsive.

Antony czekał. Raz jeszcze spojrzęła mu w oczy i stwierdziła z zawstyżeniem, że wszelkie słowa są tu zbędne. Przejrzał jej upadek. Jego twarz rozjaśnił nagły uśmiech, po czym wypowiedział słowa obracające wniwecz ostatni bastion oporu:

— A więc jedziesz! — Zabrzmiało to jak triumfalny okrzyk.

— Chyba mam źle w głowie.

—Przeciwnie. Masz dobrze w głowie. Wspaniała z ciebie dziewczyna.

Coś sobie przypomniał. Wyjął z kieszeni marynarki pudełko, a z niego pierścionek z brylantem i szafirem. Ujął lewą dłoń Flory i włożył go na jej palec. Spuściła wzrok, dostrzegła blask kamieni i pomyślała, że całkiem ładnie to wygląda. Antony zamknął jej dłoń między swoimi i trzymał tak przez chwilę.

—Dziękuję — powiedział.

RS



## ROZDZIAŁ 5

### ANNA

Siedmioletni Jason Armstrong przysiadł na wielkim, podwójnym łożu swojej prababci i słuchał, jak ta czyta mu *Bajkę o dwóch złych myszkach*. Właściwie wyrósł już z wieku *Dwóch złych myszek* i wiedział o tym równie dobrze jak Tuppy, ale teraz choroba i niemoc prababci wzbudziła w Jasonie nostalgię za urokami dzieciństwa. Właśnie dlatego, gdy Tuppy posłała go po lekturę do poduszki, wybrał *Dwie złe myszki*, a starsza pani włożyła taktownie i bez słowa komentarza okulary, otworzyła książkę na pierwszej stronie i zaczęła czytać na głos.

— Dawno, dawno temu był sobie piękny domek dla lalek...

Jason wiedział, że Tuppy jest niezrównaną lektorką. Czytała mu co wieczór po kąpieli i kolacji, przeważnie przy kominku w salonie. Skończyło się to niedawno, gdy choroba uniemożliwiła jej czytanie.

— Przestałbyś wreszcie męczyć prababcię — powiedziała wtedy Jasonowi pani Watty.

— Ja ci poczytam — obiecała ciocia Isobel i dotrzymała słowa, ale jej czytanie nie umywało się do Tuppy. Ciocia Isobel miała inny głos. Do tego nie pachniała, jak Tuppy, lawendą.

Pani Watty zawsze wspominała, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, i Jason przyznał, że przysiadanie na łożu prababci ma też swoje zalety. Łoże to nie przypominało żadnego innego. Było miedziane, ozdobione gałkami. Ogromne poduszki zdobiły haftowane na po wieczkach białe monogramy, a mreżkowa pościel fascynowała starością oraz labiryntem ściegów i cerowań.

Nawet meble w pokoju Tuppy miały w sobie coś tajemniczego i baśniowego, może za sprawą cyzelowanego mahoni i pokrywających niektóre z nich spłowiałych, zapinanych na guziczki jedwabnych pokrowców. Na toaletce piętrzyły się srebrne puzderka oraz liczne cuda, w rodzaju haczyków do zapinania gorsetów i siatek na włosy, które według słów Tuppy

służyły niegdyś wytwornym damom, a dziś nie służą już niczemu i niko-nru.

Dodatkową atrakcją były dwa czerwone homary, szynka, ryba, pudding oraz kilka gruszek i pomarańczy.

Zasłony były zaciągnięte, ale porywisty wiatr przenikał do wnętrza przez nieszczelne, podnoszone okna. Zasłony wydymały się, jakby ktoś się za nimi ukrywał. Jason przysunął się do Tuppy i był rad, że ona jest tu, przy nim. Ostatnimi czasy wołał nie oddalać się od niej, na wypadek gdyby coś nieokreślonego wydarzyło się pod jego nieobecność i nie zastał jej po powrocie do domu.

Oczywiście była pielęgniarka; prawdziwa szpitalna pielęgniarka, która pojawiła się w Fernrigg, aby zajmować się Tuppy, dopóki babcia nie poczuje się lepiej. Nazywała się McLeod, przyjechała do Tarbole pociągiem aż z Fort William, a Watty wyjechał po nią na stację samochodem. Pielęgniarka i pani Watty przypadły sobie do gustu i odtąd wymieniały półszep-tem jakieś ważne informacje, podczas nie kończących się kuchennych narad przy herbacie. Pani McLeod była chuda i sztywna. Cierpiała na żylaki i może właśnie dlatego zaprzyjaźniła się z panią Watty. Porównywały, która ma większe.

— Pewnego ranka Lucynda i Jane wybrały się na przejażdżkę wózkiem dla lalek — czytała Tuppy.

Na parterze, w mrocznym holu, zadzwonił telefon. Tuppy przerwała lekturę i uniosła głowę, zdejmując okulary.

— I co dalej? — spytał po chwili Jason.

— Chyba dzwonił telefon.

— Ciocia Isobel odbierze. Niech babcia czyta.

Tuppy kontynuowała, ale Jason przysiągłby, że niezbyt interesują ją dalsze losy Lucyndy i Jane. Nagle telefon przestał dzwonić, a Tuppy znów odłożyła książkę. Jason dał za wygraną.

— Ciekawe, kto to? — spytał.

— Nie mam pojęcia. Nie wątpię, że Isobel lada moment nas o tym poinformuje.

Stara kobieta i mały chłopiec siedzieli jedno przy drugim w niemym oczekiwaniu. Z holu dochodził głos Isobel, ale nie byli w stanie zrozumieć słów. Wreszcie krótki dzwonek obwieścił, że Isobel odłożyła słuchawkę, a zaraz potem na schodach rozległy się jej kroki. Zmierzała w kierunku pokoju Tuppy.

Drzwi uchylły się i Jason ujrzał w szparze promieniejącą radością i podnieceniem twarz ciotki. Gładkie, siwiejące włosy tworzyły nieco niechlujną aureolę wokół jej uśmiechniętego oblicza. W takich chwilach wyglądała bardzo młodo i w niczym nie przypominała cioci-babci.

— Chcecie usłyszeć najświeższe wiadomości? — spytała, zamykając za sobą drzwi. Sukey, zagrzebana po uszy w puchowej kołdrze, uniosła łebek i warknęła ostrzegawczo, ale Isobel wcale się tym nie przejęła. Oparła się o miedzianą poręcz łoża Tuppy i oznajmiła: — Antony dzwonił z Londynu. Przyjeżdża na weekend i przywozi ze sobą Rose.

— A więc jednak! — Tuppy kochała Antony'ego jak nikogo na świecie, ale teraz jej okrzyk zabrzmiał, jakby miała wybuchnąć płaczem. Jason spojrział na nią niespokojnie i z ulgą nie dostrzegł łez.

— Tak, już wkrótce tu będą. Wpadną na dwa dni. W poniedziałek muszą wracać. Złapią wieczorny samolot do Edynburga, a stamtąd przyjadą samochodem. Będą tu wczesnym rankiem.

— To cudownie! — Na pomarszczonych policzkach Tuppy wykwitły barwne rumieńce. — A więc wkrótce tu będą. Co ty na to, Jason? — spytała, uśmiechając się porozumiewawczo.

Jason wiedział wszystko o Rose. Wiedział, że pewnego dnia Antony ją poślubi.

— Nigdy jej nie widziałem — odparł szczerze.

— Oczywiście, że jej nie widziałeś. Nie było cię tutaj, gdy Rose i jej mama zatrzymały się na lato w Beach House.

Jason wiedział też wiele o Beach House. Niegdyś była to rybacka zagroda uczepiona nad plażą na północ od Fernrigg. Tuppy przerobiła ją na niewielki domek, w sam raz na potrzeby letników. Teraz, gdy lato dobiegło końca, Beach House stał pusty i zamknięty na głucho. Jason myślał czasami, że fajnie by się tam mieszkało. Cóż za frajda wyjść krok za drzwi i już być na plaży.

— Jaka ona jest? — spytał.

— Rose? Jakby to powiedzieć... bardzo ładna. Niewiele więcej pamiętam. Gdzie ją położymy? — spytała Tuppy.

— Chyba w jednoosobowym pokoju — odparła Isobel. — Ciepłej tam niż w tym dwuosobowym, a łóżko już czeka. Przygotuję też trochę kwiatów.

— A jak tam z pokojem Antony'ego?

— Posprzątam z panią Watty jeszcze dziś wieczór.

Tuppy odłożyła bajkę.

— Musimy zaprosić kilka osób...

— Ależ mamó! — Głos Isobel zdradzał obiekcje, ale Tuppy wcale się tym nie przejęła. Może to jej radość sprawiła, że Isobel nie miała serca, by trwać w uporze.

— Skromna proszona kolacja. Tylko kiedy? W niedzielny wieczór? Nie, to bez sensu, przecież Antony musi wracać w poniedziałek rano do Edynburga. A więc jutro wieczór. Uprzedź panią Watty, dobrze, Isobel? Może zorganizuje jakiegoś gołąbka, a jeszcze lepiej kuropatwę. Ciekawe, czy pan Reekie nie załatwiłby kilku homarów?

— Zapytam go — obiecała Isobel — ale pod warunkiem, że mama nie zabierze się sama za przygotowania.

— Oczywiście, że nie. Chyba żartujesz. Nie zapomnij tylko zatelefonować do państwa Crowtherów i do Anny i Briana Stoddartów z Ardmore; pamiętaj Rose z jej letniego pobytu, a zresztą Annie przyda się trochę rozrywki. Nie sądzisz, Isobel, że organizujemy to trochę późno? Musisz im wszystko wytłumaczyć, bo gotowi sobie źle o nas pomyśleć...

— Zrozumieją. Na pewno nie będą urażeni.

Pan Crowther był prezbiteriańskim duchownym w Tarbole, a jego małżonka uczyła małego Jasona w szkółce niedzielnej. Jason pomyślał, że ich obecność nie zapowiada szczególnych atrakcji.

— Czy i ja mam tam być? — spytał.

— Jeśli tylko zechcesz — roześmiała się Tuppy.

— Niech lepiej babcia dokończy tę bajkę — westchnął z rezygnacją Jason.

Tuppy czytała dalej, zleciwszy Isobel telefony i rozmowę z panią Watty. Gdy dotarła do ostatniej strony z ilustracją, na której Hunka Munka wymachuje patelnią i miotłą, weszła siostra McLeod. Zaszleściła nakrochmalonym fartuchem, a jej krzepkie, czerwone dłonie usunęły Jasona z babcinego łóżka dobrodusznie, lecz tak stanowczo, że nie zdążył nawet ucałować Tuppy na dobranoc.

— Chyba nie chcesz, żeby twoja prababcia zmęczyła się przez ciebie?

— spytała. — Ciekawe, co by powiedział doktor Kyle, gdyby przyszedł jutro rano i zastał naszą chorą u kresu sił? Nie wyobrażam sobie tego nawet!

Jason, któremu zdarzyło się kilka razy podsłuchać zdenerwowanego Kyle'a, mógł sobie to całkiem nieźle wyobrazić, ale wolał zachować tę wiedzę dla siebie.

Opuścił powoli pokój — bez niechęci do pani McLeod, która przecież wszystko to robiła dla dobra Tuppy — żałując tylko, że pielęgniarki za-

wsze się tak śpieszy. Ruszył do łazienki, by umyć zęby. W połowie drogi przypomniał sobie, że jutro sobota, więc nie trzeba iść do szkoły. Do tego przyjeżdża Antony. Może zmajstruje Jasonowi łuk i strzały. Wskoczył do łóżka w zdecydowanie lepszym nastroju.

Ody w Ardmore House zabrzączał telefon, Anna Stoddart była właśnie w ogrodzie. O tej porze, pomiędzy zmierzchem a zmrokiem, ogród był dla niej czymś magicznym — zwłaszcza teraz, gdy dni robiły się coraz krótsze, a zmierzch gęstniał od nostalgii za błękitnozłocistymi wieczorami niedawnego lata.

Można było wejść do domu na filiżankę herbaty, zasunąć okienne kotary i usiąść przy kominku, zapominając o zapachach i szmerach ogrodu. Potem jednak szum wiatru, krzyk mew, fale przyływu sprawiały, że Anna pod byle pretekstem wkładała kurtkę i gumowce, chwytiała sekator, gwizdała na psy i znów wymykała się do ogrodu.

Widok z Ardmore na wybrzeże i wyspy był urzekający. Właśnie dlatego Archie Carstairs, ojciec Anny, wybrał to miejsce dla swojej pretensjonalnej, granitowej rezydencji. Dla kogoś, komu nie przeszkadzało, że najbliższy sklep znajdował się o milę drogi, w Ardmore Village, gdzie oprócz poczty i jachtklubu niewiele dało się wyszukać innych atrakcji, a na większe zakupy trzeba jechać sześć mil do Tarbole, było to wymarzone miejsce egzystencji.

Jednym z powodów, dla których Anna lubiła tę porę dnia, były światła. Pojawiały się tuż przed zapadnięciem ciemności, błyskając znad morza, wzdłuż wybrzeża, z wysokich górskich zboczy w głębi lądu. Sygnałowe światła łodzi rybackich, promieniujące ciepłem okna odległych farm i domostw. Ulice Tarbole odbijały się na nocnym niebie rdzawozłotą poświatą, a jeszcze dalej migotało Fernrigg, niczym długi, skierowany w morze palec, zakończony ukrytym wśród drzew Fernrigg House.

Ale tego wieczoru nic nie dało się zobaczyć. Matowe światełka ginęły we mgle, od morza niosło się buczenie ostrzegawczych syren, a samotne Ardmore wydawało się zapomnianym przez wszystkich domem na krańcu świata.

Anna poczuła chłód. Widok Fernrigg na przeciwnym brzegu cieśniny niósł jej zawsze pociechę. Fernrigg kojarzyło się z Tuppy Armstrong. Tuppy była dla Anny punktem odniesienia, żywym dowodem na to, że człowiek może żyć radośnie i użytecznie wśród rodziny i przyjaciół, nie błądząc, nie tracąc wiary w siebie w niczym nie zmaconym szczęściu. Annie zawsze wydawało się, że

całe długie i pod wieloma względami tragiczne życie Tuppy wyznaczała nieprzerwana linia prosta: bez zygzaków, błędów, porażek.

Gdy poznała Tuppy, była małą dziewczynką, jedynym dzieckiem podstarzałego ojca, bardziej zainteresowanego prosperującym interesem i żeglarskimi przygodami niż cichą i niepozorną latoroślą. Matka Anny zmarła wkrótce po jej przyjściu na świat, toteż dzieciństwo spędziła pod opieką licznych niań, izolowana od rówieśniczek własną nieśmiałością i bogactwem ojca.

Jednak Tuppy nigdy nie dała Annie odczuć jej przeciętności lub głupoty. Zawsze miała dla niej czas, czas, by porozmawiać, i czas, by ją wysłuchać. — Najwyższy czas zasadzić te cebulki — mawiała Tuppy. — Pomożesz mi w ogrodzie i pogadamy sobie przy pracy.

Na to wspomnienie Annie zebrało się na płacz. Próbowwała ukryć je w zakamarkach pamięci, nie mogąc znieść myśli o chorobie, a już zwłaszcza o śmierci Tuppy. Tuppy Armstrong i Hugh Kyle byli jej najbliższymi przyjaciółmi. Brian był jej mężem i kochał ją aż do bólu, ale nigdy nie był przyjacielem. Czasami zastanawiała się, czy inne małżeństwa przyjaźnią się ze sobą, ale nie poznała żadnej kobiety na tyle blisko, żeby ją o to zapytać.

W pośpiechu zrywała ostatnie bielejące w półmroku róże. Zamierzała zrobić to przed południem, ale zapomniała, i teraz musiała ubiec zbliżające się przymrozki. Palce miała zlodowaciałe i pokłute niewidocznymi o zmroku cierniami. Zapach róż był mdły, nieco trumienny. Trzeba było dużo dobrej woli, by przypomnieć sobie dni ich letniej chwały.

Zanim wasze pączki znów zamienią się w kwiaty, narodzi się nowy człowiek — pomyślała Anna.

To zestawienie róż i dzieci nie miało w sobie nic z poezji, było raczej zaklęciem, odpukiwaniem w nie malowane drewno. Anna odpędzała od siebie myśl o ewentualnej śmierci dziecka, o tym, że może w ogóle nie przyjść na świat. Zbyt długo czekała na tę ciążę. Po pięciu latach straciła wszelką nadzieję. Ale wreszcie nasienie zakiełkowało i rosło w niej każdego dnia. Trzeba pomyśleć o przyszłości: wydziergać na drutach sweterek, znieść ze strychu łóżeczko, pogimnastykować się wieczorami dokładnie tak, jak radził jej Hugh.

W przyszłym tygodniu wybierze się do Glasgow, by kupić wyprawkę, a przy okazji wpadnie do fryzjera. Anna wiedziała z magazynów dla pań,

że „brzemienne jest piękne” i od niedawna czuła się nową osobą: romantyczną, kobiecą, kochaną i wielbioną.

Zaskoczyły ją te staroświeckie przymiotniki: „kochana” i „wielbiona”. Brzmiały, jakby przysypano je na długo naftaliną. Ale teraz, gdy dziecko miało wkrótce przyjść na świat, niosły pokrzepienie i nadzieję.

Brian zawsze chciał mieć dziecko. Każdy mężczyzna chce mieć syna. To, że wtedy poroniła, było tylko jej winą. Nerwy i skłonność do wpadania w depresję. Tym razem będzie inaczej. Jest starsza, bardziej opanowana i dojrzała. Dotrwa do końca.

Było już całkiem ciemno i dość zimno. Znowu zadrżała. Usłyszała dzwoniący w głębi domu telefon. Pomyślała, że pewnie odbierze go Brian, ale mimo to podreptała przez wilgotną trawę i mokry żwir ogrodowych ścieżek ku prowadzącym do drzwi śliskim stopniom.

Telefon wciąż dzwonił. Ani śladu Briana. Odłożyła ścięte róże i nie zdejmując z nóg gumowców, przeszła przez hol w stronę kącika pod schodami, gdzie przed laty jej ojciec postanowił ulokować ów uciążliwy, brzęczący wynalazek. Oczywiście w Ardmore znajdowały się też inne aparaty: w salonie, w kuchni, w małżeńskiej sypialni Anny i Briana, ale ten trwał niezmiennie w niszy pod schodami.

— Ardmore — powiedziała, podnosząc słuchawkę.

— Anna? To ja, Isobel Armstrong.

Anna poczuła skurcz serca. — Czy coś z Tuppy?

— Wszystko w porządku. Czuje się lepiej i wrócił jej apetyt. Hugh załatwił nam pielęgniarkę. Panią McLeod z Fort William. Zadomowiła się u nas. Chyba przypadła do gustu Tuppy.

— Kamień spadł mi z serca.

— Anno, czy nie wpadlibyście do nas jutro na skromną kolację? Przepraszam, że tak w ostatniej chwili, ale Antony przyjeżdża na weekend z Rose, a Tuppy od razu pomyślała o gościach...

— Jasne, że wpadniemy. Ale czy przypadkiem nie sprawimy kłopotu?

— Tuppy nie ruszy się z łóżka. Wszystko na mojej głowie. Wiesz, jaka jest Tuppy. Bardzo zależy jej, żebyście wpadli.

— Z przyjemnością. Tylko o której?

— Po siódmej. I nie ubierajcie się jak na bal. Takie rodzinne spotkanie. My, wy... może wpadną Crowthersowie...

— Wspaniale.

Poplotkowały jeszcze chwilę i odłożyły słuchawki. Isobel nie wspomniała słowem o dziecku, bo niby skąd miała o nim wiedzieć. Tajemnicę znali

tylko Brian i Hugh. Anna nie chciała dzielić się nią z nikim innym. Byłe nie zapeszyć.

Wyszła z kryjówki i zabrała się za zdejmowanie gumowców i kapoty. Pamiętała Rose Schuster i jej matkę. Pamiętała ich letni pobyt w Beach House, bo przecież tego lata poroniła. Pamela i Rose były częścią dramatu, ale wina nie spadła na nie, lecz na Annę.

Panią Schuster zapamiętała jako przerażająco światową kobietę, a jej córkę jako odrażająco młodą dziewczynę. Anna miała ochotę skryć się przy nich w ciemny kąt. Może dlatego nie miała jej wiele do powiedzenia. Poznały się, wymieniły kilka zdań i pewnie o niej zapomniały.

Za to Brian przypadł im do gustu. Stał na wysokości zadania, czarując, bawiąc, wyteżając cały swój intelekt. Anna, dumna z tak światowego męża, kibicowała z oddali. Teraz była ciekawa, czy Rose zmieniła się i czy zaręczyny z kimś tak atrakcyjnym jak Antony trochę ją wypolerowały.

Zamarła w bezruchu, zastanawiając się, gdzie może być Brian. W domu panowała niczym nie zmacona cisza. Podreptała przez hol, otworzyła drzwi salonu i oślepią lampami i blaskiem kominka, ujrzała Briana rozwalonego w fotelu, zagłębionego w lekturze *Scotsmana*. Szklanka whisky stała w zasięgu ręki.

Brian opuścił gazetę i spojrzał na Annę. Telefon stał tuż przy nim.

— Nie słyszałeś? — spytała.

— Słyszałem. Myślałem, że to ktoś do ciebie.

Nie skomentowała wyjaśnienia. Przykucnęła przy kominku, grzejąc zziębnięte palce.

— Dzwoniła Isobel Armstrong.

— Co tam z Tuppy?

— Wszystko w porządku. Wynajęli pielęgniarkę. Chcą, żebyśmy wpadli do Fernrigg jutro wieczór na kolację. Powiedziałam, że wpadniemy.

— Nie ma sprawy.

Znów pogрузił się w lekturze, ale Anna próbowała za wszelką cenę podtrzymać rozmowę.

— Antony przyjeżdża na weekend.

— I stąd uroczystość?

— Przywozi Rose.

Zapadło milczenie. Brian jakby zapomniał o gazecie, po czym złożył ją starannie i ułożył na kolanach.

— Rose? — spytał.

— Rose Schuster. Pamiętasz ją. Właśnie się zaręczyli.



— Słyszałem, że jest w Stanach.

— Widać nie jest.

— Mówisz, że przyjeżdża do Fernrigg?

— Dowiedziałam się od Isobel.

— Świat się kończy — mruknął Brian. Odłożył gazetę na stojak przy kominku i sięgnął po whisky, po czym podniósł się z fotela i ruszył do barku, by uzupełnić szklankę.

— Zrywałam róże w ogrodzie — wyjaśniła Anna. Syk dolewanej z syfonu wody wpadł jej w słowo. — Pada... Idzie mgła.

— Czuję to od rana.

— Bałam się, że może złapać mróz...

Brian, nie odstawiając szklanki, podszedł do kominka i przez chwilę wpatrywał się w ogień.

Anna skuliła się. Lustro nad kominkiem odbijało ich z lekka tylko zniekształcone wizerunki: smukłego, czarnowłosego mężczyzny z ostrymi, jakby nakreślonymi tuszem rysami i sięgającej mu zaledwie do ramion, niepokąźnej pospolitej kobiety. Kobiety o zbyt blisko osadzonych oczach, o zbyt dużym nosie, o włosach ni to jasnych, ni to ciemnych, za to nastroszonych przez wilgoć i mgłę.

Anna utożsamiła się tak dalece z obrazem romantycznej, oczekującej potomka matki, że wizerunek w lustrze był dla niej szokiem. Kim jest ta osoba gapiąca się na mnie zza matowej szyby? Jakim prawem stoi obok tak przystojnego męża?

Nie było innej odpowiedzi: tą osobą była Anna. Ta sama Anna, z domu Carstairs, po mężu Stoddart. Anna, której nic nigdy nie zmieni.

Jrośpiech Antony'ego, okoliczności spotkania, nagła decyzja, wszystko to pozwalało Florze sądzić, że po przylocie do Edynburga ruszą samochodem lub nawet pieszo prosto do Fernrigg.

Teraz, gdy byli już prawie na miejscu, Antony ukazał swoje zupełnie nowe oblicze. Oblicze mężczyzny, który po powrocie do domu zdejmując marynarkę, wkłada kapcie, rozluźnia się i wcale mu niepilno do żadnego Fernrigg.

— Najwyższy czas coś przekąsić — oznajmił, gdy odnalazł swój zaparkowany przed lotniskiem samochód i umieściwszy w bagażniku dobytek Flory, usiadł za kierownicą.

— Przekąsić? — spytała z zaskoczeniem.

— Nie jesteś głodna? Ja konam z głodu.

— Przecież poczęstowano nas w samolocie.

— Poczęstowano? Chyba nie mówisz o tym plastikowym gniocie z mrożoną pietruszką?

— Mówiłeś, że chcesz być jak najszybciej w domu.

— Dojechalibyśmy tam o czwartej rano. Chcesz pocałować klamkę, czekać trzy godziny pod gołym niebem czy zbudzić wszystkich i postawić cały dom na nogi? Najpierw zaliczymy Edynburg — powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce.

— O tej porze? — zachnęła się Flora. — Przecież już wszystko zamknięte.

— Coś znajdziemy.

Pojechali do centrum i Antony wprowadził Florę do małego klubu, którego był członkiem, gdzie zjedli wyborną kolację i napili się kawy. Było to miłe, relaksujące i nie zobowiązywało do niczego. Gdy opuścili klub, dochodziła północ. Ustał poranny wiatr i ulice Edynburga lśniły stateczną, mżystą czernią.

— Ile zajmie nam podróż? — spytała Flora, gdy usiedli w aucie, zapięli pasy i byli gotowi do długiej drogi.

— Przy tej pogodzie około siedmiu godzin. Masz okazję, żeby wreszcie się wyspać.

— Nie umiem spać w samochodzie.

— Czas najwyższy, by się nauczyć.

Flora nie skorzystała z propozycji. Była zbyt podniecona, zbyt niespokojna, a do tego zmarzły jej stopy. Świadomość, że spaliła za sobą wszystkie mosty, że jest zdana sama na siebie i że nikt jej nie pomoże, wcale nie była krzepiąca. Gdyby przynajmniej noc była księżycowa, mogłaby skupić się na krajobrazach za szybą lub na wertowaniu mapy drogowej. Niestety, lało jak z cebra, a jedynym widokiem był śliski asfalt umykający na boki przed reflektorami samochodu usiłującego ze świstem opon pokonać kolejne łuki i zakręty.

A jednak, miła za miłą, pomimo nocnej pluchy czuło się zmianę scenerii. Rósł mrok, pustka, coraz mniejsze miasteczka migały coraz rzadziej światełkami domostw. Minęli połyskujące jezioro, a zaraz potem szosa zaczęła wic się i wspinać na strome zbocze.

Przez uchyloną szybę Flora poczuła zapach wrzosów i torfowisk. Antony, klnąc pod nosem, hamował kilkakrotnie, żeby nie wyrzucić krzywdy zabłąkanym owcom, ustępującym statecznie miejsca samochodowi.

Flora czuła bliskość gór: nie sielskich wzgórz, które znała z Kornwalii, ale prawdziwych gór. Stromych, piętrzących się w niebo, pociętych żlebami i kotlinami, przez które wiodła ich droga. Przepastne pobocza porastały wilgotne od deszczu paprocie, a mruczeniu silnika towarzyszył nieustannie szmer wody, być może spadającej kaskadami z niewidocznych, odległych górskich urwisk ku pieniającym się gdzieś w dole potokom.

Wilgotny, szary świt nadszedł tak naturalnie, że Flora nawet go nie spostrzegła. Mrok przybladł i nie wiadomo kiedy pojawiły się białe kontury zagród na wzgórzach, zaś zbitym w stada, zmokniętym owcom nie groziły już samochodowe koła.

Na szosie ruch był podczas nocy niewielki, ale teraz wymijały ich jadące z naprzeciwka ciężarówki, opryskujące błotnistą wodą przednią szybę samochodu Antony'ego.

— Skąd ich tu tyle? — spytała Flora.

— Jadą stamtąd, dokąd my zmierzamy — odparł Antony.

— Z Fernrigg?

— Nie, z Tarbole. Kiedyś była to mała rybacka wioska, a teraz istne zagłębie śledziowe.

— Gdzie wiozą te ryby?

— Do Edynburga, do Aberdeen, do Fraserburgh. Wszędzie, gdzie mogą je opchnąć. Homary trafiają do Prestwick, a stamtąd prosto do Nowego Jorku. Langusty jadą do Londynu, a solone śledzie do Skandynawii.

— Czyżby nie mieli tam swoich własnych?

— Wybrali wszystko z Morza Północnego. Właśnie dlatego Tarbole stanęło na nogi. Prosperujemy jak nigdy. Każdy rybak ma nowy wóz i kolorowy telewizor. Jason chodzi do szkoły z dziećmi miejscowych i śmieją się z niego, bo u nas, w Fernrigg, nie ma kolorowego telewizora. Musi nieborak mocno to przeżywać.

— Ile jest z Tarbole do Fernrigg?

— Około sześciu mil.

— Dojeżdża codziennie do szkoły?

— Zawozi go Watty, nasz ogrodnik. Jason wolałby zasuwać na rowerze, ale Tuppy się boi. I ma rację. Chłopak ma siedem lat, więc lęka się, że coś mogłoby się mu przytrafić.

— Od kiedy Jason mieszka z Tuppy?

— Będzie z rok. Nie wiem, jak długo jeszcze tu zostanie. Wszystko zależy od kontraktu Torąuila.

— Tęskni za rodzicami?

— Oczywiście. Ale Zatoka Perska nie jest dobrym miejscem dla dzieci w jego wieku. Zresztą Tuppy chciała, żeby tu został. Nie wyobraża sobie domu bez małego urwisa wywracającego wszystko do góry nogami. Fernrigg zawsze było domem urwisów. Może właśnie dlatego starość nie ima się Tuppy. Nie miała czasu, by się zestarzeć.

— A co na to Isobel?

— Isobel to święta osoba. Będzie koło ciebie skakała, gdy źle się poczujesz, czuwała, gdy zmoże cię choroba, wstanie w środku nocy, żeby podać ci szklanekę wody.

— Nigdy nie wyszła za mąż?

— Nigdy. Podejrzewam, że trochę przyczyniła się do tego wojna. Była młoda, gdy wojna wybuchła, a gdy się skończyła, Isobel marzyła tylko o powrocie do Fernrigg i o spokojnym życiu. Te strony nie obfitują w kawalerów do wzięcia. Kiedyś trafił się jej kandydat, farmer marzący jedynie o nabyciu ziemi na wyspie Eigg. Nieopatrznie zawiózł tam Isobel, a ona też gorzko tego żałowała. Podobno lało przez cały dzień. Chałupa, istna ruina, wygodka na samym końcu ogrodu. Isobel aż mdliło przez całą drogę powrotną, a potem uczucie zgasło śmiercią naturalną. Przyjeliśmy to z zachwytem. Nie podobał nam się ten typ. Miał błyszczącą, czerwoną gębę i głądził w kółko o powrocie do prymitywnego życia. Kawał nudziarza.

— Czy Tuppy lubiła go?

— Tuppy lubi wszystkich.

— Myślisz, że mnie też polubi?

Antony spojrział kątem oka i posłał Florze uśmiech, w którym było więcej zadumy niż wesołości.

— Myślę, że polubi Rose — powiedział.

Flora zrewanżowała się milczeniem.

-Dyło już widno. Deszcz przeszedł w wilgotną mgłę nasączoną zapachem morza. Szosa biegła w dół, wzdłuż skalnych uskoków z różowego granitu, porośniętych modrzewiami i świerkami. Mijali wioski budzące się do nowego dnia i jeziora, których mroczna toń marszczyła się od podmuchów zachodniego wiatru. Każdy kolejny zakręt demonstrował nowe, bajeczne krajobrazy, a gdy wreszcie dotarli nad morze, Flora uświadomiła to sobie dopiero na widok fal uderzających o oblepione glonami skały przy końcu jeszcze jednej zatoki.

Jechali wzdłuż wybrzeża przez kilka mil. Flora spostrzegła ruiny zamku, pasące się u ich podnóża owce i kępę srebrnych brzoź, których liście

przybierały właśnie barwę nowych, jaskrawych monet. Wszystko to było odległe i bardzo piękne.

— Romantycznie tu u was — powiedziała. — Wiem, że to wyświechtane słowo, ale nic lepszego nie przychodzi mi na myśl. Szalenie romantyczny kraj.

— W końcu to kraj Zaczynającego Karola\*. Kraina przeszłości i nostalgii. Ojczyzna tysięcy bohaterów przegranych spraw, wygnańców, uchodźców i mężnych, niezłomnych szkockich niewiast.

— Chciałbyś tu mieszkać? Pytam, czy chciałbyś tu mieszkać na stałe?

— Przecież muszę zarabiać na życie.

— A tu nie zarobiłbyś na życie?

— Na pewno nie jako biegły księgowy. Może jako rybak lub doktor, jak Hugh Kyle. To ten, który dogląda Tuppy i spędził tu z przerwami prawie całe życie.

— Szczęśliwy gość.

— Chyba nie — pokręcił głową Antony. — Nie sądzę, żeby był bardzo szczęśliwy.

Do Tarbole przybyli o wpół do ósmej. Zjechali ze stromego wzgórza do niewielkiego portu, zacisznego i pustego po odjeździe wielkich, wypełnionych rybami ciężarówek, a przed hałasem wracających z nocnego połowu kutrów.

Ponieważ godzina była wciąż wczesna, Antony skręcił do przystani i zaparkował przed drewnianą budą, sterczącą arogancko wśród cumowisk, pirsów, wyładunkowych dźwigów i wędzarni.

Gdy tylko wysiedli z samochodu, poczuli ziąb niosący zapach morza, ryb i nasmołowanych lin. Szyld nad drzwiami rudery nęcił „Daniami z ryb, napojami ciepłymi i przekąskami”, a zaparowane okna zapraszały do środka przyjaznym światłem.

Wspięli się po stopniach ze skrzynek na śledzie. Gorące wnętrze pachniało świeżym pieczywem i smażonym boczkiem, a bufetowa w kwiecistym dresie wyrosła zza lady, rozkwitając w uśmiechu na widok Antony'ego.

\* Bonnie Prince Charles; Karol Edward Stuart (1720-1788). Pretendent do tronu angielskiego, wnuk Jakuba III Stuarta i Klementyny Sobieskiej. Wzniecił powstanie w Szkocji, przeszedł do legendy jako bohater ludowych pieśni (np. *My Bonnie Is Over The Ocean*) i ballad. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

— Antony Armstrong! Jak pragnę skonać! A cóż cię tu przyniosło, stary łotrze?

— Cześć, Ino. Wpadłem do domu na weekend. Chyba nie poskapisz nam śniadania?

— A jakże bym mogła? Usiądźcie i czujcie się jak w domu. — Przyjrzała się Florze, nawet nie próbując ukryć ciekawości. — Ta młoda dama pewnie przyjechała z tobą? Mówią, że zamierzasz się ożenić.

— Zgadza się — odparł Antony, po czym ujął dłoń Flory i przedstawił ją Inie. — Poznaj Rose.

A więc zaczęło się. Pierwsze kłamstwo. Pierwszy płotek do pokonania.

— Miło mi poznać — powiedziała Flora i poczuła, że pierwszy płotek jest już za nią.

RS

## ROZDZIAŁ 6

### JASON

Tuppy obudziła się o piątej nad ranem, licząc, że Antony i Rose zjawią się koło szóstej.

Gdyby czuła się lepiej, wstałaby, ubrała się i zeszła na pogrążony we śnie parter, by wykonać pokrzepiające, codzienne czynności. Otworzyłaby wejściowe drzwi, wypuściła psy, weszłaby do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Potem wróciłaby na Pietro, żeby włączyć elektryczne kominki w dwóch przygotowanych dla gości sypialniach i sprawdziłaby, czy pościel jest należycie uprasowana i świeża, czy w szafach nie brakuje wieszaków i czy szuflady w komodach wyłożono czystym, białym papierem.

Potem znów na parter, bo psiska pewnie już się wybiegały i czas najwyższy poczęstować je biszkoptem i potarmosić na powitanie, a poza tym wypadaloby odsunąć zasłony, wpuścić trochę porannego światła, pogrzebać w palenisku kominka w holu i dołożyć kilka brykietów. Dom powinien być ciepły i gościnny.

Ale była stara, a do tego chora, musiała więc tkwić w pościeli, podczas gdy inni wykonają za nią te przyjemne czynności. Tuppy doskwierała nu da i frustracja. Korciło ją, aby wstać, ubrać się i machnąć ręką na wszystko, co powie Isobel, Hugh Kyle i siostra McLeod. Ale pokusę mitygowała obawa. Tylko tego brakowało, żeby Antony, przekroczywszy domowe progi, zastał w holu leżącą tam bez czucia krnąbrną, nie słuchającą dobrych rad babkę.

Tuppy westchnęła i pogodziła się z losem. Wyciągnęła biszkopt z podręcznej puszki i uraczyła się łykiem herbaty, którą McLeod pozostawiała zawsze na noc w termosie. Postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Cokolwiek by powiedzieć, choroba była paskudnie nudnym zajęciem. Tuppy dziękowała Bogu, że nigdy dotąd nie miała czasu na podobne głupstwa.

O siódmej dom zaczął ożywać. Usłyszała, że Isobel wychodzi ze swojego pokoju i schodzi na parter, a zaraz potem rozległo się szczekanie psów, zgrzyt przedpotopowych skobli w wejściowych drzwiach i szcęk przekręcanego w zamku klucza.

Wkrótce na głos Isobel nałożyło się gderanie pani Watty, a niedługo potem z kuchni dotarły pierwsze śniadaniowe zapachy. Usłyszała kroki zmierzającego do łazienki Jasona, wołającego w stronę kuchni:

— Ciociu Isobel!

— Słucham, Jason?

— Czy Antony i Rose już przyjechali?

— Jeszcze nie. Będą lada moment.

Tuppy spojrzała na drzwi sypialni. Gałka przekręciła się i ktoś uchylił je powoli.

— Już nie śpię — powiedziała na widok jasnowłosej główki Jasona, nieśmiało zerkającego z korytarza.

— Jeszcze nie przyjechali — poinformował ją chłopiec.

— Zanim się ubierzesz, już tu będą.

— Spała babcia dobrze?

— Jak kamień — skłamała Tuppy. — A ty?

— Chyba też. Nie widziała gdzieś babcia mojej koszulki?

— Pewnie się suszy.

— Że też o tym nie pomyślałem. Skoczę po nią.

Jason zniknął, pozostawiając uchylone drzwi. Wykorzystała to skwapliwie Sukey, która po porannym spacerze popędziła prosto na Pietro. Ujadając radośnie, wskoczyła na krzesło, a stamtąd na łóżko Tuppy. Osiągnąwszy bezpieczną przystań, legła spokojnie na puchowej kołdrze.

— Sukey! — skarciła ją Tuppy, ale suczka nie zdradzała wyrzutów sumienia. Przez chwilę wpatrywała się w Tuppy urażonym wzrokiem, po czym ułożyła się do snu.

Kolejnym gościem była siostra McLeod; rozsunęła zasłony, uchyliła okna i pogrzebała w kominku. Kruche precjoza Tuppy drżały od jej dziarskich kroków.

— Trzeba by doprowadzić się trochę do porządku, zanim zjawią się Antony i Rose — oznajmiła równie dziarskim tonem. Wyprostowała poduszki i prześcieradła, sięgnęła w głębiny łoża po termoфор i spytała, jak ze śniadaniem. — Pani Watty smaży właśnie boczek... Wspomniała, że Antony po przyjeździe do domu zawsze marzy o jajeczniczy z boczkiem. Nie skusiłaby się pani?



Tuppy poczuła, że dłużej nie znieśie biernego oczekiwania, i właśnie w tym momencie usłyszała warkot silnika samochodu Antony'ego, skrzywienie otwieranej furtki i odgłosy dochodzące ze zdewastowanego podjazdu. Spokój poranka prysnął na dźwięk znajomego klaksonu i pisk hamulców na wyżwirowanej ścieżce. (Tuppy zawsze uważała, że Antony jeździ trochę za szybko). Na partezie powstało małe pandemonium. Ujadaniu Plummera towarzyszył tupot pośpiesznych kroków w holu, gwałtowne uchylenie drzwi i radosna wrzawa wzajemnie przekrzykujących się głosów.

— Nareszcie jesteście! Nie mogliśmy się doczekać!

— Czołem, Antony — zaczął oficjalnie Jason. — Jak ci się jechało? Zrobisz mi luk i strzały?

— Przede wszystkim, co z Tuppy? — spytał Antony, a Tuppy na dźwięk tych słów poczuła miód w sercu.

— Już nie śpi — doniósł Jason podnieconym głosem. — Nie może się ciebie doczekać.

Tuppy, drżąc z niecierpliwości, wpatrywała się w drzwi sypialni, ale nie trwało to długo, bo Antony tradycyjnym zwyczajem mknął już na górę, przeskakując co drugi stopień.

— Tuppy!

— Jestem tutaj!

W mgnieniu oka był na piętrze. Wpadł do pokoju i na jej widok uśmiechnął się szeroko, niczym Kot z Cheshire.

— Co z tobą, Tuppy? — Miał na sobie sztruksowe spodnie, gruby sweter i skórzany, podróżny płaszcz, a gdy podszedł do łóżka, aby ją ucałować, poczuła na jego policzkach zarost nie przespanej nocy. Był zmarznięty, włosy miał nieco zbyt długie i w pierwszej chwili nie dowierzała, że to naprawdę Antony.

Wyściskali się za wszystkie czasy.

— Wspaniale wyglądasz — oznajmił, odchodząc o krok. — Ale mnie nabrałaś...

— Jasne, że nic mi nie jest. Za to ty przyjechałeś później niż zawsze. Miałeś ciężką podróż?

— Idealną. Zasuwaliliśmy tak, że starczyło czasu na śniadanie w Tarbo-le. Chyba nieprędko spojrzymy na parówki i herbatę.

— Rose też przyjechała?

— Oczywiście. Czeka na dole. Chcesz ją zobaczyć?

— A jak myślałeś? Już cię tu nie ma!

Antony wyszedł z sypialni. Usłyszała, jak przywołuje Rose. Nie było odpowiedzi.

— Rose... Tuppy nie może się ciebie doczekać — rozległo się ponowne wołanie.

Tuppy nie odrywała wzroku od drzwi. Tym razem Antony pojawił się, prowadząc za rękę Rose.

Na pierwszy rzut oka wydali się jej onieśmieleni lub wręcz zakłopotani i pomyślała z rozrzewnieniem, że Antony, może za sprawą uczucia, zrzucił z siebie połyskliwą manierę światowca.

Przyjrzała się Rose, poznała ją i stwierdziła, że te ostatnie pięć lat przeistoczyły niebrzydką, ale markotną pannicę w prawdziwie atrakcyjną młodą kobietę. Doceniła jej opaleniznę, zdrową, budzącą zaufanie cerę, lśnienie brązowych włosów, a zwłaszcza oczy —• orzech wpadający w czerń. Tuppy zapomniała, że Rose miała aż tak ciemne oczy. Ubrana była według rygorów obowiązującej w jej pokoleniu mody: sprane dżinsy, golf, a na to wszystko granatowe palto z podszewką w szkocką kratę.

— Obawiam się, że wyglądam nieszczególnie — rzekła Rose.

— A jak masz wyglądać po nocy spędzonej w samochodzie? — uspokoiła ją Tuppy. — Zresztą i tak wyglądasz uroczo. I niechże cię wreszcie ucałuję.

Rose podeszła i pochyliła się nad łóżkiem. Jej ciemne włosy musnęły policzek Tuppy. Policzek Rose był gładki, chłodny i przypominał w dotyku soczyste, świeżo zerwane jabłko.

— Myślałam, że nigdy się tu nie zjawisz.

— Strasznie mi przykro — powiedziała Rose, przysiadając na łóżku.

— Byłaś w Ameryce?

— Byłam.

— A co tam u mamy?

— Wszystko w porządku.

— Co z ojcem?

— Też świetnie się trzyma. Trochę podróżowaliśmy. — Dopiero teraz dostrzegła Sukey. — Jaka śliczna psina!

— Nie poznajesz Sukey? Towarzyszyła nam wiernie podczas pikników na plaży.

— Tak... przypominam sobie. Pewnie ma już swoje lata.

— Dokładnie dziesięć. Po naszymu, siedemdziesięcioletnia staruszka. I tak lepiej się trzyma ode mnie. Ja mam wprawdzie więcej zębów,

ale Sukey bije mnie zdrowiem i rozumem. Podobno jedliście już śniadanie?

— Tak — wtrącił się Antony. — Posililiśmy się w Tarbole.

— Wstyd i hańba. Pani Watty smaży właśnie jajecznicę specjalnie na waszą cześć. Musicie zejść na dół i skosztować, a przynajmniej skusić się na filiżankę kawy.

Tuppy posłała Rose porozumiewawczy uśmiech. Czuła błogość na myśl, że będzie gościć w Fernrigg przyszłą żonę Antony'ego.

— Gzy mogę zobaczyć ten pierścionek? — spytała, a Rose zademonstrowała brylanciki i szafiry lśniące na opalonym palcu.

— Istne cacko! Tak jak oczekiwałam. Antony ma niezły gust.

Rose uśmiechnęła się. Tuppy uwielbiała takie szczerze promienne uśmiechy, a już najbardziej biel zębów, z których dwa przednie były może nieco krzywe, ale i to miało w sobie urok młodzieńczej niedojrzałości.

— Jak długo zostaniecie? — spytała, nie mogąc pogodzić się z myślą, że prędzej czy później przyjdzie pora rozstania.

— Tylko do jutra wieczór — odparł Antony. — Oboje musimy wracać.

— Dwa dni. Strasznie krótko. — Tuppy pogładziła dłoń Rose. — Dobrze i to. W sam raz, by miłe spędzić czas. Dziś wieczór wyprawimy skromne party, sami najbliżsi, bo w końcu jest ku temu okazja. — Spostrzegła zaniepokojony wzrok Antony'ego. — Żadnych „ale”... Wszystko ustaliłam z Isobel i pielęgniarką. Wiesz, że sprowadzono mi tu pielęgniarkę? Nazywa się McLeod, przyjechała aż z Fort William, a z wyglądu... — Tuppy ściszyła konfidencjonalnie głos: — Wypisz, wymaluj koń. — Rose z trudem opanowała śmiech. — Wiele zbędnego zachodu, ale przynajmniej Isobel ma więcej czasu dla siebie — kontynuowała Tuppy. — Oczywiście nie wybieram się na party. Posiedzę tutaj, zjem, co mi przyniosą, i będę słuchała, jak się tam bawicie. Zaprosiłam też Annę i Briana. — Zwróciła się do Rose: — Pamiętasz ich? Musisz ich pamiętać. Zaprosiłam ich specjalnie z myślą o tobie.

— Szkoda tylko, że nie będzie pani domu — powiedziała Rose.

— Kochana z ciebie dziewczyna. Pociesz się, że jeśli wytrwam jeszcze trochę w łóżku, będę na waszym weselu, a to najważniejsze. — Tuppy znów uśmiechnęła się, taksując ich wzrokiem. Dostrzegła czujne spojrzenia dwóch par oczu: błękitnych i ciemnych. Te ciemne były najwyraźniej strudzone. — Spałaś coś, Rose?

— Nie było okazji.

— Musisz być wykończona.

— Tak źle nie jest. Teraz trochę mnie zmożyło.

— Drzemka nieźle ci zrobi. Zbudzimy cię na lunch i zaraz się lepiej poczujesz. A ty, Antony?

— Czuję się świetnie — odparł pośpiesznie. — Może wyciągnę się trochę po południu.

— Ale Rose musimy zaraz ułożyć do snu. Watty da jej termofor. Gorąca kąpiel też nieźle jej zrobi. Co ty na to, Rose?

Dziewczyna przytaknęła.

— A więc wszystko ustalone. Idźcie teraz na dół, pochwalcie panią Watty za jajecznicę i powiedzcie McLeod, że czekam na śniadanie. Bardzo to miłe z waszej strony, że przyjechaliście — dodała, gdy opuszczali sypialnię.

Przebudzenie było dziwne. Łóżko też było dziwne, chociaż bajecznie miękkie i wygodne. Dziwny był spadzisty sufit i zaciągnięte ciemnoróżowe zasłony. Flora, zanim jeszcze zorientowała się, gdzie właściwie jest, wyciągnęła rękę spod kołdry i spojrzała na zegarek. Była jedenasta. Spała przez bite pięć godzin. A więc znajdowała się w Fernrigg, w powiecie Ari-saig, hrabstwo Argyll, w Szkocji. Była wciąż Florą, ale na imię miała teraz Rose; jak przystało narzeczonej i przyszłej małżonce Antony'ego Arm-stronga.

Poznała już wszystkich: Isobel, małego Jasona, panią Watty — przypominającą z kształtów i cery świeżo upieczony, posypany cukrem pudrem pączek — jej małżonka, który pojawił się w kuchni, gdy popijały kawę. Przeszupując z nogi na nogę, dopytywał się, jakie właściwie ma kupić warzywa. Wszyscy traktowali ją jak kogoś bliskiego i chyba nie tylko za sprawą Antony'ego. Cały ten dom żył wspomnieniami.

— A cóż tam u pani Schuster? — spytała Watty. — Pamiętam, jak za chodziła wtedy do nas każdego ranka po jajeczka prosto od kury, a mój chłop dawał jej zawsze główkę sałaty, bo mówiła, że bez świeżej sałaty nie dotrwa do wieczora.

Z kolei Isobel wspominała jakiś piknik, podczas którego Tuppy zebrało się na pływanie i pożyczyla w tym celu od Pameli kostium kąpielowy — ostatni krzyk mody.

— Nawet nie pozwoliła nam się zbliżyć. Mówiła, że w tym kostiumie wygląda nieprzyzwoicie, choć leżał na niej jak ulał, bo Tuppy zawsze była szczupła.

— Skąd wiesz, że leżał na niej jak ułał, skoro nie pozwoliła wam się zbliżyć? — zagadnął z głupia frant Antony. — Czyżbyś ją podglądała, Isobel?

— Czuwałam tylko, żeby nie złapał jej skurcz.

Jedynie Jason, ku swej rozpacz, nie miał czego wspominać.

— Szkoda, że mnie tam wtedy nie było — stwierdził z żalem, wpatrując się we Florę z mieszaniną zainteresowania i podziwu. — Tak się złożyło, że byłem gdzie indziej.

— Konkretnie w Bejrucie — przypomniała mu Isobel. — Zresztą gdybyś nawet był wtedy z nami, niewiele byś zapamiętał. Miałeś wtedy dwa lata.

— Tyle to i ja pamiętam. Pamiętam mnóstwo rzeczy...

— Na przykład co? — spytał sceptycznie Antony.

— Na przykład... choinkę. — Jason odparował desperacko cios.

Flora zauważyła, że wszyscy się uśmiechnęli, ale nikt nie zareagował na to śmiechem. Jason wiedział, że trochę mu nie dowierzają, ale jego męska duma nie doznała uszczerbku.

— A już *na pewno* pamiętam Rose — dodał Jason.

Widać było, że serdeczne powitanie wynikało nie tylko z matrymonialnych planów Antony'ego. Pani i panna Schuster musiały wyrzeć spore wrażenie na mieszkańcach Fernrigg, skoro ich pobyt tak wspomniano po pięciu latach. To oczywiście nie ułatwiało sprawy.

Flora znów spojrzała na zegarek. Od przebudzenia minęło pięć minut. Wstała, podeszła do okna, rozsunęła zasłony i spojrzała ponad ogrodem w stronę morza.

Deszcz ustał i mgła powoli rzedniała. Z oddali wyłaniały się niewyraźne kontury wysp. Odpływ ujawnił niewielką, stromą i kamienistą plażę, ku której porośniętymi trawą tarasami opadał ogród. Flora spostrzegła siatkę tenisowego kortu. Rozpościerający się w dole gąszcz mienił się złotem i szkarłatem, a jarzębiny ugięły się od dojrzałych owoców.

Przymknęła okno i udała się na poszukiwanie łazienki. Pomieszczenie przypominało od wewnątrz stateczną wiktoriańską trumnę, wyłożoną polerowanym mahoniem, a samo wejście wymagało nie lada jakiej gimnastyki. Za to woda była gorąca, ożywcza. Torf nadawał jej lekko brunatny odcień. Wyposażenie łazienki było równie stylowe. Mydło pachniało domowym lekarzem, ręczniki wielkości prześcieradeł były białe i puszyste, a kubek na półeczce służył niegdyś, sądząc z inskrypcji, do popijania rumu. Wszystko razem bardzo staroświeckie i bardzo komfortowe.

Flora, orzeźwiona kąpielą, przebrała się, pościeliła łóżko i umieściwszy podręczną garderobę w szafie, wyruszyła na spotkanie losu. Doszła do końca korytarza, skąd szerokie, podzielone na podesty i półpiętra schody prowadziły w dół, ku obszernemu holowi. Zatrzymała się i próbowała złowić uchem jakieś dźwięki domowej aktywności, ale wszędzie panowała cisza. Popatrzyła na drzwi sypialni Tuppy i po namyśle postanowiła nie zakłócać jej drzemki bądź rozmowy z lekarzem albo rzutką, stale czymś zajęta pielęgniarką. Zeszła na parter, gdzie jej uwagę przykuł tłący się w przepastnym kominku ogień. Z lubością wciągnęła w nozdrza zapach torfu.

Wciąż ani szmeru. Flora, nie znając jeszcze rozkładu domu, trafiła przypadkiem do kuchni i poczuła ulgę na widok pani Watty zajętej skubaniem przeznaczonego na kolację drobiu. Służąca uniosła głowę znad chmury pierza.

— No i jak tam, Rose? Odespałaś podróż?

— Chyba tak.

— Masz ochotę na filiżankę kawy?

— Nie, dziękuję. Gdzie się wszyscy podziali?

— Zakasali rękawy i wzięli się za robotę. Tak przynajmniej sędzę. Pielęgniarka czeka na doktora, pannę Isobel posłano do Tarbole w związku z dzisiejszym party, a Antony i Jason pojechali do Lochgarry, przekonać Williego Robertsona, żeby załatał wreszcie ten nasz podjazd. Panna Isobel powtarza za każdym razem Antony'emu, że czas najwyższy coś z tym zrobić, ale sama wiesz, jak to jest z Antonym. Zawsze mu się śpieszy. Dziś rano przyrzekł nam, że wreszcie się za to zabierze i przed godziną wyjechał z Jasonem. Wrócą na lunch. — Pani Watty sięgnęła po budzący grozę nóż i wprawnym ruchem pozbawiła ptaka głowy. — Zdaje się, że tylko tobie udało się wykręcić od roboty.

— A mogłabym ci w czymś pomóc? — spytała Flora, odwracając wzrok od uciętej głowy. — Nakryję do stołu albo obiorę ziemniaki...

Pani Watty zareagowała śmiechem.

— Teraz to musztarda po obiedzie. Nawet nie myśl o tym. Poszłabyś lepiej na spacer. Przestało padać, a łyk wiejskiego powietrza też by ci się przydał. Powinnaś wpaść do Beach House. Ot tak, rzucić okiem. Przeko nasz się, jak bardzo się tam zmieniło przez te lata.

Flora przytaknęła. Był to niezły pomysł. Obejrzy sobie Beach House i wciągnie się nieco w rolę Rose.

— Nie bardzo pamiętam, jak się tam idzie — zaczęła ostrożnie.

— Trafisz w ciemno. Obejdiesz dom, a stamtąd ścieżką na wydmy. Weź tylko palto. Coś nie dowierzam tej pogodzie, choć popołudnie może być piękne.

Flora bez dalszych namów wróciła do pokoju po płaszcz, zeszła do holu i wymknęła się frontowymi drzwiami. Pachniało chłodem, wilgocią, martwymi liśćmi, a przede wszystkim morską solą. Przez chwilę stała, próbując zorientować się w topografii, po czym skręciła w lewo, przecięła wyżwirowany podjazd i odnalazła ścieżkę prowadzącą w dół, między trawnikiem a gąszczem rododendronów.

Gdy przebiła się przez ich płataninę, stwierdziła, że drogę zagradzają zasadzone chyba niedawno świerczki. Ścieżka omijała jednak sadzonki i dochodziła do furtki w murku ze zwietrzałych kamieni. Dalej rosły wrzosa, a tuż za skalnym uskokiem zaczynała się plaża. Flora nigdy w życiu nie widziała tak białego piasku.

Zorientowała się, że wyszła na południowy brzeg morskiej zatoczki. Teraz, podczas odpływu, przeciwległe plaże oddzielało jedynie wąskie pasmo wody, a przy końcu zatoki łąd wznosił się, ciesząc oko zielenią niskich wzgórz, usianych zagrodami dla owiec i poletek, upstrzonych stogami skoszonego niedawno siana.

Nie brakowało też małego domostwa z błękitnym, wzbijającym się z komina dymem i psem pilnującym wszechobecnych tutaj owiec.

Schodząc ku morzu, Flora wypatrywała Beach House. Dostrzegła go tuż za krzywizną plaży, na tle kilku sękatych dębów.

Idąc w kierunku domku, zauważyła drewniane schodki prowadzące ponad skałkami prosto z plaży ku zamkniętym na głucho drzwiom i oknom. Ściany były pobielone, dachówki miały niebieski odcień, a wejście i okiennice pomalowano zieloną farbą. Wspięła się po stopniach i zobaczyła wyłożony kamieniami płytami taras, a na nim plastikową łódkę i drewnianą balię wypełnioną dożywającym swych letnich dni geranium.

Oparta plecami o drzwi, rozejrzała się wokoło, próbując — niczym aktorka — wczuć się w rolę Rose. Siedemnastoletniej Rose. Kim była tamtego lata? Jak je spędziła? Czy było na tyle upalnie, żeby mogła zażywać słonecznych kąpielii na tym tarasie? Czy podczas przypliwów wypuszczała się na morze w plastikowej łódcie? Czy pływała, zbierała muszelki, przemierzała skrzący się piasek?

A może śmiertelnie ją to wszystko nudziło? Może odliczała dni, tęskniąc za Nowym Jorkiem, Kitzbiihel lub innym terenem łowów? Flora za-

łowała, że tak mało wie o Rose. Szkoda, że zabrakło jej czasu, by poznać bliżej siostrę.

Odwróciła się i ruszyła w dół, zerkając w tył na domek w nadziei, że może on powie jej coś więcej. Ale zamknięte okiennice przypominały kamienną twarz, z której niczego nie da się wydedukować. Ruszyła plażą w kierunku morza, gdzie przezroczyste lustro wody stykało się z piaskiem, a kruche, obłe muszelki oczekiwały na dłoń zbieracza.

Podniosła jedną, potem drugą i zajęcie to tak ją wciągnęło, że straciła poczucie czasu. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, aż nagle uświadomiła sobie, że ktoś ją obserwuje. Uniosła głowę i spostrzegła samochód zaparkowany na poboczu wąskiej, dochodzącej do końca zatoczki szosy. Przy nim — bez ruchu, z rękami w kieszeniach — stał mężczyzna.

Dzieliło ich około stu jardów. Mężczyzna, świadomy odkrycia swojej obecności, wyjął ręce z kieszeni, zszedł na plażę i ruszył w stronę Flory.

Poczuła się nieswojo. Oprócz niezliczonych żarłocznych mew byli tutaj jedynymi żywymi istotami i przez mózg Flory zaczęły przemykać rozmaite zwirowane myśli.

Może zablądził i chce zapytać ją o drogę. Może szuka miejsca, gdzie mógłby spędzić z żoną i dziećmi przyszłe wakacje, a Beach House wydaje mu się czymś odpowiednim. A może jest zboczeńcem, który wybrał się na przechadzkę. Flora żałowała, że nie wzięła ze sobą psa.

Szybko jednak odpędziła od siebie te idiotyzmy, ponieważ mężczyzna nawet z tej odległości budził zaufanie. Wszystko było w nim stateczne: ponadprzeciętny wzrost, szerokie ramiona, długie, najwyraźniej przywykłe do pieszych wędrówek nogi, a zwłaszcza swojskie, typowo wiejskie ubranie. Pewnie był farmerem lub właścicielem sąsiedniej posiadłości. Flora wyobraziła sobie nawet jego otwarte na przestrzał domostwo, wypełniające się gwarem z początkiem jesiennego sezonu łowieckiego.

Czas był najwyższy, żeby nawiązać rozmowę, a nie stać z rękami pełnymi muszelek i wpatrywać się w nieznanego. Flora zdobyła się na uśmiech, ale nie wywołało to żadnej reakcji. Mężczyzna sunął w jej kierunku uparcie, niczym czołg. Był chyba po trzydziestce, rysy miał zdecydowane, jego włosy, ubranie, a nawet koszula i krawat nie posiadały określonej barwy. Wyjątek stanowiły oczy: tak jasne i błękitne, że Flora poczuła się nieswojo. Spodziewała się wszystkiego, z wyjątkiem zimnego błysku nie ukrywanej antypatii.

Mężczyzna zatrzymał się o krok od niej i przeniósł ciężar ciała na jedną nogę.



Podmuch wiatru wzburzył włosy Flory. Odsunęła z policzka niesforny kosmyk.

— Witaj, Rose — odezwał się nieznajomy. *Nie jestem Rose.*

— Dzień dobry — odpowiedziała.

— Czyżbyś przywoływała szczęśliwe wspomnienia?

— Chyba *coś* w tym rodzaju.

— I jak się czujesz w starych stronach?

Wymówił to z miękkim akcentem zachodniej Szkocji. A więc ktoś tutejszy. Poza tym znał Rose. Ale kim, u licha, mógł być?

— Całkiem tu miło — odpowiedziała, próbując nadać swemu głosowi stanowczy ton.

Mężczyzna włożył znów dłonie w kieszenie spodni.

— Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że tu wrócisz.

— Niezbyt serdeczne powitanie — odparła. — Choć może się mylę?

— Przestań się zgrywać, Rose. Chyba nie oczekiwałaś niczego innego z mojej strony?

— A niby dlaczego miałam tu nie przyjeżdżać?

Zdobył się na coś w rodzaju uśmiechu, ale i to nie zwiastowało niczego dobrego.

— Sądzę, że oboje znamy aż za dobrze odpowiedź.

Flora poczuła delikatny skurcz żołądka wywołany wzbierającą w niej irytacją. Nie przywykła do tak ostentacyjnego okazywania jej antypatii.

— Czy przeszedłeś taki kawał drogi tylko po to, żeby mi to oznajmić?

— Nie tylko po to. Mam też kilka innych powodów. Po pierwsze, przypominam ci, że nie jesteś już rozkoszną nastolatką. Zareczyłaś się z Antonym. Jesteś dorosłą kobietą. Mam nadzieję, że choćby dla własnego dobra nabrałaś odpowiednich dla twojego wieku manier.

Flora postanowiła za żadną cenę nie okazywać paniki.

— To brzmi jak groźba — wycedziła maksymalnie jadowitym tonem.

— Mylisz się. To tylko ostrzeżenie. Przyjacielskie ostrzeżenie. A teraz życzę ci miłego dnia i udanych poszukiwań muszelek.

Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie tak nagle, jak się pojawił, krocząc statecznie, ale niewiarygodnie chyżo, dzięki długości swych kończyn.

Flora, niczym wrośnięta w ziemię, patrzyła, jak się oddala. W jednej chwili dotarł do urwiska, wspiął się na nie z łatwością, wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku Tarbole.

Stała oszołomiona, trzymając w dłoni bezmyślnie muszelki, a w głowie miała zupełny zamęt. Jedno wydawało się wysoce prawdopodobne. Siedemnastoletnią Rose musiał łączyć z tym mężczyzną niezbyt udany romans. Jakże inaczej wyjaśnić aż tyle niechęci i nie ukrywanej antypatii.

Upuściła muszelki i ruszyła najpierw powoli, potem coraz szybciej w stronę Fernrigg. Początkowo chciała odnaleźć Antony'ego i opowiedzieć mu wszystko na osobności, ale po namyśle zmieniła zdanie.

W końcu wszystko to dotyczyło jej w nikłym stopniu. Była Florą, a nie Rose. Do Fernrigg wpadła tylko na dwa dni. Wyjedzie jutro wieczór i tyle ich będzie widziała. Tego mężczyzny też nigdy nie zobaczy. Znał wprawdzie Rose, ale to wcale nie oznaczało, że przyjaźni się z Armstrongami. Jeśli nawet ich zna, wątpliwe było, aby Tuppy zaprosiła pod własny dach równie aroganckiego osobnika.

Pokrzepiona na duchu Flora postanowiła puścić cały incydent w niepamięć. Trudno było jednak opędzić się od podejrzeń co do postępowania Rose.

Przebywszy rododendronowy gąszcz, spostrzegła z odcieniem ulgi Antony'ego i Jasona zmierzających przez trawnik na jej spotkanie. Obaj mieli na sobie podniszczone džinsy i ponaciągane swetry. Płócienne tenisówki Jasona były dziurawe i nie zasnurowane. Na widok Flory ruszył biegiem, zaplątał się w sznurowadło, upadł, ale pozbiierał się w mig i pomknął dalej, nie zwalniając kroku. Gdy dobiegł zdyszany, uniosła go i zakręciła nim młynka.

— Niepokoił się o ciebie — oznajmił Jason. — Zbliża się pora lunchu, a dziś będzie zapiekanka z mięsem.

— Przepraszam. Nie wiedziałam, że już tak późno. — Uniosła głowę i spojrzała na Antony'ego.

— Jak się spało? — spytał i całkiem nieoczekiwanie pochylił się, by ją ucałować. — Dobrze się czujesz?

— Wyśmienicie.

— Pani Watty powiedziała nam, że wybrałaś się na przechadzkę. Odnalazłaś Beach House?

— Beż trudu.

— Wszystko w porządku? — spytał, co dotyczyło nie tyle Beach House, ile samopoczucia Flory i narzuconej jej roli.

Wzruszyła ją ta troska i żeby rozproszyć niepokój Antony'ego, uśmiechnęła się i oświadczyła, że wszystko jest w idealnym porządku.

— Byłaś w Beach House? — zapytał z kolei Jason.

Przytaknęła i ruszyli w stronę domu, a chłopiec ścisnął mocno jej dłoń.

— Okienne były zamknięte i nie mogłam zerknąć do wnętrza.

— Tak też myślałam. Watty zamyka je zawsze z końcem lata, bo inaczej chłopaki z Tarbole wytlukliby wszystkie szyby. Kiedyś ktoś zbił szybę, wszedł do środka i ukradł koc. — Jason wypowiedział to szeptem, jakby chodziło co najmniej o morderstwo z premedytacją.

— A jak wy spędziliście ranek? — zapytała Flora.

— Pojechaliśmy do Lochgarry, żeby pogadać z Willie Robertsonem o tym naszym podjeździe. Obiecał, że przywiezie specjalną maszynę i pozalewa asfaltem wszystkie dziury. Mówił, że będzie tu za tydzień.

Antony nie podzielał wiary Jasona.

— Tydzień Robertsona trwa rok — wyjaśnił. — W zachodniej Szkocji nie-  
zbyt przejmują się czasem. *Mahana* oznacza tutaj „wczoraj”.

— Za to pani Robertson poczęstowała mnie ciągutkami, a potem wybraliśmy się do portu Tarbole, gdzie przypłynął właśnie statek z Danii i wyobraź sobie, że gdy ładowali ryby do beczek, nadleciała mewa i podwędziła im makrelę. Większą niż ona sama!

— Tutejsze mewy mają łącie wilczy apetyt — skomentowała to Flora.

— Antony obiecał, że po południu zrobi mi łuk i strzały.

— Może zapytamy Rose, co ona zamierza robić? — wtrącił się Antony.

Jason spojrzął z niepokojem na Florę.

— Masz coś przeciwko łukowi i strzałom? — spytał.

— Wręcz przeciwnie. Ale pewnie szybko się z tym uwiniecie. Może będzie też czas na inne przyjemności? Go byś powiedział na dłuższy spacer? Psom też się coś należy.

— Plummer uwielbia spacerować, ale Sukey to stary leń i najchętniej nie opuszczałaby łóżka Tuppy — wyjaśnił Jason.

— Wcale się jej nie dziwię.

— Sukey zawsze była psem Tuppy. Nigdy nie miała innej pani. Tuppy jest zakochana w Sukey. Ja mniej, bo strasznie śmierdzi jej z pyska.

Jadalnia oczekiwała już na przyjęcie wieczornych gości, więc lunch zjedli w kuchni, przy długim, zbitym z desek stole. Przykryto go obrusem w nie-biesko-białą szachownicę i dodatkowo przyozdobiono dzbankiem z żółtymi chryzantemami. Przy jednym końcu zasiadł Antony, przy drugim Jason, a reszta biesiadników: siostra McLeod, Flora, Isobel i pani Watty, usadowiła się po bokach. Podano oczekiwaną zapiekankę, a do niej duszone ja-

błka ze śmietaną. Wszystko gorące, smaczne, prosto z pieca. Szybko się z tym uporali, a potem Watty zaparzyła kawę i zaczęli omawiać popołudniowe plany.

— Ja popracuję w ogrodzie — oświadczyła Isobel. — Trzeba wykorzystać resztki lata.

— My planowaliśmy dłuższy spacer — powiedział Antony.

— I dobrze. Przy okazji zabierzcie Plummera.

— Antony... przecież mieliśmy... — wtrącił Jason.

— Jeśli masz na myśli łuk i strzały, obiecuję, że zaraz będziesz je miał, a pierwsza ugodzi prosto w twoje serce. — Napiął niewidoczną cięciwę i świstem zamarkował lot strzały.

— Nie strzela się do żywych ludzi — pouczył go Jason. — Kto spluwa wojuje, od spluwy ginie.

— Święte słowa, Jason — przytaknął Antony. — Szkoda, że mało kto dziś o nich pamięta. Wpadniemy do Tuppy? — spytał, zwracając się do Flory.

Siostrze McLeod nie spodobał się ten pomysł.

— Pani Armstrong miała kiepską noc, prawie nie zmrużyła oka. Może raczej odłóżcie to na później. Właśnie się do niej wybieram. Teraz potrzebuje snu i odpoczynku po rannych emocjach.

— Pani tu rządzi — przytaknął potulnie Antony.

Pielęgniarka odsunęła krzesło, wstała i przez chwilę górowała nad nimi, jak przystało na wynajętego zawodowca.

— A kiedy będziemy mogli do niej wpaść? — spytał Antony.

— Może wieczorem, po kolacji. Tuż przed party, gdy już się przebierzecie. Przynajmniej będzie miała okazję zobaczyć was wszystkich razem.

— W porządku. Proszę powiedzieć Tuppy, że wpadniemy po siódmej w wizytowych strojach.

— Nie omieszkam — pielęgniarka skinęła głową. — A teraz proszę wybaczyć, ale wzywają mnie obowiązki. Dzięki za lunch, droga Watty. Stanęła pani na wysokości zadania.

— Miło mi to słyszeć, sestro — pani Watty pokraśniała i szczerym gestem dołąła wszystkim kawy.

Gdy pielęgniarka wreszcie zniknęła, Antony oparł łokcie o blat stołu i pokręcił głową. — Sądząc z jej słów, zanosi się na prawdziwy bal. Czuję, że wszyscy nasi sąsiedzi płci męskiej prasują kołnierzyki i polerują mono-kle, a ciocia Isobel wyciąga z komody posagowe kolczyki i naszyjnik. A właściwie, to kogo zaprosiliście?

— Annę i Briana. No i jeszcze... Crowtherów.

— Znosi się na szampańską zabawę — mruknął Antony.

Isobel nie doceniła dowcipu i, obrzuciwszy Antony'ego chłodnym wzrokiem, kontynuowała:

— Będzie też Hugh Kyle, jeśli nie wezwą go do porodu, zapalenia ślepej kiszki lub równie nagłego przypadku.

— To już lepiej. Przynajmniej będzie z kim pogadać.

— Znalazł się gaduła — skarciła Antony'ego ciotka.

— Przynajmniej nikt nie zakłóci panu Crowtherowi drzemki podczas party — wtrąciła Watty. — Ostatnio często mu się to zdarza.

— Kim jest ten pan Crowther? — nie wytrzymała Flora.

— Prawdziwym prrzezbiterriaiiskim pastorem — wyjaśnił Antony, przeciągając z lubością szkockie „r”, jak Watty.

— A jego żona uczy w szkółce niedzielnej i ma strasznie długie zęby — wtrącił Jason.

— Jason! — skarciła chłopca Isobel, ale Antony obrócił wszystko w żart.

— Przynajmniej będzie miała czym cię schrupać. Wybierasz się na party?

— Ani mi to w głowie — odparł Jason. — Zjem kolację z panią Watty, a ciocia Isobel obiecała mi butelkę coli.

— Coś mi mówi, że też do ciebie dołączę — westchnął Antony.

Isobel znów wzniosła oczy ku niebu, ale Flora przysięgłaby, że Antony specjalnie ją drażni. Pewnie miał to w zwyczaju od dziecka i chyba dlatego Isobel wypatrywała z utęsknieniem jego przyjazdu.

Łuk i strzały nie zabrały wiele czasu. Wystarczyło znaleźć ostry scyzoryk, kawałek sznurka i odpowiednią gałąź. Antony znał się na rzeczy i pewnie robił to setki razy, ale nie darował sobie kilku soczystych przekleństw podczas strugania. Gdy łuk i strzały były gotowe, narysował kredą tarczę na pniu drzewa, a Jason, napinając wąż mięśnie, posłał kilka strzał Panu Bogu w okno, nim wreszcie trafił w okolicę celu. Inna sprawa, że strzały były dalekie od doskonałości.

— Przydałyby się im lotki — powiedział Antony.

— Tylko skąd wziąć pióra? — spytał Jason.

— Pomyślimy o tym jutro. Teraz nie ma na to czasu.

— A może jednak?

— Nie. Teraz idziemy na spacer. Zabierzemy Plummera. Wybierzesz się z nami?

— Jasne, że tak.

— A więc schowaj łuk, bo zaraz ruszamy.

Jason zabrał swoje trofea i pomknął do domu, by złożyć je za wejściowymi drzwiami wśród starych młotków do krokieta i podniszczonych leżaków. Antony podszedł do Flory i Plummera, kibicujących cierpliwie na trawniku łuczniczym popisom.

— Przepraszam, że tak długo to trwało — powiedział.

— Wszystko w porządku. Czułam się zupełnie jak na wakacjach. Znosi się na piękne popołudnie.

— Też tak sędzę. W tych stronach pogoda jest bardzo zmienna. Jutro może równie dobrze lać od rana. — Wrócił Jason. — No to w drogę — oznajmił Antony, podając rękę Florze.

Wyszli przez bramę, przecięli drogę i wspięli się na wzgórze za domem. Minęli ściernisko i pastwisko pełne dorodnych krów. Przesadzili ogrodzenie i znaleźli się na łące zrytej śladami owczych wędrowek. Plum-mer, węsząc przy ziemi z ogonem na sztorc, spłoszył rodzinę kuropatw, które wystartowały z furkotem tuż przed jego łap i wzbily się w powietrze, przedrzeźniając jego ujadanie z bezpiecznej odległości.

Wzgórze piętrzyło się po sam widnokrąg. Dostrzegli opuszczoną, ukrytą w szkarłatnym gąszczu jarzębiny zagrodę, otwarte szeroko drzwi, a tuż obok samotną szkocką sosnę, pokreconą i zdeformowaną nieustannymi wiatrami, ale niezłomnie trwającą na straży.

Przed zagrodą płynął strumyk; brunatny od torfu, opadający miniaturowymi kaskadami, tu i ówdzie przechodzący w głębokie zakola, gdzie spieniona woda o barwie surowej skóry wirowała przy kępach wszędobylskich wrzosów. Gęste sitowie miało szmaragdowy odcień. Ziemia była tu błotnista, a wiatr unosił biały puch traw. Przekroczyli strumyk po chybotliwych kamieniach i weszli do zrujnowanej zagrody.

Byli na szczycie wzgórza. Gdzie nie spojrzeć, widok zapierał dech w piersiach. Na południe, poza lesistymi pagórkami, leżała cieśnina Ari-saig; na północ błękitne wody jeziora wcinały się w górskie zbocza. A na zachodzie...

Odpozywali, wsparci łokciami o resztki ogrodzenia, sycąc oczy bajecnym krajobrazem. Morze na zachodzie połyskiwało teraz tęczowo. Niebo było bezchmurne, a powietrze kryształowo przejrzyste. Wyspy odbijały się w wodzie jak w zwierciadle.

— Życ, nie umierać! — westchnęła Flora. — Mieć taki widok na co dzień...

— Nie tak bardzo na co dzień. Przez większość roku leje tu tak, że nie zobaczysz nawet czubka własnego nosa, a gdy przypadkiem nie pada, wiatr zbija z nóg.

— Przestałbyś narzekać.

— „Pustka wrzosowisk, nagi dom, staw drżący zbliża się ku drzwiom” — zacytował. — Robert Louis Stevenson. Tuppy czytywała go mnie i Torquilowi, chcąc trochę nas ucywilizować. Spójrz tam — wskazał dłonią. — Ta wysepka to Muck. Tamta nazywa się Eigg. Dalej masz Rhum, bardziej w prawo Sleat, a za nią Sleat the Cuillins.

Dalekie wierzchołki błyszcząły srebrzyście na tle nieba.

— Wyglądają jak ośnieżone — powiedziała Flora.

— Bo też są ośnieżone. Znosi się na ostrą zimę.

— A tamta zatoka wśród gór? Ma jakąś nazwę?

— Loch Fhada. Ta nasza, nieopodal Beach House, też nazywa się Fhada. Jej wody łączą się z morzem... o tam, pod mostkiem, na drodze. Jest tam jaz i stawidło, gdzie odławiają łososie...

Przerwał w pół zdania. Zapomnieli zupełnie o Jasonie. Stał tuż obok i przysłuchiwał się, wodząc po nich zdziwionym wzrokiem.

— Antony? — spytał. — Dlaczego opowiadasz to wszystko Rose, jakby była tu pierwszy raz? Przecież zna Fernrigg? Zapomniałeś o tym?

— Nie... po prostu...

Flora pośpieszyła z odsieczą. — Po prostu to było dawno temu, kiedy miałam siedemnaście lat i nie bardzo interesowałam się nazwami. Teraz to co innego.

— Pewnie dlatego, że tu zamieszkasz?

— Nie znosi się na to.

— Nawet gdy wyjdiesz za Antony'ego?

— Przecież Antony pracuje w Edynburgu,

— Ale ty mogłabyś mieszkać tutaj. U Tuppy.

— Czy ja wiem? — zastanowiła się Flora. — Może bym i mogła.

Nieco napiętą ciszę przerwał taktownie Plummer, który nie bacząc na swoje lata, ruszył nagle w pościg za królikiem. Pomknął susami przez gąszcz wrzosów, przez moment widzieli jego trzepoczące uszy, a Jason, wiedząc dobrze, że Plummer gotowy jest ścigać królika aż na koniec świata, popędził za nim.

— Plummer! Do nogi, draniu! — Chłopak biegł na pająkowatych nóżkach, a jego piskliwe wołanie unosił wiatr. — Wracaj, Plummer!

—Może powinniśmy mu pomóc? — spytała Flora.

—Da sobie radę — odparł Antony. — Chyba trochę wpadliśmy. Jason to bystry dzieciak. Zapomniałem, że przysłuchuje się naszej rozmowie.

—Ja też zapomniałam.

—Mam nadzieję, że wieczorem nie wypadniesz z roli. Chodzi mi o rozmowy.

—Jeśli będziesz w pobliżu, wszystko pójdzie dobrze.

—Podczas lunchu żartowałem tylko z cioci Isobel. To bardzo mili ludzie.

—Też tak sędzę. — Posłała mu krzepiący uśmiech.

—Widzisz... — dodał powoli — wciąż nie mogę się przyzwyczaić, że mimo całego waszego podobieństwa nie jesteś prawdziwą Rose. Ilekroć łapię się na tym, czuję się głupio, jak wtedy, za pierwszym razem.

—Wolałbyś, żebym nią była?

—Nie to miałem na myśli. Po prostu inaczej jakoś ciebie odbieram... Chemia czy jak to nazwać?

—Chodzi ci o to, że nie kochasz mnie tak jak Rose?

—Ale dlaczego tak się dzieje?

—Bo jestem Florą.

—Jesteś znacznie sympatyczniejsza. Wiesz o tym? Rose nie zawracałaby sobie głowy Jasonem. Nie potrafiłaby rozmawiać z ludźmi w rodzaju pani Watty i tej pielęgniarki.

—Może i nie. Ale na pewno wiedziałyby, jak rozmawiać z tobą, a to chyba ważniejsze.

—Zostawiła mnie — rzekł z odcieniem goryczy Antony. — Wyjechała sobie z jakimś parszywym Grekiem.

—Przecież mówiłeś, że twarde z ciebie gość.

—Zgadza się — zdobył się na bezradny uśmiech. — Najzabawniejsze, że wciąż chcę się ożenić. W końcu mam już trzydzieści lat. Jak długo można trwać w kawalerstwie? Sam nie wiem. Może nie znalazłem jeszcze tej właściwej dziewczyny.

—Edynburg pewnie aż roi się od takich. Nadobne dzierlatki mieszkające w ogromnych rezydencjach.

—Tak sobie wyobrażasz życie w Edynburgu? — wybuchnął śmiechem.

—Jedyne, co kojarzy mi się z Edynburgiem, to kolacja z Antonym Armstrongiem podczas ciemnej, deszczowej nocy. — Spojrzała na zegarek. — Sądzę, że powinniśmy wracać, gdy tylko Jason odnajdzie Plummera.



Skoro łobel zamierza wystąpić w rodzinnych klejnotach, wypadaloby, żebym przynajmniej umyła włosy.

— Masz rację. Poza tym obiecałem Watty, że z Jasonem nakarmimy kury. — Spojrzał na Florę i zachichotał. — Uroki życia rodzinnego. — Po chylił się i pocałował ją, tym razem w usta.

Gdy odsunął się, zapytała:

— To dla Rose czy dla Flory?

— Dla ciebie — odpowiedział.

Tego wieczora słońce ukryło się w morzu mieniącym się złotem i czerwienią. Flora umyła włosy i próbując je wysuszyć przy pomocy antycznego urządzenia wypożyczonego od łobel, rozsunała zasłony i z niedowierzaniem przyglądała się zachodowi. Kolory zmieniały się wraz ze światłem. Wyspy przechodziły z różu w ciemny błękit. Morze odbijało niebo, a gdy słońce skryło się za widnokretem, nabrało barwy ultramaryny, nakrapianej światełkami rybackich łodzi wyruszających z Tarbole na nocny połów.

Tymczasem dom rozbrzmiewał miłymi dla ucha dźwiękami przygotowań do wieczornych uroczystości. Domownicy kursowali między parterem i piętrem, nawoływali się wzajemnie, zaciągali kotary, rozpalali w kominkach. Z kuchni dochodził szcęk garnków i porcelany, zaś rozkoszne zapachy przyrządzanych smakołyków niosły się aż ku górnym kondygnacjom.

Wybór stroju nie był dla Flory problemem, ponieważ zabrała ze sobą tylko jeden komplet odzieży: długą, wełnianą spódnicę o barwie turkus, białą bluzkę i szeroki pas łączący obie części. Zważywszy pośpiech, z jakim pakowała się w Londynie, cud boski, że pomyślała przynajmniej o tym. Doprowadziła do porządku włosy, umalowała oczy, włożyła na siebie kreację, uzupełniła ją kolczykami i odrobiną „Ghamade”, ofiarowanej jej na urodziny przez Marcie. Zapach perfum przypominał — o ile zapachy mogą wpływać na pamięć — Marcie, ojca i Seal Cottage tak plastycznie, że Florę opuściła pewność siebie.

Co ona tu właściwie robi? Odpowiedź nie brzmiała krzepiąco. Na samą myśl o absurdalności całej tej sytuacji poczuła ukłucie w żołądku i wszechogarniającą panikę. Czar prysnął. Usiadła przed lustrem i wpatrywała się we własne odbicie, czując, że ten wieczór będzie dla niej serią koszmarnych kłamstw. Pewnie wyjdzie na idiotkę, po czym zrejteruje, pozostawiając na pojowisku Antony'ego. Wszyscy przekonają się, że jest tylko pospolitą krętačką i oszustką.

Instykt nakazywał jej ulotnić się, póki czas. Najlepiej zaraz. Zanim prawda wyjdzie na jaw. Zanim wszyscy poczują się urażeni. Tylko jak to zrobić? No i gdzie się udać? Poza tym obiecała coś Antony'emu. Antony'emu, który uwikłał się doszczętnie w zwariowaną intrygę, a wszystko to jedynie dla dobra Tuppy.

Próbowała wziąć się w garść. Ostatecznie żadne z nich nie robi tego dla osobistej korzyści. Przecież nie spotka ich za to wieczyste potępienie, najwyżej będą mieć lekko nieczyste sumienie przez resztę życia. Nikt inny nie ma z tym nic wspólnego.

Czyżby? Przez całe popołudnie Flora z uporem odpędzała od siebie wspomnienie mężczyzny z plaży. Teraz znów przypomniawszy sobie postać aroganckiego dryblasa i jego z lekka tylko zawoalowane groźby, które nazywał ostrzeżeniem. Dopóki istniał, nie miało sensu oszukiwać się, że sytuacja jest prosta. Flora mogła najwyżej żywić nadzieję, że nieznajomy nie ma nic wspólnego z Armstrongami. A spośród Armstrongów tak naprawdę liczyła się tylko Tuppy. Może niegodziwy czyn popełniony w zbożnej intencji nie jest tak zupełnie niegodziwy. A jeśli intencja była choć po części zbożna, to głównie z racji Tuppy. Leciwej damy oczekującej w swojej sypialni na piętrze, aż Flora zapuka i ucałuje ją na dobranoc.

Flora? Jaka tam Flora? Rose!

Wzięła głęboki oddech, odwróciła się od lustra, zaciągnęła zasłony, zgasiła światło i ruszyła do sypialni Tuppy. Zapukała i usłyszała zaproszenie.

Flora liczyła, że zastanie tam Antony'ego, ale Tuppy była sama. Półmrok oświetlała jedynie nocna lampka, rzucająca przyćmione światło na szerokie łóżko w samym końcu pokoju. W łóżku, wsparta o piramidę poduszek, spoczywała Tuppy, przyodziana w świeżą, seledynową nocną koszulę, z koronkową stójką pod szyją i zawiązaną na kokardki lizeskę z niepokalanie błękitnej szetlandzkiej wełny.

— Rose! Nie mogłam się ciebie doczekać. Podejź, niech ci się przyjrzę.

Flora posłusznie weszła w krąg światła i zaprezentowała się Tuppy.

— Skromnie to wygląda, ale nic lepszego nie zabrałam ze sobą. — Pochyliła się nad łóżkiem, by ucałować staruszkę.

— Uroczo wyglądasz. Tak świeżo i młodo. Ten pas dodaje ci wzrostu i smukłości. Nie ma to jak smukła talia.

— Ty też uroczo wyglądasz — zrewanżowała się Flora, przysiadając na łóżku.

— Pielęgniarka tak mnie wystroiła.

— Piękna ta lizeska.

— Dostałam ją na ostatnią gwiazdkę od Isobel. Włożyłam ją dzisiaj po raz pierwszy.

— Antony był już u ciebie?

— Chyba godzinę temu.

— Spałaś trochę po południu?

— Zdrzemnęłam się. A co ty porabiałaś?

Flora zdała relację wspartej na poduszkach, słuchającej w skupieniu Tuppy. Światło padało na jej twarz i nagle Flora poczuła niepokój, spostrzegłszy całą kruchość i wyczerpanie starszej pani. Tuppy miała ciemne smugi pod oczyma, a jej pokrzywione, brunatne jak korzenie starych drzew palce nerwowo przebierały po koronkach pościeli.

A jednak była to niepospolita twarz. Być może, jako dziewczyna, Tuppy nie odznaczała się szczególną urodą, ale z wiekiem jej rysy nabrały nowego wyrazu i Flora nie mogła oderwać od nich oczu. Cerę miała gładką i suchą, smagłą dzięki latom spędzonym na łonie natury, delikatnie pomarszczoną, a dotknięcie jej policzka przypominało dotyk zeschniętych liści. Białe, przycięte krótko włosy wiły się rozbrajająco tuż nad skroniami. Małżowiny uszne nosiły ślady kolczyków i opadały nieco w dół, przypuszczalnie z powodu noszonej przez całe życie staroświeckiej biżuterii. Wykrój ust przypominał Antony'ego, podobnie jak ich nagły, wylewny uśmiech. Ale najbardziej uderzające były jej oczy: głęboko osadzone, połyskujące perłowym błękitem, ciekawe wszystkiego, co dzieje się naokoło.

— ...no a po powrocie chłopcy poszli nakarmić kury i przynieść trochę jajek, a ja umyłam głowę.

— Piękne masz włosy. Błyszczą jak wypolerowany mahoń. Hugh wpadł zobaczyć, jak się czuję, i opowiedziałam mu o tobie. Jest teraz na dole i raczy się z Antonym czymś mocniejszym. To miłe, że znalazł dla nas czas. Nieborak haruje od świtu do nocy. Może trochę z własnej winy, bo zawsze mu powtarzam, że powinien wziąć sobie współnika. Ostatnio ma zbyt wielu pacjentów. Zaklina się, że daje sobie radę. Podejrzewam, że woli tak żyć. Przynajmniej nie ma czasu na smutki i rozpamiętywanie.

Flora przypominała sobie, co mówił jej o doktorze Antony.

*Spędził tu z przerwami prawie całe życie.*

*Szczęśliwy gość.*

*Nie sądzę, żeby był bardzo szczęśliwy.*

— Czy jest żonaty? — spytała odruchowo.

Tuppy przyjrzała się jej uważnie.

— Nie pamiętasz, Rose? Jest wdowcem. Jego żona zginęła w wypadku samochodowym.

— Oczywiście. Zupełnie zapomniałam.

— Tragiczna sprawa. Zналиśmy go od małego. Jego ojciec był przez długie lata lekarzem w Tarbole, a Hugh dorastał na naszych oczach. Zawsze był z niego bystry chłopak. Robił w Londynie doktorat, ale po śmierci żony rzucił to wszystko i wrócił do Tarbole, by przejąć praktykę swego ojca. Nie miał wtedy nawet trzydziestki. Serce mi się krajało. Taki młody i taki zdolny...

— Może powinien znów się ożenić?

— Jasne, że powinien, ale nic z tego nie będzie. Mówi, że nie ma na to ochoty. Ma gosposię nazwiskiem Jessie McKenzie, ale to nieposkładana kobieta i żal pomyśleć, jak tam egzystują. Cóż począć? — westchnęła Tuppy. — Nie możemy prowadzić innych przez życie za rączkę. — Uśmiechnęła się nieco szelmowsko. — Nawet ja nie jestem w stanie, choć robiłam, co mogłam. Wiesz, że zawsze uwielbiałam wtykać nos w cudze sprawy? Moja rodzina i bliscy wiedzą o tym i traktują to z wyrozumiałością.

— Sądzę, że może nawet z wdzięcznością.

— Być może — zamyśliła się Tuppy. — Posłuchaj, Rose. Dziś po południu, leżąc tak sobie, wpadłam na niezły pomysł... — Przerwała, po czym ujęła dłoń Flory, jakby szukając w fizycznym kontakcie dawnej energii. — Czy naprawdę musisz wracać z Antonym? — Flora wstrzymała oddech. — Wiem, że Amony musi być w poniedziałek w pracy, ale pomyślałam sobie, że może ty... Masz jakieś obowiązki w Londynie?

— Niezupełnie, ale...

— Ale musisz tam wrócić?

— Tak, sądzą, że powinnam... — Teraz Flora nie potrafiła dokończyć zdania. Rozpaczliwie szukała właściwych słów.

— Bo jeśli nie musisz wracać — pomogła jej stanowczym tonem Tuppy — mogłabyś zostać tu, z nami. Wszyscy zakochaliśmy się w tobie, a dwa dni to za mało, by poznać cię po tylu latach. A poza tym mam tyle rzeczy do zrobienia. Ważnych rzeczy. Choćby ten wasz ślub...

— Przecież jeszcze sami nie wiemy, kiedy się pobierzemy.

— Nieważne. I tak trzeba pomyśleć o liście zaproszonych gości. Antony ma tu sporą część swojego dobytku i wszystko to przyda mu się na nowej drodze życia. Choćby srebra należące do jego ojca, nie mówiąc o fo-

tografiach. Do tego meble i biurko jego dziadka. Wszystko to trzeba przygotować. Źle jest zostawiać ważne sprawy na ostatnią chwilę.

— Tuppy, naprawdę nie powinnaś przejmować się mną i Antonym. Nie po to tutaj przyjechaliśmy. Powinnaś odpoczywać i nabierać sił.

— Kto wie, czy je odzyskam. Kto wie, czy poczuję się lepiej. Nie rób takiej miny, Rose. Czasem trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli coś będzie nie tak, lepiej zawnoc wszystko przygotować.

Zapanowało milczenie. Wreszcie Flora przemogła się i powiedziała:

— Naprawdę muszę wracać. Przykro mi, Tuppy, ale wyjadę jutro z Antonym.

Przez chwilę oblicze Tuppy zachmurzyło się rozczarowaniem.

— W takim razie — dodała z uśmiechem, gładząc dłoń Flory — obiecaj mi, że wrócisz tu wkrótce i będziemy mogły spokojnie sobie pogawędzić.

— Zrobię, co w mojej mocy... Strasznie mi przykro. Wierz mi, Tuppy.

— Rozchmurz się, dzieciно. Przecież świat dziś się nie kończy. To był głupi pomysł. A teraz idź na dół. Wkrótce zaczną schodzić się goście i musisz ich powitać. Już cię tu nie ma.

— Zobaczymy się jutro.

— Oczywiście. Dobranoc, kochanie.

Flora ucałowała Tuppy na dobranoc. W tym momencie drzwi uchyliły się i do sypialni wszedł Jason w nocnej koszuli, z książką do poduszki pod pachą.

— Zaraz zmykam — zapewniła go Flora, podnosząc się ze skraju łóżka.

— Fajnie wyglądasz — oznajmił Jason, przymknąwszy drzwi. — Czołem, Tuppy. Dobrze ci się spało po południu?

— Jak nigdy w życiu.

— Nie przyniosłem *Piotrusia Królika*. Wziąłem *Wyspę skarbów*, bo Antony mówi, że to już w sam raz na mój wiek.

— Jeśli będziesz się bał — powiedziała Tuppy — możemy zawsze przerwać i sięgnąć po coś innego.

Jason podał jej książkę, milczkiem wskoczył na łóżko i przykrywszy kolana kocem, uśmiechnął się błogo.

— Smakowała ci kolacja? — spytała Flora.

— Była boska. Pękam od coli. Hugh jest na dole, a reszta jeszcze nie przyszła — dodał, najwyraźniej pragnąc, żeby wreszcie sobie poszła i pozwoliła Tuppy zająć się lekturą.

— W takim razie muszę zejść się przywitać.

Wyszła, przymknęła drzwi i przez chwilę stała w korytarzu, pocierając policzki dla dodania sobie otuchy. Czuła się, jakby przeszła upiorną próbę ognia i wody i sama myśl o tym przejmowała ją obrzydzeniem. Rozczarowanie w oczach Tuppy będzie ścigać ją do końca życia. Ale co mogła powiedzieć? Cóż mogła zrobić oprócz odmowy dłuższego pobytu? Dlaczego życie nie może układać się normalnie? Dlaczego zawsze wszystko komplikuje się z winy ludzi, emocji, układów? To, co w zamierzeniu miało być zacnym, niewinnym oszustwem, przybierało postać obmierzłej, monstrualnej błagi. Skąd mogła wiedzieć, że tak się to wszystko potoczy? Z tego, co mówił jej Antony, wcale nie wynikało, że ciepła i serdeczna Tuppy robi na niej aż takie wrażenie.

Westchnęła i przygotowała się do pokonania następnego płotka. Puszysty dywan ugiął się pod obcasami jej złotych pantofelków. Na parapecie ustawiono świeży bukiet z dębowych liści i chryzantem. Hol był wysprzątnany na przyjęcie gości, zasłony przytulnie zaciągnięte, w kominku płonął ogień. Przez nie domknięte drzwi salonu dochodziła rozmowa.

— Z tego, co mówisz, Hugh, wynika, że Tuppy odzyskuje siły. Tak czy nie?  
— rozpoznała głos Antony'ego.

— Przecież w kółko ci to powtarzam.

Drugi głos był niski, a akcent znany Florze aż nazbyt dobrze. Zastygła w bezruchu, nie po to, by podsłuchiwać, lecz niezdolna do zrobienia choćby kroku.

— Ale Isobel sądziła...

— Co Isobel sądziła?

Głos Isobel zabrzmiał niespokojnie i nieco głupawo:

— Sądziłam... myślałam, że nie chcesz mnie przestraszyć. Że wolisz, abym nie wiedziała...

— Isobel! — odezwał się karcący głos. — Czy znasz mnie od dzisiaj? Czy kiedykolwiek coś przed tobą zataiłem? Zwłaszcza jeśli chodzi o Tuppy?

— Ale twój wyraz twarzy...

— Niestety — odparł głos, próbując najwidoczniej obrócić wszystko w żart — nie odpowiadam za swój wyraz twarzy. Taki już mam od dziecka.

— Wcale nie tak — odparła stanowczo Isobel. — Pamiętam, jak stałeś tam na schodach, gdy wychodziłam z salonu. Stałeś, nie widząc mnie. Za to ja widziałam twoją twarz i to właśnie mnie przeraziło. Wiedziałam, że z Tuppy jest niedobrze...

— To nie dotyczyło Tuppy. Miałem inne powody do zmartwienia, zupełnie bez związku z Tuppy. Mówię ci, że niedługo będzie zdrowa. Chyba pamiętasz, że porównałem ją do korzenia starego wrzосу. Przypuszczalnie wszystkich nas przeżyje.

Zaległa cisza, ale Isobel nie dała za wygraną.

— Nie wierzyłam ci...

Wyglądało na to, że za chwilę wybuchnie płaczem. Flora nie mogła dłużej tego słuchać. Weszła przez uchylone drzwi.

Tego wieczora salon w Fernrigg przypominał z iluminacji i dekoracji teatralną scenę, na której rozegra się wkrótce pierwszy akt jakiejś wiktoriańskiej sztuki. Złudzenie potęgowała obecność trzech postaci, które na widok Flory przerwały konwersację, kierując w jej stronę wzrok.

Antony, w ciemnym garniturze, siedział przy końcu stołu i właśnie nalewał sobie drinka; przy kominku stała Isobel w długiej, wełnianej sukni koloru wrzосу.

Ale Flora wpatrywała się w trzecią z postaci. W doktora Hugh Kyle'a. Stał zwrócony twarzą do Isobel po drugiej stronie kominka. Był tak wysoki, że jego głowa i ramiona odbijały się w weneckim lustrze zawieszonym nad marmurową płytą paleniska.

— Rose! — zawołała Isobel. — Podejź bliżej. To Hugh. Nie poznajesz go?

— Poznaje — powiedziała Flora. Wystarczyło, że usłyszała ten głos. Głos mężczyzny spotkanego rankiem na plaży. — Oczywiście, że poznaje — dodała.

## ROZDZIAŁ 7

### TUPPY

Jasne, że się pamiętamy — rzekł. — Jak się masz, Rose? Zmarszczyła brwi.

— Usłyszałam koniec waszej rozmowy. Mówiliście o Tuppy. Antony, nie pytając, czy ma ochotę, nalał jej drinka.

— Tak, rozmawialiśmy. Zdaje się, że zaszło nieporozumienie. Wzięła w dłoń przesywającą chłodem szklaneczkę.

— Czy Tuppy wyzdrowieje?

— Hugh tak twierdzi.

Flora odniosła wrażenie, że Isobel zaraz się rozplacze.

— To wszystko moja wina — wyjaśniła krótko Isobei. — Moja głupia wina. Byłam załamana. Sądziłam, że Hugh próbuje mi powiedzieć, że Tuppy... — Nie była w stanie wymówić słowa: „umrze”. — Że Tuppy się nie polepszy. To właśnie przekazałam Antony'emu.

— Ale to nieprawda?

— Oczywiście, że nie.

Flora spojrzała na Antony'ego i spostrzegła jego niewyraźną minę. Dwoje konspiratorów — pomyślała. Schwytni we własne sidła. Po co właściwie przyjechaliśmy do Fernrigg? Po co uwikłaliśmy się w tę idiotyczną szaradę? Całe przygotowane tak kunsztownie oszustwo było nikomu niepotrzebne.

Mina Antony'ego była bardzo wymowna. Widać było, że wie, o czym myśli Flora. Oboje wyszli na idiotów. Teraz pewnie było mu przykro. Mimo to jego oblicze zdradzało coś na kształt ulgi i odprężenia. Musiał bardzo kochać Tuppy.

— Tuppy wyzdrowieje — powtórzył ze szczerym przekonaniem. Flora ścisnęła delikatnie jego dłoń. Spojrzał znów na pozostałych i dodał: — Najważniejsze, że gdybyśmy z Rose nie uwierzyli w powagę sytuacji, pewnie nie przyjechalibyśmy tu na weekend.



— W takim razie — odparła z ulgą Isobel — rada jestem, że byłam głupia i zrozumiałam opacznie to, co mówił Hugh. Przykro mi, że was przestraszyłam, ale przynajmniej znów jesteśmy razem.

— I o to chodzi — dokończył Hugh. — Nie mógłbym zapisać Tuppy bardziej skutecznego lekarstwa. Oddaliście jej wielką przysługę. — Oparł rozłożyste ramiona o płytę nad kominkiem. Fiora nawet z odległości czuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie. — A skoro już tu jesteś, Rose, powiedz nam, jak znajdujesz po latach Szkocję?

Brzmiało to sympatycznie, ale chłód niebieskich oczu nakazywał wciąż Florze mieć się na baczności.

— Bardzo tu miło.

— Bywałaś w tych stronach od tamtego lata?

— Ani razu.

— Rose spędziła całe lato w Stanach — pośpieszył z pomocą czujny Antony.

— Doprawdy? — spytał Hugh, unosząc brwi. — A gdzie konkretnie?

Flora usiłowała sobie przypomnieć, gdzie ostatnio bawiła Rose.

— W Nowym Jorku... zwiedziłam Wielki Kanion i kilka innych miejsc...

Hugh skinął głową, doceniając jej podróżnicze pasje.

— A jak się ma twoja matka?

— Dziękuję, bardzo dobrze.

— Gzy też wybiera się do Fernrigg? — Drażył uparcie niebezpieczny temat.

— Raczej nie... Sądzę, że posiedzi teraz trochę w Nowym Jorku.

— Ale na ślub przyjedzie na pewno? Chyba że zamierzacie pobrać się w Nowym Jorku?

— Nawet o tym nie wspominaj — wtrąciła się Isobel. — Jakim cudem moglibyśmy wszyscy tam pojechać?

— Jeszcze nic nie ustaliliśmy — odparł szybko Antony. — Nawet daty, nie mówiąc już o miejscu.

— Wynika z tego — powiedział Hugh — że klamka jeszcze nie zapadła.

— Coś w tym rodzaju.

Przez chwilę sączyli trunki w milczeniu. Flora szukała jakiegoś nowego tematu rozmowy, ale zanim cokolwiek przyszło jej do głowy, rozległy się dźwięki parkujących samochodów, szcęk otwieranych drzwi, a Isobel oznajmiła, że to pewnie reszta gości.

— Wygląda na to, że wszyscy przyjechali równocześnie — powiedział Antony. Odstawił szklanę i pośpieszył do holu.

— Ja też was na chwilę przepraszę — oznajmiła Isobel i ku przerażeniu Flory ruszyła w ślady Antony'ego, chcąc pewnie zaprowadzić damy na Pietro, gdzie mogłyby zostawić okrycia i doprowadzić do porządku fryzury-

Tak oto Flora i Hugh Kyle zostali sami. Zalegająca cisza była brzemienna od niedomówień. Florę korciło, by przystąpić do frontalnego ataku i powiedzieć wprost: Widzę, że chcesz zachować dobrą opinię o Arm-strongach, ale, szczerze mówiąc, teraz jesteś znacznie sympatyczniejszy niż dziś rano. Doszła jednak do wniosku, że nie jest to odpowiedni czas ani miejsce na demonstrację szczerości. Poza tym trudno było się bronić, nie wiedząc, o co właściwie jest podejrzana.

Hipotezy nie wyglądały zachęcająco. Flora stopniowo godziła się z faktem, iż Rose nie należała do kobiet z zasadami. Przecież bez skrupułów puściła kantem Antony'ego, odfrunęła do Grecji z jakimś obmierzłym, ledwie jej znanym typem, a na dodatek scedowała rozmyślnie na Florę porządki po rozbitym narzeczeństwie.

Któż mógł wiedzieć, do czego była zdolna Rose w siedemnastej wiosnie życia? Flora wyobrażała ją sobie teraz jako rozkapryszoną i znudzoną pannicę. Czy można było wykluczyć, że zakręciła się wokół pierwszego, w miarę atrakcyjnego mężczyzny, który wpadł jej w oko?

Ale Hugh Kyle nie bardzo do tego pasował. Nie był w typie miłośniczek jednorazowych przygód. Nie, żeby brakowało mu urody. Flora nie mogła odebrać od niego wzroku, gdy stał bez ruchu oparty o kominek i świdrował ją nieruchomymi, błękitnymi oczyma, spoglądającymi znad szklaneczki whisky. Teraz miał na sobie w miarę przyzwoity czarny garnitur, jedwabną koszulę i krawat z emblematami klubu, a może uczelni. Żeby chociaż nie był taki wysoki. Peszyło ją trwanie z zadartą głową, a wyraz jego twarzy powodował odpływ resztek odwagi Flory. Czowała się nieswojo. Nie była w stanie odezwać się ani słowem.

Chyba wyczuwał jej zakłopotanie, a może nieoczekiwanie zdobył się na oddech litości, bo nagle przerwał milczenie.

- Tuppy wspomniała mi, że ty i Antony wyjeżdżacie jutro.
- To prawda.
- Czy mieliście przynajmniej udane popołudnie?
- O tak, bardzo udane.
- Jak je spędziliście?

— Byliśmy na spacerze.

W tym momencie, ku uldze Flory, rozmowę przerwał Antony, wprowadzając do salonu dwóch przybyłych przed chwilą mężczyzn.

— Wszyscy przyjechali razem — wyjaśnił od drzwi. — Chyba nie znasz pana Crowthera, Rose? Osiedlił się w Tarbole już po waszym wyjeździe.

Pan Crowther ubrany był jak przystało na statecznego pastora, ale jego czerwona twarz, gęste siwe włosy i przysadzista sylwetka przypominały bardziej rzutkiego bukmachera niż sługę bożego. Uścisnął krzepko dłoń Flory, po czym potrząsając nią, oświadczył:

— Moje uszanowanie. Od dawna marzyłem o poznaniu wybranki Antony'ego. Co tam słyhać?

Głos miał też nieco bukmacherski. Na samo jego brzmienie kryształowe kuleczki żyrandola aż zadrżały i zadźwięczały niczym dzwony. Flora wyobraziła go sobie ciskającego gromy z wyżyn ambony. Była pewna, że jego kazania robią na ludziach wrażenie.

— Bardzo mi miło.

— Pani Armstrong nie mogła doczekać się waszego przyjazdu, jak zresztą my wszyscy. — Na widok Hugh Kyle'a puścił wreszcie dłoń Flory i ruszył w jego stronę. — Kogo ja widzę! I jak się panu wiedzie, doktorze?

— Pozwól, Rose — powiedział Antony.

Flora, świadoma obecności drugiego z mężczyzn, czekała z niepokojem na rozwój sytuacji. Odwróciła się ku niemu.

— Pamiętasz Briana Stoddarta?

Ujrzała smagłą twarz, ciemne brwi i ironiczne linie w kącikach ust i oczu. Włosy miał też ciemne, a oczy bardzo jasne, w odcieniu szarości. Niższy i starszy niż Antony, promieniował specyficzną naturalną witalnością, co Florze wydało się wysoce atrakcyjne. W przeciwieństwie do pozostałych uczestników party, ubrany był mniej oficjalnie: czarne spodnie, a do nich smokingowy żakiet z niebieskiego *welwetu* i biały golf.

— Kopę lat, Rose — powiedział czule. Rozpostarł ramiona, a Flora mimowolnie podeszła ku niemu. Objęli się i ucałowali w policzki. — Niechże zobaczę, czy się zmieniłaś — odsunął ją o krok.

— Wszyscy sądzą, że wypiękniała — dorzucił Antony.

— To niemożliwe. Czy mogła jeszcze bardziej wypięknąć? Ale cokolwiek by powiedzieć, wygląda wspaniale i szczęśliwie. Jesteś prawdziwym szczęściarzem, Antony!

— Wiem o tym — odparł Antony niezbyt pewnym tonem. — Skoro już skomplementowałeś i wyściskałeś tę nieszczęsną dziewczynę, powiedz, czego się napijesz.

Gdy zajęli się trunkami, weszła Isobel, a wraz z nią dwie damy i cała ceremonia zaczęła się od nowa, przy czym prezentacji dokonywała tym razem Isobel.

Pierwszą z dam była pani Growther, której Rose na szczęście nie miała przyjemności poznać. (Jason nie przesadził co do długości jej zębów, ale twarz miała dość miłą, a na sobie — jak przystało na szkocki wieczorek — sukienkę w kratę spiętą ludową broszą.) Była równie wylewna jak jej małżonek.

— Cudownie, że przyjechaliście odwiedzić panią Armstrong. Że też nie może być tu razem z nami. — Posłała uśmiech ponad głowę Flory. — Dobry wieczór, doktorze Kyle. Dobry wieczór, panie Stoddart.

— Poznajesz Annę, Rose? — spytała nieśmiało Isobel. — Annę Stoddart z Ardmore?

Anna Stoddart uśmiechnęła się. Była rozpaczliwie nieśmiała. Jej postać niczym się nie wyróżniała. Trudno było określić jej wiek i równie trudno dociec, jakim sposobem zdołała usidlić tak atrakcyjnego mężczyznę jak Brian. Jej wieczorowa sukienka była kosztowna, lecz nieco ciężka-wa, za to biżuteria bez zarzutu. Brylanty połyskiwały w uszach, na palcach i wokół stójki czarnej kreacji.

Wyciągnęła rękę i niezgrabnie cofnęła ją, jakby popełniła towarzyską gafę. Flora, cierpiąc na widok tak rozbrajającej nieśmiałości, uchwyciła w ostatniej chwili dłoń Anny i przytrzymała ją mocno.

— Witam — powiedziała na wszelki wypadek bezosobowo. — My się chyba znamy?

— Oczywiście, że tak — zachichotała Anna. — Pamiętam cię. Twoją matkę też pamiętam.

— Przyjechaliście z...

— Z Ardmore. To kilka mil za Tarbole.

— Cudowne miejsce — wyjaśniła Isobel. — Na samym czubku cypla Ardmore.

— Całkiem na odludziu? — spytała Flora.

— Raczej tak, ale mieszkam tam od dziecka i przyzwyczałam się. — Przez chwilę trwało milczenie, po czym Anna, zachęcona okazanym przez Florę zainteresowaniem, wyrzuciła z siebie z szybkością karabinu maszy-

nowego: — Przy dobrej pogodzie Ardmore widać z Fernrigg. To po przeciwnej stronie zatoki.

—Dziś po południu widoczność była wspaniała, ale nie przyszło mi na myśl, żeby popatrzeć.

—A widziałaś zachód słońca?

—Bajeczny, prawda? Podziwiałam go, przebijając się...

Były na najlepszej drodze, żeby się zaprzyjaźnić, gdy nagle przerwał im Brian.

— Anno, Antony pyta, czego się napijesz.

—Ja? — spytała zmieszana. — Właściwie na nic nie mam ochoty.

—Śmiało, Anno — przynaglił delikatnie. — Przecież musisz się czegoś napić.

—Może sok pomarańczowy... Brian oddalił się, by ją obsłużyć.

—Nie napiłabyś się sherry? — spytała Flora.

—Dziękuję — Anna pokręciła głową. — Naprawdę nie róbcie sobie kłopotu.

W tym momencie rozległ się donośny głos pana Crowthera, zmierzającego ku nim po dywanie niczym prujący morskie fale żaglowiec:

—No, dość tego! Nie pozwolimy, aby tak nadobne dziewczęta przegadały ze sobą cały wieczór.

Party przybrało mniej formalny charakter. Flora konwersowała i rozsyłała uśmiechy, od których rozboleła ją mięśnie twarzy, a równocześnie nie odstępowała na krok Antony'ego i omijała z daleka doktora Kyle'a. Anna Stoddart usiadła na krześle, do którego pani Crowther przysunęła zaraz swój taborecik. Brian i Antony obgadywali wspólnych znajomych z Edynburga, a pan Crowther i Hugh Kyle odpłynęli w kierunku kominka i, sądząc z gestykulacji, analizowali swoje wędkarskie doświadczenia. Isobel, upewniwszy się, że wszyscy czują się jak w domu, wycofała się dyskretnie, by zamienić kilka słów z panią Watty.

Na dźwięk gongu wszyscy odstawili trunki i ruszyli do holu, a stamtąd do jadalni.

Flora, pomimo napięcia, doceniła rzadki urok wnętrza: ciemne ściany, stare portrety, blask płonącego w kominku ognia. Białe serwetki i srebrna zastawa odbijały się w lśniącym, mahoniowym blacie stołu. Nie brakowało też bukietu spatynowanych wczesną jesienią róż i jasnoróżowych świec w srebrnych kandelabrach.

Po gorączkowych zabiegach Isobel, która wytrącona z rytmu zapomniała, jak porozsadzać zaproszonych gości, wszyscy zajęli wyznaczone miejsca: Hugh i pan Crowther na dwóch krańcach stołu, Antony i Brian naprzeciw siebie po bokach. Damy usadowiono w czterech rogach, tak że Florze, mającej po bokach Hugh i Briana, przypadło kontemplowanie oblicza pani Crowther.

Gdy wreszcie usiedli i rozłożywszy na kolanach imponujące rozmiarami serwety mieli powrócić do przerwanych rozmów, Isobel szybko zabrała głos:

— Panie Crowther, czy zechce pan pobłogosławić te dary?

Pastor podniósł się majestatycznie. Wszyscy pochylili głowy, a mówca głosem, od którego zatrzęsłaby się katedra, podziękował Najwyższemu za to, co mają spożyć, i polecił Jego łasce cały dobytek i domowników, ze szczególnym uwzględnieniem pani Armstrong, której nie ma wprawdzie tu wśród nas, ale z którą wszyscy jesteśmy duchem. Amen.

Usiadł. Flora poczuła do niego nagłą sympatię. Z drugich drzwi wyłoniła się pani Watty i nie bacząc na gwar rozmów, podała zupę.

Flora, przerażona perspektywą konwersacji z Kyle'em, z ulgą pozwoliła się wyręczyć pani Crowther. Dwie porcje sherry rozpromieniły jej oblicze i rozwiązały język.

— Nie zgadłby pan, doktorze, u kogo wczoraj byłam. Wpadłam do starego Sinclaira. Mówił mi, że go pan badał. Mnie też się wydaje, że nie jest z nim najlepiej...

— Może i my porozmawiamy — odezwał się siedzący obok Flory Brian Stoddart.

— Z przyjemnością.

— Cudownie, że znów tu jesteś. To jak łyk świeżego powietrza. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie tkwić na tym pustkowiu. Człowiek, nie wiedzieć kiedy, zamienia się w starego nudziarza, a najgorsze, że nie ma na to rady. Czas najwyższy, żebyś nas trochę rozruszała.

— Nie wierzę, że czujesz się jak stary nudziarz — odparła Flora częściowo dlatego, że pewnie oczekiwał takiej odpowiedzi, a częściowo żeby dać odpór tupetowi, z jakim na nią spoglądał.

— Mam nadzieję, że to był tylko komplement.

— Wręcz przeciwnie. Stwierdzam fakt. Nie wyglądasz na starego nudziarza.

— A więc jednak komplement.

Zabrała się za zupę.

— Przedstawiłeś same negatywy tutejszej egzystencji. Powiedz coś o pozytywach.

— Z tym będzie trudniej.

— Nie wierzę. Muszą być ich tysiące.

— Powiedzmy, że są. Wygodny dom, tereny łowieckie i wędkarskie. Oprócz tego własna łajba zacumowana przy Ardmore Loch, na której latem można popływać. No i raj dla kierowców na pustych szosach. Przepraszam, jeśli coś pominąłem.

Flora zauważyła ze smutkiem, że pominął własną małżonkę.

— Brzmi to nieco przyziemnie — powiedziała.

— Daj spokój. A czego jeszcze oczekiwałaś?

— Nie wspomniałeś nic o obowiązkach.

— Sądzisz, że mam jakieś obowiązki?

— A nie masz?

— Oczywiście, że mieszkam...

— Na przykład?

Brian wydawał się rozbawiony jej dociekliwością, ale pośpieszył z odpowiedzią:

— Sam dom w Ardmore wymaga więcej pracy, niż sobie wyobrażasz. Dodajmy do tego tak zwaną „działalność obywatelską”. Nie kończące się nasiadówki, na których gędzi się o poszerzeniu szosy dla wożących ryby ciężarówek lub o przyznaniu środków na nowe sanitariaty dla szkoły podstawowej w Tarbole. Uroki demokracji lokalnej. Pewnie słyszałaś o tym.

— I to wszystko?

— O co ci chodzi, Rose? Pytasz, jakbyś była moim pracodawcą. — Widać było, że cała rozmowa nieźle go bawi.

— Chodzi mi o to, że jeśli nie masz żadnych innych zajęć, to chyba faktycznie grozi ci spleśnienie.

— Poddaję się! — wybuchnął śmiechem. — A czy szefowanie w jachtklubie w ogóle się nie liczy?

— W jachtklubie?

— Pytasz, jakbyś słyszała to słowo pierwszy raz. W jachtklubie w Ardmore. Przecież byłaś tam ze mną — dokończył, akcentując każdy wyraz, jakby była głucha i upośledzona na umyśle.

— Czyżby?

— Rose, gdybym cię tak dobrze nie znał, pomyślałbym, że naprawdę zapomniałaś. Te pięć lat oddaliło cię jednak bardziej, niż podejrzewałem.

— Też tak sędzę.

— Powinnaś odnowić znajomość z jachtklubem. Szkoda tylko, że już zamknięto go na zimę i niewiele się tam dzieje. Ale mogłabyś wpaść do nas, do Ardmore House. Jak długo tu będziesz?

— Wyjeżdżamy jutro.

— Już jutro? Przecież dopiero przyjechaliście.

— Antony musi wracać do pracy.

— A ty? Też musisz wracać do pracy?

— Nie. Ale muszę wracać do Londynu.

— A czemu nie mogłabyś zostać na tydzień lub dłużej? Przynajmniej moglibyśmy cię lepiej poznać... dogłębniej...

Coś w jego głosie sprawiło, że Flora przyjrzała mu się ukradkiem, ale jasne oczy Briana wyrażały samą niewinność.

— Nie mogę zostać.

— Nie możesz czy nie chcesz?

— Jasne, że chętnie odwiedziłabym ciebie i Annę, ale...

Brian uniósł bułkę i zaczął kruszyć ją w palcach.

— Anna wyjeżdża do Glasgow na większe zakupy z początkiem przyszłego tygodnia. — Jego ciemny profil rysował się teraz ostro na tle blasku świec. Wyglądało na to, że ostatnie zdanie miało jakiś podtekst, ale Flora nie była w stanie go uchwycić.

— Czy zawsze robi zakupy w Glasgow? — spytała.

Było to zupełnie niewinne pytanie, ale Brian odłożył łyżkę i spojrział na nią, uśmiechając się z ukosa, jakby chodziło o świetny, znany tylko im kawał.

— Prawie zawsze — przytaknął.

To Isobel przerwała ich rozmowę, podchodząc, żeby zabrać puste talerze po zupie. Antony również podniósł się i podszedł do kredensu, aby zająć się winem. Znowu otworzyły się drzwi kuchni i oto pani Watty wniosła tacę pełną dymiących przysmaków i stos talerzy. Pani Crowther, opuszczona przez Antony'ego, nachyliła się przez stół w kierunku Flory, by opowiedzieć jej, że parafia szykuje na Boże Narodzenie aukcję dobroczynną i jasełka.

— Czy Jason też w nich wystąpi? — spytała Flora.

— Oczywiście, że tak.

— Mam nadzieję, że nie w roli anioła — mruknął Hugh.

— A niby dlaczego nie miałby zagrać anioła? — spytała pani Crowther z udawanym oburzeniem.



— Hmm... Z oblicza Jason niezbyt kojarzy mi się z aniołkiem.

— Nie uwierzy pan, doktorze, ale nawet najbardziej diabelskie dziecię zamienia się w aniołka, gdy tylko przywdzieje białą nocną koszulę i koronę z połączanego papieru. Powinnaś przyjechać na święta i zobaczyć to, Rose.

— Przepraszam? — spytała Flora, wyrwana niespodziewanie z własnych rozmyślań.

— Pytałam, czy przyjedziesz do Fernrigg na Boże Narodzenie.

— Trudno powiedzieć... — Spojrzała błagalnie w stronę Antony'ego, ale jego krzesło było puste. Rozejrzała się, szukając odsieczy u kogoś z domowników i z przerażeniem stwierdziła, że jej spojrzenie dostrzegł Hugh Kyle.

— Pewnie spędzisz święta w Nowym Jorku — rzucił dyskretnie.

— Tak, to możliwe.

— A może w Londynie lub w Paryżu? Nieźle zna obyczaje Rose — pomyślała.

— Trudno powiedzieć — wyjaśniła.

Brian postanowił też włączyć się do konwersacji.

— Przekonywałem Rose, żeby nie wracała jutro do Londynu i została tu z nami jeszcze kilka dni. Wszystko nadaremnie. Okrutna dziewczyna.

— Ale dlaczego? — Tym razem oburzenie pani Crowther było autentyczne.

— Posłuchaj, Rose. Brian ma świetny pomysł. Wypoczniesz, rozerwiesz się. Już my o to zadbamy. Co pan na to, doktorze Kyle?

— Sądzę — odparł oschle Hugh — że Rose nie narzeka na brak rozrywek. Zresztą niewiele nowych moglibyśmy jej tu dostarczyć.

— Ale pani Armstrong byłaby w siódmym niebie...

Pani Crowther, podniecona winem i atmosferą party, nie dostrzegła ironii ostatnich słów Kyle'a, ale Flora nie miała wątpliwości. Czowała, że się rumieni i już sam ten fakt doprowadzał ją do pasji. Uniosła napelniony po brzeg kieliszek i wychyliła go jednym haustem, niczym ktoś umierający z pragnienia. Odstawiając kieliszek, zauważyła, że drżą jej ręce.

Na szczęście podплыnęły dyskretnie kolejne dania. Najpierw potrawka w kamionce, potem szpinak, a do tego ziemniaki *puree*. Flora zwątpiła, czy zdoła to wszystko zjeść. Isobel, pomagająca pani Watty w obsłudze gości, wzięła z kredensu niewielką tacę i ruszyła z nią w kierunku kuchennych drzwi. Sokoli wzrok pani Crowther dostrzegł to z przeciwległego końca stołu.

— A gdzie to się pani z tym wybiera, panno Armstrong?

Isobel zatrzymała się z niewyraźnym uśmiechem.

— Na górę, do Tuppy. Obiecałam jej kilka przysmaków i relację z biesiady. Hugh wstał i otworzył drzwi przed Isobel.

— Proszę koniecznie pozdrowić od nas panią Armstrong — poleciła pani Growther, wywołując ogólny aplauz towarzystwa.

— Nie omieszkam — obiecała Isobel i wycofała się chyłkiem z jadalni.

Hugh przymknął drzwi i powrócił do stołu. Antony zdążył już zająć swoje miejsce i nie bacząc na osobę pani Crowther, spytał Kyle'a, czy już odholował swoją łajbę na zimę.

— W zeszłym tygodniu. Geordie Campbell obiecał, że zadba o nią w swojej przystani w Tarbole. Byłem u niego wczoraj. Pytał o ciebie i aż go замуrowało, gdy mu powiedziałem o twoich zaręczynach.

— Będę musiał wpaść do niego z Rose.

Po solidnym łyku wina Florze wróciła pewność siebie, ale ironiczne słowa Kyle'a wciąż nie dawały jej spokoju. Postanowiła włączyć się do rozmowy chłodno, jakby nic nie zaszło.

— Co to za łajba? — spytała.

Spojrzał na nią od niechcienia, pewnie sądząc, że dziewczyna i tak nie ma o tym bladego pojęcia: — Gafeł. Siedem ton.

— Trzymasz ją w jachtklubie w Ardmore?

— Przecież mówiłem, że na przystani w Tarbole.

— Pewnie leciwa już z niej staruszka — włączył się Brian.

Hugh posłał w jego kierunku chłodne spojrzenie. — Wodowana w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym.

— A więc leciwa.

— Czy wszyscy mają tu łodzie? — spytała Flora. — Chodzi mi o to, czy wszyscy żeglujecie?

Hugh odłożył sztućce i wyjaśnił tonem pedagoga pracującego ze szczególnie upośledzonymi na umyśle dziećmi:

— Zachodnia Szkocja posiada znakomite warunki żeglarskie. Chyba tylko skończona oferma lub głupiec nie skorzysta z tego. Co nie znaczy, żeby każdy mógł od razu wybrać się na morze. Trzeba pewnego doświadczenia i wiedzy, gdy trochę dmuchnie na tych wodach. To nie Monte Carlo, gdzie jedna ręka sięga po dżin z tonikiem, a druga za bikini towarzyski rejsu.

— Tak też myślałam — odpowiedziała chłodno Flora, puszczając mimo uszu chichot pani Growther. Chyba nie mówił tego po to, żeby ją przestraszyć.

— Dużo pływałeś tego lata? — spytała.

— Prawie wcale — odparł cierpko Hugh, unosząc znów nóż i widelec.

— Dlaczego?

— Z braku czasu.

— Musisz mieć sporo pracy.

— Sporo? — wtrąciła się pani Crowther, nie mogąc ani przez moment opanować języka. — To najlepszy dowcip roku. Nikt w Tarbole nie ma tyle pracy, co doktor Kyle.

— Tuppy twierdzi, że powinieneś znaleźć sobie kogoś do pomocy — rzuciła Flora. — Wspomniała mi o tym, gdy dziś układałam ją do snu.

— Tuppy próbowała kierować moim życiem, od kiedy ukończyłem szósty rok — odparł obojętnie Hugh.

— Jeśli można się wtrącić — dodał delikatnie Brian — pewnie do dziś rozmyśla z melancholią o swojej porażce.

Tym razem milczenie było lodowate. Nawet pani Crowther nie miała nic do dodania. Flora spojrzała z rozpaczą w stronę Antony'ego, ale on zajęty był rozmową z Anną. Odłożyła sztućce i delikatnie, jakby w obawie przed zakłóceniem ciszy, raz jeszcze sięgnęła po kieliszek wina.

Spojrzenia dwóch mężczyzn skrzyżowały się i chyba trwało to wieczność. Wreszcie Hugh wypił duszkiem swój kieliszek, odłożył go i powiedział cicho:

— To była moja porażka. Ta i wszystkie inne.

— Tak czy inaczej, Tuppy dobrze mówi — podsumował pojednawczo Brian. — Powinieneś znaleźć sobie współnika. Kogoś ambitnego, przebojowego, młodego i w białym fartuchu. Pracuj, a garb ci sam wyrośnie.

— Lepszy garbus niż próżniak — zripostował Hugh. Trzeba było zrobić coś, zanim skoczą sobie do oczu.

— Czy naprawdę nie masz nikogo do pomocy? — spytała Flora.

— Mam pielęgniarkę w lecznicy — odparł szorstko Hugh. — Daje za strzyki, zakrapia oczy, wypisuje recepty i bandażuje pocięte kolana. Jest moją prawą ręką.

Flora wyobraziła sobie pielęgniarkę jako hoży, pewnie młody i niebrzydki okaz wiejskiej krzepy w białym fartuchu. Zastanawiała się, czy pielęgniarka podkochuje się w doktorze, jak ta w powieści Cronina. Niewykluczone. Pomiijając fakt, że nie znosiła go z całego serca, Flora musiała przyznać, że doktor jest dość atrakcyjnym, a może nawet przystojnym,

mimo swojej kanciastości, mężczyzną. Może to właśnie zainteresowało Rose. Może zaczęła go kokietować, a on potraktował to serio i od tamtej pory nie może jej tego wybaczyć.

Zapomniano całkiem o Isobel. Drzwi otworzyły się i Isobel przeprosiła wszystkich za tak długą nieobecność. Poczęstowała się czekającym na kredensie daniem i zajęła miejsce przy panu Crowtherze.

— Jak tam Tuppy? — dopytywali się wszyscy.

— Czuje się świetnie. Kazała was pozdrowić. — Isobel była tego wieczora zupełnie inna niż zazwyczaj. — Ma też wiadomość dla Rose.

Wszyscy spojrzeli na Florę, uradowani, że wiadomość jej dotyczy, a potem znów na Isobel, oczekując wyjaśnienia.

— Tuppy uważa — powiedziała dobitnie Isobel — że powinniśmy za trzymać Rose na parę dni. Sądzi, że mogłaby tu zostać, a Antony może jutro wrócić sam do Edynburga. — Posłała Florze promienny uśmiech. — Moim zdaniem to wspomniały pomysł i chyba zgodzisz się ze mną, Rose.

*Och, Tuppy, zdradziecka niewiasto.*

Flora spojrzała na Isobel, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Czuła się jak na scenie, w blasku reflektorów, przed tysiącem wpatrujących się w nią oczu. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Popatrzyła na Antony'ego i spostrzegła trwogę również na jego twarzy. Błagając go w myśli, żeby pośpieszył jej z pomocą, usłyszała brzmiały obco własny głos:

— Sama nie wiem...

Antony zdobył się wreszcie na odwagę:

— Przecież mówiliśmy ci, Isobel, że Rose musi wracać. Natychmiast zakrzyczano go chóralnie:

— Nonsens!

— A niby czemu ma wracać?

— Tak nam z nią miło.

— Tuppy wie najlepiej.

— Nie ma powodu, żeby wyjeżdżała.

Wszyscy rozplywali się w uśmiechach, prosząc, żeby została. Siedzący obok Flory Brian odchylił się w krześle i uciszył wszystkich donośnymi słowami:

— Od razu tak mówiłem. Uważam, że to bardzo dobry pomysł. Nawet Anna próbowała przekonać Florę:

— Zostań. Choćby parę dni.

Jedynie Hugh nie odezwał się ani słowem. Zauważył to siedzący naprzeciwko Crowther.

— A jakie jest pana zdanie, doktorze? Nie sądzi pan, że Rose powin na spędzić z nami jeszcze kilka dni?

Zapadła cisza i wszyscy oczekiwali, że Hugh przytaknie i weźmie ich stro nę.

Zawiedli się.

— Nie uważam, że Rose powinna zostać — odparł, akcentując słowa.

— Chyba że sama tego chce — dodał zbyt późno, by złagodzić ich brzmie nie. Posłał Florze wyzywające spojrzenie zimnych, błękitnych oczu.

Flora powzięła decyzję; może skutkiem wypitego wina, może skutkiem po rannego spotkania na plaży, może ze złości, a może z czystego uporu.

Poprzez czas i przestrzeń dobiegło ją ostrzeżenie wypowiedziane kiedyś przez ojca. *Na złość innym odmroziś sobie uszy.*

— Jeśli Tuppy chce, żebym została — oświadczyła wszem i wobec — oczywiście zostanie.

Gdy wieczorna ciężka próba dobiegła końca, goście wyjechali, psy wybiegały się, filiżanki po kawie wyniesiono do kuchni, a Isobel, ucałowawszy ich oboje, udała się na spoczynek — Antony i Flora wymienili spojrzenia w blasku dogasającego kominka.

— Co ci przyszło do głowy? — spytał Antony.

— Sama nie wiem.

— W pierwszej chwili myślałem, że oszalałaś.

— Może i tak. Cóż, stało się.

— Oj, Floro, Floro!

— Nie mogę cofnąć obietnicy. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

— Nie mam. Sama wiesz, co robisz. Jeśli czujesz się na siłach, a Tuppy tego pragnie, czemu miałbym mieć coś przeciwko temu? Tylko że... — Urwał w pół zdania.

— Tylko że co?

— Możesz mi wierzyć lub nie, ale chodzi mi o ciebie. Powiedziałaś, że zgadzasz się tylko na weekend.

— Sama wiem. Wtedy wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

— Chodzi ci o to, że wtedy obawialiśmy się o życie Tuppy, a teraz wszystko się wyjaśniło?

— To zależy od ciebie. Mogłeś wyznać jej prawdę.

— Powiedzieć jej, że nie jesteś Rose?

— Czy to aż tak trudne?

- To wykluczone. Nigdy w życiu nie okłamałem Tuppy.
- Powiedzmy, że do wczoraj.
- W porządku. Do wczoraj.
- Chyba jej nie doceniasz. Sądzę, że zrozumiałaby.
- Nie powiem jej i już — zachnął się niczym uparty bachor.
- Szczerze mówiąc, ja też nie mam na to ochoty — wyznała Flora. Wymienili żalosne spojrzenia. Antony spróbował zdobyć się na uśmiech, lecz kiepsko mu to wyszło.
- Ale z nas para tchórzy.
- Para konspiratorów, chciałeś powiedzieć.
- Coś mi się widzi, że lichych konspiratorów.
- Czy ja wiem? — próbowała obrócić wszystko w żart. — Jak na no wicjuszy nie wypadliśmy najgorzej.
- Spojrzał na nią i rzekł ze smutkiem:
- Czemu, do licha, nie mogę się w tobie zakochać?
- To rozwiązałoby wszystko, prawda? Zwłaszcza gdybym ja równocześnie zakochała się w tobie. — Zrobiło się chłodno. Flora zadrżała i przysunęła się do dogorywającego paleniska.
- Wyglądasz na zmęczoną — powiedział Antony. — Nic dziwnego. To był piekielny wieczór i ominęłaś na pełnych żaglach wszystkie rafy.
- Nie powiedziałabym. Hugh i Brian... chyba niezbyt się lubią?
- Też tak sądzę. Nic w tym dziwnego, skoro mają skrajnie odmienne charaktery. Biedny, zacny Hugh. Czasami zastanawiam się, czy dotrwał kiedyś do końca posiłku bez telefonicznego wezwania.
- Hugh opuścił ich jeszcze przed końcem drugiego dania. Poproszony przez Antony'ego, który odebrał telefon, wyszedł do holu, a w chwilę później, już w palcie, wsunął głowę przez uchylone drzwi, by przeprosić wszystkich i życzyć dobrej nocy. Pozostało po nim jedynie puste miejsce u szczytu stołu.
- Lubisz go, Antony? — spytała Flora.
- Uwielbiam. Gdy dorastałem, marzyłem, żeby być takim jak on. Grał w rugby w uniwersyteckiej drużynie w Edynburgu i uważałem go za półboga.
- Chyba nie przypadł mi do gustu. Chciałam powiedzieć, że Hugh nie przepada za Rose.
- To tylko złudzenie, Floro. Wiem, że bywa oschły, ale...
- A czy Hugh i Rose... Czy mogło ich coś łączyć?
- Tych dwoje? Skąd ci to wpadło do głowy?

— Coś między nimi było.

— Na pewno nie to, o czym myślisz. — Oparł dłonie na jej ramionach. — Powiem ci coś, Floro. Jesteś zmęczona, zestresowana i stąd te przywidzenia. Ja też jestem wykończony. Wiesz, że nie spałem od trzydziestu sześciu godzin? Zaczynam padać z nóg. Idę spać. Dobranoc — ucałował ją czule.

— Dobranoc — odpowiedziała. — Miłych snów, Antony.

A ponieważ nie mieli już nic do roboty i nic do powiedzenia, dogasili ogień, wyłączyli światła i objawszy się ramionami, głównie dla podtrzymania równowagi, ruszyli powoli po ciemnych schodach.

I uppy zbudziła się wczesnym rankiem w błogim poczuciu szczęścia. Świergot ptaków dochodził z rosnącego tuż za oknem buka.

Od dawna nie miała takiego przebudzenia. Ostatnimi laty budziła się pełna złych przeczuć i niepokojów o losy rodziny, kraju, całego zmierzającego ku zagładzie świata. Narzuciła sobie codzienną lekturę prasy i oglądanie wieczornych telewizyjnych wiadomości, ale czasami — zwłaszcza wczesnym rankiem — gorzko tego żałowała. Zdarzało się, że chłodny brzask nie zapowiadał niczego dobrego i wówczas trzeba było wiele wysiłku, by wstać, ubrać się, przybrać tradycyjnie optymistyczny wyraz twarzy i zejść na śniadanie.

Ale ten rano był inny. Przebudzenie przypominało łagodne wypłynięcie z wyjątkowo pogodnego snu. Przez chwilę obawiała się poruszyć, a nawet otworzyć oczy z obawy, żeby sen nie rozpląnął się w chłodnej rzeczywistości.

JPowoli jednak uświadomiła sobie, że wszystko to jest jawą. Wszystko wydarzyło się naprawdę. Isobel wpadła na górę przy końcu kolacji i oznajmiła, że Flora dała się przekonać i że zostanie w Fernrigg po wyjeździe Antony'ego.

A więc nie wyjedzie dziś.

Tuppy otworzyła oczy. Ujrzała błysk słońca na mosiężnej poręczy łóżka. Była niedziela. Tuppy uwielbiała niedziele, które po powrocie z kościoła zwykła świętować wśród rodziny, bliskich i kulinarnych przysmaków. Tak było od zawsze. W Fernrigg do niedzielnego lunchu rzadko zasiadało mniej niż tuzin osób. Potem, w zależności od pory roku, dominował tenis, zawody sportowe na wyboistym trawniku lub długie, karkołomne spacery po wydmach Fhada. Popołudnia spędzali przy herbacie na tarasie lub przy kominku w salonie. Delektowano się serwowanymi prosto

z pieca jęczmiennymi plackami polanymi masłem i jagodową galaretką, ciastem z czekoladą lub owocami, no i oczywiście imbirowym biszkoptem, na który przepis Tuppy przywiozła aż z Londynu. Wieczór kończyły karty, przeglądanie niedzielnych magazynów, a jeśli wśród obecnych były dzieci, głośna lektura.

*Tajemniczy ogród, O czym szumią wierzby, Mała księżniczka*, cała klasyka gatunku. Ileż to tysięcy razy czytała ją na głos. *Dawno, dawno temu byt sobie piękny domek dla lalek...*

Ostatniego wieczora słuchaczem był Jason. Ale przytulone do jej ramienia drobne ciało i dotykająca jej podbródka główka, pachnąca wieczorną kąpielą, mogły równie dobrze należeć do każdego z malców. Każdego z jakże licznych malców. Czasami, gdy zmęczenie mąciło jej pamięć, zapominała, kiedy który z nich przyszedł na świat i kiedy ten świat opuścił.

James i Robbie, jej młodsi bracia, bawiący się ołowianymi żołnierzkami na dywanie przed kominkiem. Bruce, jej własne dziecko, bosonogi, istne żywe srebro, tak że wszyscy kręcili głowami, powtarzając, iż brak mu ojcowskiej ręki. Potem Torquil i Antony, a teraz Jason.

Może i różnili się wyglądem, ale każdy z nich rozniecał w sercu Tuppy ten sam radosny płomień, mimo że jej życie upływało na nie kończących się utraپieniach i obawach: złamane kończyny, porozbijane kolana, jak nie odra, to koklusz. Powiedz: „dziękuję”, spytaj: „czy mogę wyjść?”. *Tuppy, naprawdę nic się nie stało. To tylko Antony spadł z sosny.*

No i przełomowe wydarzenia. Nauka pływania, nauka jazdy na rowerze, wręczenie pierwszej wiatrówki. To było najgorsze. *Nigdy nie celuj w drugą osobę, nawet dla zabawy.* Mieli to powtarzać co wieczór na głos, tuż przed odmówieniem modlitwy.

Potem wyjazd do szkoły, smętne odliczanie dni, ukrywane łzy na peronie w Tarbole, spakowany nowy kuferek, a w nim słodczyce na drogę, twarze zawsze umorusane kolejową sadzą.

Chłopcy byli częścią długiej, złotej nici sięgającej w odległą przeszłość. Ale owa nić prowadziła też, cudownym zrządzeniem losu, ku przyszłości. Choćby Torquil: solidny, utalentowany Torquil, umiejący radzić sobie w życiu, małżonek Teresy, z którą był teraz w Bahrajnie. Torquil nigdy nie przysparzał Tuppy niepokojów. Co innego Antony. Niespokojny, zmienny i atrakcyjny, przywoził do Fernrigg całe tuziny dziewcząt, z których żadna nie była chyba tą jedyną. Tuppy zaczynała już wątpić, czy Antony kiedykolwiek się ożeni i ustakuje. Ale teraz, gdy spadła mu z nieba stara znajoma, Rose Schuster, Tuppy uwierzyła na nowo w moc cudów.



Rose... Zadawała sobie pytanie, czy Antony mógłby znaleźć bardziej czarującą dziewczynę, nawet gdyby szukał przez tysiąc lat? Naturalną reakcją Tuppy było pragnienie podzielenia się swoją radością z całym światem, zupełnie jakby otrzymała cenny podarunek. Nie tylko z Crowtherami i Stoddartami, których знаła tak blisko, że praktycznie zaliczała ich w poczet rodziny, ale z całym światem.

Pomysł zakiełkował i zaczął przybierać kształty. Isobel zapewniała ją, że wczorajsze party było pełnym sukcesem. Niestety, Tuppy nie brała w tym udziału i była zdana jedynie na frustrujący ją szum rozmów docierających z dalekiej jadalni. Do tego Hugh, ten stary okrutnik, zakazał gościom pokazywać się Tuppy na oczy, tak że odebrano jej nawet przyjemność radowania się nowymi twarzami i lokalnymi plotkami.

Ale z końcem przyszłego tygodnia... Tuppy przeprowadziła krótką kalkulację. Dziś jest niedziela. Antony zostawi Rose w Fernrigg i wpadnie po nią w najbliższy weekend. A więc mają tydzień. Całkiem sporo czasu.

Przygotują party. Tym razem prawdziwe party. Z tańcami. Już samo to słowo zabrzmiało muzyką i myśli Tuppy zaczęły pulsować w rytm *jigów* i góralskich *reelów*.

*Diddle diddle dum dum, dum dum dum.*

Palce stóp Tuppy zaczęły odliczać pod kołdrą takty. Ogarnęło ją podniecenie, a gdy załazek pomysłu przeistoczył się w gotowy plan, zapomniała o chorobie. Perspektywa śmierci, której zresztą nigdy nie brała całkiem serio, stała się czymś zupełnie nieistotnym. Nagle pojawiło się całe mnóstwo poważniejszych zadań i problemów.

Był już prawie dzień. Tuppy przekreśliła kontakt nocnej lampki i spojrzała na stojący przy jej łóżku mały, połączony budzik. Wpół do ósmej. Ostrożnie uniosła się i poprawiła łokciami poduszki. Sięgnęła po okulary, a potem po nocny kaftanik, który włożyła na siebie z niemałym trudem. Niezgrabnymi palcami zawiązała go na kokardkę pod szyją. Potem wyjęła z szuflady nocnego stolika papeterię i ołówek. U góry czystej kartki napisała:

*Pani Clanwilliam.*

Jej pismo, niegdyś iście kaligraficzne, było poskręcane, ale nie to było teraz ważne. Zastanowiła się, przebiegła myślą wszystkich sąsiadów i pisała dalej:

*Charles i Christian Drummondowie.*

*Harry i Francess McNeill.*

Najlepszy będzie piątek. Wymarzony wieczór na tańce, ponieważ sobotnia noc mogłaby niepostrzeżenie przejść w dzień święty i ludzie poczuliby się urażeni. Antony będzie musiał zwolnić się nieco wcześniej z pracy, by zdążyć na czas do Fernrigg, ale Tuppy nie wątpiła, że jakoś to załatwi. Lista wydłużała się.

*Hugh Kyk,*

*Elizabeth McLeod.*

*Johny i Kirsten Grantowie.*

W dawnych czasach wszystkie potrawy, łącznie z łososiem na zimno i wielkimi pieczonymi indykami, nie mówiąc o puddingach, które aż rozpływały się w ustach, pochodziły z kuchni Fernrigg, ale trudno było oczekiwać, że pani Watty sama się z tym wszystkim upora. Isobel będzie musiała porozmawiać z Andersonem z hotelu w Tarbole. Ma nieźle zaopatrzoną piwnicę i zdolnego kuchmistrza. A więc za wiktuały odpowiada Anderson.

Pojawiły się kolejne nazwiska. Crowtherowie, oczywiście Stoddartowie, no i ta para, która osiedliła się w Tarbole. Jegomość ma coś wspólnego z zamrażarkami.

*Tommy i Angela Cockburnowie.*

*Robert i Susan Hamiltonowie.*

*Didc!le diddle dum dum, dum dum dum.*

Mąż pani Cooper, kierowniczką poczty, gra na akordeonie i gdy się go ładnie poprosi, skrzyknie kilku muzykantów. Najważniejsze to skrzypce i perkusja. To też zadanie dla Isobel. I tym razem Jasona nie trzeba będzie namawiać. Tuppy wyobraziła go sobie wystrojonego w szkocką spódniczkę i welwetowy żakiet, należące niegdyś do jego dziadka.

Strona była prawie cała zapisana, ale Tuppy nie zamykała listy.

*Sheamus Lochlan.*

*Crichtonowie.*

*McDonaldowie.*

Sięgnęła po nową kartkę. Od lat nie była tak szczęśliwa.

.Przekazanie wiadomości domownikom przypadło w udziale Isobel. Udała się na Pietro, by przywitać się z matką i zanieść jej śniadanie. Do kuchni wróciła w stanie lekkiego szoku.

Upuściła tacę na stół, nie troszcząc się o naczynia. Taka ekspresja zupełnie nie licowała z jej charakterem, toteż wszyscy zamarli i skierowali na nią wzrok. Nawet Jason zastygł z ustami pełnymi jajeczniczy. Gość było nie

tak. Zmierzwione włosy Isobel wskazywały, że przed chwilą przeczesywała je rozbieganymi palcami, a łagodne zawsze oblicze wyrażało mieszaninę irytacji i desperacji.

Przez chwilę stała w milczeniu, koścista niczym palec losu, odziana w tweedową spódnicę i najlepszy odświętny sweter, zrezygnowana i najwyraźniej nie mogąca znaleźć słów. Już samo jej milczenie wywołało ogólną sensację. Pani Watty, zajęta obieraniem ziemniaków na obiad, zamarła z kozikiem w dłoni. Siostra McLeod, doprowadzająca do pełnego blasku ostatni z używanych poprzedniego wieczoru kieliszków, poszła w jej ślady. Flora odstawiła filiżankę z kawą, która wydała cichy, brzęczący dźwięk.

Ciszę przerwała wreszcie pani Watty.

— Co się stało?

Isobel przysunęła kuchenny taboret i opadła na niego ciężko, prostując nogi.

— Ona chce zorganizować jeszcze jedno party — oznajmiła.

Wszyscy domownicy rozejrzeli się po kuchni pełnej śladów zakończonej przed kilkoma godzinami uroczystości i pokręcili z niewiarą głowami. Przez chwilę jedynym dźwiękiem było tykanie staroświeckiego zegara.

Isobel powiodła wzrokiem po pobladłych twarzach.

— To prawda — rozproszyła ich wątpliwości. — W najbliższy piątek.

Mają być też tańce.

Tańce? Siostra McLeod na samą myśl o wirującej w rytm reelów powierzonych jej pieczy pacjentce podniosła się, przybierając oficjalną pozę.

— Po moim trupie — oświadczyła.

— Tuppy zdecydowała — kontynuowała Isobel, jakby nie słysząc słów pielęgniarki — że Anderson z hotelu w Tarbole zajmie się aprowizacją, a mąż pani Cooper zorganizuje kapele.

— Wielkie nieba! — westchnęła pani Watty, nie mogąc znaleźć bardziej adekwatnych słów.

— Ma już gotową listę gości, których trzeba będzie zaprosić.

Jason, nie bardzo świadomy powagi sytuacji, zajął się jajecznicą.

— Czy ja też jestem na liście? — spytał, ale wszyscy puścili to mimo uszu.

— Chyba nie wyraziła pani na to zgody? — spytała pielęgniarka, świdrując Isobel stalowym spojrzeniem.

— Oczywiście, że nie.

— I jaka była jej reakcja?

— Wzruszyła ramionami.

— Wykluczone — powiedziała McLeod. — Pomyślcie tylko o całym zamieszaniu, o hałasie. Pani Armstrong jest wciąż chora. Same przygotowania wykończą ją. Mam nadzieję, że nie zamierza brać udziału w zabawie.

— Pod tym względem może pani być spokojna. Przynajmniej tak sędzę — dodała Isobel, znająca swoją matkę.

— Ale skąd jej to przyszło do głowy? — wtrąciła się pani Watty. — Kolejne przyjęcie? Przecież nawet nie doprowadziliśmy do porządku jadalni po tym wczorajszym.

Isobel westchnęła.

— Chodzi o Rose. Tuppy chce, żeby wszyscy ją poznali.

Spojrzenia skierowały się w kierunku Flory. Ona sama, mając więcej niż ktokolwiek powodów, by wpaść w panikę, poczuła, że się rumieni.

— Ale ja nie chcę żadnego party — zaprotestowała. — Obiecałam, że zostanę na prośbę Tuppy. Skąd miałam wiedzieć, co się za tym kryje?

Isobel pogładziła ją po dłoni.

— Wczoraj wieczór jeszcze nic się za tym nie kryło. Tuppy wpadła na ten pomysł dziś nad ranem. To nie twoja wina. Ona po prostu uwielbia za bawy.

Flora próbowała znaleźć jakieś przeszkody.

— Czy nie za mało czasu? Przecież to prawie bal. Zaproszenia nie dojdą w pięć dni...

Ale Tuppy zdążyła pomyśleć i o tym.

— Zapraszać będziemy telefonicznie — wyjaśniła Isobel. — Chciałam powiedzieć, że to ja będę zapraszać — dodała zrezygnowanym głosem.

Siostra McLeod doszła do wniosku, że czas najwyższy zapanować nad całym tym szaleństwem. Usiadła i wygładziła biały fartuch, w którym przypominała do złudzenia nadąsaną gołębicę.

— Trzeba stanowczo odwieść ją od tego pomysłu — powtórzyła zdecydowanym tonem.

Pani Watty i Isobel zareagowały równoczesnym westchnieniem.

— Łatwo się to mówi — powiedziała Watty tonem matki bystrego, choć postrzelonego dziecka. — Ja i Isobel dobrze znamy panią Armstrong. Jak się uprze, nawet młotkiem nie wybije się jej tego z głowy.

Jason sięgnął po grzanekę i posmarował ją masłem.

— Jeszcze nigdy nie byłem na potańcówce — zauważył trafnie, ale i tym razem zbyt milczeniem.

— Może by Antony przemówił jej do rozumu? — spytała pielęgniarka w ostatnim przeblasku nadziei.

Pani Watty i Isobel pokręciły głowami. Antony na nic się tu nie przyda. Poza tym pewnie chrapie teraz smacznie, nadrabiając zaległości ostatnich nocy, i nikt nie ośmielił się zakłócić mu snu.

— A więc skoro nikt z rodziny nie umie wybić jej tego z głowy — oznajmiła z lekką pogardą pielęgniarka — będzie musiał to zrobić doktor Kyle.

Oblicza Isobel i pani Watty rozjaśniły się na dźwięk tego nazwiska. Że też nikt wcześniej o tym nie pomyślał!

— Doktor Kyle... — powtórzyła z namysłem Watty. — Tak, to niezły pomysł. Ona ani myśli słuchać naszych rad, ale doktor to coś zupełnie innego. Czy wybiera się do niej dzisiaj rano?

— Wybiera się — przytaknęła pielęgniarka. — Obiecywał, że wpadnie przed lunchem.

Watty oparła o blat stołu swoje masywne łokcie i zniżyła konspiracyjnie głos. — A więc na razie cicho sza. Po co dręczyć panią Armstrong naszymi obiekcjami? Zgadza się siostra? Niech lepiej zrobi to za nas doktor Kyle.

I tak ku ogólnej radości problem odłożono na później, a Flora poczuła, że nawet Hugh Kyle może zasługiwać na odrobinę współczucia.

Ranek dobiegał końca. Flora pomogła pani Watty zmyć talerze po śniadaniu, odkurzyła dywan w jadalni i przygotowała stół do lunchu. Isobel włożyła kapelusz i wyruszyła wraz z Jasonem do kościoła. Pani Watty wróciła do kulinarnych obowiązków, Flora, poinstruowana szczegółowo przez pielęgniarkę, udała się do Tuppy.

— Tylko ani słowa o tańcach — ostrzegła raz jeszcze siostra McLeod. — Jeśli nawet będzie coś o tym mówić, proszę zmienić temat.

Flora przyrzekła jej to uroczyście. Już miały wyjść z kuchni, gdy Watty przywołała ją z powrotem, otarła mokre ręce i wyciągnęła z szuflady sporą papierową torbę zawierającą kilka motków szarej włóczki, z której zamierzała zrobić sweter dla Jasona.

— Przynajmniej będziesz miała zajęcie — wyjaśniła Florze. — Zwiniecie mi to w kłębki. Czemu nie sprzedają tego porządnie rozmotanego? Nie chce im się czy co?

Flora posłusznie przystała na propozycję i obarczona torbą z włóczką ruszyła do sypialni Tuppy. Gdy tylko weszła, spostrzegła, że chora ma się

znacznie lepiej. Zniknęły cienie pod oczami i rozbiegane spojrzenie. Tuppy podniosła się i rozwarła szeroko ramiona.

— Wiedziałaś, że to ty. Dajże buziaka. Uroczo dziś wyglądasz. — Flora, pomna niedzieli, włożyła na siebie skromną spódniczkę i sweter z szetlandzkiej wełny. — Wiesz, że pierwszy raz widzę twoje nogi? — powiedziała Tuppy. — Nie mam pojęcia, dlaczego stale chowasz je pod spodniami. — Ucałowały się. Flora odeszła o krok, ale Tuppy przytrzymała jej ramię. — Gniewasz się na mnie? — spytała.

— A dlaczego miałabym się gniewać?

— O to, że cię zatrzymałam. Wiem, że nie powinnam była wykorzystać w tym celu Isobel, ale strasznie chciałam, żebyś została, a nic lepszego nie przyszło mi wczoraj do głowy.

To rozbroiło Florę.

— Wcale się nie gniewam — odparła z uśmiechem.

— Chyba nic pilnego cię nie goni? Naprawdę bardzo mi na tym zależało.

Puściła dłoń Flory i pozwoliła jej przysiąść na łóżku.

— Teraz podpadłaś w\$zystkim — powiedziała Flora, zapominając o ostrzeżeniach pielęgniarki. — Chyba sama o tym wiesz?

— Podpadłam? O czym ty właściwie mówisz?

— O tym, że jesteś w niełasce z powodu tego planowanego balu.

— Wielki mi bal! — zachichotała Tuppy. — Biedna Isobel, omal nie zemdlała, gdy jej o tym wspomniałam.

— Uparciuch z ciebie, Tuppy.

— Chyba żartujesz. Czemu nie mam zorganizować jeszcze jednego party? W końcu też mi się coś należy za to gnicie w łóżku.

— Należy ci się wypoczynek, a nie dzikie hulanki.

— Nie będzie w tym nic dzikiego. W tym domu bawiono się od tylu lat, że nikt nie będzie musiał się specjalnie napracować. Znam się trochę na tym.

— Isobel spędzi cały dzień przy telefonie, spraszając gości.

— Wyjdzie jej to na zdrowie. Przynajmniej trochę się rozrusza.

— Ale porządki, bukiety, przesuwanie mebli... to też drobnostka?

— Meble popruszują pan Watty. Zajmie mu to jedną chwilę. A co do bukietów... — Tuppy zawiesiła głos w natchnieniu. — W sam raz zajęcie dla ciebie.

— Skąd wiesz, że się na tym znam?

— No to wystarczą nam rośliny doniczkowe. Zresztą może to zrobić Anna. I przestań wreszcie szukać dziury w całym, bo przemyślałam to drobiazgowo.

— Pielęgniarka mówi, że wszystko zależy od tego, co powie Hugh.

— Ta wasza pielęgniarka łązi od rana jak szewc przy poniedziałku. A Kyle'em radzę ci się nie przejmować. Będzie zachwycony moim pomysłem.

— Na twoim miejscu nie liczyłabym na to.

— Na nic nie liczę. Znam go od małego i wiem, że potrafi iść w zaparte. — Twarz Tuppy przybrała nagle wyraz rozbawionego zaskoczenia. — Dziwne, że też tak szybko to zauważyłaś.

— Siedziałam wczoraj obok niego podczas kolacji. — Flora otworzyła papierową torbę i wyjęła pierwszy motek szarej włóczki. — Czujesz się na siłach, by pomóc w tym pani Watty?

— Jasne, że tak. Będę trzymała, a ty zwijaj.

Gdy tylko zabrały się do niezbyt skomplikowanego zajęcia, Tuppy powróciła do przerwanej rozmowy.

— A teraz opowiadaj, jak było wczoraj. Chcę znać wszystkie szczegóły.

Flora zdała relację, celowo entuzjastycznym tonem, nie skąpiąc zabawnych detali.

— Prawda, że mili są ci Crowtherowie? — spytała Tuppy, gdy Hora nie miała już nic więcej do opowiedzenia. — Zwłaszcza jego lubię. Przy pierwszym spotkaniu robi nieco przytłaczające wrażenie, ale to naprawdę złoty człowiek. Czy Hugh bawił się dobrze?

— Sądzę, że tak. Ale oczywiście wezwano go telefonicznie w połowie kolacji i musiał nas pożegnać.

— Kochany chłopak. Żeby tylko miał kogoś do pomocy. Chociaż z drugiej strony... — Tuppy opuściła ręce i Flora odłożyła motek, czekając, aż dokończy myśl. — Czasem wydaje mi się, że ta jego harówka jest czymś w rodzaju terapii. Tak się to chyba teraz nazywa?

— Masz na myśli śmierć jego żony?

— Tak. Dokładnie to. Uroczy był z niego malec. Przychodził tu często bawić się z Torquilem. Jego ojciec był naszym domowym lekarzem, chyba wspominałam ci już o tym? Bardzo skromny człowiek, zresztą z tych stron, ale świetny specjalista. Hugh też był bystry. Dostał stypendium, a potem wybrał się na studia medyczne na uniwersytet w Edynburgu.

— Podobno grał tam w reprezentacyjnej drużynie rugby.

— Pewnie Antony mówił ci o tym. Hugh był zawsze dla niego wyrocznią. Grał w rugby, ale ważniejsze, że skończył uczelnię z odznaczeniami, dostał Medal Gunninghama z anatomii i cały świat medycyny stał przed nim otworem. Sam profesor McClintock, ten sławny chirurg z kolegium Świętego Tomasza w Londynie, zaproponował mu staż w swojej klinice. Wszystkich nas rozpieierała duma. Dla mnie było to tak ważne, jakby chodziło o mojego rodzinnego syna.

Florze wszystkie te splendory nie bardzo pasowały do mrukliwego podczas wczorajszej kolacji sąsiada.

— Więc czemu tak mu się źle ułożyło? — spytała.

— Dobrze to określiłaś. — Tuppy uniosła znów oplecione włóczką ręce, a Flora zabrała się do roboty.

— Podobno był żonaty?

— Tak. Miała na imię Diana. Poznał ją w Londynie, zaręczyli się i przywiózł ją tutaj, do Tarbole.

— Znałaś ją?

— Znałam.

— Podobała ci się?

— Była bardzo urodziwa, czarująca i zadbana. O ile wiem, jej ojciec miał mnóstwo pieniędzy. Pewnie niełatwo jej było przystosować się do miejsca, w którym nie znała nikogo. Tarbole w niczym nie przypominało jej dawnego świata, a i ona nie bardzo tu pasowała. Sądzę, że miała nas wszystkich za strasznych nudziarzy. Biedny Hugh. Musiał wtedy gorzko to przeżywać. Oczywiście nie wtrącałam się w jego sprawy ani słowem. W końcu to nie moja rzecz. Podejrzewam, że jego ojciec był bardziej elo-kwentny. Może nawet za bardzo. Tylko że Hugh nie widział świata poza swoją Dianą i mało się przejmował naszymi opiniami. Nie chcieliśmy go stracić, ale szczerze pragnęliśmy, aby był szczęśliwy.

— A był?

— Nie wiem, Rose. Na dwa lata straciliśmy go z oczu i zobaczyliśmy go znów już po tym strasznym wypadku, w którym zginęła Diana, a on sam rzucił wszystko i wrócił do Tarbole, by przejąć praktykę po Ojcu. Od tamtej pory nie rusza się stąd nawet na krok.

— He to już lat?

— Niedługo będzie osiem.

— Myślisz, że otrząsnął się z tego? Że znów się ożeni?

— Nie. To nie w jego stylu.

Milczały. Kłębek był już całkiem spory. Flora zmieniła temat.



— Podobała mi się Anna.

Tuppy rozpromieniła się.

— Bardzo się cieszę. To kochana kobieta, ale trudno ją rozszyfrować. Jest strasznie nieśmiała.

— Mówiła mi, że pochodzi z tych stron.

— Tak. Bardzo przyjaźniłam się z jej ojcem. Nazywał się Archie Gar-stairs i przybył tu z Glasgow. Zbił wielką fortunę i wszyscy uważali go za prostaka, w tamtych czasach wielu głupców wysoko zadzierало nosa, ale ja zawsze go lubiłam. Był świetnym żeglarzem. Lubił brylować swoim oceanicznym jachtem. To przez żeglowanie trafił po raz pierwszy do Ardmore. Zakochał się w tamtejszej zatoce, krajobrazie i wcale mu się nie dziwię: nie ma drugiego takiego miejsca pod słońcem. Wkrótce po zakończeniu pierwszej wojny zbudował Ardmore House i spędzał tam coraz więcej czasu, aż wreszcie osiadł na stałe. Anna przyszła tam na świat. Archie ożenił się bardzo późno, pewnie przez lata gromadził majątek i nie miał czasu na ożenek, toteż Anna była dzieckiem dość leciwych rodziców. Jej matka zmarła kilka miesięcy po porodzie. Czasem myślę, że gdyby żyła dłużej, Anna byłaby zupełnie inną osobą. Ale tak to już bywa i nie do nas należy szukanie przyczyn.

— A Brian?

— Co Brian?

— Jak go poznała?

Tuppy uśmiechnęła się.

— Brian przyżegłował pewnego lata do Ardmore na obskurnej łajbie, którą holował tu aż z południa Francji. Archie zakładał wtedy jachtklub. To było jego oczko w głowie, a zarazem sposób na życie i łącznik z kumplami z dawnych rejsów. Brian zacumował, zszedł na ląd, by przepłukać gardło, a Archie-mu tak zaimponowały jego żeglarskie umiejętności, że od słowa do słowa zaprosił go do Ardmore House na kolację. Dla Anny był rycerzem z bajki, nadjeżdżającym na białym rumaku. Oddała mu serce od pierwszego wejrzenia i zakochała się w nim na umór.

— No i pobrali się.

— Oczywiście.

— A co na to jej ojciec?

— Przyjął to z rezerwą. Podziwiał Briana i nawet lubił go na swój sposób, ale nie wyobrażał go sobie w roli zięcia.

— Nie próbował wyperswadować Annie małżeństwa?

— Prawdę mówiąc, trochę i próbował. Ale upór cechuje czasem najbardziej nieoczekiwane osoby. Anna nie była już wtedy dzieckiem. Wiedziała, czego chce, i postawiła na swoim.

— Czy Brian też ją kochał?

Tym razem odpowiedź Tuppy poprzedziło długie milczenie.

— Nie sądzę. Myślę, że raczej ją lubił. Tak jak lubił wszystkie doczesne dobra, które wiązały się z poślubieniem Anny.

— Chciałaś powiedzieć, że ożenił się z nią dla pieniędzy?

— Nic nie chciałam powiedzieć, bo uwielbiam Annę.

— Czy to zresztą ważne, skoro są szczęśliwi?

— Czasami sama się nad tym zastanawiam.

— A czy Anna jest bardzo bogata?

— Jeszcze jak. Archie zapisał jej wszystko w testamencie.

— A Brian?

— Brian nie ma nic z wyjątkiem intercyzy. Według mnie to też niemało, ale cały kapitał i majątek stanowią własność Anny.

— A gdyby tak przypadkiem rozwiedli się?

— Wtedy, zgodnie z intercyzą, Brian idzie z torbami.

Florze stanęła przed oczyma Anna: onieśmielona, a równocześnie obsypana brylantami. Znów poczuła przypływ współczucia na myśl o tym, jak straszną rzeczą musi być małżonek przywiązany jedynie brzęczącym argumentem.

— Brian to bardzo atrakcyjny mężczyzna — powiedziała.

— Brian? Niewątpliwie. Atrakcyjny i sfrustrowany. Nie potrafi znaleźć sobie miejsca w życiu.

— Nigdy nie mieli dzieci?

— Anna poroniła tamtego lata, gdy byłaś tu z matką. Myślałam, że wiesz o tym. Pewnie wydarzyło się to już po waszym wyjeździe.

Prawie cały motek był już zwinięty. Pozostało jeszcze kilka nitek owiniętych wokół chudych nadgarstków Tuppy.

— Jest znów w ciąży — wyznała Tuppy. -Flora na moment zapomniała o włócznie.

— Anna? Jak się cieszę! Tuppy syknęła.

— Nie powinnam była o tym mówić. Wyrwało mi się. To miała być ta jemnica. Hugh wyznał mi ją, żeby mnie pocieszyć, gdy kiepsko się czułam. Obiecałam, że nie puszcę pary z ust.

— Nie musisz się obawiać — oświadczyła uroczyście Flora. — Właściwie już zapomniałam, co mówiłaś.

Hugh pojawił się w południe, gdy kończyły nawijać ostatni motek. Usłyszały jego kroki na schodach i w korytarzu. Zapukał do drzwi i po chwili znalazł się w pokoju. Miał na sobie garnitur, w którym zwykle odwiedzał pacjentów. Torba chybotwała mu w dłoni, a z kieszeni marynarki wystawał stetoskop. Przywitał się.

— Wyglądasz, jakbyś nie wiedział, że niedziela powinna być dniem odpoczynku — powiedziała Tuppy, obrzuciwszy go spojrzeniem.

— Zapomniałem, że to niedziela, zaraz po przebudzeniu. — Podeszedł do jej łóżka i od razu zaczął: — Doszły mnie dziwne wieści...

Tuppy przybrała minę męczennicy. — Wiedziałam, że ci powiedzą, zanim będę mogła z tobą porozmawiać.

Położył torbę na podłodze i oparł ramiona o poręcz łóżka.

— Teraz masz szansę.

Końcówka włóczki ześliznęła się z nadgarstków Tuppy i ostatni kłębek był gotów. — Zamierzamy w najbliższy piątek zorganizować małe party na cześć Rose i Antony'ego — wyjaśniła Tuppy, jakby chodziło o najzwyczajszą rzecz pod słońcem.

— A ile osób weźmie udział w tym „małym party”?

— Około... sześćdziesięciu. Najwyżej siedemdziesiąt — poprawiła się, patrząc pytająco.

— Siedemdziesiąt osób płasających w holu, popijających szampana i rozprawiających *do północy*. Jak to sobie wyobrażasz przy twoim obecnym stanie?

— Jak dobrze pójdzie, wyjdzie mi to na zdrowie.

— A kto to wszystko zorganizuje?

— Organizację mamy już z głowy. Zajęło mi to dokładnie pół godziny przed śniadaniem. Teraz umyvam ręce od całej sprawy.

Hugh sceptycznie pokręcił głową.

— Nie chce mi się wierzyć, Tuppy.

— Przestań zrędzić jak stara baba. Wszyscy panikują, jakby chodziło nie wiadomo o co.

— A co ty sądzisz o tym, Rose? — spytał Hugh, patrząc na Florę.

— Ja? — Zajęta była właśnie wkładaniem kłębków do papierowej torby. — Myślę, że to cudowny pomysł, ale jeśli uważasz, że mogłoby to zaszkodzić Tuppy...

— Ale z ciebie zdrajczyni — nie pozwoliła jej dokończyć. — Jesteś taka, jak cała reszta. Przecież mówię ci, że wszystko już ustalone — zwróciła się znów do Kyle'a. — Pan Anderson zajmie się aprowizacją, Rose kwiatami, Watty usunie meble z holu, a Isobel zaprosi wszystkich telefonicznie. I uprzedzam, Hugh, że jeśli nie pozbędziesz się zaraz tej kwaśnej miny, nie będziesz wśród zaproszonych.

— A czym ty się zajmiesz, Tuppy?

— Ja? Nawet palcem nie kiwnę. Będę sobie tutaj siedziała i gapiła się w sufit. — Jej niebieskie oczy były samą niewinnością.

Hugh spojrział na nią podejrzliwie.

— Żadnych gości — mruknął.

— Jak to: żadnych gości?

— A tak to, że nikt nie ma prawa wejść tutaj i zawracać ci głowę plotkami.

— Nawet jedna czy dwie osoby? — spytała z goryczą Tuppy.

— Najpierw jedna, potem druga, a pod koniec party twoja sypialnia będzie przypominała stację metra przy Piccadilly w godzinach szczytu. Powiedziałem: żadnych gości. I nie myśl, że wystarczy mi twoje słowo. Posadzę na straży przy drzwiach pielęgniarkę wyposażoną w szpikulec do mięsa, patelnię lub inną broń, jakiej sobie zażyczy. Umowa stoi, pani Armstrong! — Wyprostował się i podszedł do wezłowania łóżka. — A teraz, Rose, bądź tak miła, poszukaj pielęgniarki i powiedz jej, że jestem tutaj.

— Już po nią idę. — Flora, zwolniona z posterunku, ucałowała Tuppy, wstała z łóżka i opuściła pokój.

Siostra McLeod szła właśnie na górę i spotkały się na półpiętrze.

— Czy doktor Kyle jest u pani Armstrong? — spytała McLeod cierpkim tonem.

— Tak, czeka na panią.

— Mam nadzieję, że położy kres tym zwariowanym pomysłom.

— Nie jestem pewna. Podejrzewam, że party jest przesądzone.

— Niech nas Bóg ma w swojej opiece — westchnęła siostra.

Pani Watty przyjęła wiadomość bardziej po stoicku.

— Skoro tak bardzo chce tego party, czemu jej odmawiać? Damy sobie radę — dodała. — W tym domu było już tyle przyjęć, że poradzimy sobie, choćby przyszło nam stanąć na głowie.

— Ja mam zająć się kwiatami.

— A więc i tobie przydzielono robotę — uśmiechnęła się Watty. — Pani Armstrong jest mistrzynią w wynajdywaniu ludziom zajęć.

— Tylko że ja zupełnie się na tym nie znam. Wątpię, czy potrafiłabym ułożyć żonkile w wazonie.

— Dasz sobie radę. — Otworzyła kuchenny kredens i odliczyła talerze potrzebne do lunchu. — Czy doktor dał się łatwo przekonać?

— Nie tak łatwo, ale w końcu ustąpił. Pod warunkiem, że Tuppy zrezygnuje z odwiedzin. Pielęgniarka będzie czuwała przy jej drzwiach.

Pani Watty pokręciła głową.

— Biedny doktor Kyle. Musi martwić się o to wszystko, jakby miał mało własnych kłopotów. A do tego brak mu pomocnej ręki. Jessie Mc-Kenzie, ta jego gospodyni, udała się podobno przed dwoma dniami promem do Portree. Mieszka tam jej matka i zdaje się, że ze staruszką nie jest najlepiej.

— Przykra sprawa.

— Nie tak łatwo znaleźć w Tarbole gosposię. Większość kobiet pracuje teraz przy rybach: w porcie lub w wędzarniach. — Watty spojrzała na zegar i przypomniawszy sobie o mięsie w piekarniku, w jednej chwili zapomniała o kłopotach doktora Kyle'a.

Ostrożnie otworzyła drzwiczki i obie poczuły dobiegający z wnętrza zapach skwierczącego tłuszczu.

— Czy Antony wciąż jeszcze śpi? — Watty wyciągnęła szpikulec z pieczeni. — Chyba najwyższy czas, żebyś poszła go obudzić. Prześpi pół dnia i zaraz będzie chciał jechać.

Flora wyszła z kuchni. W holu usłyszała kroki doktora, który opuścił pokój Tuppy i zszedł na półpiętro. Przystanąła, gdy na nią spojrzał i — nie wiedząc czemu — poczekała, aż zejdzie na parter.

Okulary w rogowej oprawie nadawały mu dość dystyngowany wygląd. Gdy zszedł, zdjął szkła, włożył je do futerału i schował do kieszeni marynarki. Spojrzał na Florę. — Słucham? — spytał, jakby oczekiwał, że ma mu coś do powiedzenia.

Flora stwierdziła z zaskoczeniem, że tak jest w istocie.

— Powiedz, Hugh... Wczoraj wieczór nie chciałeś, żebym została.

Prawda?

Nie był przygotowany na taką otwartość. — Prawda. Ale coś mi mówi, że to właśnie wpłynęło na zmianę twojej decyzji.

— Dlaczego nie chciałeś, żebym została?

— Nazwijmy to przeczuciem.

— Przeczuciem kłopotów?

— Powiedzmy.

- Czy chodzi o to party?
- Mogłoby się bez niego obejść.
- Ale klamka zapadła?
- Przynajmniej na razie.

Liczyła, że powie coś więcej, a nie doczekawszy się odpowiedzi, postanowiła nie ustępować.

— Ale wszystko będzie dobrze? Chodzi mi o Tuppy.

— Pod warunkiem, że zastosuje się do moich poleceń. Siostra McLeod jest niepokieszona. Pograżyłem się zupełnie w jej oczach. Ale kto wie, czy Tuppy nie potrzeba właśnie takiego niewielkiego bodźca. Jeśli się mylę... — Nie do końca, co było aż nadto wymowne.

Wyglądał na strapionego, tak że Flora poczuła wbrew sobie przypływ współczucia.

— Nie przejmuj się — powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to optymistycznie. — Przynajmniej Tuppy robi to, co kocha najbardziej. Jak ta dziewięćdziesięcioletnia staruszka, która zapytana, jaką śmiercią pragnęłaby umrzeć, odpowiedziała, że zastrzelona przez zazdrosnego męża.

Zupełnie nieoczekiwanie twarz Kyle'a przybrała wyraz radosnego ubawienia. Flora nie widziała go dotąd szczerze uśmiechniętego i była zaskoczona nagłą zmianą jego oblicza. Przez moment dostrzegła w nim młodego, wesołego mężczyznę, jakim podobno niegdyś był.

— Właśnie — przytaknął.

Ranek był szary, łagodny i bardzo cichy. Teraz jednak wiatr rozpędził chmury i gdy tak stali w holu, całe wnętrze zaczęło mienić się od złocistej słonecznej poświaty. Blask przedostawał się do środka przez dwa wysokie okna po obu stronach wejściowych drzwi. W promieniach migotały drobiny pyłu, a niedostrzegalne poprzednio szczegóły nabrały wyrazistości i znaczenia: faktura jego garnituru, znoszonego i gdzieś przetartego; kieszenie workowate od mnóstwa rzeczy, które w nie upychał; jego pulower niezdarnie zacerowany na piersiach; no i dłoń, którą opierał podczas rozmowy o balustradę schodów. Flora zauważyła jej kształt, smukłość palców, sygnet, sterylną czystość skóry.

Zauważyła też jego zmęczenie. Uśmiech wywołany jej żartem trwał nadal, ale wyczerpanie było aż nadto widoczne. Wyobraziła sobie jego wczorajszą wyprawę na party; wkładanie wyjściowego garnituru, a jeszcze przedtem poszukiwanie czystej koszuli w pustym domu, którego gospodyni wyjechała właśnie do Portree odwiedzić chorą matkę.

— A ten wczorajszy telefon? — spytała Flora. — Mam nadzieję, że to nic poważnego.

— Przeciwnie. Stary, zniedołężniały mężczyzna, zdany wyłącznie na goniącą resztkami sił synową. Wstał z łóżka, by udać się do toalety i spadł ze schodów.

— Wszedł z tego cało?

— Kości są jakimś cudem nie naruszone, ale potłukł się i jest w szoku. Powinien trafić do szpitala. Czeka na niego miejsce w Lochgarry, ale on nie chce nawet o tym słyszeć. Urodził się w domu i pragnie tam umrzeć.

— Gdzie on mieszka?

— W Boturich.

— Nie znam tej miejscowości.

— Przy samym końcu Loch Fhada.

— Przecież to dobre piętnaście mil stąd.

— Coś koło tego.

— To kiedy wróciłeś do domu?

— Chyba o drugiej po północy.

— A kiedy wstałeś?

— A cóż to, przesłuchanie? — spytał wesoło.

— Musisz być zmęczony.

— Nie mam czasu na zmęczenie. No, na mnie już pora — dodał, spoglądając na zegarek i schylając się po torbę.

Podeszła do drzwi, by mu je otworzyć. Słońce odbijało się od wilgotnych drzew, żwiru podjazdu i płomiennych liści.

— Pewnie się jeszcze zobaczymy — dodał, powracając do swojej zwykłej manieri.

Flora patrzyła, jak schodzi po stopniach, wsiada do samochodu, mija gąszcz rododendronów i wyjeżdża przez otwartą bramę.

Pomimo ciepłej i słonecznej pogody poczuła drżenie. Weszła do domu, zamknęła drzwi i ruszyła na Pietro, by budzić Antony'ego.

Był już na nogach i golił się przed umywalką, przyodziany w parę szkarłatnych skórzanych pantofli i dwa ręczniki, z których jeden owinął wokół bioder, a drugi — niczym etolę — wokół szyi. Gdy wsunęła głowę przez drzwi, odwrócił się w jej kierunku. Jego twarz — połowa namydlona, połowa ogolona — wyglądała trochę śmiesznie, trochę niesamowicie.

— Posłano mnie, żebym cię zbudziła — powiedziała Flora. — Jest wpół do pierwszej.

— Wiem, dlatego wstałem. Wejdz. — Odwrócił się do lustra i podjął przerwana czynność.

Flora przymknęła drzwi i przysiadła na łóżku.

— Jak spałeś? — spytała, spoglądając na jego odbicie w lustrze.

— Jak kamień.

— Odzyskałeś siły?

— Przyznam — odparł po dłuższej pauzie — że to pytanie wzbudza we mnie pewien niepokój.

— I całkiem słusznie. W przyszły piątek czeka nas kolejne party. Tym razem z tańcami.

— Tak, teraz rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o odzyskaniu sił — dodał po chwili milczenia.

— Tuppy zaplanowała to wszystko jeszcze przed śniadaniem. Szła jak czołg i przekabaciła wszystkich, łącznie z Hugh Kyie'em. Jedyne pielęgniarka stanęła okoniem i chodzi teraz z nosem na kwintę.

— A więc wszystko przesądzone.

— Zgadłeś.

— I pewnie wszystko na cześć Antony'ego i Rose? Flora przytaknęła.

— Z okazji naszych zaręczyn — dodał.

— Znów strzał w dziesiątkę.

Skończył się golić. Odkręcił wodę, by umyć brzytwę.

— No to pięknie — westchnął.

— To moja wina — usprawiedliwiała się Flora. — Nie powinnam była zgodzić się na pozostanie.

— Skąd mogłaś wiedzieć? Kto mógł przewidzieć, że Tuppy wpadnie na taki pomysł?

— Trudno, stało się i chyba nic nie wymyślimy.

Pokiwał głową uwieńczoną lekko rudawymi włosami i spojrzał posepnym wzrokiem nie pasującym do jego pogodnego z reguły oblicza. Zdjął owinięty wokół szyi ręcznik i cisnął go na krzesło.

— Choćbyśmy myśleli do białego rana! Wpadliśmy w bagno po pachy, a w przyszły piątek pozostaną po nas tylko bąbelki. I do tego mętne...

— Może jednak dałoby się wyjść z tego z twarzą? Wyznaj wszystko Tuppy.

— Ten pomysł kielkował od rana w zakamarkach mózgu Flory, ale dopiero teraz zdobyła się na wyartykułowanie go głośno, nawet przed sobą.

— Wykluczone — stwierdził Antony.



— Ale...

— Powiedziałem, że wykluczone. Załóżmy nawet, że Tuppy czuje się lepiej. Załóżmy, że Isobel wszystko poplątała, a Tuppy wyzdrowieje jakimś cudem. Ale pamiętaj, że ma swoje lata, że zdrowie już jej nie dopisuje i jeśli stanie się jej cokolwiek kosztem naszego czystego sumienia, nigdy sobie tego nie wybaczę. Nie jesteś w stanie tego zrozumieć?

— Tak, jestem — westchnęła bezradnie Flora.

— Wiedziałem, że wspaniała z ciebie dziewczyna. — Nachylił się i ucałował ją. Skórę na policzku miał gładką, pachnącą mydłem i cytryną. — Ale teraz wybacź, muszę włożyć coś na siebie.

Po południu zaczął się odpływ. Flora i Antony wybrali się na przechadzkę, umykając niktzemnie przed Jasonem, który bardzo chciał im towarzyszyć. Zabrali ze sobą psy — również Sukey, ściągniętą bezceremonialnie z łóżka Tuppy — i ruszyli w stronę piasków Fhada, bielejących po cofnięciu się morza. Zmierzali ku odległym, łamiącym się grzywaczom, a zachodni wiatr chłostał im twarze ostatnimi słonecznymi podmuchami.

Nie była to przyjemna przechadzka. Zbliżający się wyjazd Antony'ego ciążył nad nimi niczym przeznaczenie i niemal nie odzywali się słowem. Ale nawet milczenie miało w sobie coś pokrzepiającego i Flora czuła, że Antony przeżywa w myślach dokładnie to samo, co ona.

Zatrzymali się na granicy morza. Antony znalazł długą, obrośniętą glonami linę i cisnął ją w fale, żeby rozruszać nieco Plummera, który z entuzjazmem rzucił się za nią, rozpryskując na wszystkie strony wodę. Po chwili wrócił z liną w oblepionym glonami pysku. Sukey, przywykła do sypialnianych komfortów, przysiadła bezpiecznie na uboczu i przyglądała się temu sceptycznie. Plummer wypuścił z pyska linę, otrzepał się i oczekiwał z mokrymi, ustawionymi na sztorc uszami na powtórkę. Antony rzucił linę jeszcze dalej i Plummer raz jeszcze zanurkował w grzywaczach.

Nie bacząc na wiatr, przyglądali się jego wyczynom.

— Musimy im coś powiedzieć — przerwała milczenie Flora. — Przecież prędzej czy później muszą poznać moją tożsamość. Może czyste sumienie jest luksusem, ale nie potrafię żyć już zawsze ze świadomością tego, co zrobiliśmy. Przykro mi, Antony, ale po prostu nie potrafię.

Twarc miał kamienną i lekko zaczerwienioną od wiatru. Wcisnął dłoń głęboko w kieszenie i pokiwał głową.

— Rozumiem cię. Sądzisz, że o tym nie myślę? — Znów spojrzał na nią. — Tylko że to ja, a nie ty, będę im musiał o tym powiedzieć.

Trochę ją to zabolalo.

— Nie myślałam nawet, że może być inaczej.

— I słusznie. Wiem, że ten tydzień nie będzie dla ciebie łatwy. Nic się nie poprawi, co najwyżej może się pogorszyć, a na dodatek nie będziesz mogła liczyć na pomoc z mojej strony. W najbliższy weekend, zaraz po tańcach, jeśli Tuppy będzie czuła się dobrze, pozbędziemy się tego ciężaru. Wspowiadamy się, jeśli wolisz to słowo. — Skurczył się na samą myśl. — Ale na razie obiecuj mi, że nie wspomnisz o tym nikomu.

— Antony, ja naprawdę nie mogę.

— Obiecuj.

Cóż miała zrobić? Słońce skryło się za chmurą i nagle poczuli chłód. Czekali, drżąc z zimna, aż wróci Plummer, a potem zawrócili i poczłapali w stronę domu.

Gdy przybyli, pani Watty zakazała Plummerowi wstępu do kuchni, zanim nie wyschnie. Sukey popędziła jak strzała do sypialni Tuppy. Antony i Flora rzucili kurtki i gumowce i udali się do salonu, gdzie Isobel i Jason popijali właśnie gorącą herbatę, śledząc zapierający dech w piersiach telewizyjny serial. Konwersacja nie wchodziła w rachubę, toteż przyłączyli się do widowni i racząc się grzankami z masłem, kontemplowali bezmyślnie ciosy mieczy i pościgi po krętych, oświetlonych łuczywami schodach. W końcu film dobiegł końca, a główny bohater trafił do lochu, w którym miał pozostać aż do następnego odcinka. Isobel wyłączyła telewizor, a Jason dopiero teraz spostrzegł Antony'ego i Florę.

— Chciałem też wybrać się z wami, ale mi uciekliście.

— Przepraszam, Jason — odparł Antony głosem bynajmniej nie wyrażającym przeprosin.

— Zagramy w karty?

— Nie dziś — Antony odstawił pustą filiżankę. — Muszę spakować się i wracać do Edynburga.

— Pomogę ci.

— Sam dam sobie radę. Zresztą Rose mi pomoże.

— A ja to co? — głos Jasona przeszedł w zdesperowany pisk. Przy niedzieli często wpadał w zły humor, ponieważ zbliżający się poniedziałek oznaczał kolejny szkolny tydzień.

Isobel wtrąciła się dyskretnie. — Antony i Rose mają sporo tematów do omówienia i nie powinniśmy im przeszkadzać. Ja zagram z tobą, jeśli oczywiście pofatygujesz się po karty.

— To nieuczciwe...

— Wolisz piotrusia czy loteryjkę?

Zostawili Jasona rozkładającego karty do loteryjki na dywaniku przed kominem i udali się do pokoju Antony'ego: pośpiesznie schludnego, jakby nikt w nim nie nocował. Zasłony w oknach były zasunięte, a lampa nie dodawała przytulności. Antony wkładał do walizki przybory do golenia, podczas gdy Flora zajęła się czystymi koszulami i szlafrokiem. Nie zabrało to wiele czasu. Antony ułożył oprawione w srebro szczotki do włosów na samym wierzchu, przymknął wieko walizki i zatrzasnął zamki. Pokój, pozbawiony tych atrybutów, sprawiał jeszcze bardziej ponure wrażenie.

— Dasz sobie radę? — spytał.

Wyglądał tak smętnie, że nie mogła odmówić sobie uśmiechu.

— Jasne, że tak.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej karteczkę.

— Na wszelki wypadek masz tu moje telefony. Ten pierwszy do biura, a drugi domowy. Jeśli zechcesz przekazać mi coś poufnego, weź samochód i jedź do Tarbole. W porcie jest budka telefoniczna.

— Kiedy wrócisz?

— W piątek po południu, jak dobrze pójdzie.

— Będę czekała — dodała zupełnie niepotrzebnie.

— Mam nadzieję.

Z walizką w ręku poszedł pożegnać się z Tuppy, a Flora zeszła do salonu, by poinformować Isobel i Jasona, że Antony jest już gotów do drogi. Jason nie omieszkał powiadomić o tym pani Watty, która wyłoniła się z kuchni z pudełkiem świeżo upieczonych bułeczek i torbą jabłek. Nie mogła znieść myśli, że ktokolwiek z rodziny może opuścić dom z pustymi rękami. Antony zszedł do holu, ucałował wszystkich i poprosił, by nie pracowali ponad siły.

— No to do piątku — padło chóralne pożegnanie, po czym wszyscy wrócili do swoich zajęć, a Antony i Flora zostali sami pod zmierzającym niebem. Samochód czekał na wyźwirowanym podjeździe. Jego właściciel cisnął walizkę na tylne siedzenie i uściskał Florę.

— Szkoda, że odjeżdżasz — powiedziała niepewnym głosem.

— Ja też żałuję. Trzymaj się. I nie angażuj się zbytnio w to wszystko.

— Już się zaangażowałam.

— Wiem o tym — rzucił bezradnie.

Patrzyła, jak odjeżdża i jak tylne światła samochodu nikną za bramą. Weszła do domu, przymknęła drzwi i przez chwilę stała samotna w pustym

holu. Z salonu dobiegały głosy Isobel i Jasona rozemocjonowanych grą. Flora spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Uznała, że najlepszą rzeczą będzie teraz kąpiel.

Jej sypialnia, która początkowo wydawała się tak przytulnym miejscem, w półmroku sprawiała wrażenie obcego pomieszczenia; pokój gościnny dla przybysza z dalekich stron. Zaciągnęła zasłony i zapaliła nocną lampkę, co tylko w niewielkim stopniu poprawiło nastrój. Włączyła elektryczny kominek, uklękła na dywaniku i przysunęła się jak najbliżej do nabierającej rumianej barwy kratownicy.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że cierpi na utratę tożsamości. Antony wiedział, że jest Florą, ale ona nie wiedziała początkowo, że to aż tak ważne. Teraz, gdy odjechał, wyglądało na to, że zabrał prawdziwą Flore ze sobą, a w Fernrigg pozostała jedynie Rose. Czuła, że straciła całą wiarę w Rose, a może i resztki sympatii. Próbowала sobie wyobrazić siostrę w Grecji: opalającą się, tańczącą w blasku gwiazd przy dźwiękach gitar czy innych instrumentów, przy których płąsa się na Spetsai. Ale żaden z tych tworów wyobraźni nie miał głębi. Wszystkie były płaskie, dwuwymiarowe niczym podretuszowane widokówki. Nie, Rose nie była w Grecji. Rose była tu, w Fernrigg.

Flora poczuła mróz w palcach. Przysunęła dłonie do promieniującego ciepłem kominka. *Jestem Florą. Jestem Florą Waring.*

Obietnica złożona Antony'emu ciążyła na jej sumieniu jak młyński kamień. Może właśnie dlatego tak bardzo pragnęła wyznać prawdę. Komukolwiek. Każdemu, kto wysłuchałby i zrozumiał.

Ale komu?

Odpowiedź była tak oczywista, że zdziwiła się, iż wcześniej nie przyszło jej to do głowy. „Obiecuj, że nie powiesz o tym nikomu z nich” — prosił Antony. Dała mu słowo. Ale przecież obietnica dotyczyła jedynie Arm-strongów, mieszkańców tego domu.

W kącie sypialni stało niewielkie biurko, którego Flora nie ośmieliła się jak dotąd spenetrować. Wstała, podeszła do niego i uniosła blat. Wewnątrz spoczywały w nienagannym porządku: wykwinntna papeteria, koperty, bibularz i pióro w srebrnej obsadce. Przysunęła krzesło, wzięła w dłoń pióro, sięgnęła po białą kartę i napisała datę.

Zabrała się do bardzo długiego listu, którego adresatem miał być jej ojciec.

## ROZDZIAŁ 8

### BRIAN

Nazajutrz rano, gdy Flora schodziła na śniadanie, zadzwonił telefon. Była właśnie w holu i w pierwszej chwili zawahała się. Gdy nie pojawił się nikt z domowników, postanowiła ich wyręczyć i przysiadłszy na skrzyni, podniosła słuchawkę.

— Słucham?

— Czy to Fernrigg? — odezwał się kobiecy głos.

— Tak, Fernrigg.

— Isobel?

— Nie... czy mam ją poprosić?

— To ty... Rose?

— Tak, to ja — odparła Flora po chwili wahania.

— Jakże się cieszę. Mówi Anna Stoddart.

— Cześć, Anno. Chciałaś rozmawiać z Isobel?

— Nie fatyguj jej. Chciałam po prostu podziękować wam za to sobotnie przyjęcie. Wspaniale się bawiłam...

— Miło słyszeć. Zaraz przekażę to Isobel.

— Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale wczoraj na śmierć zapomniałam, a dziś jadę do Glasgow. Dosłownie za chwilę. Pomyślałam sobie, że muszę wcześniej wam podziękować.

— No to miłej podróży.

— Dzięki, Rose. Zresztą wybieram się tam tylko na parę dni. Może po moim powrocie wpadniesz do Ardmore? Zjemy razem lunch, posiedzimy, pogadamy...

Nie dokończyła, jakby już i tak za dużo powiedziała. Flora nie mogła znieść jej nieśmiałości.

— Jasne, że wpadnę — zapewniła szybko entuzjastycznym tonem. — Dziękuję za zaproszenie. Marzę, żeby zobaczyć wasz dom.

— Naprawdę? To wspaniale. Może zadzwoniłabym do ciebie po powrocie?

— Koniecznie. Słyszałaś już o planowanym balu?

— O jakim balu?

— Myślałam, że doszło to już do ciebie pocztą pantoflową. W najbliższy piątek organizujemy party z tańcami. Tuppy wymyśliła to wszystko wczoraj rano.

— W ten piątek? — spytała Anna z niedowierzaniem, czemu zresztą trudno było się dziwić.

— Dokładnie w ten. Biedna Isobel będzie musiała spędzić przy telefonie całe dzisiejsze przedpołudnie, zapraszając gości. Powiem jej, że już cię zawiadomiłam i przynajmniej będzie miała jedno zaproszenie z głowy.

— To niesłychane. Dobrze, że mi powiedziałaś, bo kupię sobie coś na tę okazję w Glasgow. Naprawdę nie mam co na siebie włożyć...

Znów zawiódł ją głos. Anna powinna była stanowczo żyć w czasach przed wynalezieniem telefonów. Flora miała już zakończyć rozmowę życzeniami udanych zakupów w Glasgow, gdy Anna odezwała się znowu:

— Poczekaj, nie odkładaj słuchawki.

— Przecież nie odkładam.

Przez chwilę słychać było jakieś szmery, po czym znów zabrzmiał głos Anny:

— Brian chce z tobą rozmawiać. Do zobaczenia, Rose.

— Brian? No to cześć, Anno. Baw się dobrze.

W chwilę potem Flora usłyszała w słuchawce dudniący głos Briana Stoddarta.

— Rose?

— Dzień dobry — powiedziała niepewnie.

— Nietypowa godzina na telefoniczne rozmowy. Jadłaś już śniadanie?

— Właśnie zamierzam.

— Czy Antony już wyjechał?

— Tak, wczoraj po podwieczorku.

— A więc zostałaś słomianą wdową. Anna też osieroci mnie lada moment. Może by tak wspólnie powetować sobie ból rozłąki? Zapraszam cię na kolację.

Przez mózg Flory przebiegło równocześnie kilka sprzecznych myśli, ale najważniejsza z nich podpowiadała, że skoro Anna przysłuchuje się rozmowie, w zaproszeniu nie kryje się chyba żaden podtekst. Ale co powie na to Tuppy? Co pomyśli sobie Isobel? Czy to aby rozsądne spędzić

wieczór z nieznanym, a do tego tak atrakcyjnym mężczyzną? A jeśli nawet propozycja Briana jest niewinna i czysto kurtuazyjna, czy naprawdę mam ochotę z niej skorzystać?

— Rose?

— Tak, słucham.

— Myślałem, że się wyłączyłaś. Nie słyszałem nawet twojego oddechu. O której mam po ciebie wpaść?

— A skąd wiesz, że się zgadzam?

— Już się zgodziłaś. Przestań grać niewiniątko. Wpadniemy „Pod Kotwicę” w Lochgarry i podtuczę cię trochę homarami. No, na mnie już czas. Anna lada moment wyjeżdża i czeka, żebym ją odprowadził. Będę u ciebie między siódmą a ósmą. W porządku? Isobel, jeśli będzie łaskawa, może postawić mi drinka. Pozdrów Tuppy i podziękuj Isobel za sobotnie party. Oboje wspaniale się bawiliśmy. A teraz do zobaczenia.

Wyłączył się, pozostawiając Florę z niema słuchawką. Oburzające zachowanie. Powoli odłożyła słuchawkę na widełki. Pokręciła głową i uśmiechnęła się, bo wszystko to było w sumie śmiechu warte. Telefoniczne zaloty Briana były nadto ostentacyjne, aby mogły być niebezpieczne, a nawet prawdziwe. Gała sprawa wydawała się zbyt trywialna, by łamać sobie nią głowę. Poza tym lubiła homary.

Uświadomiła sobie, że jest głodna; postanowiła pomyśleć o śniadaniu.

Jason wyruszył już do szkoły w asyście pana Watty. Isobel siedziała wciąż przy kuchennym stole, zagłębiona w lekturze listu, dopijając poranną kawę w towarzystwie pielęgniarki. Pani Watty kroїła przy oknie mięso na pasztet.

— Wydawało mi się, że ktoś dzwonił? — spytała. Lubiła wiedzieć, co dzieje się w domu.

— Tak, odebrałam. — Flora usiadła przy stole i napełniła talerz płatkami kukurydzianymi. — Telefonowała Anna Stoddart. Kazała ci podziękować, Isobel, za sobotni wieczór.

Isobel uniosła wzrok znad listu.

— To miłe z jej strony — rzuciła obojętnym tonem.

— Wyjeżdża na kilka dni do Glasgow.

— Chyba wspominała mi coś o tym.

— Brian pytał, czy nie wybrałabym się z nim dziś wieczór na kolację. Flora śledziła uważnie twarz Isobel, oczekując choć śladu dezaprobaty. Isobel uśmiechnęła się jednak.

— Niezły pomysł. Ładnie to o nim świadczy.

— Mówił, że pod nieobecność Antony'ego i Anny moglibyśmy oboje dotrzymać sobie towarzystwa. Wpadnie po mnie po siódmej i pytał, czy nie poczęstowałabyś go drinkiem.

Isobel wybuchnęła śmiechem, ale pani Watty oświadczyła, że Brian to kawał natrętnego czorta.

— Nie lubisz go, Watty?

— Może nawet i lubię, ale straszny z niego tupeciarz.

— Watty chciała powiedzieć, że Brian nie ma w sobie szkockiej powściągliwości — wyjaśniła Isobel. — Moim zdaniem to ładnie z jego strony, że pomyślał o samotnej Rose.

— Przy okazji powiedziałam im o piątkowych tańcach, więc nie musisz już do nich dzwonić. Anna zamierza kupić sobie na tę okazję nową suknię.

— Biedna Anna.

— Co masz na myśli?

— Stale kupuje sobie coś nowego. Wydaje fortunę na stroje, a wszystkie, wypisz wymaluj, identyczne — westchnęła Isobel. — Czas najwyższy pomyśleć, w co my ubierzemy się w piątek. Mam ochotę założyć raz jeszcze tę niebieską koronkową suknię, ale podejrzewam, że opatrzyła się już wszystkim.

— Do twarzy ci w niej — pośpieszyła z zapewnieniem Watty.

— Cóż z tego, skoro widziano mnie już w niej setki razy.

— A ty, Rose? W czym wystąpisz?

Pytanie spadło na Florę jak grom z jasnego nieba. Może dlatego, że wieczorowa kreacja była ostatnim z problemów kojarzących się jej z Tup-py i z piątkowym balem. Powiodła wzrokiem po twarzach Isobel i pani Watty. — Nie mam pojęcia...

Pielęgniarka spojrzała na Florę z niedowierzaniem. Wciąż sprzeciwiała się niezłomnie piątkowym tańcom, ale gorączkowa atmosfera i jej się udzieliła. Zresztą — jak przystało na starą pannę z zasadami — podejrzewała, że Flora przyjechała do Fernrigg z suknią balową i co najmniej jedną kolia.

— Chyba znajdzie się coś w pani walizce? — spytała.

— Wątpię — odparła Flora. — Wpadłam tu tylko na weekend. Skąd mogłam wiedzieć, że skończy się to balem?

Zaległa grobowa cisza i wszystkie próbowały przetrwać jakoś tę informację.

— Ta sobotnia kreacja nie była zła — zaryzykowała Isobel.



—Masz na myśli spódniczkę czy bluzkę? — spytała Flora.

—O czym wy mówicie? — zachnęła się Watty. — W końcu to bal na twoją cześć, Rose. Powinnaś wystąpić w czymś odpowiednim.

Flora poczuła, że nie może ich rozczarować.

—Może kupiłabym sobie coś tu? — spytała.

—W Tarbole na pewno nic nie znajdziesz — odparła Isobel. — Ani w Tarbole, ani nigdzie w promieniu stu mil.

—Że też nie pojechałam z Anną do Glasgow.

—A może znalazłoby się coś do przeróbki u was? — zaproponowała McLeod.

Przez moment Flora delectowała się wizją wieczorowej sukni przerobionej z antycznej pościeli. Isobel pokręciła głową.

—Nawet gdyby coś się znalazło, żadna z nas nie jest krawcową.

—Ja tam nigdy nie bałam się igły — odparła desperacko pielęgniarka. — A poza tym mam więcej czasu niż każda z was.

—A więc Rose mogłaby na panią liczyć?

—Jeśli mogę się przydać...

Na sam dźwięk tych słów Watty odłożyła nóż, a jej oblicze przybrało wyraz zupełnie nie pasujący do czynności krojenia mięsa.

—A nie pomyślałyście o zakamarkach na strychu? — spytała. — Pełno tam kufków pani Armstrong. Wyobraźcie sobie, jakie mogą kryć się w nich skarby.

—Głównie kulki na mole — westchnęła Isobel. — Wszystko to cuchnie na milę naftaliną.

—Wystarczy przeprać i przewietrzyć.

Pomysł spodobał się. Watty zapomniała o nożu, opłukała ręce i oznajmiła, że wybiera się na strych, bo jak już, to już. Przyznały jej rację. Całą czwórka ruszyły na poddasze.

Poddasze było przepastne i rozciągało się od krańca po kraniec domu. Było też mroczne, zasnute pajęczynami, pachnące kamforą i starociami. Flora nie mogła oderwać wzroku od mnóstwa zgromadzonych tam bajecznych przedmiotów: starej wagi z mosiężnymi odważnikami i przymocowaną do niej skalą, wózka dla lalek pamiętającego czasy królowej Wiktorii, krawieckiego manekina, mosiężnych dzbanów, w których gotowano pewnie kiedyś wodę na kąpiel.

Ale Watty, zapalwszy lampę naftową, ruszyła prosto ku ulokowanym pod ścianą kufrom. Wyglądały solidnie i przepastnie, a każdy z nich miał wypukłe wieko i skórzane, służące do przenoszenia uchwyty. Watty i Iso-

bel uniosły wieko pierwszego. Był wypchany po wierzch garderobą. Zapachniało mocno naftaliną. Już po chwili kufer zaczął odkrywać swoje skarby; tak subtelne, że oczom nie chciało się wierzyć. Czarny jedwab haftowany dżetami, suknia z atlasu w kolorze herbacianych róż, wykończona na dole frędzlami, luźny żakiet *boucle*, laminowany strzępionym szyfonem, który — jak zapewniła Isobel — był kiedyś strojem popołudniowym.

— Czy Tuppy naprawdę wszystko to nosiła? — spytała Flora.

— Tak, kiedyś uwielbiała się stroić. A jak przystało typowej Szkotce, wszystko to przechowywała na lepsze czasy.

— Cóż to jest?

— To? Wieczorowa narzutka. — Isobel otrzepała zmięty welwet i dmuchnęła na futrzany kołnierz. Wystraszony mól pierzchnął ze swojej kryjówki. — Pamiętam ją w tym... — Isobel rozmarzyła się na wspomnienie dawnych dni.

Zanosiło się na dłuższą podróż w czasie. Flora już chciała zaproponować, że może jednak pojedzie do Tarbole, wsiądzie w pierwszy pociąg do Glasgow i kupi sobie jakiś ciuch, gdy nagle Watty wyciągnęła z kufra coś, co niegdyś było z całą pewnością białym, obszytym koronką batysem. Przypominało to na pierwszy rzut oka leciwą chusteczkę do nosa, ale po bliższych oględzinach okazało się sukienką z wysoką stójką i długimi rękawami.

— Tenisowy strój Tuppy — wyjaśniła rozanielona Isobel.

— Jaki strój? — spytała z niedowierzaniem Flora. — Chyba nie chcesz powiedzieć, że uganiała się w tym po korcie?

— Oczywiście, że tak. Gdy była młodą dziewczyną. — Isobel wzięła sukienkę z rąk Watty i przyłożyła do swoich ramion. — Co siostra na to? Dałoby się coś z tego zrobić?

Pielęgniarka obmacała materiał, przyglądając się mu okiem fachowca.

— Niezłe... i ładnie wykończone.

— Ale dla mnie chyba zbyt kuse — zastrzegła się Flora.

McLeod przełożyła sukienkę do jej talii. Okazała się oczywiście zbyt krótka, ale zdaniem pielęgniarki, krój był klasyczny.

— Trochę się ją podłuży i nikt nic nie zauważy.

Flora uważała w skrytości ducha, że krój jest koszmarny, ale zawsze było to lepsze niż perspektywa stareńkiej pościeli, nie mówiąc o wyprawie do Glasgow.

— Jest zupełnie przeźroczysta — jęknęła. — Będę musiała włożyć coś pod spód.

— Podszyje się — uspokoiła ją McLeod. — Nabierze odcienia. Różowy by pasował.

Różowy? Flora pomyślała, że do pełni szczęścia brakuje jej tylko różowości, ale zachowała to dla siebie. Pani Watty i Isobel wpatrywały się jedna w drugą, szukając natchnienia.

Potem Watty przypomniała sobie, że gdy ostatnio zmieniano zasłony w sypialni Isobel, zostało sporo całkiem ładnego materiału. Będzie co najmniej jedna długość i gdzieś to musi się poniewierać. Gorączkowe medytacje, i poszukiwania uwieńczył wkrótce triumfalny okrzyk. Watty dzierżyła dumnie w rękach materiał wydobyty z górnej szuflady zawerniksowanej na żółto komódki.

— Wiedziałam, że gdzieś to włożyłam. Zapomniałam na śmierć gdzie.

Kolor przypominał pisanekę zanurzoną w niebieskiej farbcie do odzieży. Watty dumnie rozwinęła materiał i przyłożyła go do żółtawego batystu, demonstrując koncepcję sukni balowej Flory.

— Co o tym sądzisz? — spytała.

Błękit był mimo wszystko lepszy niż róż. Gdyby jeszcze to wyprać, sukienka mogłaby wyglądać nie najgorzej. Flora spostrzegła, że cała trójka przygląda się uważnie jej niepewnej minie, oczekując aprobaty. Trzy przypadkowo dobrane wróżki, promujące wytęsknionego Kopciuszka na królową balu. To wstyd, że nie wykazała od razu entuzjazmu. Żeby jakoś im to powetować, uśmiechnęła się i powiedziała, że sukienka jest boska i że w całym Glasgow nie znalazłaby lepszej kreacji.

Nadeszło popołudnie, a długi list do Ronalda Waringa wciąż nie był wysłany. Pierwszym powodem był brak znaczka. Drugim brak skrzynki pocztowej. Gdy po lunchu Isobel spytała Florę, co zamierza robić, ta przypomniała sobie o liście.

— Może wybrałabym się do Tarbole? Chcę posłać list.

— Świetny pomysł. Skończyła mi się śmietana i mogłabyś przy okazji kupić trochę. Jeśli odbierzesz Jasona ze szkoły, pan Watty nie będzie musiał specjalnie jechać po niego. Chyba umiesz prowadzić samochód?

— Jeśli tylko nie boicie się oddać waszego w moje ręce...

— Weź furgonetkę — zaproponowała Isobel. — Nawet jeśli w coś wjedziesz, nic ci się nie stanie.

Wystarczyło wspomnieć o wyjeździe do Tarbole i od razu Florę obarczono dodatkowymi zadaniami. Pielęgniarka potrzebowała cienkich igieł i niebieskiego jedwabiu do wykończenia sukienki. Tuppy zapragnęła serwetek do twarzy i dziesięć deko cukierków miętowych. Flora, z listą żaku-

pów w dłoni, udała się do kuchni, gdzie spodziewała się zastać panią Watty.

— Jadę do Tarbole. Odbiorę Jasona ze szkoły. Czy trzeba coś kupić?

— Czy mój stary wie, że nie musi jechać po chłopaka?

— Jeszcze nie. Zaraz mu powiem. Isobel pozwoliła mi skorzystać z furgonetki.

— Skoro mój chłop nie jedzie — powiedziała Watty, podchodząc do lodówki — mogłabyś przekazać to w moim imieniu. — Wyjęła sporą porcję pasztetu w emaliowanym naczyniu.

— Kto jest tym szczęśliwcem? — spytała Flora.

— Doktor Kyle. — Watty wyjęła z szuflady rolkę pergaminu, oddarła kawałek i owinęła nim starannie pasztet. — Przyszykowałam dziś pasztet na kolację i powiedziałam panie Isobel, że temu nieborakowi też się przyda, skoro opuściła go gospodyni. Niech przynajmniej raz na dzień zje coś porządnego.

— Ale jak ja tam trafię? Nie wiem nawet, gdzie mieszka.

— W Tarbole. Na samym szczycie wzgórza. Trafisz w ciemno — upewniła Florę — to tuż obok nowej przychodni. Zresztą na bramie jest tabliczka.

Wręczyła jej owinięty w pergamin pasztet. Sądząc z wagi, doktor Kyle będzie mógł się nim żywić co najmniej przez cztery dni.

— A co mam z tym zrobić? — spytała Flora. — Przecież nie zostawię mu tego na wycieraczce?

— Pewnie, że nie — Watty była wyraźnie zde gustowana jej tępotą. — Zanimiesiesz to do kuchni i włożysz do lodówki.

— A jeśli drzwi będą zamknięte?

— Klucz jest pod wycieraczką na ganku.

Flora zabrała resztę swoich rzeczy.

— Mam nadzieję, że trafię pod właściwy adres — powiedziała na odchodnym, pozostawiając Watty w konwulsjach śmiechu ze znakomitego — jej zdaniem — dowcipu.

Pan Watty bawił w ogrodzie warzywnym. Flora poinformowała go, że odbierze ze szkoły Jasona i że pani Armstrong pozwoliła jej skorzystać z furgonetki. Watty powiedział, że wóz jest w garażu, a kluczyki znajdzie w stacyjce. Dodał też, że samochód chodzi jak po maśle.

Może i chodził jak po maśle, ale z pewnych przyczyn był dumą Tup-py, hańbą pani Watty i obiektem żartów całego Tarbole. Tuppy — doszedłszy kiedyś do wniosku, że stary daimler pali zbyt wiele i że przydałoby

się coś mniejszego na codzienne dojazdy — nabyła go od pana Reekiego, rybaka z Tarbole. Wprawdzie Watty, ubłagany przez swoją połowicę, pokrył wóz warstwą farby, jednak na jednym z boków karoserii widać było wciąż napis:

ARCHIBALD REEKIE  
RYBY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI  
ŚWIEŻO WĘDZONE (Z DOSTAWĄ DO DOMU)

Na pierwszy rzut oka samochód wywarł na Florze imponujące wrażenie. Usiadła za kierownicą, zapaliła silnik i uporawszy się z nieco krnąbrną skrzynią biegów, ruszyła do Tarbole.

Tego popołudnia całe miasteczko tętniło aktywnością. Port roił się od łodzi, a nadbrzeża były pełne ciężarówek. Powietrze aż drżało od warkotu silników, zgrzytania dźwigów, głośnych nawoływań, świstów sprzężarek i krzyku wiecznie głodnych mew. Gdzie nie spojrzeć, kłębili się ludzie: rybacy w żółtych sztormiakach, kierowcy w kombinezonach, urzędnicy portowi w służbowych uniformach. Nie brakowało też i kobiet w gumowych butach i fartuchach w paski: każda z nich kręciła się jak fryga, wyładowując ryby, patrosząc je, ładując w skrzynki i ciskając na ciężarówki czekające z zapalonymi silnikami.

Flora przypomniała sobie, co Antony opowiadał jej o Tarbole, jeszcze do niedawna małej wiosce rybackiej, która z dnia na dzień stała się istnym centrum śledziowego zagłębia. Dobrobyt widać tu było na milę. Zaraz za Femrigg Flora minęła nową szkołę, wybudowaną z myślą o lokalnym wyżu demograficznym. Wzgórze pod Tarbole porastało osiedle komunalnych domów, a wąskie uliczki w pobliżu portu tarasowały w równych proporcjach dostawcze ciężarówki i prywatne limuzyny.

Objechawszy kilkakrotnie centrum, Flora zaparkowała ostatecznie furgonetkę tuż przed bankiem, gdzie znak obwieszczał stanowczy zakaz postoju. Zrobiła zakupy, co zresztą nie zabrało jej wiele czasu, zważywszy że większość rzeczy nabyła w jednym sklepie, bez problemów odnalazła urząd pocztowy. Poprosiła o znaczek, nakleiła go na kopertę z nazwiskiem i adresem ojca i po chwili wahania wrzuciła list do skrzynki. Słyszała, jak z miękkim mlaśnięciem ląduje na jej dnie i przez chwilę stała, nie wiedząc, czy pozbycie się listu przyniosło jej ulgę, czy też żal. Wyobraziła sobie starego otwierającego ten list, czytającego go najpierw po cichu, a potem może i na głos Marcii. To ostatnie nie było zresztą problemem. Przynajmniej wszystko rozładuje się, a stary nie będzie miał aż tak złego mnie mania o Florze. Co ważniejsze, Marcia

nie pozwoli mu mieć złego mniemania o samym sobie.

Wracając do samochodu, spostrzegła z przerażeniem stojącego przy nim młodego konstabla. Podbiegła, zdecydowana wytłumaczyć się, poprosić o wyrozumiałość, wskoczyć do wozu i zmykać w te pędy, ale ku jej zaskoczeniu strażnik porządku spytał:

— Czy nie jest pani przypadkiem znajomą pani Armstrong?

— Tak, a o co chodzi? — spytała zbita z tropu.

— Tak sobie pomyślałem, widząc ten wóz.

— Przepraszam. Nie zauważyłam...

— Ma pani jeszcze coś do załatwienia?

— Tak, mam. Muszę doręczyć pasztet doktorowi Kyle'owi i odebrać ze szkoły Jasona.

— Jeśli chce pani doręczyć pasztet osobiście, radzę pójść na wzgórze pie-szo, a samochód zostawić tutaj. Proszę się nie obawiać. Będę miał na niego oko.

— To miło z pana strony.

Otworzył jej drzwiczki, jak przystało na dżentelmena. Ulokowała pakunki na tylnym siedzeniu i wyjęła pasztet. Młodzieniec w mundurze promieniał uśmiechem.

— Czy mógłby mi pan wskazać drogę do domu doktora?

— Mieszka na wzgórzu. Tuż za miastem. Ostatni dom po lewej, zaraz przed hotelem. Zauważy pani ogród i tabliczkę przy bramie.

— Raz jeszcze dziękuję.

— Zawsze do usług — odparł z zakłopotanym uśmiechem.

Wzgórze za miastem było bardzo strome; tak strome, że droga przechodziła w pewnym momencie w stopnie. Przypominało to wspinaczkę po długich, lekko pochyłych schodach. Flora spostrzegła najpierw pnące się tarasami domki, potem pub, a za nim znów kolejne domki. W miarę wspinaczki domki stawały się coraz bardziej okazałe, każdy z nich miał ogródek. Tuż pod szczytem wzgórza wznosił się ostatni dom — duży, choć zaniedbany — ulokowany nieco na uboczu, z wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką, prowadzącą od bramy ku gankowi. Z boku dobudowano biały, betonowy sześcian, przypominający do złudzenia powiększone pudełko na buty. Flora na wszelki wypadek spojrze-ła na tabliczkę przy bramie z kutego żelaza i upewniła się, że tu właśnie mieszka Hugh Kyle. Stwierdziła, że tabliczce przydałoby się wypolerowanie, otworzyła furtkę i ruszyła stromą ścieżką w stronę frontowych drzwi.

Nacisnęła dzwonek, ale żałobne, dobiegające z głębi domu brzęczenie nie pozostawiało wątpliwości, że nie zastała nikogo. Po wspinaczce na wzgórze zaczynała odczuwać ciężar pasztetu. Zadzwoiła raz jeszcze z czystej przyzwyczajenia, po czym, idąc za radą Watty, wsunęła dłoń pod wycieraczkę. Znalezienie klucza tych rozmiarów było drobnostką, podobnie jak włożenie go do zamka, przekręcenie i otwarcie drzwi.

Podłoga holu była wyłożona kamiennymi płytami, schody ginęły w mroku, a całe wnętrze przypominało zapachem lekko zatechły, lecz swojski antykwariat. Flora weszła, pozostawiając uchylone drzwi. Zauważyła stary wieszak z obręczą na parasole, ładny intarsjowany stolik i pomalowaną na biało żelazną balustradę schodów. Wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. Był też zegar wskazujący jakąś zamierzchłą godzinę. Flora zastanowiła się przez moment, czy jest zepsuty, czy też nie nakręcono go przez zapomnienie lub z braku czasu.

Otworzyła drzwi z prawej strony holu i stwierdziła, że chyba nigdy w życiu nie widziała równie zapuszczonego salonu: wszystko powywracane do góry nogami, ani śladu kwiatów, okienne żaluzje opuszczone do połowy. Przymknęła drzwi. Otworzyła te po przeciwnej stronie holu, prowadzące do przestronnej, wiktoriańskiej jadalni. Był tam solidny, mahoniowy stół i odpowiednich rozmiarów kredens, a w nim karafki i srebrne kieliszki do wina. Krzesła porzastawiano pod ścianami, a o żaluzjach i tu zapomniano. Flora — cicho, aby nie zbudzić duchów — przymknęła drzwi, wycofała się do holu i w poszukiwaniu kuchni ruszyła na zaplecze domu.

Tym razem jej trud został uwieńczony powodzeniem. Kuchnia była niewielka. W stosunku do rozmiarów domu wręcz mała, ale i tak przypominała imponujące pobojowisko. Na suszarce piętrzyły się patelnie, rondle i garnuszki, zlew wypełniały po brzegi brudne naczynia, a resztki pozostawionego na stole posiłku odebrałyby apetyt każdemu, z wyjątkiem zatwardziały bywałców mlecznych barów. Obraz nędzy i rozpoczy dopełniała pozostawiona na honorowym miejscu stołu znacznie opróżniona butelka whisky. Nadawała ona ogólnej scenerii posmak nadciągającego nieubłagania kataklizmu.

Lodówkę wciśnięto w kąt, tuż przy kuchence. Flora ruszyła ku niej i omal nie wylądowała na nosie, zaczepiwszy nogą o odstający chodniczek. Przyjrzała mu się i przy okazji stwierdziła, że podłoga nie doświadczyła co najmniej od tygodnia miotły, nie wspominając o ścierce.

Otworzyła lodówkę i pośpiesznie włożyła pasztet, nie ryzykując dokładniejszych oględzin wnętrza. Zatrzasnęła drzwiczki, odwróciła się i oparta

o lodówkę przeanalizowała posepny widok. Nie ulegało wątpliwości, że Jessie McKenzie była skończonym flejtuchem i Hugh powinien pozbyć się jej jak najszybciej dla własnego dobra. Żaden mężczyzna — nawet największy abnegat — nie doprowadziłby własnej kuchni do podobnego stanu w przeciągu kilku dni.

Raz jeszcze pokiwała posepnie głową, czując współczucie, a równocześnie wiedząc, że lokator skonałby ze wstydu na samą myśl o podobnej inspekcji z jej strony. Postanowiła wycofać się dyskretnie i pozostawić Ky-le'a w przekonaniu, iż pasztet dostarczyła pani Watty.

Czekało ją jeszcze odebranie Jasona ze szkoły. Flora spojrzała na zegarek i stwierdziła, że dochodzi dopiero trzecia. Do zakończenia lekcji pozostawała godzina. Jak ją spędzić? Wałęsając się po porcie? Siedząc nad filiżanką kawy w barze Sandy? Rozważając obie te możliwości, zdjęła machinalnie rękawiczki, rozpięła palto, powiesiła je na kuchennym wieszaku i zakasała rękawy. Co robisz, wariatko? — pomyślała, rozglądając się równocześnie za fartuchem. Znalazła w okolicach zlewu coś niebieskiego, pasującego do rzeźniczej profesji i stanowczo zbyt obszernego jak na jej rozmiary. Wprawdzie fartuch starczyłby na dwie Flory, ale owinęła się nim. Natrafiła na ścierkę do naczyń i przekręciła czerwony kurek nad zlewozmywakiem. Popłynęła kipiąca woda i Flora pomyślała z ulgą, że przynajmniej jedna rzecz działa w tej zapuszczonej noclegowni.

W skrytce pod zlewem znalazła, nie bez zaskoczenia, ryżową i drucianą szczotkę i płatki mydlane. (Jessie McKenzie miała jednak dobre intencje, jeśli nawet nie szło za nimi działanie.) Flora postanowiła wykorzystać bezceremonialnie zgromadzone akcesoria. Oczyszczenie przedpola było sprawą prostą; czyste naczynia powędrowały na bok, kubki i dzbanki zawisły na odpowiednich haczykach, wreszcie przyszła kolej na zgromadzone na suszarce żelastwo. Wkrótce patelnie i rondle zostały doprowadzone do połysku, a uszeregowane według rozmiarów na półce nad zlewem odzyskały nie tylko naturalne barwy, ale i swoisty wdzięk. Wystarczyło uporać się ze zlewozmywakiem, a kuchnia doktora Kyle'a nabrała z nagłą zupełnie nowego kolorytu. Flora wytarła stół, wyrzuciła resztki nadple-śniałego ciasta, usunęła dyskretnie butelkę whisky z zasięgu wzroku i wy-trzepała obrus. Na koniec przetała raz jeszcze kuchenne meble wilgotną ścierką. Wszystko lśniło. Kto choć raz nie doprowadził zapuszczonej izby do porządku, ten nie wie, co to satysfakcja z dokonanego dzieła. Flora miała pełne powody do zadowolenia. Pozostała jeszcze podłoga. Spojrzała na zegarek i widząc, że jest dopiero dwadzieścia po trzeciej, poszukała



miotły. Odnalazła ją — podobnie jak szufelkę — w kuchennej szafce zalutującej pleśnią, pastą do butów i myszami. Uwolniła podłogę od tygodniowej warstwy kurzu, napełniła wiadro gorącą wodą z mydlinami i przystąpiła do właściwej akcji.

Cztery razy zmieniała wodę w wiadrze. Linoleum odzyskało kolor i świeżość, a jego brunatnobłękitny deseń okazał się nieoczekiwanie całkiem przyjemny dla oka. Trzeba było jeszcze uporać się z mroczną czeluscią pod zlewozmywakiem. Flora zaatakowała ją desperacko, z entuzjazmem mocniejszym niż świadomość mysich bobków, pajęczyn, a może nawet jej płochliwych lokatorów. Ryżowa szczotka atakowała, aż się echo niosło, a brud pierzchał w panice przed mydlinami. W końcu Flora odłożyła szczotkę, wykrciła szmatę i przetrła do sucha podłogę.

Trud nie poszedł na marne. Flora wycofała się spod zlewozmywaka i już miała wstać z klęczek, gdy kątem oka spostrzegła między nogami kuchennego stołu dodatkową parę ewidentnie nie stołowych nóg: odzianych w skórzane, brązowe buty na grubej podeszwie i tweedowe, zakończone mankietami spodnie. Wzrok Flory powędrował w górę i spoczął na mocno zaintrygowanym obliczu doktora Kyle'a.

Zaskoczenie było obustronne.

— Niech to diabli — przerwała milczenie Flora.

— Co to za cyrk? — spytał Hugh.

— Myślałam, że jesteś w pracy.

Kyle puścił to mimo uszu, patrząc na Florę kompletnie zaskoczony.

— Czy można wiedzieć, co tu, do licha, robisz?

Flora zarumieniła się, nie tyle skutkiem przyłapania jej na tak poniżającej czynności, ile z obawy, że Kyle nastroszy się, głupio urażony, iż ktoś szarogęsi się w jego domu.

— Co robisz? — spytała. — Jak może zauważyłeś, szoruję podłogę.

— A niby z jakiej racji?

— Z takiej, że była brudna.

Hugh powiódł wzrokiem po umytych meblach, lśniącym zlewie, poukładanych w idealnym porządku rondlach i patelniach. Jego spojrzenie zatrzymało się znów na twatzy Flory. Najwyraźniej nic z tego nie rozumiał. Potarł dłonią kark, jakby szukając właściwych słów.

— Przyznam, Rose, że to bardzo szlachetne z twojej strony. Serdeczne dzięki.

Wolała, żeby nie przesadzał z wdzięcznością.

— Cała przyjemność po mojej stronie — stwierdziła z uśmiechem.

— Ale po co to wszystko? Skąd się tu wzięłaś?

— Watty przyrządziła ci pasztet i prosiła, żebym go doręczyła. Jest w lodówce. Nawet nie słyszałam, jak wszedłeś do domu — dodała pojednawczo.

— Drzwi były otwarte.

— Zapomniałam na śmierć je zamknąć.

Włosy opadały jej na twarz. Odrzuciła je wierzchem dłoni i podniosła się z kolan. Obskurny fartuch zwiślał jej do stóp. Uniosła wiadro, wylała jego zawartość, wykręciła raz jeszcze szmatę i ulokowała jedno i drugie w szafce. Zamknęła drzwiczki i opuszczając rękawy, spojrzała mu prosto w oczy.

— Kiepska ta twoja gospodyni — oznajmiła butnie. — Powinieneś znaleźć sobie lepszą opiekunkę domu.

— Jessie robi, co może. Zwolniła się na kilka dni i pojechała do Portree, odwiedzić chorą matkę.

— A kiedy wraca?

— Nie wiem. Jutro, może pojutrze.

— Na twoim miejscu podziękowałabym jej za dalsze usługi. — Czują, że brzmi to brutalnie, ale nie panowała nad sobą, widząc tak zaniedbanego mężczyznę. — Przecież to śmiechu warte. W końcu jesteś jedynym lekarzem w tym miasteczku. Czy naprawdę nie ma tu ani jednej pary rąk do roboty? Choćby ta twoja pielęgniarka z przychodni?

— Ona ma męża i troje dzieci. I tak pracuje ponad siły.

— Więc może poszukałaby ci kogoś?

— Łatwo się mówi — odparł Hugh, wzruszając ramionami.

Widać było po nim wyczerpanie, ale też zupełny brak zainteresowania znalezieniem lub nie nowej gospodyni. Flora zaczęła żałować, że poruszyła ten temat i że zawraca mu głowę niczym namolna żona.

— Zdaje się, że to spotkanie zaskoczyło nas oboje — zmieniła pojednawczo temat. — Skąd się tu nagle wzięłaś?

Rozejrzał się za czymś do siedzenia, spostrzegł krzesła usunięte przez Florę w kącie kuchni, wziął jedno z nich i przysunął do stołu.

— Przyjechałem z Lochgarry — odparł, siadając ciężko z rękami w kieszeniach marynarki. — Byłem tam w szpitalu. Odwiedziłem Angusa McKaya.

— Czy to ten staruszek z Loch Fhada? Ten, który spadł ze schodów? Hugh przytaknął.

— A więc jednak zgodził się pójść do szpitala.

— Tak, zgodził się. Powiedzmy raczej, że został przekonany.

— Przez ciebie?

— Powiedzmy. Karetka zabrała go dziś rano z Boturich. Byłem w szpitalu przed godziną. Dzieli pokój z pięcioma innymi starszankami, z których każdy wpatruje się w ścianę i oczekuje śmierci, a Angus nawet nie wie, co mu się przytrafiło. Tym razem dałem sobie spokój z całą tą gadką o rychłym wyzdrowieniu. Facet leżał i patrzył mi w oczy. Jak stary pies. Czułem się okropnie.

— Nonsens. Przecież to nie twoja wina. Sam mi mówiłeś, że jego synowa nie miała już sił przy nim biegać. Do tego mieszkają na zupełnym odludziu. Mógłby znów spaść ze schodów, nie mówiąc o jeszcze gorszych rzeczach. Sam wiesz, jak *to* bywa...

Słuchał, nie przerywając jej ani słowem. Gdy wreszcie skończyła i zapadło milczenie, przyjrzał się jej spod zmarszczonych brwi.

— To stary człowiek, Rose — powiedział. — Stary, kruchy, zagubiony człowiek, którego wyrwaliśmy z ziemi jak roślinę. Pomyśl tylko. Urodził się w Boturich, tak jak jego ojciec i dziadek. Do Boturich przywiózł sobie żonę, a wszystkie ich dzieci też przyszły na świat w Boturich. A teraz, gdy chciałby dożyć spokojnie swoich dni, przyjechali, zabrali, ot tak, jakby chodziło o pakunek, i zostawili go na łasce zupełnie obcych ludzi.

Florę zaskoczyło, że on, lekarz, jest aż tak emocjonalnie zaangażowany.

— Tak to już bywa — powiedziała. — Niczego nie zmienisz. Ludzie zawsze będą się starzeć.

— Ale Angus to nie ludzie. Angus to część mojej osoby, część mojego dzieciństwa. Ojciec miał zawsze mnóstwo pacjentów i nie starczało mu czasu, by zajmować się takim jak ja urwisem. W słoneczne soboty wsiazałem na rower i zasuwałem drogą wzdłuż Loch Fhada do Boturich, żeby odwiedzić Angusa. Był wtedy tykawatym, silnym jak wół drągałem i w moim przekonaniu znał się na wszystkim. Miał w małym palcu całą wiedzę o ptakach, lisach i zającach, wiedział, gdzie łowić najdorodniejsze pstrągi i na jaką muchę schwytać nawet najbardziej przebiegłego łososia. Dla mnie był najmądrzejszym człowiekiem świata. Drugim Panem Bogiem. Zabierał mnie na ryby albo z lornetką na wzgórze i pokazywał mi gniazda złotych orłów.

Florze spodobała się wizja dojrzałego mężczyzny i chłopca stojących ramię w ramię.

— Ile miałeś wtedy lat? — spytała.

— Dziesięć, może nieco więcej. Byłem trochę starszy *od* Jasona. Jason. Flora zupełnie zapomniała o Jasonie. Spojrzała na zegarek i z przerażeniem zaczęła wyplątywać się z fartucha.

— Muszę lecieć. Obiecałam odebrać Jasona ze szkoły. Pomyśli, że wszyscy o nim zapomnieli.

— A ja pomyślałem, że dostanę od ciebie jeszcze filiżankę herbaty.

— Może innym razem. Muszę być w szkole kwadrans przed czwartą, a już jest za dwadzieścia.

— A gdybym tak zadzwonił do szkoły i poprosił dyrektora, żeby zatroszczył się o Jasona przez kilka minut?

Flora nie spodziewała się po Kyle'u podobnej propozycji. Czemu tak nagle ją polubił? Powolnym ruchem odłożyła fartuch.

— A co na to Jason? — spytała.

— Nie sądzę, żeby był rozczarowany. — Hugh wstał z krzesła. — Szkoła zafundowała sobie kolejkę i chłopcy mogą pobawić się w nagrodę za dobre zachowanie. Jason oszaleje, gdy dowie się, że ma szansę zostać przez kwadrans głównym zawiadowcą.

Hugh wyszedł do holu, nie domykając drzwi kuchni. Flora patrzyła za nim, wciąż oparta o zlew. Stwierdziła, że nie ma głępszego uczucia, niż gdy ktoś odpowiednio zaszufladkowany, zaczyna zachowywać się nie tak, jak oczekiwaliśmy. Słyszała, jak wykręca numer szkoły. Napełniła czajnik i włączyła kuchenkę. Z holu dobiegł ją głos Hugh Kyle'a.

— Pan Fraser? Mówi Kyle. Czy Jason Armstrong jest jeszcze w szkole? A mógłby pan zatrzymać go jeszcze przez kwadrans? Panna Rose, na rzeczona Antony'ego Armstronga, odwiezie go do Fernrigg, ale musi się tu jeszcze chwilę zatrzymać. Szczerze mówiąc, właśnie przygotowuje herbatę... Oczywiście, że jest tutaj... Bardzo to miłe z pana strony... Tak, nigdzie się nie ruszymy... Brama jest otwarta, więc niech wchodzi do domu... Jesteśmy w kuchni... Raz jeszcze dziękuję, panie Fraser, i przepraszam za kłopot... Do widzenia.

Flora usłyszała odkładaną na widełki słuchawkę i po chwili Hugh był znów w kuchni:

— Wszystko załatwione. Poproszą kogoś, żeby podwiózł tu Jasona i wysadził przy bramie.

— A więc nici z kolejki?

— Na to wygląda — odparł Hugh, przysuwając do stołu drugie krzesło.

Flora odnalazła już wcześniej imbryk z utłuczonym uszkiem, ukryty w lodówce dzbanuszek z mlekiem i kilka starych kubków, pochodzących najwyraźniej z manufaktury Wedgwooda.

— Nie wiem, gdzie jest cukier i herbata.

Hugh pogrzebał w jednej z szafek i wyjął z niej trofea. Herbatę trzymał w bardzo starej puszcze ozdobionej obliczem Króla Jerzego V. Puszka była pogięta, a z wizerunku pozostały tylko nędzne ślady.

— Sporo musiała przeżyć ta puszka — zażartowała Flora.

— Sporo. Jak większość rzeczy w tym domu. Łącznie z jego gospodarzem.

— Mieszkasz tu od dziecka?

— Z krótką przerwą. Mój ojciec żył tu przez trzydzieści lat i, szczerze mówiąc, *nie należał* do miłośników zmian. Gdy tu wróciłem, by przejąć po nim praktykę, przypominało to powrót do dzieciństwa. Początkowo miałem ochotę wszystko to przemeblować i zmodernizować, ale wkrótce złośliwy wirus zaczął dziesiątkować wątroby mieszkańców zachodniej Szkocji i trzeba było zabrać się za budowanie przychodni. Kiedy było po wszystkim, zapomniałem o domu. Powiedzmy, że przestałem zwracać na niego uwagę.

Flora przyjęła to z ulgą. I tak dobrze, że nie wyprowadził się i zachował umeblowanie jadalni. Czajnik zagwizdał. Napełniła imbryk i postawiła go na stole.

— Całkiem miły dom — powiedziała pocieszająco; zabrzmiało to trochę jak zapewnienia ambitnej matki przez pediatrę o niezłym stanie umorusanego i zapuszczonego berbecia.

— Tuppy mówi, że aż strach tu wejść — odparł obojętnie. — Przypomina jej to mauzoleum. Pewnie ma trochę racji.

— Nie jest aż tak źle. — Flora spostrzegła sceptyczne spojrzenie Ky-le'a. — Chyba dałoby się coś z tym zrobić — poprawiła się. — Usiadła przy stole i naląła herbatę. Zapanowała niemal domowa atmosfera. — O każdy dom trzeba czasem trochę zadbać. Nieraz wystarczy... — Szukała przez chwilę właściwego słowa. — Odrobina farby.

— I nic poza tym? — spytał, kręcąc głową.

— Przynajmniej na początek. Pomalowanie ścian czyni cuda.

— Spróbuję coś z tym zrobić. — Dolał sobie mleka i nie poskąpił cukru, niczym robotnik po ciężkiej zmianie. Wypił duszkiem i raz jeszcze napełnił kubek. — Mówisz, że odrobina farby... — Odstawił kubek. — A może jeszcze odrobina światła? No i pasta do podłóg, kwiaty, książki

i trochę muzyki. Nie mówiąc o płonącym kominku, gdy wracasz w zimowy wieczór...

— Nie potrzeba ci nowej gospodyni. Tobie potrzeba nowej żony — wypaliła Flora i na widok jego miny natychmiast pożałowała tych słów. — Przepraszam — dodała szybko.

Nie sprawiał wrażenia obrażonego. Raz jeszcze dolał sobie mleka, dosypał cukru i zamieszał.

— Wiesz, że miałem już żonę — odparł tonem bardziej wyjaśniającym niż urażonym.

— Tuppy wspominała mi o tym.

— A o czym jeszcze ci wspominała?

— O tym, że twoja żona zginęła w wypadku samochodowym.

— I nic poza tym?

— Nic. — Flora poczuła się rzeczniczką Tuppy. — Mówiła mi o tym z czystej sympatii do ciebie. Nie może pogodzić się z myślą, że żyjesz jak odludek.

— Dianę przywiozłem do Tarbole zaraz po naszych zaręczynach — zaczął Hugh. — Nie była to zbyt fortunna wizyta. Czy Tuppy wspominała ci o tym?

— Właściwie nie — Flora zaczęła nerwowo wiercić się na krześle.

— Przecież widzę z twojej miny, że wspominała. Tuppy nie polubiła Diany. Sądziła, jak wszyscy tutaj, że popełniam wielki błąd.

— A popełniłeś?

— Tak, od samego początku. Ale byłem tak zaślepiiony, że nawet nie dopuszczałem do siebie tej myśli. Dianę poznałem w Londynie. Robiłem wtedy specjalizację w klinice Świętego Tomasza. Miałem kumpla, nazywał się John Rushmore. Znaliśmy się jeszcze ze studiów w Edynburgu. Graliśmy razem w uniwersyteckiej drużynie rugby. Potem znalazł pracę w bankowości i spotkaliśmy się, gdy przyjechałem na południe. Wprowadził mnie w swoje towarzystwo i tak spotkałem Dianę. To był wielki, zupełnie nie znany mi świat, a ja, prostak z północy, zupełnie oszalałem na jego widok. Zwłaszcza na widok Diany. Gdy postanowiliśmy się pobrać, wszyscy powtarzali, że chyba mi odbiło. Jej ojciec wzruszał na mój widok ramionami. Uznał mnie od razu za szkockiego dzikusa dybiącego na posag jego córki. Mój profesor też patrzył na to bez entuzjazmu. Miałem przed sobą jeszcze dwa lata praktyki i uważał, że powinienem skoncentrować się na medycynie, a dopiero potem na żeniactwie. Oczywiście mój ojciec był tego samego zdania.

Na chwilę zapadło milczenie.

— Może nie uwierzysz — ciągnął Hugh — ale opinia ojca była dla mnie naprawdę ważna. Sądziłem, że jeśli go przekonam, cała reszta może iść do diabła. Przywiozłem Dianę, żeby mu ją przedstawić. Wcześniej była tylko raz w Szkocji na jakimś polowaniu czy innej imprezie i perspektywa wyjazdu do Tarbole niezbyt przypadła jej do gustu. Ale w końcu na mówiłem ją, wierząc naiwnie, że ojciec i wszyscy nasi przyjaciele będą, równie jak ja, oczarowani Dianą.

Znów zamilkł, ale tylko na chwilę.

— Nic z tego nie wyszło. Zupełna klęska. Cały czas lało. Diana nudziła się śmiertelnie w Tarbole, w naszym domu, w naszych stronach. Fakt, że była rozpuszczona. No i jak większość rozpuszczonych dziewczyn umiała być słodka i czarująca tylko wobec ludzi, którzy dostarczali jej rozrywek i podniety. Tutaj nikt nie nadawał się do tego. Ojciec zrobił na niej wrażenie mruka, bo też nigdy nie był szczególnie rozmowny. Przyjął ją, jak przystało na gościa, ale w trzecim dniu wizyty wszyscy czuliśmy się nieswojo. W końcu staruszek postanowił zagrać w otwarte karty. Strzelił sobie dla kurażu kilka kolejek whisky, poprosił mnie do swojego gabinetu i oznajmił, że chyba upadłem na głowę. Użył też kilku innych zwrotów, których raczej ci nie zacytuję. Wtedy i ja straciłem panowanie nad sobą i też mu trochę nagadałem. Gdy nasza rozmowa dobiegła końca, pozostawało mi tylko wsadzić Dianę w samochód i wracać co szybciej do Londynu. W tydzień później wzięliśmy ślub. Głównie po to, żeby zrobić ojcu na złość.

— I dobrze wam było?

— Nie. Zresztą z początku może nawet i tak. Strasznie byliśmy sobą zaurzeczni. Wręcz zakochani, jak mawiają osoby o romantycznym usposobieniu. Tylko że nasze światy dzieliła przepaść i żadne z nas nie umiało przerzucić nad nią mostu. Początkowo myślałem, że Diana pasuje jak ulał do roli światowej małżonki wziętego chirurga, ale ona wkrótce spostrzegła, że poślubiła lekarza zasuwającego od świtu do zmroku w klinice. W sumie głupie małżeństwo, ale było w tym sporo mojej winy.

Flora przysunęła do kubka zziębnięte dłonie.

— Może gdyby inaczej się wam ułożyło... — zaczęła.

— Ułożyło się, jak się ułożyło. Naszą rzeczą było stawić temu czoło.

— Kiedy to się stało? Ten wypadek?

— W niespełna dwa lata po naszym ślubie. Widywaliśmy się wtedy już tylko przelotnie i nie zareagowałem, gdy Diana oświadczyła mi, że wy-

biera się na weekend do swojej szkolnej koleżanki mieszkającej w Walii. A potem okazało się, że zginęła w samochodzie Johna Rushmoora. Do tego za kierownicą. Zresztą wcale nie jechali do Walii, lecz do Yorkshire.

— Rushmoora? — spytała Flora nieco zdezorientowana. — Tego twojego kumpla?

— Tak... tego mojego kumpla. Romansowali ze sobą od miesięcy, a ja niczego się nie domyślałem. Dowiedziałem się, gdy było już po wszystkim. Zdaje się, że wszyscy wiedzieli o tym, ale nikt nie raczył mnie oświecić. Przyznasz, że to przykre stracić żonę i kumpla równocześnie. A jeszcze bardziej przykre, wyjść przy okazji na durnia.

— Gzy John Rushmore też zginął?

— Nie — wzruszył ramionami Hugh. — O ile wiem, ma się dobrze.

— A więc dlatego rzuciłeś specjalizację i wróciłeś do Tarbole?

— Wróciłem z powodu choroby ojca.

— I nigdy nie myślałeś o powrocie do Londynu?

— Nigdy.

— Sądzisz, że mógłbyś wrócić do specjalizacji?

— Nie, już za późno. Tutaj jest moje miejsce. Chyba zresztą zawsze tu było. Wątpię, czy potrafiłbym żyć w dużym mieście, z dala od czystego powietrza i zapachu morza.

— Zupełnie jak... — zaczęła Flora i w porę ugryzła się w język. Już miała powiedzieć: zupełnie jak mój ojciec. Słuchając zwierzeń, całkiem zapomniała, że ich adresatką jest Rose. Teraz czuła potrzebę odwzajemnienia się szczerością za szczerość, wspomnieniami za wspomnienia. Hugh uchylił drzwi, zaryglowane dotąd przed nią na cztery spusty. Bardzo pragnęła wejść przez nie do środka.

Ale na próżno, bo przecież Rose nie miała nic do ofiarowania w zamian. Rose nie mogła podzielić się wspomnieniami, pośpieszyć z pociechą. Flora poczuła, że rozgoryczenie z tego powodu przerasta jej siły i przez; chwilę rozważała wyznanie prawdy. Wiedziała, że Hugh zrozumiałby wszystko w swoim aktualnym nastroju. Przysięgła Antony'emu zachowanie tajemnicy, ale przecież Hugh był lekarzem. Czy lekarz to nie to samo co spowiednik? Jak to właściwie jest?

Sumienie Flory wzdragalo się od początku przed oszustwem, w które uwiłkła ją Antony, już choćby dlatego, że gra obejmowała coraz to nowych, niewinnych uczestników. Teraz intryga wróciła rykoszetem i ona sama poczuła się osaczona, spętana, niezdolna do wykonania ruchu. Hugh czekał, aż dokończy zdanie.



— Zupełnie jak... kto? — zapytał.

Przecież obiecała coś Antony'emu nie dalej niż wczoraj na plaży.

— ...Zupełnie jak ktoś, kogo kiedyś znałam.

Napięcie opadło. Pokusa minęła. Flora była znów Rose, choć nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Kuchnia promieniowała ciepłem i przytulnością. Jedyne dźwięki dochodziły z ulicy: zgrzyt skrzyni biegów wspinającej się na wzgórze ciężarówki, szczekanie psa, głos objuczonej zakupami kobiety informującej o czymś sąsiadkę z przeciwka. Do tego wszechobecne mewy.

Sielski nastrój przerwało głośnie przybycie Jasona. Frontowe drzwi uchyliły się i zatrzasnęły z hukiem, od którego zadrżał dom. Zaskoczona Flora pode-  
rwała się, spojrzała na Kyle'a i spostrzegła w jego oczach lustrzane odbicie własnej głupiej miny. Zupełnie zapomnieli o Jasonie. Świdrujący głosik chłopca przeszył powietrze.

— Rose!

— Jest tutaj — zawołał Hugh — w kuchni.

W holu rozległ się tupot stóp, drzwi omal nie wyskoczyły z zawiasów i wpadł przez nie Jason.

— Czołem. Pan Thompson przywiózł mnie samochodem. Mówi, że ten wielki statek w porcie przyplłynął aż z Niemiec! Czołem, Hugh.

— Jak się masz, stary.

— Cześć, Rose. — Jason podszedł do stołu, objął Florę i musnął ją na powitanie w policzek. — Zgadnij, Hugh, co zrobiłem dziś po południu? Narysowa-  
łem coś specjalnego dla Tuppy.

— Czy ja też mogę zobaczyć?

Jason otworzył z podnieceniem torbę i wyciągnął rysunek.

— Głupia sprawa. Strasznie mi się wymiał.

— W porządku — pocieszył go Hugh. — Dawaj go tutaj.

Jason położył rysunek na kolanach Kyle'a. Doktor rozwinął go i pie-  
czołowicie ułożył na blacie stołu. Flora znów przyjrzała się jego dłoniom. Tym  
razem na widok precyzji, z jaką rozkładał i wygładzał sponiewierane dzieło  
Jasona, poczuła ukłucie w sercu.

— Piękny rysunek — usłyszała słowa aprobaty. — Czy można wiedzieć, co  
przedstawia?

— Nie wygłupiaj się, Hugh.

— Oświeć mnie trochę.

— Co mam ci zrobić?

— Wyjaśnić to i owo.

— No więc patrz. Tu jest samolot, a tu spadochroniarz. Tam masz drugiego spadochroniarza, który już wylądował i czeka pod drzewem na tego z góry.

— Teraz rozumiem. Całkiem niezły obrazek. Tuppy będzie zachwycona. Tylko nie wkładaj go znów do torby. Najlepiej daj go Rose, żeby się nie wywiąła. Zgoda, Rose?

— Przepraszam? — spytała Flora wyrwana z zadumy. Spojrzała w zaskakująco błękitne oczy Kyle'a.

— Pytałem, czy zatroszczysz się o rysunek?

— Oczywiście, że tak.

— Widzę, że popijacie herbatę — wtrącił się Jason. — Nie macie przypadkiem czegoś słodkiego? — spytał z nadzieją.

Florze przypomniało się spleśniałe, wyrzucone do śmieci ciasto.

— Chyba nie — odpowiedziała. — Możemy najwyżej poczęstować cię herbatą.

— Kto wie, czy w tej czerwonej puszcze w kredensie nie znajdzie się odrobina biskopta — pośpieszył z pomocą Hugh.

Jason wyjął puszkę, położył ją na stole i uporał się z wieczkiem. Nagrodą za trud był spory kawałek czekoladowego ciasta owiniętego w folię.

— Naprawdę mogę się poczęstować?

— Jeśli tylko zaryzykujesz. Nie mam pojęcia, od kiedy to tutaj leży.

Jason odwinął cynfolię i przetestował zawartość.

— Całkiem smaczne — orzekł. — Trochę twarde, ale da się jeść. Czemu nie przyjechałaś po mnie, Rose? — spytał z pełną buzią, obrzucając ich oboje czujnym spojrzeniem.

— Hugh chciał się napić herbaty — wyjaśniła. — Mam nadzieję, że mi to wybaczysz.

— Jasne, że tak. — Znów objął ją i wtulił policzek w jej włosy. — Przy najmniej pobawiłem się kolejką — dodał z nie ukrywaną satysfakcją.

Flora nie mogła opanować śmiechu. Spojrzała kątem oka na Kyle'a, spodziewając się, że i on podziela jej rozbawienie, ale Hugh chyba w ogóle nie dosłyszał ostatnich słów Jasona. Patrzył na nich nieobecny wzrokiem i przypominał człowieka, który lada moment dokona wiekopomnego odkrycia.

Jason był już w łóżku, Tuppy szczęśliwie uwięziono w sypialni, a Rose — zrobiona na bóstwo — wyruszyła na kolację z Brianem Stoddartem. Isobel mogła wreszcie usiąść przy kominku i zająć się szydełkowaniem i słucha-

niem Mozarta Rzadko zdarzały się jej takie chwile, a jeszcze rzadziej słuchanie Mozarta zamiast śledzenia wieczornych telewizyjnych wiadomości. Isobel odczuwała nawet z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia, bo przecież Tuppy zawsze wiernie kibicowała wieczornym wiadomościom, ale teraz była chora i Isobel otrzymała „wychodne”. Miała za sobą ciężki dzień. Mocno dały jej w kość te telefony Teraz, próbując zapomnieć o powinnościach, szydełkowała, doświadczając jakże jej obcych uroków nieróbstwa.

Zabrząca telefon Isobel spojrzała z westchnieniem na zegar, odłożyła szydełko i ruszyła do holu Dzwonił Hugh Kyle

— Co tam, Hugh?

— Przykro mi, Isobel, że cię niepokoję, ale jest tam może Rose?

— Nie, nie ma jej.

— No to przepraszam.

— Czy mam jej coś przekazać?

— Drobiazg.. Przywiozła mi dziś po południu wyśmienity pasztet od Watty i chyba zostawiła rękawiczki. Przynajmniej podejrzewam, że należą do niej. Jeszcze pomyśli, że gdzieś je zgubiła.

— Powiem jej. Tylko nie dzisiaj. Wróci dopiero rano. Bnan Stoddart zaprosił ją na kolację.

W słuchawce zaległa głucha cisza.

— Co takiego? — spytał po chwili Hugh niepewnym głosem.

— Bnan Stoddart zaprosił ją na kolację Anna wyjechała i postanowili dotrzymać jedno drugiemu towarzystwa.

— Gdzie się wybrali?

— O ile wiem, do Lochgarry. Bnan wspominał coś o restauracji „Pod Kowtawicą” Wypił nawet drinka na odjeździe.

— Rozumiem.

— Powiem Rose o tych rękawiczkach.

— O czym? — Zabrzmiało to, jakby zapomniał, po co właściwie telefonował. — Aha, o rękawiczkach Naprawdę nic pilnego. No to dobranoc, Isobel.

Rozłączył się pośpiesznie, za szybko jak na jego obyczaje.

— Dobranoc — odpowiedziała nieco zdziwiona Isobel. Odłożyła słuchawkę i przez chwilę zastanawiała się, o co właściwie może chodzić Nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Zgasła światło w holu i po wróciła do Mozarta.

Lochgarry leżało piętnaście mil na południe od Fernrigg, przy końcu morskiej zatoki, a zarazem na skrzyżowaniu dróg, z których jedna wiodła z Fort William do Tarbole, a druga z Morven i Ardnamuchan na południe. Dawnymi czasy było skromną rybacką wioską, a nieliczni podróżni mogli zaspokoić głód w miejscowej przydrożnej oberży. Potem doprowadzono kolej, a wraz z nią zaczęli przybywać z Anglii zamożni miłośnicy sportów i wszystko uległo zmianie. Hotel „Zamkowy” zbudowano już nie tylko dla wygody miłośników sportów, ale i dla ich rodzin, przyjaciół i służby. Odtąd w sierpniu i wrześniu otaczające Lochgarry wzgórza rozbrzmiewały echem myśliwskich fuzji.

Po drugiej wojnie znów wszystko się zmieniło. Wkroczył przemysł pod postacią wielkiego tartaku i wypełnionej drewnem bocznicą kolejowej. Domy rosły jak grzyby po deszczu, stara jednoizbowa szkoła ustąpiła miejsca nowemu przybytkowi oświaty, pojawił się też całkiem przytulny szpital. Poszerzone i pokryte nową nawierzchnią drogi pęczniały latem od samochodowego ruchu. Kempingowe przyczepy stały teraz jedna przy drugiej o krok od morza, a porośnięte kępami ostów i janowców pastwiska zamieniono na pola golfowe.

Również restauracja „Pod Kotwicą” — niewielka oberża, spoglądająca od niepamiętnych czasów na zatokę — doświadczyła wszystkich tych przeobrażeń. Rok w rok powiększano ją, upiększano łukowymi oknami, przyozdobiono werandami, raz malowano na biało, to znów opatulano dzikim winem. Wewnątrz kręte schody i ciasne korytarzyki sąsiadowały z sypialniami, a nawet z łazienkami. Jeden z właścicieli wykosztował się na bar. Drugi dobudował do niego restaurację. Trzeci zniwelował buldożerami ogródek, służący odtąd za samochodowy parking. Nic dziwnego, że oczom przybyłych ukazał się widok nie przypominający już w niczym dawnej przydrożnej oberży.

Gdy zajechali, parking wydawał się wypełniony do ostatniego miejsca. Brian zahamował. Wysiedli i wciągnęli w płuca wieczorne powietrze. Pachniało morskimi wodorostami, a światła pobliskich domków odbijały się w ciemnych wodach zatoki. Z wnętrza dobiegał klekot talerzy i obiecujące aromaty ich zawartości.

— Mają tu chyba niezły ruch — zauważyła Flora.

— Nie narzekają na brak gości. Ale nie przejmuj się. Zarezerwowałem stół. — Brian ujął ją pod ramię i poprowadził przez parking i stopnie do głównego wejścia.

Powitały ich jaskrawe światła, dywan w szkocką kratę i bukiety ze sztucznych kwiatów.

Flora spostrzegła tabliczkę wskazującą, że damska toaleta znajduje się na piętrze. Dyskretnie uwolniła się od ramienia Briana i powiedziała, że chce się trochę odświeżyć.

— Dobry pomysł. Będę czekał w barze.

— Dobry wieczór, panie Stoddart. — Kelner w białej marynarce wyrósł jak spod ziemi. — Dawno nie mieliśmy przyjemności gościć pana.

— Cześć, John. Mam nadzieję, że przyszykowałeś nam coś ekstra na kolację?

Flora udała się na Pietro, gdzie znalazła damską toaletę, wytapetowaną od podłogi po sufit kwiecistymi motywami i zawijasami w fiołkowo-różowym odcieniu. Zdjęła płaszcz, powiesiła go i podeszła do lustra, by przyczesać włosy. Miała na sobie turkusową wełnianą bluzkę (zresztą jedyną, jaką ze sobą zabrała) i czarny sweter z długimi rękawami. Przed wyjazdem wkładała to wszystko bez szczególnego entuzjazmu. Makijaż i uczesanie potraktowała także od niechcenia, choć tym razem lustro przedstawiało całkiem korzystny obraz. Włosy miała jedwabiste i lśniące, cerę gładką, a czarne oczy błyszcząły.

— Pięknie wyglądasz — skomplementowała ją na odchodnym Isobel.

— Lśniesz jak choinkowe cacko — oznajmił Brian, gdy wsiadali do jego sportowego mercedesa. Flora nie omieszkała zadać sobie pytania, czy Brian zapłacił za niego z własnej kieszeni, czy też z fortuny małżonki. Jazda z Fernrigg zajęła im kilka minut i upłynęła gładko na rozmowie o błahostkach. Trudno było powiedzieć, które z nich narzuciło ten styl konwersacji.

Flora zeszła na parter. Bar był zatłoczony, ale Brianowi udało się jakimś cudem zdobyć najlepszy stolik przy kominku. Na widok Flory wstał i pokiwał ręką. Czowała, że wszyscy bywalcy unieśli głowy. Śledzili wzrokiem każdy jej krok i widać było, że młoda, atrakcyjna, a do tego nie znana im kobieta jest wydarzeniem, którego nie wypada przeoczyć.

Obdarzyła każdego — w tym samą siebie — promiennym uśmiechem.

— Usiądź przy kominku — zaprosił Brian. — Zamówiłem ci drinka.

Usiedli. Brian wyjął złotą cygarniczkę i poczęstował ją papierosem.

Gdy odmówiła, poczęstował się sam i przypalił złotą zapalniczką z wygrawerowanymi na niej własnymi inicjałami. O swoją whisky zdążył zadbać już wcześniej, ale kelner pośpieszył w mig z przyniesionym na srebrnej tacy trunekiem dla Flory.

— Co to jest? — spytała na widok zaparowanej szklaneczki.

— Martini — wyjaśnił Brian. — Chyba sama wiesz?

Flora już chciała powiedzieć, że nigdy w życiu nie piła czegoś o tej nazwie, ale Brian nie dał jej dojść do słowa.

— Zamówiłem wytrawny, specjalnie pod twój gust.

Rozmowa przybierała niebezpieczny obrót, ale odmowa byłaby nietaktem. Flora uniosła szklaneczkę i poczuła mróz w palcach. Brian wzniósł swoją i rzucił Florze wymowne spojrzenie.

— *Slaintheua* — powiedział.

— Nie znam tego języka.

— Na zdrowie. To po celtycku. Jedyne miejscowe zwrot, którego nauczyłem się, od kiedy tu przybyłem.

— Chyba bardzo przydatny. Założę się, że wykorzystywałeś go nieraz w trudnych sytuacjach.

Brian mrugnął, a Flora pociągnęła spory łyk i omal się nie zakrztusiła. Trunek zmroził jej gardło i odebrał oddech. Nabrała powietrza w płuca i odstawiła szkło.

— Nie smakuje? — zaśmiał się Brian.

— Strasznie mocne.

— Wyszłaś z wprawy? Przecież zawsze to popijałaś...

— Ostatnio... odzwyczaiłam się.

— Rose, czyżbyś i ty dołączyła do abstynentów? — zapytał z nie ukrywaną troską. — O ile pamiętam, ciągnęłaś martini jak wodę, a papierosa odpalałaś od papierosa.

— Naprawdę?

— Jeden od drugiego. I to te mocne, gauloisy. Myślisz, że nie pamiętam?

— Ostatnio trochę mniej palę — próbowała się wyplątać.

— Pewnie za sprawą zacnego mężczyzny?

— Mówisz o Antonym?

— A o kim innym? Nie sędzę, żebyś znała aż tak wielu zacnych mężczyzn.

— Skoro tak uważasz...

— Czemu właściwie się z nim zaręczyłaś? — Brian pokręcił głową.

Poruszanie tak intymnych tematów na samym początku kolacji zapowiadało kręcenie piruetów tuż nad przerebłą. Flora postanowiła być czujna.

— Uważam, że jest mnóstwo ku temu powodów — wyjaśniła.

— Na przykład jaki?

— Czy to aż tak dla ciebie ważne?

— Jeszcze jak. Wszystko, co robisz, jest dla mnie ważne. Zwłaszcza że coś mi tu nie gra. Przecież ty i Antony zupełnie do siebie nie pasujecie. Żadna z was para. Gdy Anna powiedziała mi, że zamierzasz go poślubić, nie wierzyłem własnym uszom. Teraz też nie wierzę.

— Nie lubisz Antony'ego?

— Wszyscy go lubią. W tym leży jego problem. Jest cholernie miły.

— Chciałeś znać powód, więc już go znasz: Antony jest miły.

— Skończ ten tekst, Rose. — Brian odstawił ze zniecierpliwieniem whisky i nachylił się ku niej. Na ten wieczór wystroił się w dopasowany blezer, szare spodnie w delikatny rzucik i mokasyny od Gucciego, ozdobione czerwono-zielonym znakiem firmowym. Krucze włosy miał zaczesane do tyłu, a jasne, osadzone pod czarnymi brwiami oczy patrzyły przenikliwie i wyczekująco. Flora doceniła jeszcze w ciasnocie sportowego samochodu klasę jego wody po goleniu. Teraz zauważyła też złoty pasek zegarka, blask spinek przy mankietach i ciężki sygnet na palcu. Wyglądało na to, że Brian nie pominął żadnego detalu.

Jego wzrok, w połączeniu z jej reakcją, wróżył niebezpieczeństwo. Czas był najwyższy, żeby sprowadzić rozmowę na spokojniejsze wody.

— Czy Anna wspomniała ci o tańcach, które urządza Tuppy? — spytała Flora.

Spostrzegła w jego promiennym spojrzeniu coś na kształt irytacji, ale trwało to tylko przez moment. Odchylił się i sięgnął znów po whisky.

— Coś mi mówiła tuż przed wyjazdem.

— Jesteście zaproszeni.

— Nie wątpię.

— Przyjedziecie?

— Mam nadzieję.

— Nie brzmi to zbyt entuzjastycznie.

— Znam od lat te tańce u Tuppy. Zawsze te same twarze, te same stroje, te same dowcipy. Ale mówiłem ci w sobotę, że trzeba czymś płacić za życie na tej głuszy.

Nie sprawiał wrażenia człowieka płacącego za coś zbyt wysoką cenę.

— Dziwne podziękowanie za zaproszenie — powiedziała.

Uśmiechnął się, roztaczając znów cały swój czar.

— To nie podziękowanie. Jeśli tam będziesz, i taka kusząca jak dzi siaj, żadna siła nie powstrzyma mnie od przybycia.

— Nie sędę, żebym wyglądała szczególnie kusząco — odparła Flora, nie mogąc powstrzymać śmiechu. — Powiedzmy, że będę wyglądała nieco dziwacznie.

— Dziwacznie? Nie rozumiem.

Opowiedziała mu o porannych problemach z wieczorową suknią, maksymalnie ubarwiając relację. Gdy skończyła, pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Rose, ty chyba oszalałaś. Nie możesz wystąpić na party w jakichś starych łąkach wyszperanych na strychu w Fernrigg.

— A co mi pozostaje?

— Pojedziemy do Glasgow i kupisz sobie coś odpowiedniego. Możemy skoczyć do Edynburga, a choćby i do Londynu. Mam lepszy pomysł: wsiadamy w samolot i lecimy do Paryża. Zostaniemy tam do piątku i zaopatrzysz się u Diora.

— Niezłe masz pomysły.

— Cieszę się, że tak uważasz. Niezłe i nie do odrzucenia. No to kiedy wyruszamy? Najlepiej jutro. Przecież zawsze lubiłaś brać ostro zakręty...

— Tak, ale nie z tobą i nie u Diora — oświadczyła stanowczo. — Wybacz, Brian, ale nic z tego nie będzie.

— Więc nie miej do mnie pretensji, gdy wszyscy wybuchną śmiechem na widok twojej nadgryzionej przez mole kreacji. A w ogóle: ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. No to do dna, Rose. Widzę, że John macha już rękami, jakby był semaforem, więc pewnie pora coś przekąsić.

Intymny półmrok jadalni podkreślały świece i dyskretna szkocka muzyka. Prawie wszystkie stoliki były zajęte, ale ten zarezerwowany dla nich czekał pod łukowatym, przysłoniętym kotarą oknem. Prawdziwie zaciszny kącik. Usiedli. Niewidzialna ręka zaserwowała trunki. Flora, czując w głowie martini, nie była tym przesadnie zachwycona.

— Wołałabym spasować — powiedziała.

— Przestań się zgrywać, Rose. Wieczór dopiero się zaczyna. Rozluźnij się. Przecież nie będziesz, prowadzić wozu.

— Ale ty będziesz — odparła, patrząc na jego porcję tym razem nie rozcieńczonej whisky.

— Mną się nie przejmuj. Znam tę drogę jak własną kieszeń. Gliniarzy też mam w kieszeni. Pomyślmy lepiej o naszych podniebieniach — dodał, otwierając jadłospis o rozmiarach sporej gazety.



Karta dań obejmowała też homary i ostrygi. Flora uwielbiała homary, za ostrygami przepadała jeszcze bardziej, a na dodatek nie jadła ich od lat. Brian pozostawił jej wolną rękę.

— Zamów sobie ostrygi, ja decyduję się na homary. Co na drugie da nie? Befszyk z zieloną sałata? Pieczarki, pomidory?

Gdy uporali się z wyborem dań, kelner podał listę win. Brian zbył to machnięciem ręki i poprosił o butelkę Chateau Margaux, rocznik 1964. Kelner po kiwał z uznaniem głową, zabrał karty i ruszył na zaplecze.

— A może wolisz szampana? — spytał Brian.

— Co ci przyszło do głowy?

— Szampan pasuje do romantycznych spotkań. Jak to nasze, po latach.

— Tak to nazywasz?

— A jak mam to nazwać? Spotkanie, za którym tęskniłem noc w noc. Mam nadzieję, że ty też, Rose? A może zbyt wczesna pora, żeby wspominać o takich rzeczach?

Flora była bliska paniki. Cienki lód zaczynał trzeszczeć i czuła, że jeden fałszywy ruch może skończyć się kąpielą w przerębli. Obrzuciła Briana spojrzaniem szybującym ukradkiem ponad śnieżnobiałym obrusem, różowymi świecami i kieliszkami do wina, lśnącymi niczym mydlane bańki. Czekał na jej reakcję. Żeby zyskać na czasie, wlała w siebie kolejne martini. Było chyba jeszcze mocniejsze niż to pierwsze, ale przynajmniej wszystko stało się jasne i proste. Wystarczyło zachować czujność.

— Tak, to chyba zbyt wczesna pora — odpowiedziała.

— Ech, Rose — zachichotał.

— Co w tym tak śmiesznego?

— Ty! Po prostu ty! Zgrywasz się na oziebłą, przykładną, niedostępną narzeczoną. W porządku; zaręczyłaś się z tym zacnym młodym dupkiem, Antonym Armstrongiem, ale chyba wciąż masz na imię Rose? Przynajmniej przede mną nie musisz się zgrywać.

— Wcale się nie zgrywam.

— Czyżby?

— Może po prostu zmieniłam się.

— Wcale się nie zmieniłaś.

Powiedział to z taką pewnością, że była gotowa mu uwierzyć. Jeszcze przed chwilą cała jej wiedza o charakterze Rose opierała się na domniemaniach i zgadywankach. Teraz Flora, patrząc nieoczekiwanie w oczy mężczyzny,

który znał całą prawdę o siostrze, poczuła opór przed doświadczeniem goryczy. Złudzenia może były dziecinne, ale przynajmniej pokrzepiające, a Rose to w końcu jej bliźniaczka. Flora poczuła, że przez moment więzy krwi biorą górę nad jej wrodzoną ciekawością, ale trwało to naprawdę przez moment. Ciekawość przemogła wyrzuty sumienia i Flora — być może za sprawą trunków — powiedziała sobie, że raz kozie śmierć. Oparła łokcie o stół i spojrzała Briannowi głęboko w oczy.

— Skąd wiesz, że się nie zmieniłam? — spytała.

— Przestań, Rose...

— Powiedz mi, jaka byłam? Jego twarz pojaśniała.

— Dokładnie taka, jak w tej chwili. Teraz znów jesteś sobą. Tego nie da się zmienić. Nigdy. Wystarczy, że ktoś powie choć słówko o tobie.

— Więc powiedz, jaka byłam.

— Skoro sama tego chcesz... — Sięgnął dłonią po szklaneczkę i udawał, że patrzy gdzieś w bok, choć w rzeczywistości wodził podnieconym wzrokiem po obliczu Flory. — Byłaś szalowa. Długonoga i do tego nieziemsko młoda. Jak źrebię prosto ze stadniny. Mrukliwa i pewnie strasznie w siebie zapatrzona. Istna księżniczka na grochu. Tyle że cholernie seksowna. To właśnie mnie wtedy wzięło. Czy to chciałaś usłyszeć?

Flora poczuła, że płomyki świec parzą jej twarz. Kołnier swetra uwierał ją w szyję i musiała go rozluźnić.

— A więc taka byłam — wyjąkała — i to już w siedemnastym roku życia.

— Dokładnie taka. Może to głupie, Rose, ale nawet po twoim wyjeździe wciąż nie dawałaś mi spokoju. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się coś podobnego. Kilka razy polazłem nawet do Beach House, ale przecież już tam ciebie nie było. Zupełnie jak pusta plaża po morskim odpływie.

— Może to i dobre porównanie.

— Nie, to było wyjątkowe. Nikt inny nie potrafiłby tak się rozplątać.

— Pewnie znasz się na tych rzeczach.

— Najlepsze w tobie jest to — powiedział, z trudem maskując dumę — że od razu przejrzałaś mnie na wylot.

— Chodzi ci o to, że znałam swoją pozycję na twojej liście przebojów?

— Dokładnie o to.

— A Anna?

Nim odpowiedział, przeplukał gardło whisky.

— Anna... — zaczął powoli — ...jest jak struś. Umie chować głowę w piasek. Zwłaszcza jeśli chodzi o moje sprawy.

— Tak bardzo jesteś tego pewny?

— Chyba wiesz, jak to bywa z dozgonną miłością? Trumna wyłożona puchem.

— A tobie nigdy się nie zdarzyło takie uczucie?

— Nigdy. Nawet z tobą. Jeśli miałbym znaleźć na to właściwe słowo, wybrałbym to staroświeckie, z Biblii — „Pożądanie”. Całkiem niezłe określenie. Przyznasz, że brzmi zachęcająco.

Pierwsze danie przywędrowało na stół w całkowicie niestosownym momencie. Anonimowe ręce układały na stoliku talerze i sztuczki, podczas gdy Flora wpatrywała się w płomyki świec, próbując skupić myśli. Ktoś zabrał jej pusty kieliszek i uświadomiła sobie, że ma już za sobą podwójne martini. Teraz pojawiło się wino, połyskujące niczym majestatyczny rubin. Włożenie na siebie swetra okazało się wielkim błędem. Drapał ją w plecy, uwierał pod szyją, a na dodatek czuła, że się poci. Manipulując przy kołnierzu, spostrzegła wypełniony ostrygami talerz. Kelner zdążył już się ulotnić.

— Czy naprawdę masz na nie ochotę? — spytał gdzieś z daleka Brian.

— O czym mówisz?

— O ostrygach i o twojej minie. Wyglądają dość smacznie.

Flora wzięła się w garść.

— Wyglądają bajecznie. — Wydusiła sok z cytryny. Poczowała, że lepią się jej palce.

Brian zaatakował swojego homara z apetytem godnym pracźlowieka o czystym sumieniu. Flora uniosła i odłożyła widelec. W jej gardle wciąż tkwiło pytanie, które wreszcie zdołała z trudem wypowiedzieć:

— Powiedz mi, Brian... czy ktoś wie o tym, co było między nami?

— Oczywiście, że nikt. Masz mnie za frajera? Debiutanta w tym fachu? — Odetchnęła z ulgą. — Tylko Hugh — dodał beztrasko.

— Hugh?!

— Po co ten ton, Rose? Przecież wiesz o tym. Czemu tak patrzysz? Nie pamiętasz, jak nas nakrył? — Mrugnął filuternie, jakby wspominał szkolne psoty. — Nie zapomnę tej sceny. Hugh też chyba nigdy mi tego nie wybaczył, ale podejrzewam, że głównie przez zazdrość. Coś mi mówi, że też miał na ciebie ochotę.

— To kłamstwo!

Briana zaskoczyła gwałtowność jej reakcji.

— Czy powiedziałem coś złego? — spytał, unosząc wzrok.

— To nieprawda. — Przez chwilę szukała rozpaczliwie argumentu. — Antony też mi mówił, że to nieprawda.

— A więc rozmawialiście i o tym — odparł wyraźnie rozbawiony Brian. — Ciekawe, bardzo ciekawe...

— Antony mówił, że Hugh...

— Jest świętym pańskim — dokończył za nią Brian. — Zawsze uważał go za kogoś w tym rodzaju. Święty Antoni z piłką do rugby pod pachą. Pewnie każdy chłopak w tym wieku musi mieć jakiegoś idola. Hugh udaje wyniosłego świętoszka, ale jego żona leżała już wtedy od trzech lat w ziemi i coś mi mówi, że pod tym względem nie różni się od wszystkich chłopów.

Flora poczuła się pokonana. Już od spotkania na plaży podejrzewała, że Hugh podkochiwał się w Rose. Komplikowało to sprawy, ale w sumie wtedy się nie liczyło.

Teraz zaczęło się liczyć.

Trudno powiedzieć od kiedy. Może od momentu, gdy Hugh, stojąc na schodach w Fernrigg, wspomniał jej o starym Angusie McKay, a słońce wypełniło nagle hol złocistą poświatą? A może od tamtego popołudnia, gdy wziął rysunek Jasona, ułożył go na kuchennym stole i starannie wyprostował? Lub od chwili, gdy spojrzała ponad głową Jasona i uchwyciła jego zamyślane spojrzenie?

Flora nie czuła już gorąca. Zimna też. Niczego nie czuła. Wpadła w odrętwienie. Żałowała tylko, że spytała o Rose, że dowiedziała się czegoś o niej, ale teraz było już za późno. Części układanki zaskoczyły z trzaskiem, a obrazek wyglądał parszywie. Siedemnastoletnia Rose, naga, w cudzym wyrze. Uwiedziona lub może raczej uwodzająca Briana Stod-darta.

Ale jeszcze gorsza była świadomość, że Hugh mógł zakochać się w kimś takim jak Rose.

Kolacja przeciągała się w nieskończoność. Brian — być może pod wpływem whisky i wina — przestał głądzić o sobie i przeszedł na szczegółowy opis łodzi, którą zamierzał zbudować. Był już w połowie kadłuba, gdy za przyjaźniony kelner wywołał go dyskretnie do telefonu.

— Na pewno chodzi o mnie? — pytał go z niedowierzaniem Brian.

— Szanowny pan wybaczy, ale nasza telefonistka prosiła o przekazanie informacji.

— A kto dzwoni?

— Przykro mi, nie mam pojęcia.

— Przepraszam, Rose — rzucił Brian. — Diabli wiedzą, kto to może być. Zaraz wracam — dodał, usuwając serwetę z kolan.

— Drobiazg, Brian.

— Będę za minutę.

Ruszył niepewnym krokiem pomiędzy stolikami i zniknął w drzwiach na tyłach restauracji. Flora przyjęła z ulgą chwilę samotności. Odsunęła talerz i próbowała przeanalizować wszystko na chłodno, ale sala była duszna, jej głowa obolała, a wypite trunki też robiły swoje. Skupiła wzrok na płomykach świec, choć i one chygotały podejrzenie, umykając gdzieś na boki. Rozejrzała się, skinęła na kelnera i poprosiła o karafkę czystej wody. Napełniła szklaneczkę i wypila do dna. Odstawiła naczynie i w tym momencie uświadomiła sobie, że czyjeś dłonie spoczywają na oparciu krzesła, na którym jeszcze przed chwilą siedział Brian.

Rozpoznała te dłonie. Już drugi raz w tym dniu uniosła głowę, by spojrzeć prosto w oczy Hugh Kyle'a.

Jej pierwszą reakcją była radość; instynktowna i tak wielka, że zabrakło jej słów i powietrza w płucach.

— Dobry wieczór — powiedział Kyle.

Sprawiał wrażenie — choć trudno było sobie to wyobrazić — jeszcze wyższego i masywniejszego. Na ubranie narzucił sfatygowany prochowiec i ten właśnie, nie pasujący do nocnych lokali, strój przykuł uwagę Flory.

— Co ty tu robisz? — spytała równie radośnie, co niestosownie.

— Przyjechałem zabrać cię do domu.

— A gdzie jest Brian? — Flora rozejrzała się po sali.

— Brian już odjechał.

— Do domu? — Idiotyczne pytanie. Równie idiotyczne, jak ona sama. — Przecież poproszono go do telefonu?

— Poproszono. Lub, jeśli wolisz, to ja go poprosiłem. Nie było innego sposobu, żeby go stąd wywabić. — Oczy Kyle'a były przejrzyste niczym szkło. — A jeśli masz ochotę pędzić za nim, uprzedzam, że znajduje się on teraz w swoim samochodzie i pewnie dojeżdża do Ardmore.

Powiedział to beznamiętnie, starannie akcentując wyrazy. Radość Flory rozplynęła się w nicości, pozostawiając po sobie jedynie przykre sensacje w żołądku. Docierało do niej, że Hugh z trudem ukrywa pod maską obojętności dziką furję, ale wypite trunki nie pozwalały jej zrozumieć, o co właściwie mu chodzi.

— Odjechał beze mnie? — spytała.

— Odjechał bez ciebie. A teraz zbieraj się. Czas do domu. Jego arogancja wywołała we Florze naturalny odruch sprzeciwu.

— Ale... ale ja jeszcze nie skończyłam kolacji...

— Sądząc po twoim stanie, niewiele już stracisz. Zabrzmiało to ostro. Flora poczuła złość pomieszana z obawą.

— Nie mam ochoty z tobą jechać.

— A więc pewnie wolisz iść na piechotę — odparł obojętnie. — Wolna droga. Piętnaście mil, tylko trochę nędzna nawierzchnia.

— Wezmę taksówkę.

— Tu nie ma żadnych taksówek. Weź lepiej płaszcz.

Flora skupiła myśli. — Jest na piętrze. W damskiej toalecie. Przecież mówię, że nigdzie się z tobą nie wybieram...

Kyle przywołał jednego z młodszych kelnerów i posłał go po okrycie Flory.

— Granatowe, z podpinką w szkocką kratę — zakomenderował. — No to idziemy.

— Dlaczego Brian odjechał?

— Porozmawiamy o tym w samochodzie.

— Zmusiłeś go do tego?

— Rose, ludzie zaczynają nam się przyglądać. Może oszczędzimy im tego widowiska?

Miał rację. Rozmowy przy stolikach przeszły w cichy szmer. Gdzieniedzie unosiły się zaciekawione głowy. Flora nigdy nie wybaczyłaby sobie udziału w czymś podobnym. Uniosła się ostrożnie i bez słowa. Nogi miała jak z gumy. Starając się patrzeć przed siebie, opuściła salę.

Kelner zdążył tymczasem odnaleźć jej palto. Hugh wręczył mu napiwek i podał płaszcz Florze. Rozpaczliwie próbowała uporać się z guzikami, ale Hugh stracił cierpliwość, wziął ją pod ramię i wyprowadził przez hol na parking.

Było mrocznie i dżdżyscie. Zachodni wiatr od morza dmuchał prosto w twarz. Upał restauracji, wino, obfity posiłek, ostry ziąb — wszystko to sprawiło, że Flora poczuła się, jakby oberwała w głowę. Ogarnęła ją ciemność. Przytknęła oczy, dotknęła dłonią czoła, ale Hugh zdążył w porę złapać ją za przegub drugiej ręki i poprowadził przez kałuże do zaparkowanego wozu. Gdyby nie Hugh, upadłaby, a i tak zgubiła gdzieś jeden z pantofli. Czekał niecierpliwie, aż go odnajdzie i włoży. Wtedy upuściła torebkę.

Zaklął, podniósł ją bezceremonialnie, wcisnął w kieszeń swojego prochowca.

Przed oczyma Flory zamajaczył kształt samochodu. Hugh otworzył wóz, wepchnął ją do środka i zatrzasnął drzwi, nie siląc się na delikatność. Obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Raz jeszcze huknął drzwiami. Flora myślała, że zgniecie ją własnym ogromem. Płaszcz miała nie dopięty, stopy mokre, a rozwichrzone włosy opadały jej na twarz. Zapadła w przedni fotel, wcisnęła dłonie w kieszenie i pomyślała, że jeśli się teraz rozbeczy, nie wybaczy sobie tego do śmierci.

— Porozmawiamy czy jesteś zbyt pijana? — spytał nagle Hugh.

— Wcale nie jestem pijana. — Nawet nie zadał sobie trudu, by włączyć światło w wozie. Spojrzała w ciemność i spytała przez zaciśnięte zęby: — Gdzie jest Brian?

— Powiedziałem ci, że odjechał do Ardmore.

— Jak go do tego zmusiłeś?

— Nie twoja sprawa.

— Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

— Od Isobel. Zostawiłaś dziś u mnie rękawiczki i dzwoniłem do Fernrigg, żeby ci o tym powiedzieć. Isobel wspomniała mi, że Brian zaprosił cię na kolację.

— To chyba nie przestępstwo?

— Zależy w czyich oczach. *Zawsze udaje wyniosłego świętoszka.*

— Chodzi ci o Antony'ego czy o Briana?

— Chodzi mi o Annę.

— Anna wiedziała o wszystkim. Była tuż obok, gdy Brian zaprosił mnie na tę kolację.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Jak to nie ma?

— Sama wiesz najlepiej — odparł znużonym głosem.

Przyjrzała mu się. Jej oczy zdążyły już przyzwyczaić się do ciemności i dostrzegła zarys jego twarzy.

„Jego żona leżała już wtedy od trzech lat w ziemi i coś mi mówi, że pod tym względem nie różni się od wszystkich innych chłopów.”

Tak, Hugh był kiedyś zakochany w Rose. Pewnie bez wzajemności, ale jego nagle pojawienie się w restauracji i tłumiony gniew nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Zadurzył się w takiej Rose. Już tylko za to była go w stanie ukatrupić.

— Tak, wiem — powiedziała chłodno. — Jesteś zazdrosny. — Nie była pewna, czy przemawia przez nią Rose, wypite wino czy jej własne rozgoryczenie. Jedyne, czego była pewna, to że chce mu dopiec. — Zazdrościsz Brianowi tego, czego sam nie masz: żony i domu. Nie daje ci to spokoju. — Ulżyło jej, ale nie pomogło powstrzymać łez. Popłynęły ciurkiem po makijażu. Sama sobie winna! I co najgorsze, nie była już Florą. Teraz była Rose, całą Rose. Rose wymyślającą najokrutniejsze katusze. Rose wypowiadającą słowa: — Nieźle cię załatwiła twoja żona, ginąc w tym aucie...

Ostatnie słowa zawisły w ciszy. Trwało to chwilę, a potem Hugh wymierzył jej policzek.

Może niezbyt mocny. Gdyby włożył w to więcej siły, pewnie obudziłaby się w szpitalu. Ale Flora nie została jak dotąd uderzona nigdy i przez nikogo. Nie wiedzieć czemu, przestała płakać. Uciszona bólem i upokorzeniem, siedziała sztywno z rozwibrowaną głową i półotwartymi ustami.

Hugh włączył światło. Zakryła twarz dłońmi.

— Nic ci nie jest? — spytał.

Pokręciła głową.

Ujął jej dłonie i odsunął od twarzy. Spojrzenie mu w oczy wydawało się rzeczą niemożliwą, a jednak zdobyła się na to.

— Dlaczego chcesz aż tyle, Rose? — spytał. — Dlaczego chcesz mieć wszystko dla siebie?

*Nie jestem Rose. Nie jestem Rose.*

Coś znów w niej zaskoczyło. Poczowała, że drży z zimna.

— Chcę jechać do domu — poprosiła.



## ROZDZIAŁ 9

### FLORA

Flora zbudziła w środku nocy pragnienie; dzikie pragnienie, jak na pustyni. Gardło miała wyschnięte, głowę obolałą, a gdy tylko odzyskała świadomość, zmory wczorajszego wieczoru usiadły jej na piersi; z dwojga złego wolała leżeć i cierpieć wyrzuty sumienia, niż podnieść się i sięgnąć po szklankę wody.

Kołdra zsunęła się na podłogę i Flora drżała z zimna. Sięgnęła po omacku ręką i poczuła ból tak przeszywający, że straciła oddech i oblała się potem. Po chwili ból ustał, ale niezupełnie. Leżała bez ruchu, analizując chłodno i oczekując na kolejne posunięcie przeciwnika. Pragnienie było silniejsze. Zaryzykowała ruch ramienia w kierunku nocnej lampki, ale poczuła nudności, gdy się uniosła, więc wyskoczyła z łóżka i w ostatniej chwili dotarła do łazienki.

(Jdy było już po wszystkim, Flora — obolała od wymiotów, z żołądkiem jak kamień — poczuła zawrót głowy. Stwierdziła nagle, że leży na podłodze łazienki, że ma na sobie tylko nocną koszulę i że jej pulsująca głowa opiera się o mahoniową obudowę wanny. Przymknęła oczy i pogodzona z losem, oczekiwała na śmierć.

Po dłuższej chwili, czując, że śmierć jakoś nie przychodzi, zaryzykowała otwarcie powiek. Łazienka, oglądana z horyzontalnej perspektywy, wydawała się przepastna i niezbyt proporcjonalna. Również korytarz za uchylonymi drzwiami nie miał chyba końca. Od zacisza sypialni dzieliło Florę co najmniej kilka lat świetlnych. Mimo to uniosła się z niemałym trudem i czepiając się ścian, ruszyła w stronę łóżka. Padła na nie wyczerpana i leżała w dreszczach, nie mając sił nawet się przykryć.

Pomyślała, że jest z nią kiepsko. Czowała, że za chwilę zamrznie. Okno było otwarte, a nocne powietrze chłostało ją niczym lodowata woda. Nie miała wątpliwości, że skoro nie umarła w łazience, wykorkuje tutaj, na zapalenie

pluc. Desperacko wśliznęła się pod koce. Termofor był zimny jak lód. Usłyszała szczękanie własnych zębów.

Sen nie przychodził, a noc wydawała się nie mieć końca. Zmiętoszone poduszki lepiły się do jej głowy, zrolowana pościel była wilgotna od potu. Modliła się, żeby przyszedł wreszcie ranek, a wraz z nim ludzie, którzy pocieszą ją, zmienią pościel i znajdą jakiś lek na ból głowy. Ale czas włókł się niemiłosiernie, póki niebo nie przybrało szarej barwy, a Flora zapadła wreszcie w sen spowodowany wyczerpaniem.

Ze snu wydobyła ją Isobel. Zaniepokojona, że Flora nie zeszła na śniadanie, udała się na wszelki wypadek do jej sypialni.

— Sądziłam, że pewnie odsypiasz noc, ale... — Zamarła na widok panującego w pokoju Flory nieładu: porozrzucanej byle gdzie garderoby, skotłowanego łóżka, wymiętoszonych koców, prześcieradła opadającego jednym rogiem na dywan.

— Rose! — Isobel podbiegła do łóżka i spostrzegła śmiertelną bladość Flory oraz włosy lepiące się do jej czoła.

— Nic mi nie jest — wyjąkała z trudem Flora. — W nocy czułam się nie najlepiej.

— Biedactwo! Trzeba było mnie zbudzić.

— Nie chciałam nikomu przeszkadzać. Isobel przyłożyła dłoń do jej czoła.

— Przecież ty aż płoniesz!

— To pewnie od migreny...

— A do tego ta pościel — jęknęła Isobel, zamierzając wygładzić prześcieradła, lecz nagle coś odwiodło ją od tego zamiaru. — Poczekaj. Poproszę siostrę McLeod i zaraz wszystko będzie dobrze. — Ruszyła ku drzwiom. — Leż spokojnie, Rose, i pod żadnym pozorem nie ruszaj się z łóżka.

Po chwili przybiegły obie i wszystko zaczęło się dziać dokładnie tak, jak w nocnych tęsknotach Flory. Zatraskane twarze, delikatne dłonie, czysta pościel, dwa gorące, owinięte w wełnę termofory. Oprócz tego świeża nocna koszula, gąbka zmywająca pot z ramion i twarzy, zapach wody ko-loriskiej i szlafrok.

— Czyj to szlafrok? — spytała Flora, gdy już ją opatuliły. Nie przywiozła z sobą czegoś podobnego.

— Mój — wyjaśniła Isobel.

Szlafrok miał barwę perłową, mnóstwo koronek, był obszerny, a rękawy wcale nie uwierały.

— Bardzo twarzowy.

— Dostałam go od Tuppy.

Tuppy. Flora omal nie rozpląkała się, czując wyrzuty sumienia.

— Och, Isobel. Masz teraz na głowie chorą Tuppy, mnie, a do tego bal i całe gospodarstwo. — Niczym bezradne dziecko dała upust potokowi łez, które pociekły jej po policzkach. — A wszystko przeze mnie — zaszlochała.

— Przez ciebie? Przestań wygadywać głupstwa. Przecież mamy tutaj panią McLeod, która zajmuje się Tuppy, więc zajmie się i tobą. Co pani na to?

Siostra McLeod związała właśnie przeпоconą pościel.

— Nie widzę problemu — wzruszyła ramionami. — W mig postawimy ją na nogi. — Opuściła pokój, by jak najszybciej powierzyć pościel pracce.

Isobel otarła papierową chusteczką zapłakaną twarz Flory.

— Gdy Hugh wpadnie dziś do Tuppy, powiemy mu, że... — zaczęła.

— Nie, Isobel! — Słowa Flory zabrzmiały tak donośnie i stanowczo, że Isobel nie dokończyła zdania.

— Dlaczego nie? — spytała po chwili łagodnie.

— Bo nie jest mi potrzebny. Żadnych lekarzy. — Ujęła dłoń Isobel, gotowa trzymać ją, dopóki jej nie przekona. — Nic mi nie jest. Czułam się źle w nocy, ale już mi przeszło. Naprawdę wszystko w porządku. — Była przerażona. Isobel patrzyła na nią jak na kogoś, komu pomieszało się w głowie. — Nie chcę żadnych lekarzy — powiedziała Flora i na oczekaniu wymyśliła uzasadnienie. — Mam to od dawna... właściwie od dziecka...

Zachowanie Isobel przypominało psychiatrę próbującego uspokoić niebezpiecznego szaleńca.

— Już dobrze, Rose — powiedziała pojednawczo. — Skoro tak mówisz...

— Obiecuj mi, Isobel — poprosiła Flora, zwalniając powoli uścisk.

Isobel cofnęła pośpiesznie dłoń i natychmiast przybrała stanowczy ton.

— Nigdy nie składam obietnic, których nie byłabym w stanie dotrzymać.

— Proszę cię.

— Powinnaś się trochę przespać — dodała łagodnie Isobel, z bezpiecznej odległości. — Nie ma to jak sen.

Flora poszła za jej radą, ale sny miała koszmarne. Szła po plaży, której piasek był czarny i roił się od pajaków. Była tam też Rose, przyodziana tylko w bikini, krocząca wzdłuż lepkiego od ropy morza, ciągnąca za sobą długi korowód mężczyzn. Nagle wszyscy popatrzyli na Florę, a ona stwierdziła, że jest naga, jak ją Pan Bóg stworzył. Rose wybuchnęła śmiechem. Flora rzuciła się do ucieczki, ale jej stopy uwięzły w piasku, który zdążył zamienić się w trzęsawisko. Jeden z mężczyzn zatrzymał ją i zaczął bić po twarzy. Wiedziała, że chce ją zabić...

Obudziła się obłana zimnym potem, delikatnie potrząsana przez siostrę McLeod. Otworzyła oczy i ujrzała jej okulary, końską twarz i gładko przyczesane siwe włosy.

— Proszę się zbudzić — powiedziała pielęgniarka. — Doktor Kyle chciałby panią obejrzeć.

— Ale ja wcale nie chcę go oglądać — wymówiła Flora, oddzielając wyrazy. Wciąż nie mogła otrząsnąć się z sennego koszmaru.

— I bardzo niedobrze. — Gigantyczna sylwetka doktora zamajaczyła gdzieś w nogach łóżka. — Bo on właśnie ma na to ochotę.

Sen rozpląnął się w niepamięci. Flora poruszyła powiekami i wizerunek doktora nabrał konkretnych kształtów. Obrzuciła go ponurym spojrzeniem, czując się zdradzona.

— Przecież prosiłam o coś Isobel...

— Isobel nie zawsze robi to, co jej każą. Jak zresztą każdy z nas.

— Ale obiecała...

— Chyba nie wierzy pan, doktorze, że panna Armstrong coś przyrzekała — wtrąciła pielęgniarka. — A teraz, jeśli pan pozwoli, opuszczę was i udam się do starszej pani Armstrong.

— W porządku, siostró.

Pielęgniarka wycofała się, szeleszcząc nakrochmalonym fartuchem. Hugh delikatnie przymknął za nią drzwi i podszedł do łóżka Flory. Usiadł na jego skraju. Niezbyt pasowało to do jego profesji.

— Isobel powiedziała mi, że miałaś torsje.

— Zgadza się.

— Kiedy cię dopadły?

— Gdzieś w środku nocy. Trudno powiedzieć. Nie patrzyłam na zegarek.

— No to do roboty. — Odgarnął jej włosy ze spoconego czoła.

Dotyk dłoni był chłodny i typowo lekarski. Dziś w nocy ta sama dłoń wylądowała na moim policzku — przypomniawszy sobie. Było to tak niewia-

rygodne, że chyba należało do snu. Bardzo chciała, żeby tak właśnie było, choć wiedziała, że zdarzyło się to jednak na jawie.

— Czulaś bóle?

— Tak.

— Gdzie?

— Wszędzie. Najbardziej w okolicach brzucha.

— Pokaż dokładnie, w którym miejscu. — Pokazała. — Masz problemy z wyrostkiem robaczkowym?

— Usunięto mi go przed czterema laty.

— Dobra. Jedna możliwość odpada. Jesteś na coś uczulona? Jakieś dania, pokarmy?

— Na nic.

— Co wczoraj jadłaś? Zacznijmy od lunchu. Uruchomienie pamięci nie przyszło jej łatwo.

— Mięso na zimno i ziemniaki z piekarnika.

— A podczas kolacji? Zacisnęła powieki.

— Befszyk... i odrobinę sałatki.

— Wcześniej nic?

— Ostrygi.

— Ostrygi — powtórzył, jakby aprobując jej wybór. — To wiele wyjaśnia.

— Lubię ostrygi.

— Ja też, pod warunkiem, że są świeże.

— Myślisz, że tamte były nieświeże?

— Na to wygląda. Nie skosztowałaś ich najpierw? Nieświeże łatwo od razu rozpoznać.

— Chyba... nie pamiętam.

— Nie pierwszy raz mam do czynienia z ofiarami ostryg, które serwują „Pod Kotwicą”. Będę musiał się tam wybrać i zamienić kilka słów z ich szefem kuchni, zanim nie wytruje wszystkich mieszkańców hrabstwa.

Hugh wstał i wyjął z kieszeni srebrne pudełko, w którym znajdował się termometr. — Ciekawe — rzucił, kręcąc głową — że dotąd nie wezwano mnie do Ardmore. — Uniósł rękę Flory, by zbadać jej puls.

— Brian jadł homary.

— Wielka szkoda — mruknął Hugh i co prędzej włożył termometr w usta Flory.

Teraz była bezsilna, bezradna, a na dodatek skazana na jego złośliwe komentarze. Jedyne, co mogła zrobić, to odwrócić w bok głowę i gapić się w okno. Poranne chmury przetaczały się leniwie po niebie. Jakaś mewa darła się jak najęta. Flora oczekiwała z utęsknieniem, aż Hugh wyjmie jej z ust termometr, skończy badanie, pójdzie sobie do diabła i pozwoli jej umrzeć w spokoju.

Ale czas upływał, a Hugh nie zamierzał zrobić żadnej z tych rzeczy. Pokój wypełniała podejrzana cisza, jak gdyby wszystko zamarzło lub obróciło się w kamień. Wreszcie ciekawość kazała Florze odwrócić głowę od okna. Hugh trwał bez ruchu. Stał przy łóżku, nie wypuszczając z dłoni jej nadgarstka, spojrzenie miał posępne, a twarz skupioną. Luźny rękaw perłowego szlafroka Isobel zsunął się z ramienia Flory, które — przynajmniej jej zdaniem — przypominało teraz trupi piszczel. Pomyślała, że zapadła na jakąś wyniszczającą chorobę, i próbowała zebrać odwagę, by przyjąć z godnością wyrok losu.

Z desperacji wyrwało ją pojawienie się Isobel, poprzedzone przezornym zerknięciem przez uchylone drzwi, jakby obawiała się, że Flora zerwie się z łóżka i skoczy jej do gardła.

— Jak się ma nasza chora?

Hugh puścił nadgarstek Flory i wyjął jej z ust termometr.

— Wygląda na to, że czymś się przytruła — wyjaśnił. Włożył szkła, by odczytać temperaturę.

— Czymś do jedzenia?

— Spokojnie, Isobel. Epidemia na pewno wam nie grozi. Po prostu zjadła wczoraj „Pod Kotwicą” nieświeże ostrygi.

— Biedna Rose.

Isobel wymówiła to takim tonem, że Flora znów poczuła wyrzuty sumienia.

— Strasznie mi przykro. Wszystko przez to, że przepadam za ostrygami.

— Ale co z naszym balem? Czyżbyś musiała spędzić go w łóżku?

— Nie jest tak źle — przerwał jej Hugh. — Jeśli tylko zastosuje się do moich poleceń, wkrótce wstanie i będzie mogła balować do białego rana. Wystarczy potrzymać ją kilka dni w łóżku i na diecie. — Podniósł torbę i stał przez chwilę, ściskając dłonią gałkę przy poręczy łóżka. — Dziś i jutro będziesz mocno przygnębiona i trochę zażawiona — zwrócił się do Flory. — To przykre, ale normalne po zatruciach. Spróbuj się tym zbytnio nie przejmować.

Gdy tylko wspomniał o łzach, Florze znów zebrало się na płacz. Pewnie i on to spostrzegł, bo podał Isobel ramię i ruszył wraz z nią ku drzwiom. Już za progiem odwrócił się, mrugnął okiem i posłał jej jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

— Trzymaj się, Rose — rzucił przez ramię.

Flora zakłęła pod nosem i sięgnęła po papierową chusteczkę.

Miał rację z tym przygnębieniem. Flora przespała większość tego dnia, ale na-  
zajutrz ogarnęły ją czarne myśli. Pogoda sekundowała jej dzielnie. Dzień był szary, deszczowy, a za oknem nie widziała nic oprócz ciemnych, skłębionych chmur i jakiejś mokrej, zabłąkanej mewy. Zaczął się przypływ. Fale uderzały o kamienistą, leżącą tuż poniżej domu plażę z jednostajnym rytmem, a mrok zapadł tak szybko, że już o trzeciej trzeba było pozapalać lampy.

W głowie Flory krążyły natarczywe, smętne i egoistyczne myśli, a każda z nich prowadziła — jak po sznurku — do tego samego punktu. Leżąc w obcym łóżku, w obcym domu, Flora przeżywała znów męki utraty tożsamości. Nie mogła uwierzyć, że uwikłała się wyłącznie z dobrej woli w tę zwariowaną maskaradę, która teraz wydawała się jej pospolitą głupotą.

Przecież bliźniacze siostry to coś jak dwie połowy tej samej osoby. Zupełnie jakby rozciąć kogoś na pół.

Sama Rose powiedziała jej to wtedy w Londynie, ale wówczas jej słowa nie wydawały się Florze godne uwagi. Teraz nabrały znaczenia, bo Rose okazała się kimś podłym, pozbawionym zasad i elementarnej moralności. Czy oznaczało to, że te same nasiona zła wiodły przez cały ten czas utajony żywot również we Florze?

Czy, gdyby to ją wybrała wtedy matka, ojcu zaś przypadłaby w udziale Rose, Flora w siedemnastej wiosnie życia wskoczyłaby tak ochoczo do łóżka żonatego mężczyzny? Czy zostawiłaby Antony'ego właśnie wtedy, gdy tak bardzo jej potrzebował i czy poszybowałaby na Spetsai z jakimś bogatym, młodym Grekiem? Czy potrafiłaby wykorzystać bez skrupułów Rose, tak jak ona ją wykorzystwała? Początkowo wszystko to wydawało się wręcz niewiarygodne, ale po koszmarnej nocnej scenie w samochodzie Kyle'a Flora nie była już tak pewna siebie. *Nieźle cię załatwiła twoja żona, ginąc w tym aucie.* To były słowa Rose. Tylko że wypowiedziała je Flora. Obrzydliwe zdanie drażyło nieustannie jej sumienie. Przymknęła oczy, wtuliła twarz w poduszkę, ale nic to nie pomogło, ponieważ nie była w stanie uwolnić się od własnych myśli.

I jakby tego było mało, dochodziły inne lęki, inne niepokoje, ciężące niczym uwieszony u szyi młyński kamień. Jak pożegna się z Armstrongami, gdy przyjdzie na to czas? I gdzie właściwie się uda? Do Kornwalii? Przecież wyjechała stamtąd przed kilkoma dniami, a Marcii i staremu też należy się trochę czasu dla siebie. Do Londynu? To oznaczało powrót do nie rozwiązanych problemów. Gdzie będzie mieszkać? Z czego żyć? Co robić? W wyobraźni ujrzała, jak złana deszczem oczekuje w długiej kolejce na autobus, jak wyskakuje do baru w przerwie na lunch, jak oszczędza każdy szyling na komorne, jak tęskni za nowymi znajomymi, próbując równocześnie odnaleźć tych starych.

A nad tym wszystkim unosił się, niczym widmo, Hugh. O nim jednak wolała nie myśleć, bo każda myśl rozplątywała się w strugach wylewanych bezsensownie łez.

Rose nie przejmowałyby się, co pomyśla o niej Armstrongowie. Pożegnałyby się i tyle by ją widzieli.

*Nie jestem Rose.*

Rose nie musiałyby szukać pracy ani moknąć na przystanku. Wystarczyłoby skinąć na taksówkę.

*Ale nie jestem Rose.*

Rose wiedziałyby, co zrobić, żeby Hugh zakochał się w niej.

Na to nie było żadnej odpowiedzi.

Za to wszyscy byli dla Flory wyjątkowo mili. Isobel przekazała jej pozdrowienia od Antony'ego, którego powiadomiła telefonicznie, że Rose jest chora. Od Jasona dostała bukietek kwiatków, które sam pozrywał, a od Anny Stoddart ciemnoróżowe azalie, a wraz z nimi liścik:

*Strasznie się martwię twoją chorobą, ale mam nadzieję, że wyzdrowiejesz do piątku. Ucałowania i uściski od Briana i ode mnie.*

*Anna*

— To azalie ze szklarni w Ardmore — wyjaśniła Florze Isobel. — Nikt nie ma tu takich. Czasem sama im zazdroszczę. Rose... ty znowu płaczesz.

— Nie mogę nic na to poradzić.

Isobel westchnęła i sięgnęła po kolejną chusteczkę.

Pojawiała się też siostra McLeod, która zaczynała profesjonalnie — od zmieniania pościeli, ale zaraz potem przechodziła na bardziej osobisty ton, informując Florę o aktualnym stanie powierzonej jej krawieckiej ręce „sukni balowej”.



— Właśnie zabrałam się za przyszywanie podszewki. Od razu nabrała fasonu, ale mysie, że przydałoby się jeszcze coś gustownego w talii. Może niezbyt szeroki pasek? Pani Watty znalazła w swoim pudełku na guziki idealną klamerkę z masy perłowej.

Pani Watty przekazała na piśmie życzenie rychłego powrotu do zdrowia, a Tuppy bukiet ostatnich w tym roku róż, które poleciła ściąć ogrodnikowi. Tuppy ułożyła własnoręcznie bukiet w stojącym na jej nocnym stoliku wazonie, przy okazji zasypała mokrymi łodygami całą puchową kołdrę. Potem poleciła Isobel zanieść ukończone dzieło Florze.

— *Stara niedołęga młodej niedołądze* — zacytowała dedykację Isobel i ułożyła bukiet na toaletce.

— Czy Hugh odwiedza co dzień Tuppy? — spytała przy okazji Flora.

— Teraz już nie co dzień. Wpada tylko, gdy jest mu po drodze. A czemu pytasz? — W głosie Isobel zabrzmiała nieco filuterna nuta. — Stęskniłaś się za nim?

— Wręcz przeciwnie — odparła Flora.

W czwartek zapowiadał się pięknie już od świtu. Florę zbudził poranek błyszczący niczym wypolerowana moneta. Słońce, błękitne niebo, a nawet krzyk mew: wszystko to skojarzyło się jej z latem.

— Ale dzionek! — zaświergotała już od progu siostra McLeod i w mig zajęła się rozsuwaniem zasłon, usunięciem wyziębionego przez noc termoforu i poprawieniem prześcieradeł, przez co Flora była skazana na trwanie w nieruchomej pozycji.

— Pora wstać — powiedziała Flora, znudzona rekonwalescencją.

— Wykluczone. Przynajmniej dopóki doktor Kyle nie wyrazi na to zgody.

Florę natychmiast opuścił dobry humor. Że też pielęgniarka musiała wymówić to nazwisko. Pomimo radosnego poranka czuła się podle, choć jej samopoczucie nie miało nic wspólnego z chorobą. Typowa chandra, której ewidentnym powodem były obrzydliwe słowa wypowiedziane tamtej nocy. Wisiały nad nią niczym miecz i wiedziała, że będą wisieć, dopóki nie zdobędzie się na przeprosiny.

Na samą myśl o tym poczuła nawrót choroby. Wślizgnęła się pod koce, a pielęgniarka obrzuciła ją zatroskanym spojrzeniem.

— Chyba jednak nie czuje się pani najlepiej? — spytała.

— Czuję się świetnie — mruknęła Flora.

—Więc może należałoby coś zjeść? Poproszę panią Watty, żeby przy-  
szykowała odrobinę grysiku.

—Uprzedzam — oświadczyła beznamiętnie Flora — że jeśli przyniesie mi  
pani grysik, wyrzucę go natychmiast za okno.

Pielęgniarka obróciła się na pięcie i zeszła do kuchni z wiadomością, że  
przynajmniej jedna z jej podopiecznych jest na najlepszej drodze do wyzdro-  
wienia.

Wkrótce potem pojawiła się Isobel ze śniadaniem, może niezbyt roz-  
pustnym, złożonym z grzanki, dżemu i filiżanki chińskiej herbaty. Wyjęła z  
kieszeni swojego kardiganu widokówkę i ułożyła ją na tacy tak, żeby było wi-  
dać, co przedstawia. Flora spostrzegła błękitne niebo, soczystą zieleń platanów  
i sylwetkę wieży Eiffla. Paryż?

Zaskoczona, odwróciła widokówkę. Była zaadresowana kanciastym, byle  
jakim pismem na nazwisko panny Rose Schuster, przebywającej w Fernrigg  
House, Tarbole, Arisaig, Argyll, Ecosse. Flora przeczytała ze zdziwieniem  
przesłanie nagryzmołone drobnym pismem na skąpej powierzchni kartki:

*A więc odzywam się. Bombowe było to nasze spotkanie. Zabawię tu kilka  
dni przed Spetsai. Piszę na adres Fernrigg, bo coś mi mówi, że spędzasz  
tam czas na łonie rodziny, a może już nawet zaobrączkowałeś się z Anto-  
nym. Wyściskaj go przy okazji ode mnie.*

Daty i podpisu nie było.

— Czy to od kogoś bliskiego? — spytała Isobel.

— Nie, zwykła widokówka.

Cwana była ta Rose. Isobel nigdy nie przeczytałaby kartki adresowanej nie  
do niej, ale nawet gdyby coś ją skusiło, z tej nic by nie wywnioskowała. Florze  
wydało się, że trzyma w palcach coś lepkiego. Przybrała obojętny wyraz twa-  
rzy i wyrzuciła kartkę do stojącego przy łóżku kosza na śmieci.

— Chyba nie czujesz się znów gorzej? — spytała z niepokojem Isobel.

— Nic mi nie jest — zapewniła ją Flora. Posmarowała grzankę dżemem i  
nadgryzła ją łapczywie.

Gdy skromne śniadanie dobiegło końca, Isobel oddaliła się wraz z tacą, po-  
zostawiając Florę jej własnym myślom. Mimo wszystko kartka od Rose spo-  
wodowała przygnębienie i złość. Złość również na samą siebie. Potrzebowała  
słów pokrzepienia. Choćby odrobinę serca i troski. Tylko

jedna osoba mogła jej tego dostarczyć i Flora postanowiła udać się do niej. Nie czekając na zezwolenie z niczyjej strony, wstała i rozejrzała się za swoją garderobą. Pójdzie i porozmawia z Tuppy.

Jessie McKenzie wróciła z Portree. Jej leciwa matka, wezwawszy córkę z powodu — jak to eufemistycznie określiła — „stanu krytycznego”, doszła ostatecznie do wniosku, że jeszcze nie pora umierać.

Powodem nagłego ozdrowienia było nie tyle przybycie pokornej córki, ile raczej otrzymana od zacnej sąsiadki radosna wieść, że Kąty Mel-drum, jakby jej mało było tego zezowatego bękarta Gary'ego, znów jest w błogosławionym stanie. Kąty zawsze była bezwstydnicą, nie zważała ani na ostre języki, ani na delikatne napomnienia pastora, który aż osiwiiał przez nią. Teraz będzie paradowała dumnie po miasteczku z coraz to większym brzuchem, a wszyscy będą rozprawiać, kto jej zrobił bachora. Większość pewnie obstawi młodego Robby'ego McCrae, brata konstabia, ale krążyły też słuchy o majtku pokładowym z Kinlochbervie, a i o jednym z żonatych i dzieciatych tutejszych.

Takiej sensacji nie można było przegapić. Umrzeć przed rozwikłaniem zagadki byłoby rzeczą niewybaczalną. Starsza pani dźwignęła się z poduszek, postukała laską w ścianę, a gdy tylko jej przerażona córka przekroczyła próg domu, zażądała solidnego posiłku. Po dwóch dniach była na nogach, a w trzecim znała na pamięć wszystkie aktualne pogłoski, uzupełnione o jej własne hipotezy. Jessie doszła do wniosku, że może wracać do domu.

Jej domem była stara rybacka chałupa przy jednej z bocznych uliczek Tarbole, gdzie mieszkał też jej brat, zatrudniony jako dozorca w jednej z miejscowych wędzarni. Jessie dreptała każdego ranka na wzgórzu do domu doktora, tam odbierała telefony, przyjmowała korespondencję, gawędziła z komiwojażerami, plotkowała z sąsiadkami oraz raczyła się herbatą. W wolnych od zajęć chwilach pałętała się po domu, wzbijając więcej kurzu, niż była go w stanie uprzątnąć, robiła przepierki i przyrządzała doktorowi wieczorne posiłki.

Z reguły opuszczała dom jeszcze przed powrotem zawsze zagonionego pracodawcy, pozostawiając mu do odgrzania w piekarniku przykryty talerzem zimny rybny placek, zapiekankę lub dwa hamburgery (jej kulinarny repertuar był mocno ograniczony). Zdarzało się, że na drugi dzień posiłek czekał nie naruszony. Jessie kiwała wówczas głową, wyrzucała zmarnowane danie do kubła i wyruszała na poszukiwanie rozmówczyń, którym zwierzała się, że jeśli dok

tor nie zadba wreszcie o siebie, zmarnieje nam albo i jeszcze gorzej.

Etat gospodyni doktora ogromnie podniósł jej prestiż w najbliższej okolicy. „Cóż by on począł bez ciebie, Jessie?” — pytały sąsiadki. Jessie kiwała wtedy głową, skromnie, choć nie bez dumy. — A co oni wszyscy poczęliby beze mnie? — zadawała sobie pytanie, odbierając dzień w dzień telefony, przyjmując zlecenia i pozostawiając doktorowi adresy. Była niezastąpiona. Nie wszystkim jest to dane.

Toteż Jessie przeżyła wstrząs, gdy po powrocie z Portree weszła w czwartkowy ranek do kuchni. Ranek był zresztą jak marzenie, a wspinaczkę na wzgórze w rześki, słoneczny dzionek wypełniało jej nie pozbawione satysfakcji oczekiwanie bałaganu, jaki pewnie zastanie w domu. Przecież nie było jej przez całe cztery dni, a każdy wiedział, że doktor Kyle jest bez niej jak bez ręki.

Ale tam, w środku, wszystko aż lśniło: podłoga, zlewozmywak, patelnie powieszono równo nad kuchenką. Ani jednego brudnego naczynia.

Było to niczym cios zadany w serce. Po pewnym czasie wszystko stało się jasne. A więc znalazł sobie kogoś na jej miejsce. Wpuścił kogoś do jej, Jessie, kuchni. Przebiegła myślą wszystkie niewiasty w Tarbole, próbując dociec, kim jest jej rywalka. Pani Murdoch? Sama myśl przejmowała grozą. Jeśli to Murdochowa, całe Tarbole będzie trąbić, że Jessie pokazano drzwi. Pewnie już się śmieją za jej plecami. Pomyślała, czy nie wypadaloby zemdleć.

Jednak panikę Jessie ułagodziły znajome, dochodzące z piętra odgłosy. Doktor najwyraźniej wstał już z łóżka i ubierał się. Słyszała, jak szwenda się po sypialni. Skoro on tu jest i ja tu jestem, jeszcze nic nie przepadło. Co zasiedlone, to jakby nabyte. A może odwrotnie? (Jessie nie była zbyt mocna w materii prawa.) Wiedziała tylko, że jeśli doktor wskaże jej drzwi, to trzeba ją będzie usunąć stąd siłą.

Pokrzepiona *na* duchu, zdjęła płaszcz, powiesiła go na wieszaku przy drzwiach i zajęła się czajnikiem. Gdy doktor Kyle zszedł do kuchni, śniadanie już nań czekało. Obrus też był czysty. Boczek skwierczał *wesoło*, a sadzone jajka złociły się niczym słońce.

Zatrzymał się przy wejściowych drzwiach, by sprawdzić, czy nie ma jakiejś poczty.

— Jessie? — zawołał z holu, a Jessie odpowiedziała mu radośnie.

— Witam, panie doktorze. — Przyjęła służbową postawę i czekała, aż wejdzie do kuchni.

Trochę rozczarował ją jego dziarski krok i słoneczna mina, ale zawsze było to lepsze niż spojrzenie spode łba na gosposię, która lada moment otrzyma wymówienie.

— Jak się masz, Jessie? Co tam w Portree?

— Wszystko w porządku, panie doktorze.

— A jak z twoją matką?

— To dzielna kobieta. W mig stanęła na nogi.

— Jakże się cieszę. — Usiadł przy stole i wziął nóż, by otworzyć pierwszy z listów. Adres wypisano na maszynie. Podłużna biała koperta miała pieczętkę z Glasgow. Jessie miała czas spostrzec to wszystko, stawiając, nie bez dumy, jaja na szynce przed doktorem.

Nalała mu herbaty i też usiadła. Filiżanka dymiła zachęcająco. Grzanki aż chrupały. Dużej klasy śniadanie. Przyjrzała mu się dyskretnie. Przeczytał ostatnie zdanie listu i odłożył lekturę na później. Jessie zauważyła zamaszysty podpis.

— No i jak sobie pan doktor radził? — spytała, przełknąwszy ślinę.

— Słucham? — Podniósł wzrok, ale pytanie chyba doń nie dotarło. Jessie doszła do wniosku, że list zawierał mimo wszystko coś ważnego.

— Pytałam, jak sobie pan doktor radził pod moją nieobecność?

Uśmiechnął się, co nieczęsto mu się zdarzało. Od lat nie widziała go w tak dobrym humorze.

— Brakowało mi cię, Jessie, jak matki.

— Wolne żarty.

— Święta prawda. Straszny tu był śmietnik. — Spojrzał na jaja z boczkiem. — Teraz wygląda to zupełnie inaczej. — Odłożył list i zabrał się za jedzenie jak ktoś, kto nie zaznał uroków przyzwoitego posiłku co najmniej od miesiąca.

— Ale... przyzna pan doktor, że teraz to nie przypomina śmietnika...

— Teraz nie. Pojawiła się dobra wróżka, zrobiła porządki, a o resztę zadbała pielęgniarka.

Jessie nie miała nic przeciw pielęgniarce. Jej domeną była przychodnia. Pielęgniarka należała jakby do rodziny. Sami swoi. Ale kim, do licha, mogła być ta dobra wróżka? Jeśli to ta przekłeta Murdoch... Jessie znów zrobiło się słabo, ale prawda musiała wyjść na jaw.

— A można spytać, kim jest ta dobra wróżka?

— Oczywiście, że można. To narzeczona Antony'ego Armstronga. Zatrzymała się w Fernrigg. Wpadła tu raz po południu i zastałem ją przy myciu podłogi.

Narzeczona Antony'ego Armstronga. Jessie poczuła bezmiar ulgi. Jednak nie Murdochowa. A więc reputacja Jessie jest zachowana, jej pozycja w Tarbole nie zagrożona, a robota zapewniona.

Robota? Przecież siedzi sobie, trwoni cenny czas, a tu tyle do zrobienia. Z niespotykanym od lat entuzjazmem porwała miotłę i szczotki. Jeszcze zanim Hugh udał się na swój poranny obchód, zdążyła uporać się z prawie całym parterem, zmagając się na kolanach z kurzem i pajęczynami. Wkrótce cały dom pachniał pastą do podłóg, a Jessie podśpiewywała:

— *Choć nie wiesz kiedy, nie wiesz gdzie, ja wiem, że znów spotkamy się.*

— Jessie, gdyby ktoś pytał, powiedz, że będę w szpitalu o dziesiątej — rzucił w drzwiach doktor. — Jeśli to pilne, jestem pod telefonem w Fernrigg. Chcę sprawdzić, jak się czuje pani Armstrong. — Otworzył drzwi, ale coś go zatrzymało. — Piękny dziś ranek, Jessie. Może warto by odsunąć żaluzje i wpuścić trochę słońca?

W normalnych okolicznościach Jessie sprzeciwiłaby się stanowczo podobnym ekstrawagancjom. Ale tego poranka zdobyła się tylko na zwięzłe: „zrobi się”. Nie przerwała nawet na moment pracy, demonstrując spowity podkaszonym fartuchem dolny kraniec pleców, opięte nylony i seledynowe, barchanowe reformy.

Dzień dobry — powiedział, uchylając drzwi.

Tuppy jadła jeszcze śniadanie. Przyjrzała mu się znad okularów, ponieważ równocześnie zajęta była czytaniem poczty.

— A, to ty, Hugh.

— Piękny ranek — zamknął drzwi. — Powietrze jak kryształ.

Tuppy nie podjęła tematu. Szczerze mówiąc, nie lubiła, gdy ktokolwiek — nawet Hugh — zaskakiwał ją podczas śniadania spożywanego w pościeli nie doprowadzonej jeszcze do porządku. Zdjęła okulary i przyjrzała mu się podejrzliwie, wyczuwając w jego zachowaniu pewną dozę zadowolenia z siebie.

— Co cię tu przyniosło o tak wczesnej porze?

— Mam dziś poranny dyżur, więc postanowiłem odwiedzić najpierw kilku pacjentów, a ty też jesteś na ich liście.

— Dziwną wybrałaś sobie godzinę. Nie wiem, gdzie jest pielęgniarka, a ja też jeszcze nie zdążyłam się przygotować.

— Siostra McLeod będzie tu lada moment.

— A tak w ogóle, wyglądasz jak kot, który dobrał się do śmietany.

Hugh oparł się tradycyjnie o poręcz w nogach jej łóżka.

— Jessie McKenzie wróciła z Portree. Mój dom rozbrzmiewa pieśnią, a niedługo będzie lśnił czystością. Zupełnie jak pokład żaglowca.

— Będzie to szlachetne z jej strony, ale to jeszcze nie wyjaśnia twojej rozanielonej miny.

— Zgadłaś. Mam ci coś jeszcze do zakomunikowania.

— Mam nadzieję, że to coś nie popsuje mi humoru.

— Także mam taką nadzieję. — W jednej chwili przeszedł na rzeczowy ton. — Dostałem dziś list od młodego człowieka, nazwiskiem David Stephenson. Skończył przed trzema laty medycynę w Edynburgu, a potem pracował w szpitalu Wiktorii w Glasgow. Dużej klasy fachowiec i bardzo mi go rekomendowano. Jest koło trzydziestki, ma nieco młodszą żonę — z zawodu pielęgniarkę — i dwoje małych dzieci. Oboje mają dość życia w mieście i chcieliby osiąść w Tarbole.

— A więc wreszcie?

— Wreszcie.

Tuppy zabrakło słów. Opadła na poduszkę, przymknęła oczy, policzyła do dziesięciu i znów je otworzyła. Hugh czekał, co powie.

— Chciałem, żebyś była pierwszą osobą, która dowie się o tym — nie wytrzymał. — Co ty na to?

— Co ja na to? Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, jesteś jednym z najbardziej podłych typów, jakich w życiu spotkałam.

— Wiem o tym. Podły ze mnie typ. Pewnie dlatego, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej?

— Wszyscy namawiamy cię od miesięcy, żebyś znalazł sobie kogoś do pomocy. A ty co? Kluczysz, zwlekasz, jak ostatni głupek.

— Ale cieszysz się? — spytał, jakby nie znał jej na wylot.

— Oczywiście, że się cieszę — odparła nadąsana. — Jak mogłabym się nie cieszyć? Ale jeszcze bardziej cieszyłabym się, gdybyś nie ukrywał tego do końca przede mną. Przynajmniej zamiast mleć językiem, pomogłabym Watty w mieleniu mięsa.

— Tuppy, ty chyba czasem zapominasz, że już nie jestem w wieku Ja-sona.

— Chciałeś powiedzieć, że potrafisz znaleźć sobie sam partnera, bez pomocy starej, wścibskiej baby?

— Nic takiego nie powiedziałem.

— Może nie powiedziałeś, ale tak sobie myślisz. Na jedno wychodzi.

— Widać było, że Tuppy ma już serdecznie dość swoich dąsów i imperty-

nencji. Jej radość była aż nadto wyczuwalna. W końcu zdobyła się na uśmiech.  
— Będziesz miał więcej czasu dla siebie.

— To jeszcze nic pewnego. Umówiłem się z nim na przyszłą środę, żeby obejrzał sobie nasze strony i wyczuł sprawy.

— A gdzie oni będą mieszkać? — Tiippy wróciła do rzeczywistości.

— To jeden z problemów. Nie mam nic na oku. Tuppy znalazła się w swoim żywiole.

— Roześlemy wici, popytamy i zobaczymy, co da się zrobić.

— Tylko nie rozsyłaj tych wici, zanim się z nim nie dogadam. Na razie wszystko pozostaje między nami.

— Umowa stoi. Nie puszczę pary z ust... Doktor Stephenson — ostatnie słowa wymówiła donośnie, jakby delektując się ich brzmieniem. — Doktor Kyle i doktor Stephenson. Kto by pomyślał?

Hugh, podzieliwszy się wieścią, także wrócił do codzienności.

— Jak się dziś czujesz?

— Lepiej niż wczoraj, ale gorzej niż jutro. Zaczynam tracić cierpliwość, Hugh. Ostrzegam cię, że ani mi w głowie tkwić tu dłużej, niczym stara chabeta przy żłobie.

— Może w przyszłym tygodniu będziesz mogła wstać na godzinę lub dwie.

— A Rose? Jak tam nasze biedactwo?

— Nie widziałem jeszcze dziś waszego biedactwa.

— No to biegnij do niej i upewnij się, czy wraca do zdrowia. A wszystko przez ostrygi! Ludzie stanowczo powinni bardziej na siebie uważać. Bez niej cały jutrzejszy wieczór będzie na nic. Przecież wymyśliłam ten bal specjalnie po to, żeby wszyscy poznali Rose.

Jego wzrok powędrował z łóżka w kierunku okna, jakby pokusa słonecznego poranka okazała się nie do odparcia. Tuppy nie była pewna, czy Hugh w ogóle słucha, co do niej mówi. Nagle nawiedziło ją klasyczne *deja vu*.

— Wiesz, że wtedy stałeś dokładnie tak samo przy oknie? — spytała.

— Tamtego popołudnia, gdy leżałam zmożona chorobą i powiedziałam ci, że chcę zobaczyć Antony'ego i Rose. Załatwiłeś to. Oczywiście z pomocą naszej kochanej Isobel. Bardzo jestem ci za to wdzięczna, Hugh. Patrz, jak dobrze się złożyło. Mam jednak szczęśliwą rękę.

Powiodła czułym wzrokiem po jego plecach, oczekując potwierdzenia. Odwrócił się, ale zanim zdążył wymówić słowo, ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę — zawołała Tuppy, myśląc, że to pielęgniarka przyszła po



tace.

RS

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Rose. Pierwszym, którego zobaczyła, był Hugh, stojący na tle okna. Zawahała się przez moment, zrobiła w tył zwrot i już jej nie było. Zaskoczona Tuppy ujrzała tylko jej smukłe nogi w czarnych rajstopach i kusą plisowaną spódniczkę, nieco przypominającą odświętny strój małego Szkota.

Hugh opanował zaskoczenie wcześniej niż Tuppy.

— A dokąd to? — przywołał Rose tonem, który lekko zaskoczył Tuppy.

Zastygli w oczekiwaniu. Po chwili Rose stanęła znów w drzwiach, uczepiona klamki, jakby chciała raz jeszcze dać nogę. Tuppy pomyślała, że nie dałaby jej więcej niż piętnaście lat. Hugh zmierzył Rose bezlitosnym spojrzeniem. Zwykle komiczna scena. Tuppy, znając Rose, oczekiwała, że ta lada moment zachichocze, a wtedy i ona dostroi się do ogólnej atmosfery. Ale oblicze Rose zapowiadało nie tyle wybuch śmiechu, co płaczu, Tuppy miała nadzieję, że może jednak do tego nie dojdzie.

Przedłużające się kłopotliwe milczenie przerwał wreszcie Hugh.

— A kto ci pozwolił wstać? — spytał.

— Szczerze mówiąc, nikt — odparła Rose, z jeszcze bardziej zdesperowaną miną.

— Czy pielęgniarka nie zakazała ci opuszczać łóżka?

— Zakazała. To nie jej wina.

— A więc dlaczego wstałaś?

— Bo chciałam odwiedzić Tuppy. Nie wiedziałam, że też tu będziesz.

— Przecież to chyba oczywiste?

— Hugh, przestań już pastwić się nad Rose — nie wytrzymała Tuppy. — Nie jest dzieckiem. Może wstawać z łóżka, gdy tylko ma na to ochotę. Chodź tu, Rose. I zabierz wreszcie tę tacę, żebym mogła ci się przyjrzeć.

Rose, wdzięczna za niespodziewane wsparcie, podeszła do łóżka, wzięła tacę i położyła ją na podłodze. Tuppy uchwyciła rękę dziewczyny i usadziła ją koło siebie.

— Aleś mi zmarniała! Rączki masz jak patyczki. — Na widok wymi-zerowanej twarzy (Rose pomyślała, że może jednak Hugh ma rację. — Chyba powinnaś jeszcze trochę poleżeć. Jutro musisz być w formie. Po myśl tylko, ile roboty pójdzie na marne, jeśli się nie zjawisz. — Nagle jej myśl poszybowała ku bardziej optymistycznym konkretnom. — Za to kwia tamy nie musisz się już przejmować. Anna dostarczy wszystkie z własnej szklarni. Przywiezie je w donicach swoim landroverem. Przydałoby się też trochę gałęzi buku. Można by upleść...

Nie dokończyła. Rose nie podjęła tematu. Siedziała z opuszczoną głową, wpatrywała się w podłogę, a jej twarz, pozbawiona makijażu, wyglądała przerażająco mizernie. Włosy straciły naturalny blask, a skóre do śmiechu usta opadły apatycznie, co napełniło Tuppy prawdziwym niepokojem. Przypomniała sobie Rose sprzed pięciu lat i jej pojawiające się w najmniej oczekiwanych chwilach stany otępienia. Wtedy nie przejmowała się tym zbytnio, przypisując je dziewczęcemu wiekowi. Ale teraz otępiełe oblicze Rose zaniepokoiło Tuppy nie na żarty.

Niepokoiliła się o Antony'ego. *Mam nadzieję, że nie będzie markotna.* Dla Tuppy „markotność” była niewybaczalnym grzechem, przejawem skrajnego rozleniwienia.

Uruchomiła szare komórki, próbując dociec przyczyn stanu Rose. Choroba robi swoje, ale... czy przypadkiem nie pokłóciła się z Antonym? Bez sensu, skoro go tu nie ma. Isobel? Wykluczone. Isobel nie pokłóciła się z nikim od kolebki.

— Rose? — spytała, tracąc cierpliwość. — Co się z tobą dzieje, moje maleństwo?

Rose nie zdążyła otworzyć ust, gdy wyręczył ją Hugh.

— Twoje maleństwo przytruło się po prostu ostrygami i na dodatek zbyt szybko podniosło się z łóżka.

Wstał, przyjął profesjonalną postawę i na sam dźwięk jego słów Rose najwyraźniej wzięła się w garść. Tuppy tradycyjnie poczuła, że jest mu wdzięczna.

— Jak się dziś czujesz? — spytał Hugh. — Tylko mów szczerze.

— Nieźle. Tylko nogi mam trochę jak z waty.

— Jadłaś śniadanie?

— Jadłam.

— Żadnych sensacji żołądkowych?

— Żadnych — wyznała z lekkim zakłopotaniem Flora.

— W takim razie powinnaś wyjść trochę na świeże powietrze. — Nie wydawała się zachwycona tym pomysłem. — I to zaraz, dopóki świeci słońce.

Tuppy poklepała dłoń Rose, jakby chciała dodać jej otuchy.

— Niezły pomysł. Taki piękny ranek. Dobrze ci to robi.

— W porządku. — Rose podniosła się z ociąganiem i gdy szła ku drzwiom, w Tuppy obudził się gospodarski instynkt.

— Skoro już idziesz na dół, zabierz moją tacę. A przy okazji poproś pielęgniarkę, żeby tu przyszła. I zanim wyjdiesz — dodała, gdy Flora z ta-

cą w rękach stała już w drzwiach — zgłoś się do Watty. Może zechce, żebyś zerwała trochę fasoli.

Jeżeli szło o domowe obowiązki, Tuppy była obdarzona szóstym zmysłem. Pani Watty, gdy tylko wyraziła zaskoczenie na widok Flory, wspomniała coś o fasoli i natychmiast wręczyła jej sporych rozmiarów koszyk.

— Czy pielęgniarzka wie, że wstałaś?

— Wie. Przed chwilą minęłam się z nią. Minę ma kwaśną.

— To lepiej nie wchodź jej w drogę.

— Też tak sędzę.

Flora wzięła koszyk i wyszła do holu. Nie miała najmniejszej ochoty na zrywanie fasoli. Szczerze mówiąc, nie miała ochoty nigdzie wychodzić. Chciała posiedzieć przy Tuppy, trochę się do niej połasić, ale Hugh zepsuł wszystko. Skąd mogła wiedzieć, że rozpoczyna obchód już o dziewiątej rano? \_

Postanowiła nie wracać na Pietro po płaszcz i skorzystała z czyjejś starej kapoty zawieszanej wśród wielu podobnych na wieszaku przy schodach. Kapota okazała się nieforemnym, rweedowym pakem, obszytym króliczym futerkiem. Gdy mocowała się z guzikami, na półpiętrze pojawił się Hugh. Jedną rękę trzymał w kieszeni marynarki — w drugiej balansowała lekarska torba.

— Rozmawiałem właśnie z pielęgniarzką — poinformował ją. — Chyba pogodziła się z losem. Idziesz się przejść?

— Idę zrywać fasolę — oświadczyła Flora z rezygnacją.

Spojrzał na nią z rozbawieniem. Wyjął rękę z kieszeni i kurtuazyjnie uchylił drzwi. Wyszła pierwsza. Oślepił ją blask słońca. Między drzewami połyskiwały szafirowobłękitne wody Fhada, mieniąc się w pełnej krasie przypyływu. Powietrze pachniało winem, a niebo rozbrzmiewało od krzyku mew.

— Lecą w stronę lądu — zauważył Hugh. — Zanosi się na sztorm.

— Dzisiaj?

— Może dzisiaj, może jutro. — Zeszli, ramię w ramię, ze stopni ganku. — I nie radzę wam rozwijać jutro wieczór markizy — mruknął Hugh. — Uprzedzam, że wyląduje ona na czubku tego drzewa.

Byli już na podjeździe. Flora zatrzymała się.

— Hugh...

Staął w pół kroku.

*Teraz. Teraz masz okazje.*

— Przepraszam za to, co ci wtedy powiedziałam. O twojej żonie. Nie miałam prawa. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Ty też nigdy mi tego nie za pomnisz, ale... ale chcę, żebyś wiedział, że strasznie mi przykro...

Powiedziała, co miała do powiedzenia. Poczowała ulgę, ale znów zebrало się jej na płacz. Za to Hugh przyjął chyba dość ozięble jej wyznanie.

— Ja też miałbym coś na swoje usprawiedliwienie — powiedział.

Czekała w napięciu. — Ale to długa historia — dodał.

Zachmurzyła się, nic z tego nie rozumiejąc, ale ciąg dalszy nie nastąpił.

— Zapomnijmy o tym. Uważaj na siebie. I nie przesadzaj z tą fasolą.

— Ruszył przed siebie i nagle zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał.

— Kiedy przyjeżdża Antony?

— Jutro po południu.

— To dobrze. A więc do zobaczenia jutro wieczór.

— Przyjdiesz na party?

— Jeśli zdołam. A chciałabyś, żebym przyszedł?

— Oczywiście. Znam tu dwie, trzy osoby, a jeśli się nie zjawisz, będzie ich jeszcze mniej — dodała.

— Dasz sobie radę — rzucił wyraźnie rozbawiony. Wcisnął się do wozu, wrzucił bieg i już go nie było.

Flora patrzyła z żalem, jak znika za bramą, bardziej zakłopotana niż porzeczona. *To długa historia*. X czego właściwie miał się jej tłumaczyć? I dlaczego odłożył to na inną okazję? Przez chwilę rozważała te zagadki, po czym zbyt wyczerpana, by łamać sobie nimi głowę, dała za wygraną i ruszyła w stronę ogrodu.

Był już piątek.

Isobel zbudził plusk deszczu. Padało przez cały poprzedni wieczór i chyba przez większość nocy. Budziła się kilkakrotnie, wyrywana ze snu hukiem wiatru lub kropel uderzających o szyby niczym ciskane czyjaś ręką garście żwiru. Nawiedzały ją wizje zabłoconej podłogi, buciorów uganiającej się po całym domu Watty, tłumy obcych ludzi wnoszących do wnętrza szkło, porcelanę, bukowe gałęzie, donice wypełnione torfem i pelargoniami prosto ze szklarni w Ardmore.

Wszystko to ustało około siódmej rano. Isobel wstała z łóżka (gdy znów doń wróci, będzie już po wszystkim), podeszła do okna, rozsunęła zasłony i ujrzała perłową szarość — spoczywającą nad morzem mgłę, przetykaną gdzieś-niegdzie różowymi pasemkami wschodzącego słońca. Ani śladu wysp,

a przyniesione przyplywem wody przylegały martwo do skał tuż poniżej ogrodu.

Deszcz siąpił, ale wiatr ucichł. Isobel stała przy oknie, nie mając ochoty wejść w dzień, który pewnie potrwa co najmniej dobę. Czuła, że jedynym remedium jest poranna kawa. Poza tym Antony przyjedzie z Edynburga po południu. Sama myśl o tym napełniła ją otuchą. Zateęskniła za gorącą kąpielą.

Jason postanowił odpuścić sobie dziś szkołę.

— Zostanę w domu i trochę wam pomogę — oznajmił. — Skoro jestem na liście gości, powinienem chyba zająć się przygotowaniami?

— Nikt cię siłą nie zapraszał — wyjaśniła chłodno Isobel. — Przyjdiesz czy nie przyjdiesz, twoja sprawa.

— Przecież mogłabyś mi napisać usprawiedliwienie dla pana Frasera. Na przykład, że jestem potrzebny w domu. Wszystkie matki tak robią.

— Mogłabym, ale nie napiszę. I może wreszcie dokończyłbyś to jajko?

Jason pogrążył się w zadumie. Tańce wywoływały w nim sprzeczne uczucia, ponieważ miał na nich wystąpić w spódniczce i żakiecie, które nosił jego dziadek, gdy był w jego wieku. Spódniczka nie wzbudzała zastrzeżeń, ale welwetowy żakiet miał w sobie coś z maminsynka. Jason nie odważyłby się wspomnieć Doogiemu Millerowi o welwetowym żakiecie, Doogie Miller był o rok starszy i co najmniej o głowę wyższy od Jasona. Jego stary miał prawdziwą łódź i Doogie obiecywał, że gdy dorośnie, zatrudni na niej Jasona w charakterze marynarza pokładowego. Dobra opinia Doogiego nie była sprawą błahą.

Dojadł jajko i wypił mleko. Zerknął na ciocię Isobel i postanowił spróbować jeszcze raz, bo był uparciuchem.

— Mógłbym pomóc z meblami — zaproponował. — Nie wiem, czy pan Watty sam da sobie radę.

— Wiem, że spisałyś się świetnie — odparła Isobel, wygładzając zmierzwioną czuprynę Jasona — ale szkoła jest ważniejsza. Poza tym Antony przyjedzie po południu, więc Watty będzie miał pomocnika.

Jason zapomniał na śmierć o Antonym.

— Dziś po południu? — spytał. Isobel przytaknęła. Jason nie odezwał się już ani słowem, za to odetchnął z ulgą. Ciotka też odetchnęła, nie podejrzewając, że chodzi głównie o łuk i strzały, o których Antony zapomniał haniebnie w ubiegłym tygodniu.

Był późny ranek, gdy landrover kierowany przez Annę Stoddart wjechał przez bramę Fernrigg, pokonał mężnie dziurawy podjazd (kiedy wreszcie zrobią coś z tym asfaltem?) i zahamował tuż za niebieską furgonetką, którą Anna skojarzyła bezbłędnie z panem Andersonem z hotelu w Tarbole. Drzwi domu były otwarte. Anna wysiadła z wozu, wcisnęła dłonie w kieszenie palta z owczej skóry i weszła do środka.

Z holu usunięto dywany i większość mebli, a te, których nie dało się wynieść, przysunięto do ścian. Pani Watty, uzbrojona w przedpotopową froterkę, której dźwięk przypominał start odrzutowca, doprowadzała właśnie parkiet do połysku. Isobel schodziła ze schodów, dźwigając stos białych obrusów, a pan Watty śpieszył do kuchni, uginając się pod ciężarem bierwion przygotowanych pewnie z myślą o kominkach. Wszyscy spostrzegli Annę, pozdrowili ją pełnym aprobaty skinieniem głowy i wrócili do swoich powinności.

— Świetnie, że już jesteś — głos Isobel dobiegał spoza naręczna obrusów. Nie przejmując się więcej Anną, ruszyła do jadalni. Anna uznała, że pozostaje jej tylko pójść w ślady tamtej. Obiadowy stół odsunięto już na bok i przykryto podkładkami z czerwonego filcu. Uwaga Isobel skupiła się właśnie na nich.

— Strasznie gruby ten filc — westchnęła. — Dobrze, że nie musimy podkładać go co dzień.

— Przecież i tak zrobiłaś, co w twojej mocy — pocieszyła ją Anna. — Wszyscy musicie mieć istne urwanie głowy.

— Na to wygląda. — Isobel rozłożyła obrus i wyprostowała go jednym ruchem swoich długich, wąskich palców. — Przywiozłaś zieleń? — spytała.

— Załadowany po dach samochód czeka pod drzwiami, ale ktoś musi mi pomóc wnieść to wszystko.

— Watty ci pomoże. — Isobel wygładziła raz jeszcze obrus i ruszyła na poszukiwanie. Anna szła za nią krok w krok. — Hej, Watty — zawołała Isobel — nie wiesz, gdzie może być twój mąż?

— Przed chwilą gdzieś tu był — pani Watty próbowała przekrzyczeć froterkę, ale widać było, że parkiet jest teraz dla niej ważniejszy niż małżonek.

— O, jesteś, Watty! Pomożesz pani Stoddart wynieść kilka rzeczy z landrovera? Nosisz drewno? Na śmierć zapomniałam. A gdzie jest Rose? Nie widziałaś jej, Watty?

— Nie mam pojęcia, gdzie jest — odparła pani Watty, atakując froterką mroczny kąt holu.

— Koniec świata! — Isobel odrzuciła opadające jej na twarz włosy. Traciła panowanie nad sytuacją i Anna wcale się jej nie dziwiła. — Sama poszukam Rose — zaproponowała. — Zajmij się obrusami.

Anderson z hotelu w Tarbole, dumny z roli głównego intendenta, wkroczył do kuchni i spytał, czy mógłby zamienić kilka słów z panną Armstrong. Isobel zostawiła obrusy, ruszyła za nim i zaraz przypomniała sobie o Annie.

— Wybacz, ale wzywają mnie. Dasz sobie radę? — spytała.

— Spokojnie — odparła Anna. — Zaraz znajdę Rose.

Fernrigg zawsze było takie. Anna pamiętała od dziecka urządzone tu bale i ich tradycyjny przebieg. Najpierw trunki i konwersacje w salonie, potem kolacja, a na koniec tańce w holu. Dla Briana były to nudne nasiadówki. Skarzył się na wciąż te same twarze, te same stroje, te same tematy rozmów. Dla Anny miało to swoisty wdzięk. Nie lubiła zmian ani nowych sytuacji.

Nawet chaos przygotowań miał w sobie coś swojskiego, bo wiedziała, że z wybiciem ósmej wszystko będzie dopięte na ostatni guzik, gotowe na, przybycie pierwszych gości. Żaden szczegół nie umknie uwadze gospodarki. Ale ten wieczór będzie inny, już choćby z racji nieobecności Tuppy. Nieobecności? Przecież Tuppy będzie wśród nich. Nawet jeśli tylko na moment zejdzie ze schodów, w tradycyjnych niebieskich welwetach i rodzinnych brylantach. Potem wróci na górę, delektując się muzyką, a może i odrobiną szampana, wspominając...

— Przepraszam, pani Stoddart — wyrwała Annę z zadumy Watty. — Chciałabym tu też trochę wyfroterować.

Anna uskoczyła w bok i udała się na poszukiwanie Rose.

Odnalazła ją w salonie, klęczącą przy fortepianie i zmagającą się z bukowymi liśćmi rozłożonymi na starym prześcieradle. Tuż obok stał leciwy, pomalowany w różyczki wazon, a podłogę pokrywały zwoje cienkiego, splątanego drutu. Rose uniosła głowę. Jej spojrzenie wyrażało czarną rozpacz.

— Cześć, Rose — powiedziała Anna.

— Chyba Bóg cię tu zesłał. Wszyscy myślą, że zrobię z tego prawdziwą dekorację, a ja nie umiem nawet ułożyć przyzwoicie kilku żonkili w dzbanku.



Anna zdjęła palto, powiesiła je na oparciu krzesła i przyklękła przy Rose.

— Najważniejsze, to poprzycinać im odpowiednio łądygi. Inaczej bukiety będzie wyglądał jak miotła postawiona na sztorc. Masz tu nożyce? No to patrz uważnie...

Rose patrzyła z podziwem, jak bukiet zaczyna nabierać kształtu.

— Ale z ciebie artystka — szepnęła. — W życiu nie widziałam kogoś tak zdolnego. Masz to wrodzone czy ktoś cię tego nauczył?

Cudownie było słyszeć o własnych zdolnościach. Anna wyjaśniła, że nikt jej tego nie nauczył. Po prostu lubi to i może właśnie dlatego jest w tym niezła.

— Czy nie masz kilku chryzantem? — spytała. — Przydałyby się, dla dodania barwy.

— Isobel prosiła Watty, żeby kilka zerwała, ale Watty ma na głowie tyle innych spraw. Aż dziw bierze, że jeszcze nie dostała kręćka.

— To już tradycja — uspokoiła ją Anna. — Uwierz mi, że w tym szaleństwie jest metoda. Zresztą może uda nam się zdobyć trochę jarzębiny lub czegoś w tym rodzaju. Gdzie to będzie stało?

— Isobel mówi, że na fortepianie.

Rose wzięła wazon i postawiła go. Anna zmierzyła ją pełnym podziwu wzrokiem. Smukłe nogi, wąska talia, lśniące, ciemne włosy, a do tego ta naturalność. Anna zawsze chciała być taką, ale w jej spojrzeniu nie było nic z zawści. Nie była pewna, czy sprawił to jej błogosławiony stan, czy może szczerą sympatią do Rose.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że polubi tę dziewczynę. Gdy Brian wtedy zaprosił ją z matką do jachtklubu, Annę zaskoczyła sztywność Rose, a jej nieobecne spojrzenie i niezbyt parlamentarne słownictwo mocno ją tremowały. Marzyła, żeby już nigdy nie widzieć jej na oczy.

Ale teraz Rose była zupełnie inna. Anna pomyślała, że może ma to jakiś związek z Antonym. A jeśli nawet nie z Antonym, nie ulegało wątpliwości, że Rose bardzo się zmieniła. Gdy Brian zaprosił ją na kolację, przyjęła to zupełnie naturalnie. Nawet poczuła ulgę na myśl o tym, że pobu-szuje sobie spokojnie po sklepach, pozostawiając męża w dobrych rękach i w radosnym nastroju. Tęskniła za podobną iluzją praktycznie od dnia ślubu. Jak ta Rose szybko dorosła. Może życie nauczyło ją szacunku dla innych.

— Co o tym sądzisz? — spytała Rose, odsuwając się od fortepianu.

— Wspaniale — odparła, klęcząc wciąż na podłodze. — Brian kazał ci przekazać, że wieczór był czarujący i że strasznie mu przykro za te ostrzygi. Wpadł w furję, zadzwonił „Pod Kotwicę” i nawymyślał szefowi kuchni od ostatnich.

— To nie jego wina. — Rose usiadła na podłodze przy Annie, nie wypuszczając z rąk resztek gałęzi i nie wykorzystanych liści.

Anna nie mogła dojrzeć jej twarzy spod opadających włosów.

— Zapomniałam podziękować ci za te azalie — powiedziała Rose. — Naprawdę nie musiałaś się trudzić.

— Czysta przyjemność. Zresztą czułam się trochę odpowiedzialna.

— A jak tam Brian?

— Nieźle — upewniła Rose Anna. — Oczywiście nie licząc tego oka.

— Oka?

— Wpadł biedak na drzwi. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale siniak ma na pół twarzy. — Anna nie zdołała ukryć uśmiechu, ponieważ Brian przypominał w istocie postać z pantomimy. — Ale nic mu nie jest, a po siniaku już wkrótce nie będzie śladu.

— Paskudna sprawa — westchnęła Rose. — Może zerwiemy trochę jarzębiny i wniesiemy zawartość twojego landrovera? — dodała pośpiesznie.

— Trzeba będzie poprosić o pomoc naszego Watty — odparła z niepokojem Anna. — Te donice nie są lekkie, a ja nie powinnam raczej dźwigać ciężkich rzeczy. Hugh tak mi powiedział. Wiesz... spodziewam się dziecka.

— Naprawdę, Anno?

Przytaknęła. Cudownie było powierzyć sekret zasługującej na zaufanie kobiecie.

— Tak, wiosną.

— To wspaniale. Zresztą wiosna to najlepsza pora. Przecież owce, jałówki... — Rose ugryzła się w język. — Chciałam powiedzieć, że będziesz mogła wypocząć latem.

— Mam nadzieję... — zaczęła niepewnie Anna. Pomysł kiełkował już od dłuższego czasu w jej głowie, ale teraz odważyła się przyoblec go w słowa. — Mam nadzieję, że zgodzisz się być matką chrzestną. Brian jeszcze nic o tym nie wie, powiem mu, ale wolałam najpierw spytać ciebie. Bardzo mi na tym zależy.

— Oczywiście. — Rose spojrzała na nią niepewnym wzrokiem.

— Jeśli naprawdę będziesz miała na to ochotę — poprawiła się Anna,

— Jasne, że będę miała — uspokoiła ją Rose. — Naprawdę bardzo mi miło. Tylko że nie wiem, jak długo tu zabawię...

— Nieważne, jak długo tu zabawisz. Przecież będziesz gdzieś uchwytana. A poza tym na rodziców chrzestnych powinno się wybierać prawdziwie bliskie osoby. — Anna poczuła, że emocje odbierają jej mowę. Woląla przejść na bardziej bezpieczne tematy. — Gdyby udało nam się znaleźć jeszcze kilka dalii, byłby bukiet w sam raz na komodę. Tuppy ma ich sporo w ogródku. Zerwiemy kilka, choć naszemu Watty pewnie pęknie serce.

Wczesnym popołudniem szaleństwo dobiegło końca. Nie było już nic do roboty i wszyscy zebrali się w gościnnej kuchni pani Watty. Ona sama pracowała niezmiernie przy wypiekach. Jej małżonek, którego czekała jeszcze podróż furgonetką do Tarbole po Jasona, usiadł przy piecu i popijał herbatę z kamienną twarzą właściciela zakładu pogrzebowego. (Czarę goryczy przepelniła rzeź dalii.) Siostra McLeod była zajęta prasowaniem, a Isobel oznajmiła, że pada z nóg i idzie na chwilę się wyciągnąć. Oczekiwała na protesty, ale wszyscy pokiwali głowami z aprobatą. Zawiedziona, skupiła wzrok na Rose.

— Tobie też coś się należy — zawyrokowała. — Uwijałaś się cały ranek jak ta pszczołka. Pora odpocząć.

Flora wcale nie tęskniła za odpoczynkiem. Woląla opuścić na chwilę dom, domowników i zostać sama.

— Może wyprowadzę na spacer Plummera?

Oblicze Isobel pojaśniało.

— Jeśli naprawdę czujesz się na siłach. Od rana łązi za mną, merda ogonem, a ja nie miałam czasu, by się nim zająć.

Flora spojrzała na kuchenny zegar.

— Kiedy przyjedzie Antony? — spytała.

— Lada moment. Obiecał, że wyjedzie z Edynburga zaraz po lunchu. — Isobel rozprostowała długie kończyny. — Muszę się położyć, bo chyba padnę — oznajmiła jeszcze raz.

Wyszła z kuchni. Pan Watty siorbał donośnie herbatę. Flora doszła do wniosku, że nic tu po niej.

W holu odnalazła Plummera, najwyraźniej zde gustowanego całym rozgardiaszem. Nienawidził zmian równie serdecznie, jak ustawianych tuż przy drzwiach walizek. Pominięty i zapomniany, ukrył się w koszyku, który źli ludzie na dodatek wepchnęli pod schody.

Usłyszawszy głos Flory, spojrzął na nią z mieszaniną bólu i urazy. Gdy tylko wyczuł, że zanosi się na spacer, jego radość nie miała granic. Wyskoczył z koszyka, omal nie przewrócił się na wyfroterowanej podłodze, a jego wyleniały ogon zatrzepotał niczym proporzec. Z gardła dobiegło radosne warczenie. Zaraz za drzwiami pomknął w poszukiwaniu czegoś do za-aportowania i po chwili powrócił, niosąc w pysku gałąź o rozmiarach sporej brony. I tak Flora i Plummer ruszyli na przechadzkę, każde z nich obarczone własnym ciężarem.

Było chłodno, szaro i bezwietrznie. Słońce od rana nie przebiło się przez chmury, a ścieżka była wilgotna po wczorajszym deszczu. Wyszli przez furtkę i ruszyli prowadzącą do Tarbole szosą. O milę dalej szosa opadała i na krótkim odcinku wiodła tuż przy morzu. Plummer zaczął obwąchiwać niewielką plażę, a Flora, owinąwszy się paltem, przysiadła na niskim murku z zamiarem pozostania tu do przybycia Antony'ego.

Ruch był niewielki. Spoglądała z utęsknieniem na każdy z wyłaniających się zza wzgórza samochodów. Czekala tak przynajmniej pół godziny i już zaczęła marznąć, gdy wreszcie pojawił się właściwy pojazd. Rozpoznała go od razu, zesza z murku i stanęła pośrodku szosy, wymachując ramionami jak desperowany autostopowicz. Antony ujrzał ją, zwolnił i zahamował na poboczu.

— Flora! — zawołał, wysiadł z wozu i padli sobie w objęcia, niepomni drogowych niebezpieczeństw. Chyba nigdy nie ucieszył jej tak czyjś widok.

— Nie mogłam się ciebie doczekać — powiedziała. — Wolałam wyjść ci naprzeciw.

— Od dawna tu stoisz?

— Chyba od wieków, a tak konkretnie, to pół godziny.

— Pewnie zmarzłaś. Wskakuj do wozu.

Już miała to zrobić, gdy przypomniała sobie o Plummerze, który hasał właśnie na drugim końcu plaży, znecony jakimś fascynującym zapachem. Antony zagwizdał i Plummer postawił natychmiast uszy na sztorc. Pies przywarował i spojrzął wyczekująco w ich kierunku. Antony zagwizdał jeszcze raz i to dopiero poskutkowało. Plummer pomknął po piasku, przesadził murek niczym szczeniak i dopadł radośnie Antony'ego. Nieprędko udało się go nakłonić, żeby zajął miejsce na tylnym siedzeniu wozu, w asyście walizki, skrzynki piwa i sterty płyt gramofonowych.

— Po co te płyty? — spytała Flora, gdy już usiadła przy Antonym.

— Na dzisiejszy wieczór, gdy kapela zajmie się przekąskami i whisky. Bez muzyki atmosfera zawsze opada, a płyty Tuppy to zupełne zabytki, więc pomyślałem, że przywiozę trochę własnych. Ale do rzeczy — rzucił. — Nic ci nie dolega?

— Nie.

— A swoją drogą, niezła z ciebie fujara. Wystarczyło, że zostawiłem cię na dzień, i już zdążyłaś zatruć się ostrygami. Isobel telefonowała do mnie cała w nerwach. Pewnie myślała, że wyzioniesz z jej winy ducha. Byłaś na kolacji z Brianem?

— Byłam.

— Coś mi wspominała. — Powiedział to bardziej rozbawiony niż zaniepokojony. — Teraz wiesz, czym grożą randki z głównym Casanovą w Arisaig. A jak z dzisiejszym balem? Czy Isobel nie padła jeszcze z nóg?

— Prawie. Gdy wychodziłam, właśnie szła się zdrzemnąć. A ja z Anną Stoddart zerwałyśmy wszystkie dalie i pan Watty pewnie nigdy nie odezwie się do nas słowem.

— To już tradycja. A jak tam Tuppy?

— Nie może się ciebie doczekać. Mówi, że każdego dnia czuje się lepiej. Ma nadzieję, że w przyszłym tygodniu będzie mogła już wstawać, przynajmniej na dwie godziny.

— No i dobrze. — Ucałował ją bez ostrzeżenia. — Strasznie schudłaś. Twarz też masz mizerną.

— Nic mi nie jest.

— Ale dało ci to w kość? Powiedz prawdę, Floro. Cały ten parszywy interes.

— Nie — zaprzeczyła. — Nic mi nie dało w kość. Najwyżej to ja sama dałam sobie w kość. Każdego dnia czuję się coraz bardziej podle, bo coraz bardziej lubię ich wszystkich. Czasami wydaje mi się, że jestem Rose, którą wkrótce poślubisz i naprawdę w to wierzę. A zaraz potem jestem znów Florą. Sama nie wiem, co gorsze. A tak w ogóle, dotrzymałam obietnicy. Mam nadzieję, że ty też dotrzymasz swojej. Powiesz Tuppy prawdę?

Odchylił się i spojrzał przed siebie nieobecny wzrokiem, nie spuszczać rąk z kierownicy.

— Powiem — odparł po długiej chwili i Florze zrobiło się go żal.

— Wiem, co czujesz. Też bym wołała powiedzieć jej wszystko, gdy tylko przyjedziemy, i już raz mieć to z głowy, ale czy to odpowiednia pora...

— Powiem jej jutro. — Zabrzmiało to jak ostateczna decyzja. Widać było, że nie chce wracać do tego tematu. — Jak długo będziemy tu stać? — zachnął się. — Jestem głodny i konam z pragnienia.

— Pani Watty upiekła na twoją cześć świeże bułeczki.

— I zapomnijmy o tym, co będzie jutro. Dziś ani słowa na ten temat.

A więc schował głowę w piasek! Zamierzał już uruchomić wóz, ale Flora przeszkodziła mu w tym.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedziała, sięgając dłonią do kieszeni palta. — Konkretnie to.

— A co to takiego?

— Pocztówka.

— Wygląda niezbyt zachęcająco.

— Też tak sędzę. Wyrzuciłam ją do kosza na śmieci, ale przyszło mi na myśl, że może jednak powinienes ją przeczytać, więc wyciągnęłam ją stamtąd. Właśnie dlatego tak wygląda.

Podejrzliwie ujął w paice widokówkę.

— Z Paryża? — spytał. Odwrócił kartkę, od razu rozpoznał charakter pisma i czytał w milczeniu. Gdy skończył, zapanowała długa cisza. — Ale suka — wykrztusił z siebie w końcu.

— Dziwisz się, że wyrzuciłam to do kosza?

Przeczytał jeszcze raz treść i jakby odzyskał dobry humor.

— Cokolwiek by powiedzieć, cwana dziewczyna z tej Rose. Nawarzyła piwa, a teraz my musimy wypić je do dna. Zwłaszcza ja. Podejrzewam, że o to jej właśnie chodziło. Całkiem niezłe wycofanie się ze zobowiązań. Píše, że „zabawi kilka dni w Paryżu”. Wierzysz, że w ogóle dotarła do tej Grecji?

— Może poderwała kogoś w samolocie. Może jest w Szwecji, w Monako czy Bóg wie gdzie... — Flora próbowała wyszukać w pamięci typowe, egzotyczne miejsce. — A może w Acapulco? — zaryzykowała.

— Wcale bym się nie zdziwił. — Antony zwrócił kartkę Florze. — Ciśnij to w ogień, gdy tylko przyjedziemy do Fernrigg — mruknął i przekręcił kluczyk. — Niech tyle zostanie po Rose. Było, minęło.

Flora nie zdobyła się na odpowiedź. Wiedziała, że nie tak łatwo unicestwić Rose. Przynajmniej dopóki Antony nie wyzna Tuppy całej prawdy.

## ROZDZIAŁ 10

### HUGH

Antony szedł właśnie na piętro, żeby się przebrać, gdy zajechała kapela. Przybyła w nadgryzionym zębem czasu samochodziku pana Coopera, męża kierowniczkę poczty, a właściciel i zarazem kierowca poupychał muzykantów i ich instrumenty tak szczelnie, że wyjęcie zarówno jednych, jak i drugich wymagało sporo czasu i pomysłowości.

Uporawszy się jakoś z tym zadaniem, Antony zaprosił całe towarzystwo do domu i wskazał wieczorne miejsce pracy w narożniku holu. Tam właśnie rozgościło się od razu instrumentalne trio: pan Cooper z akordeonem, skrzypek (emerytowany brukarz, spowinowacony z panią Cooper) i młody, długowłose perkusista w kowbojskich butach, w którym Antony rozpoznał miejscowego wyrostka, na co dzień rybaka z kutra należącego do jego wujka. Wszyscy przywdziali na siebie stosowne stroje: niebieskie koszule i krawaty w szkocką kratę, w których wyglądali tradycyjnie, a do tego zawadiacko.

Antony poczęstował ich whisky, wychylili jednym haustem i rozgrzani zabrali się za robotę. Leciwy skrzypek zaczął stroić instrument, a Cooper wykonał jednym ruchem palców porywające *arpeggio* na klawiaturze akordeonu.

Czasu nie było aż tak wiele. Antony opuścił muzyków i pomknął na Pietro w poszukiwaniu wieczorowego stroju, który — stwierdził z ulgą — oczekiwał już w pełnej gotowości na łóżku w sypialni. Nie brakowało niczego: trzewiki, skarpety, podwiązki, mieczyk do zawieszenia przy pasie, koszula, krawat, zakiet, kamizelka, no i oczywiście spódniczka oraz sporan. Sprzączki przy trzewikach, srebrne guziki zakietu, mieczyk: wszystko lśniło blaskiem, a złote spinki do mankietów koszuli oczekiwały w najwyższej szufladzie komody. Ktoś — zapewne pani Watty — zadał sobie niemało trudu. Antony podziękował jej za to w głębi serca, ponieważ nigdy nie musiał sam rozpaczliwie szukać brakujących elementów stroju.

Nie minęło dziesięć minut, a już był na parterze — nowe wcielenie statecznego szkockiego ziemianina. Przez ten czas dowieziono aprowizację. Pan Anderson, odziany w biały, sztywny żakiet, układał właśnie w asyście Watty wędzonego łososia na kuchennej ladzie. Pani Anderson — dama uchodząca powszechnie za wzór małżeńskich cnót — zajęła miejsce za barem, zabrała się za polerowanie kieliszków i lustrowała każdy z nich pod światło, by upewnić się, czy aby któryś z nich nie pozostawia nic do życzenia.

Antony był więc wolny. Spojrzał na zegarek i postanowił uraczyć się odrobiną whisky, a potem wrócić na Pietro i ucałować na dobranoc Tuppy. Właśnie zamierzał to zrobić, gdy powstrzymał go zgrzyt hamulców parkującego tuż przed domem samochodu.

— Któż to może być? — spytał.

— Ktoś, kto przyjechał o kwadrans za wcześnie — odparła pani Anderson, nie wypuszczając z dłoni ściereczki.

Antony pokręcił głową. W zachodniej Szkocji nie było w zwyczaju pojawiać się z takim wyprzedzeniem. Czekał z niepokojem, wyobrażając sobie półgodzinną konwersację z przygłuchą panią Clanwilliam. Usłyszał trzask drzwi wozu, czyjeś ciężkie kroki i po chwili w progu stanął Hugh Kyle. Miał na sobie wieczorowy garnitur i wywarł na Antonym imponujące wrażenie.

— Cześć, Antony.

— Dzięki Bogu, że to ty — westchnął z ulgą Antony. — Wcześnie przyjechałeś. Wszyscy uwijali się jak w ukropie. Zdażyłeś za pięć dwunasta. Myślałem, że przepłuczę czymś gardło i zaraz popędzę na górę do Tuppy, ale skoro już jesteś... — Rozlał whisky do dwóch szklaneczek, uzupełnił wodą i podał jedną z nich Antony'emu. — No to *Slaintheua*, przyjacielu.

Uniósł szkło. Nie wyglądało to na radosny toast. Hugh trzymał w milczeniu szklanekę, a w jego bystrych, błękitnych oczach nie widać było entuzjazmu. Antony przybrał natychmiast czujną postawę. Odstawił swoją porcję whisky, nawet nie zwilżywszy warg.

— Czy coś się stało? — spytał.

— Stało się — mruknął Hugh. — Sądzę, że powinniśmy o tym porozmawiać. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie nikt nam nie przeszkodzi?

Flora siedziała przy toalecie, spowita w niebieski szlafrok, który towarzyszył jej wiernie jeszcze od szkolnych lat. W skupieniu pokrywała tuszem



długie, gęste rzęsy. Nachylona ku niej z lustra kobieta nie miała wiele wspólnego z Florą Waring. Jej wyszukany makijaż i uczesanie były obce i egzotyczne, jak na zdjęciach z kolorowych czasopism. Nawet odbita w lustrze sypialnia wyglądała obco. Flora powiodła wzrokiem po żarzącym się elektrycznym kominku, zaciągniętych zasłonach, widmowych kształtach balowej kreacji, którą siostra McLeod zawiesiła, nie bez dumy, na szafie.

Duma była zresztą uzasadniona, ponieważ dzieło nie przypominało teraz w niczym wyblakłej szaty wyciągniętej przez Watty z kufra na strychu. Nieskazitelnie biała, odprasowana, uzupełniona dodatkami suknia oczekiwała na Florę, skrząc się jak kruchy, pierwszy śnieg. Błękitna podszewka prześwitywała między koronkami i batikowymi wstawkami, a od talii po stójkę biegł rząd perłowych guziczków.

Sama obecność sukni niosła niepokój. Florze wydała się milczącym świadkiem, przyglądającym się jej z wyrzutem. Wiedziała, że nie ma ochoty włożyć sukni i odkładała ten moment na ostatnią chwilę, która, niestety, wreszcie nadeszła. Odłożyła pędzelek do tuszu i rozpyliła wokół siebie podarowane przez Marcie perfumy. Wstała i z niechęcią pozbyła się poczciwego starego szlafrocka. Przez chwilę spoglądała na postać w lustrze: wysoką, smukłą, ze śladami opalenizny na całym ciele, podkreślonej dodatkowo przez biel w okolicach biustu i bioder zasłoniętych przez kuse bi-kini. Poczuła gęsią skórę, choć w pokoju było ciepło. Odwróciła się od lustra, spojrzała na suknię i zbliżywszy się do niej na palcach, włożyła ramiona w długie, opięte rękawy, po czym desperacko wsunęła całość przez głowę. Suknia była sztywna i oporna, jakby uszyto ją z pergaminu.

Flora pozapinała filigranowe guziczki. Zajęło jej to trochę czasu, ponieważ dziurki pozlepiały się w trakcie krochmalenia i nad każdą z nich trzeba było pracować osobno. A już zupełnym koszmarem było dopięcie sztywnej jak karton stójki, sięgającej Florze niemal po dolną szczękę.

Wreszcie wszystko było gotowe włącznie z klamerką paska i spinkami przy mankietach. Flora przejrzała się nieśmiało w lustrze i stwierdziła, że sztywnością przypomina cukrową figurkę panny młodej, ulokowaną na szczycie weselnego tortu. Pokręciła z obawą głową, ale dziewczyna w lustrze nie pośpieszyła jej z pociechą. Patrzyła chłodno na Florę i chyba nie czuła do niej szczególnej sympatii. Flora westchnęła, pochyliła się, wyłączyła elektryczny kominek, zgasiła światło i opuściła sypialnię. Ruszyła korytarzem do pokoju Tuppy, by zgodnie z obietnicą pokazać się jej pierwszej, a potem życzyć dobrej nocy.

Z dołu dobiegły ją stłumione dźwięki szkockiego jiga. Dom promieniował ciepłem (ubłagano Watty, żeby włączyła na tę okazję ogrzewanie), pachniał płonącym drewnem i chryzantemami. Radosne głosy z kuchni tworzyły nastrój przytłumionego podniecenia, jak w wigilię, gdy wszyscy zabierają się do rozpakowywania owiniętych w cynfolię gwiazdkowych niespodzianek.

Drzwi sypialni Tuppy były uchylone. Z wnętrza dobiegały szmery przyjacielskiej rozmowy. Flora zastukała i weszła. Ujrzała Tuppy opartą o poduszki, przyodzianą w białą, zawiązaną na atłasowe kokardki lizeskę, w której przypominała dziecię ze starych portretów. Jej rozmówcą był Jason

— Rose! — Tuppy rozwarła ramiona swoim typowym gestem, wyrażającym radość, zachwyty i ożywienie. — Chodź tu, kochanie. Niech ci się przyjrzymy. Bliżej, bliżej. — Flora posłusznie spróbowała pokonać sztywność sukni. — Ależ artystka z tej naszej pielęgniarce! Pomyśleć tylko, że po tylu latach w kufrze na strychu wygląda to jak prosto spod igły. A teraz ucałuj mnie. Pachniesz jak z bajki. Usiądź na chwilę tu przy mnie, tylko uważaj, żebyś nie pomięła halki.

Flora przysiadła ostrożnie, pomna ostrzeżenia.

— W tej stójce czuję się trochę jak birmańska żyrafa — wyznała.

— A co to takiego? — spytał Jason.

— Mówią tak na niektóre kobiety z Birmy — wyjaśniła Tuppy. — Od dziecka noszą na szyi złote obręcze i dzięki temu szyje rosną im w nieskończoność.

— I naprawdę grywałaś w tym w tenisa? — dociekał Jason.

Przyglądał się uważnie Florze, jakby nie dowierzając, że to ta sama dziewczyna, która ubierała się ciągle w to samo: džinsy i sweter. Nowe wcielenie Flory wprowadziło go w lekkie zakłopotanie.

— Tak, grywałam — odpowiedziała Tuppy. — Oczywiście gdy byłam młodą dziewczyną.

— Nie wyobrażam sobie poruszania się w czymś takim po korcie — Flora pokręciła z niedowierzaniem głową.

Tuppy przez chwilę rozważała ten problem.

— Toteż nigdy nie była ze mnie wybitna tenisistka. — Obie wybuchnęły śmiechem. Tuppy ujęła dłoń Flory i pogładziła ją po matczynemu. Oczywiście miała błyszczące i roześmiane, ale trudno było dociec, czy za sprawą podniecenia, czy na myśl o stojącym na nocnym stoliku, nie tkniętym jeszcze kieliszku szampana. — Leżałam tu sobie, przysłuchując się muzyce,

i uwierz mi, że moje stare nogi aż rwały się pod kołdrą do tańca. Potem przyszedł Jason i opowiedziałam mu o balu wyprawionym na dwudzieste pierwsze urodziny jego dziadka, gdy rozpaliliśmy na wzgórzu ognisko, a wszyscy miejscowi bawili się do rana. Zajadaliśmy wołowinę z różną i opróżniliśmy kilka beczulek piwa. To był dopiero bal!

— Opowiedz Rose o moim dziadku i jego łajbie — wtrącił Jason.

— Wątpię, czy ma ochotę tego słuchać.

— Jasne, że mam. Opowiedz, Tuppy. Tuppy nie trzeba było prosić dwa razy.

— A więc dziadek Jasona miał na imię Bruce i straszny był z niego urwis. Całymi dniami uganiał się na bosaka z dziećmi farmerów, nawet z koncern lata nie mogłam namówić go na włożenie butów. Zawsze ciągnęło go morze. Nigdy się go nie lękał, a w wieku pięciu lat pływał jak ryba. Gdy był nieco starszy niż Jason, otrzymał pierwszą łódkę. Pamiętam, że zbudował ją Tammy Todd, który do dziś jeszcze para się tym w Ardmore. *Każdego roku latem tamtejszy jachtklub urządzał regaty, w tym specjalny wyścig dla brzdąców... jak się to nazywało, Jason?*

— „Puchar Gałganiarzy”. Z powodu żagli.

— Puchar... czego? — spytała podejrzliwie Flora.

— Żagle były robione domowym sposobem — wyjaśniła Tuppy. — Były bajecznie kolorowe, zszywane ze skrawków starych materiałów. Wszystkie matki pracowały nad tym miesiącami, a dzieciak, którego łódka miała najbardziej pstrokaty żagiel, dostawał nagrodę. Bruce zdobył ją już za pierwszym startem i podejrzewam, że żadne z późniejszych trofeów tyle dlań nie znaczyło.

— Ale odnosił potem sukcesy w wielu regatach, prawda, Tuppy?

— O, tak. Wiele sukcesów i w licznych regatach. I to nie tylko w Ardmore. Również tam, na południu, przy ujściu Clyde, a gdy skończył szkołę, ruszył w rejs do Ameryki. Zawsze miał jakąś łódź. Nic nie sprawiało mu w życiu większej uciechy.

— A potem, gdy wybuchła wojna, zaciągnął się do marynarki — powiedział Jason, pragnąc, aby opowieść nie miała końca.

— Tak, wyruszył znów na morze. Służył na niszczycielu osłaniającym konwoje na Atlantyku, a gdy powracali do Gairloch lub do Kyles of Lochalsh i miał kilkudniową przepustkę, dłużył bez przerwy przy swojej łajbie albo żeglował na niej.

— Moja babka też była w marynarce, prawda?

Tuppy uśmiechnęła się, rozczulona podnieceniem Jasona.

— Tak, służyła w Ochotniczej Morskiej Służbie Kobiet. Twoi dziadkowie pobrali się zaraz na początku wojny. Nigdy nie zapomnę ich ślubu. Trzeba było go kilkakrotnie odkładać, bo Bruce nie schodził na ląd, a w końcu stanęli przed ołtarzem w Londynie podczas jego dwudniowej przepustki. Ja i Isobel dotarliśmy tam po wielu przygodach: pociągi były zapchane żołnierzami, a wszyscy dzielili się kanapkami, tłocząc się w przedziałach jak śledzie w beczce. To były czasy!

— Opowiedz nam coś jeszcze — poprosił Jason.

Tuppy uniosła dłonie stanowczym gestem.

— Nie przyszedłeś tutaj na słuchanie wspomnień. Masz mnie ucałować na dobranoc i ruszać w te pędy na dół. Czyżbyś zapomniał, że to twoje pierwsze tańce? Zapamiętasz ten wieczór do końca życia, a także to, że miałaś na sobie spódniczkę i żakiet własnego dziadka.

Jason z ociąganiem podniósł się z łóżka. Ruszył w kierunku drzwi.

— Zatańczysz ze mną? — spytał Florę. — Ale ja znam kroki tylko do *Strip the Willow* i do *Eightsome Reel*. Dobranoc, Tuppy — dodał, stojąc już w progu.

— Dobranoc, mój skarbie.

Zostały same. Jason przymknął za sobą drzwi. Tuppy opadła na poduszki i wyglądała teraz na zmęczoną, choć szczęśliwą.

— To dziwne — powiedziała wyraźnie znużonym głosem, jakby ten dzień ciągnął się dla niej zbyt długo. — Dziś wieczór straciłam zupełnie rachubę lat. Najpierw ta muzyka, potem gwar i zamieszanie, a na koniec Jason. Gdy wszedł tutaj, myślałam przez chwilę, że to Bruce. Dziwne uczucie. Choć nie powiem, że nieprzyjemne. Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z tym domem. Dom ten i ja znamy się jak łyse konie. Musisz wiedzieć, Rose, że spędziłam tu, z małymi przerwami, całe życie. Tutaj przyszłam na świat. Czy już mówiłam ci o tym?

— Pierwszy raz słyszę.

— A więc tu się urodziłam i tutaj wyrastałam. Podobnie jak moi dwaj młodsi bracia.

— Nie wiedziałam, że miałaś braci.

— I to jakich! Jamesa i Robbiego. Byli znacznie młodsi ode mnie, a że nasza matka zmarła, gdy miałam dwanaście lat, traktowałam ich trochę jak własne dzieci. Nie wyobrażasz sobie, jakie były z nich urwisy i do czego byli zdolni. Kiedyś zbudowali tratwę i gdy próbowali zepchnąć ją na morze, przyszedł odpływ i trzeba było wezwać na pomoc łódź ratunkową. Innym razem rozpalili ognisko w letnim domku i cudem boskim nie uwędzi-

li się w nim żywcem. Wtedy to jedyny raz w życiu widziałam mojego ojca naprawdę rozjuszonego. Ale gdy wyruszyli do szkół, strasznie za nimi tęskniłam. Wyrosli na dorodnych i gładkich młodzieńców, ale charakterki mieli, że lepiej nie wspominać. Byłam już wtedy zamężna, mieszkałam w Edynburgu, a co się nasłuchiłam o ich wyczynach, to moje. Awantury, eskapady! Urodziwi byli z nich kawalerowie i pewnie złamali serca większości dziewcząt w Szkocji, ale mieli w sobie tyle wdzięku, że żadna kobieta nie była w stanie długo się na nich dąsać i wszystko uchodziło im płazem.

— I co się z nimi stało?

Głos Tuppy stracił nagle wesoły ton.

— Zginęli. Obaj. Podczas pierwszej wojny. Najpierw Robbie, a po nim James. Straszna była ta wojna. Zabrała tylu pięknych, młodych mężczyzn. Tyle ofiar, tyle krwi. Nawet pokolenie Isobel nie jest w stanie wyobrazić sobie tego wszystkiego. A potem, już z samym końcem wojny, poległ mój mąż. Wtedy poczułam, że nie mam już dla kogo żyć. — W jej błękitnych oczach załśniły łzy.

— Och, Tuppy — westchnęła Flora.

Ale Tuppy potrząsnęła głową, jakby odpędzając od siebie wzruszenia i sentymenty.

— A jednak miałam dla kogo żyć. Doczekałam się własnych dzieci: Isobel i Bruce'a. Niestety, nie byłam chyba dla nich zbyt macierzyńska. Być może zużyłam cały swój macierzyński instynkt dla młodszych braci i gdy pojawili się Bruce i Isobel, moja radość nie dorównywała oczekiwaniom. Mieszkaliśmy wtedy na południu, nieboraki były blade i ciche, a ja, nie mogąc wykrzesać z siebie dawnego zapału, litowałam się nad nimi jeszcze bardziej niż nad sobą. Istne błędne koło.

— I co było potem?

— Otrzymałam list od ojca. Wojna dobiegła wreszcie końca i prosił, żebym przywiozła dzieciaki do Fernrigg na Boże Narodzenie. Wsiedliśmy całą trójką w pociąg i przyjechaliśmy do Tarbole, gdzie ojciec czekał na nas w ponury, zimowy ranek. Pamiętam, że zaciągało lodowatym deszczem i musieliśmy przedstawiać iście opłakany widok: żałobne stroje, posępne miny, twarze pokryte sadzą, jak to po podróży pociągiem. Ojciec wyjechał po nas bryczką, ulokowaliśmy się wszyscy na koźle i o bladym świetle ruszyliśmy do Fernrigg. W drodze spotkaliśmy starego farmera, znajomego taty. Ojciec zatrzymał konie i przedstawił go dzieciakom. Pamiętam do dziś, jak uroczyście wymieniali uściski dłoni.

Sądziłam, że zaproszenie dotyczy tylko świąt. No ale zasiedzieliśmy się do Nowego Roku, minął tydzień, potem miesiąc i nim się zorientowałam, przyszła wiosna. Poczułam, że dzieciaki mają wreszcie dom i że ich miejsce jest w Fernrigg. Nabrały kolorów, wigoru i mogły wreszcie wyha-sać się poza domem, jak to dzieciaki. Mnie wciągnął ogród. Zasadziłam róże, poprzycinałam krzewy, zabrałam się za żywopłot z fuksji i stopniowo zaczynałam rozumieć, że nawet najgorsza przeszłość nie przekreśla przyszłości. Ten dom, jak pewnie zauważyłaś, ma coś w sobie. Zawsze był taki i jeśli nic się nie zmieni, długo jeszcze taki pozostanie.

Tuppy zamilkła. Z dołu słychać było warkot zajeżdżających samochodów, a żwawe rytmy przytłumiało coraz to więcej głosów. Znak, że rozpoczęło się właściwe party. Tuppy sięgnęła po kieliszek szampana i umoczyła usta. Odstawiła szkło i znów ujęła dłoń Flory.

— Torquil i Antony też się tu urodzili. Ich matka miała bardzo ciężki pierwszy poród i lekarze ostrzegali ją, że nie powinna mieć drugiego dziecka, ale postanowiła zaryzykować. Bruce bardzo się o nią niepokoił, więc uradziliśmy, że na okres ciąży przyjedzie do Fernrigg i tu urodzi dziecko. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że na miesiąc przed przyjściem na świat Antony'ego okręt Bruce'a zatopiła torpeda, a wtedy nieszczęsna kobieta straciła wolę życia. Nie próbowała nawet walczyć. Bardzo dobrze ją wtedy rozumiałam. Wiedziałam, co czuje. — Tuppy uśmiechnęła się gorzko. — A więc ja i Isobel wróciłyśmy do punktu wyjściowego, tyle że z dwoma malcami, których trzeba było odchować. Jak to w Fernrigg. Ten dom zawsze rozbrzmiewał od tupotu malców. Czasem wydaje mi się, że wszyscy biegają po ogrodzie, nawołują się na schodach i hałasują, aż uszy puchną. Może dlatego, że wszyscy odeszli tak młodo i żaden z nich nie zdążył naprawdę dorosnąć. Zresztą wcale nie odeszli, przynajmniej dopóki ja tu jestem.

Znów umilkła.

— Że też nie wiedziałam o tym wcześniej — przerwała milczenie Flora. — Bardzo ci współczuję.

— Czasami lepiej nie rozmawiać o przeszłości. Lepiej zostawić to sobie na stare lata.

— Ale Fernrigg to taki radosny dom. Czuje się to już od wejścia.

— Cieszę się, że tak go odebrałaś. Czasami Fernrigg przypomina mi drzewo — stare, sękate, z pniem powykręcany od wichrów. Niektóre gałęzie poucinano, inne połamał wiatr i często wydaje się, że drzewo niedługo uschnie lub nie będzie dłużej w stanie stawiać czoło żywiołom. A po-

tern przychodzi wiosna i drzewo pokrywa się tysiącami młodych, zielonych liści. To prawdziwy cud. Ty, Rose, jesteś też jednym z takich listków. Tak jak Antony. Jak Jason. Warto żyć, by przekonać się, że są takie młode pędy. Choćby po to, żeby cię poznać.

Florze nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź, ale Tuppy w typowy dla siebie sposób przeszła nagle na rzeczowy ton.

— Że też opowiadam tu jakieś bzdury, gdy tam na dole wszyscy nie mogą się ciebie doczekać. Masz treść?

— Umiarkowaną.

— Zapomnij o tym. Wyglądasz wspaniale i ręczę, że wszyscy, nie tylko Antony, zakochają się w tobie od pierwszego wejrzenia. A teraz daj buziaka i zmykaj do gości. Jutro opowiesz mi wszystko. Tylko uprzedzam, że nie pozwolę ci pominąć żadnego szczegółu.

Flora uniosła się z łóżka. Pochyliła się, ucałowała Tuppy i ruszyła w stronę drzwi.

— Rose! — zatrzymała ją raz jeszcze Tuppy. — Baw się dobrze.

Flora opuściła pokój Tuppy.

Nie było czasu na emocje. Nie miałyby sensu wpadać w sentymentalny lub mroczny nastrój tylko dlatego, że jakiejś leciwej damie zebrało się po łyku szampana na wspomnienia. Flora nie była dzieckiem. Już dawno nauczyła się kontrolować własne uczucia. Wystarczy postać chwilę, przyłożyć dłonie do twarzy, przymknąć oczy, a grudka, nabrzmiewająca w krtani niczym balon, zaraz skłębnie i głupie łzy wycofają się w porę pod powieki.

Wizyta u Tuppy bardzo się przeciągnęła. Docierający z parteru zgiełk nie pozostawiał wątpliwości, że party już się zaczęło. Flora nie mogła pozwolić sobie na łzy, gdy trzeba było zejść na dół i pokazać się wszystkim oczekującym na nią gościom. A przede wszystkim Antony'emu, któremu to obiecała.

Co mu właściwie obiecała? Jaki demon skusił ją, żeby obiecywać mu cokolwiek? Czy naprawdę wierzyli wtedy, że oszustwo ujdzie im bezkarnie i nie wyrządzi nikomu krzywdy?

Nie było odpowiedzi na te rozpaczliwe pytania. Sztywna, niemiłosiernie uwierająca suknia ucieleśniała teraz całą hańbę i odrazę, którą czuła do siebie Flora. Nawet dotyk tkaniny niósł męki. Wąskie rękawy uwierały pod pachami, ciasna stójka przypominała obrozę, w której nie sposób oddychać.

*Rose... Baw się dobrze.*

Ale ja nie jestem Rose. Dłużej nie zniosę udawania, że jestem kimś innym.

Flora zagryzła wargi; niewiele to jednak pomogło, bo wcześniej zdążyła się rozplakać. Nad Tuppy, nad malcami, nad sobą. Słone, odbierające ostrość widzenia łzy wypełniły jej oczy i popłynęły po policzkach. Pomyślała, że pięknie musi wyglądać teraz jej makijaż, ale to już się nie liczyło, bo i tak gra dobiegła końca. Bal i prezentację ma już z głowy. Instynktownie postanowiła znaleźć schronienie w zaciszu swojej sypialni i popędziła jak ścigana, długim korytarzem ku drzwiom. Otworzyła je i zatrzasnęła za sobą. Teraz była bezpieczna.

Muzyka i śmiechy przeszły od razu w dyskretny szmer, a jedynym dysonansem był jej własny szloch. Pokój wydał się jej lodowaty. Mimo to zaczęła odpinać drżącymi palcami wszystkie pokracyjne haftki i guziczki sukni. Uporała się ze stójką i wreszcie mogła odetchnąć. Potem przyszła kolej na stanik i wąskie mankiety. Wyśliznęła się z pułapki sukni, która bezszelestnie, jak wąż, opadła na podłogę — równie niegodna uwagi jak papier, w który opakowano przesyłkę. Flora, drżąc z zimna, sięgnęła po swojski szlafrok i nie zadając sobie trudu, by pozapinać guziki lub przynajmniej przewiązać się w talii paskiem, siadła na łóżko, gdzie wreszcie mogła wyszlochać się za wszystkie czasy.

Czas przestał istnieć. Flora nie miała pojęcia, jak długo tak leżała, gdy drzwi skrzypnęły i po chwili przymknęły się bezszelestnie. Nie była nawet pewna, czy ktoś naprawdę wszedł do pokoju, do momentu, w którym poczuła, że skraj łóżka ugiął się pod czyimś ciężarem. Statecznym, życzliwym i krzepiącym. Odwróciła wciśniętą w poduszkę głowę. Czyjaś dłoń odgarnęła łagodnie włosy z jej twarzy. Wyteżyła załzawione oczy i mroczny cień, rozcięty pośrodku białym gorseм koszuli, zaczął przybierać kształt Hugh Kyle'a.

Oczekiwała, że będzie to Isobel lub Antony. Na pewno nie Hugh. Spróbowała rozpaczliwie zatamować łzy, otarła je niezdarnie wierzchem dłoni i zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie. Był to niewątpliwie Hugh, i to taki, jakim nigdy dotąd go nie widziała: nie tylko w nietypowym dla siebie stroju, ale nietypowo cierpliwy, czekający najspokojniej w świecie, aż Flora się wypłacze, choćby nawet miało to trwać wieki.

Spróbowała wydobyć z siebie głos. Powiedzieć cokolwiek, nawet „wynoś się stąd”. Ale Hugh — ten sam Hugh! — otworzył tylko ramiona, a te-



mu Flora nie potrafiła się oprzeć. Uniosła się i wtuliła głowę w ich niosący pociechę niedźwiedzi uścisk.

Chyba nie przejął się zbytnio uszkodzonymi, jakie mogło to wyrządzić jego wieczorowej koszuli. Objął ją mocno, po ojcowsku. Pachniał żelazkiem i płynem po goleniu. Poczowała na czubku głowy dotyk jego podbródka.

— Co ci jest? — spytał po chwili, bardzo delikatnie i w tym momencie słowa bez sensu i bez ładu popłynęły z jej ust jak rwący potok.

— Byłam u Tuppy... opowiadała mi... ci wszyscy chłopcy... skąd mogłam wiedzieć? Mówiła o liściach... takich na drzewie... to mnie dobiło. — Wyrzucała z siebie zdania tłumione przez bliskość gorsu jego koszuli. — Do tego ta muzyka... nie mogłam... nie byłam w stanie zejść i...

Pozwolił jej płakać. Gdy trochę doszła do siebie, usłyszała jego słowa:

— Isobel zaczęła się niepokoić. Posłała mnie, żebym cię znalazł i przyprowadził.

Flora pokręciła głową, stanowczo, na ile pozwalały jej na to okoliczności.

— Nigdzie nie pójdę.

— Oczywiście, że pójdziesz. Wszyscy czekają na ciebie. Chyba nie chcesz zepsuć całej zabawy?

— Nie mogę. Zrozumiem, że nie mogę. Powiesz, że mi się pogorszyło albo... albo coś tam wymyślisz.

— Idziemy, Floro — powiedział, nie wypuszczając jej z ramion. — Spróbuj wziąć się w garść.

Pokój zamarł. Ciszę przerywały tylko odległe, dochodzące do jej świadomości dźwięki: muzyka płynąca z drugiego końca domu, szum wiatru, skrzypienie okiennic, daleki pomruk morza; no i bicie jego serca, tak bliskie i regularne, że bardziej wyczuwała je, niż słyszała.

— Jakie wymówiłeś imię? — spytała, odsuwając się trwożnie.

— Flora. Całkiem niezłe imię. O wiele lepsze niż Rose.

Czuła twarz nabrzmiałą od płaczu. Policzki płonęły. Spróbowała rozmasować je czubkami palców. Jakby tego było mało, pociekło jej z nosa, a chusteczka zawieruszyła się gdzieś jak na złość. Sięgnął do kieszeni i podał jej własną. Nie aż tak wykwintną, jak ta jedwabna w kieszonce jego garnituru, za to praktyczną, domową weterankę, której świeży, bawełniany dotyk z miejsca przyniósł ulgę.

Przyjęła ją z wdzięcznością.

— Nie będzie łatwo z tym płaczem — wyjaśniła. — Rzadko mi się to zdarza, ale wtedy nie umiem się opanować. — Wytarła nos. — Pewnie nie

uwierzysz, ale to prawda. Przez ostatnie kilka dni nadrobiłam chyba wszystkie zaległości.

— Normalne, skoro żyłaś w stałym napięciu.

— Fakt. — Spojrzała na chusteczkę i spostrzegła, że jest cała umazana tuszem do rzęs. — Pięknie muszę wyglądać.

— Trochę przypominasz pandę.

— Pewnie tak. — Zaczerpnęła powietrza. — Jak się o tym dowiedziałeś? Ze jestem Florą?

— Antony mi powiedział. O tym, że tak właśnie masz na imię. Ale o tym, że nie jesteś Rose, wiedziałem już wcześniej.

— Od kiedy?

— Od pierwszego dnia twojej choroby. Zresztą wtedy upewniłem się tylko w moich podejrzeniach.

— Ale jak na to wpadłeś?

— Gdy Rose była tutaj przed pięcioma laty, miała wypadek na plaży. Opalała się czy inaczej zbijała bąki i rozcięła sobie ramię o kawałek szkła z butelki, którą jakiś wesolek zakopał w piasku. Dokładnie w tym miejscu. — Uniósł ramię Flory, podwinął rękaw jej szlafroka i powiódł palcem po zewnętrznej stronie jej przedramienia. — Nic groźnego, ale trzeba było to szyć. Przyznam się, że jestem niezłym specjalistą w tej dziedzinie, ale nie aż takim, żeby nie pozostała blizna.

— Rozumiem. Ale czemu nic mi nie powiedziałeś?

— Chciałem porozmawiać najpierw z Antonym.

— I porozmawiałeś?

Przytaknął.

— Czy Antony wyznał ci wszystko? O mnie, o Rose, o naszych rodzicach?

— Wszystko. Ciekawa historia.

— A czy... opowie o tym jutro Tuppy?

— Nie opowie — poprawił ją Hugh — bo właśnie teraz jej o tym opowiada.

— Teraz? Gdy my tu siedzimy?

— Dokładnie w tej chwili.

— A więc... — Flora obawiała się dokończyć zdania. — A więc Tuppy już wie, że nie jestem Rose.

— Pewnie już zdążyła się dowiedzieć. — Spojrzał jej w twarz. — Czy właśnie dlatego płakałaś?

— Tak, dlatego. Ale miałam też parę innych powodów.

— A jednym z nich było nieczyste sumienie? Flora przytaknęła. Było to żalosne wyznanie.

— Pewnie czułaś się podle, okłamując Tuppy?

— Czułam się jak zbrodniarz.

— Ale teraz nie musisz się już tak czuć. — Nagle przeszedł znów na swój zgryźliwy ton. — Za to musisz ruszyć się z wyra, włożyć suknię i zejść do gości.

— Z moją twarzą?

— A od czego jest woda?

— Spójrz tylko na tę zmiętoszoną suknię.

Powiódł wzrokiem po podłodze, dokładnie tam, gdzie porzuciła strój.

— Wcale się nie dziwię, że jest wmiętoszona. — Wstał, podniósł suknię, strzepnął, żeby odzyskała fason, i ułożył na łóżku.

Flora obserwowała to wszystko, obejmując ramionami kolana.

— Nie jest ci zimno? — spytał.

— Trochę.

Bez słowa wcisnął czubkiem buta guzik grzejnika elektrycznego i podszedł do toaletki. Flora spostrzegła błysk butelki szampana i dwóch wysokich kieliszków.

— Zaopatrzyłeś się na drogę? — spytała.

— Przyszło mi to do głowy. Pomyślałem, że może przyda się jakiś środek pobudzający. — Jego lekarskie palce w mig uporały się ze sreberkiem i złotymi drucikami. — Wygląda na to, że miałem rację.

Korek strzelił i zapieniły się złote bąbelki, którymi Hugh wypełnił z wprawą najpierw jeden, a potem drugi kieliszek. Odstawił butelkę, podał Florze napełnione po brzegi szkło, powiedział *Slaintheua* i oboje uraczyli się winem tak musującym, że aż szczypiącym w nosie, mającym w sobie smak wesela i prawdziwie uroczystych okazji.

Kratka grzejnika znów się zaróżowiła. Pokój jakby pojaśniał i nabrał przytulności. Flora poczuła kolejny przypływ odwagi.

— Wiem wszystko o Rose — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Hugh milczał przez chwilę. Wziął napoczętą butelkę i usiadł w nogach łóżka, opierając potężne ramiona o jego poręcz. Butelkę postawił na wszelki wypadek na podłodze, w zasięgu ręki.

— Co masz na myśli? — spytał.

— Wiem, że miała romans z Brianem Stoddartem. Ale nie wiedziałam o tym, gdy zapraszał mnie wtedy na kolację. Uwierz mi, że naprawdę nie

wiedziałam.

RS

— Pewnie opisał ci wszystko szczegółowo?

— Nie mogłam go powstrzymać.

— Byłaś załamana czy raczej zaskoczona?

— Sama nie wiem. — Flora próbowała przywołać wspomnienia. — Szczerze mówiąc, nie miałam czasu, by poznać bliżej Rose. Spędziłyśmy razem w Londynie wieczór i pół nocy, a nazajutrz odleciała do Grecji. Ale była tak do mnie podobna, że wyobrażałam sobie, że pewnie też jest taka jak ja. Może z wyjątkiem tego, że ma mnóstwo pieniędzy i rzeczy, na które ja nigdy nie mogłabym sobie pozwolić. Ale to nie wydawało mi się szczególnie istotne. Pomyślałam, że stanowimy dwie połowy tej samej całości. Rozdzielono nas, ale przecież byłyśmy jedną osobą. Potem Rose zniknęła, pojawił się Antony, opowiedział mi, co zaszło, i zaczęłam mieć co do niej pewne wątpliwości. Przecież wiedziała, jak bardzo jest mu potrzebna, a mimo to czmychnęła do Grecji. To był jeden z powodów mojego przyjazdu do Fernrigg. Może chciałam naprawić to, co Rose popsukała. — Wszystko to było zbyt skomplikowane i Flora dała za wygraną. — Przyznasz, że to bez sensu?

— Zależy dla kogo.

— Zrozum, Hugh...

Nie pozwolił jej dokończyć. — Pamiętasz, jak spotkaliśmy się pierwszy raz na plaży? Pewnie wzięłaś mnie za kogoś niespełna rozumu?

— Nic z tych rzeczy.

— Więc co sobie pomyślałaś? Pytam z czystej ciekawości.

— Pomyślałam... Powiedzmy, że jesteś jedną z ofiar Rose.

— Że kiedyś się w niej kochałem?

— Nazwijmy to tak.

— Właściwie nigdy nie znałem Rose. Wątpię, czy w ogóle zwróciła wtedy na mnie uwagę. Nie sądzę, żeby wpadł też jej w oko Antony. Co innego Brian.

— A więc nie bujałeś się w niej?

— Tego jeszcze brakowało.

Flora nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

— Można wiedzieć, co oznacza ta mina Kota z Cheshire? — spytał na widok jej reakcji.

— Byłam pewna, że się w niej bujałeś. I to było najgorsze.

— A dlaczego?

— Bo to podła osoba. A poza tym — dodała Flora, zdecydowana wyrzucić wreszcie wszystko z siebie — bardzo cię polubiłam.

— Ty mnie?

— Właśnie dlatego tak okropnie się zachowałam, gdy tamtej nocy zabrałeś mnie z Lochgarry.

— Zawsze tak traktujesz ludzi, których lubisz?

— Tylko wtedy, gdy podejrzewam, że są zazdrośni.

— Szkoda, że o tym nie wiedziałem. Myślałem, że mnie nienawidzisz. No i że jesteś pijana.

— Coś w tym było. Ale przynajmniej nie dałam ci w twarz.

— Biedna Flora — westchnął, choć nie wyglądał na zbyt skruszonego.

— Ale skoro to nie była zazdrość, to dlaczego... — Próbowwała znaleźć właściwe słowo. — ...dlaczego byłeś taki wściekły, Hugh?

— Z powodu Anny.

*A więc chodziło o Annę.*

— Będziesz musiał mi to wyjaśnić — westchnęła Flora. — Sama nigdy tego nie zrozumie.

— Niech i tak będzie — odparł znowu z westchnieniem.

Dopił swój szampan, sięgnął po butelkę i napełnił znów oba kieliszki. Flora pomyślała, że jest tu przytulnie jak na sylwestrowej prywatce.

— Nie mam pojęcia, ile właściwie wiesz o Stoddartach — zaczął.

— Tyle, co opowiadała mi Tuppy.

— Dobra. To przynajmniej zaoszczędzi nam trochę czasu. A więc jakby tu zacząć? Pięć lat temu Rose i jej matka zatrzymały się w Beach House, o czym pewnie słyszałaś. Właściwie do dziś nie rozumiem, co je przyniosło do Fernrigg. Absurdalne miejsce dla światowców w rodzaju Schusterów, ale może przeczytały ogłoszenie, które Tuppy zamieściła w „Timesie”, lub postanowiły dla odmiany powrócić — jak to Amerykanki — do uroków życia na łonie natury. W każdym razie zjawily się tutaj. Tuppy zawsze bardzo przejmuje się swoimi letnikami. Czuje się za nich odpowiedzialna, jakby byli jej prywatnymi gośćmi. Zaprasza ich do Fernrigg, przedstawia najbliższym i chyba tak właśnie Rose i jej matka poznały Stoddartów. Anna oczekiwała wtedy dziecka. Pierwszego dziecka. Brian, może sfrustrowany rychłym ojcostwem, umiał sobie czas z barmanką w jachtklubie. Przyjechała na letni sezon do Ardmore aż z Glasgow, żeby sobie coś dorobić, i pewnie od razu wyczuli w sobie bratnie natury.

— Czy wszyscy o tym wiedzieli?

— Tarbole to mała miejscina. Wszyscy znają się tu na wylot, a jeśli nikt nie mówi głośno o wyczynach Briana, to tylko z sympatii do Anny.

— A czy ona też się z tym pogodziła?

— Wszyscy tak sądzą. Ale Anna jest, mimo pozornej nieśmiałości, bardzo namiętną i wrażliwą kobietą. Do tego zaborczą i śmiertelnie zakochaną w swoim mężu.

— Brian porównał ją do strusia chowającego głowę w piasek i widzącego tylko to, co chce zobaczyć.

— Uroczo to określił. Może i generalnie jest taka, ale u niektórych kobiet ciąża wywołuje zupełnie nieoczekiwane emocje.

— Na przykład zazdrość?

— Dokładnie to. Wtedy Anna nie schowała głowy w piasek. Podejrzewała, że Brian zadaje się z tą dziewczyną i nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Nie domyślała się tylko i, dzięki Bogu, nigdy się nie domyśliła, że równocześnie na scenie pojawiła się Rose. Ja też nie wpadłbym na to, gdyby nie oświecił mnie Tammy Todd z jachtklubu w Ardmore. Zналиśmy się jeszcze z podstawówki i doszedł do wniosku, że powinienem wiedzieć, co jest grane.

Pewnego ranka Anna zadzwoniła do mnie o bardzo wczesnej godzinie. Odchodziła od zmysłów, ponieważ Brian nie wrócił na noc do domu. Rankiem też się nie pojawił. Próbowałem ją uspokoić, w końcu sam wyruszyłem na poszukiwania i odnalazłem go w jachtklubie. Mówił, że był na jakimś party, a że nie chciał budzić Anny, więc postanowił tam spędzić noc. Powiedziałem mu, żeby wracał w te pędy do domu. Obiecał mi, że tak właśnie zrobi.

Minęło kilka godzin i Anna znów odszukała mnie telefonicznie. Byłem na zabitej deskami wiosze, o dobre dwie godziny drogi od Tarbole, wezwany do syna hodowcy owiec. Jego matka podejrzewała zapalenie ślepej kiszki, ale na szczęście myliła się. Anna oznajmiła mi, że dostała krwotoku. Powiedziałem jej, że przyjadę, gdy tylko będzie to możliwe, a najlepiej, jeśli Brian zadzwoni do szpitala i poprosi o przysłanie karetki. Usłyszałem, że jest wciąż sama. Brian jeszcze się nie pojawił. Zadzwoniłem na pogotowie i do szpitala w Lochgarry, wskoczyłem w auto, pogałem jak szalony do Tarbole i prosto z przychodni zatelefonowałem raz jeszcze do szpitala, ale było już za późno. Pielęgniarka poinformowała mnie, że Anna wreszcie tam dotarła, ale poroniła w drodze. Wspomniała, że Anna wciąż pyta o męża, ale nie mogą go nigdzie zlokalizować. Odłożyłem słuchawkę, wsiałem w samochód i przyjechałem do Beach House, gdzie zastałem Briana w łóżku z Rose.

— A czy jej matka niczego się nie domyślała?

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Przynajmniej wtedy nie było jej w domku. O ile pamiętam, wybrała się na partię golfa do Lochgarry.

— I co wtedy zrobiłeś?

Uniósł dłoń i potarł powieki.

— To, co każdy by zrobił. Straciłem cierpliwość i wyrąbałem im wszystko w oczy. Ale co z tego, skoro dziecko Anna było już martwe.

— A teraz oczekuje drugiego — dodała Flora, a Hugh skinął głową. — Tym razem nie miałaś ochoty stać z boku i patrzeć, jak wszystko się powtarza?

— Nie miałem.

— Czy były jakieś... reperkusje?

— Żadnych. Gdy Anna wyszła ze szpitala, Rose i jej matka zdążyły już odjechać.

— A Tuppy... Isobel? Czy nigdy się o tym nie dowiedziały?

— Nigdy.

— Antony też?

— Antony pracował już wtedy w Edynburgu. Poznał Rose tylko przelotnie, gdy wpadł do domu na weekend.

— Co pomyślałeś na wieść, że Antony zamierza poślubić Rose?

— Byłem przerażony. Ale powiedziałem sobie, że tamto to już przeszłość. Miałem nadzieję, że Rose być może wydorosłała.

— A Anna? Czy nigdy się o tym nie dowiedziała?

— Brian i ja zawarliśmy układ. Jeden jedyny raz. Prawda zniszczyłaby Annę. Podejrzenia, że Brian zadaje się z jakąś dziwką z Glasgow to jedna sprawa. Wiedza, że sypiał z Rose, to całkiem coś innego. Oznaczałoby to katastrofę, a na dodatek zaangażowałoby rodzinę Armstrongów.

— A co miał Brian z tego układu?

— Brian to rozpustnik, ale przy tym bardzo trzeźwy człowiek. Materialnie i finansowo miałby najwięcej do stracenia. Tak wtedy, jak i teraz.

— Bardzo go nienawidzisz?

— Z wzajemnością. Ale żyjemy w małym światku, gdzie wszyscy się znają. A więc, gdy musimy, tolerujemy swoją obecność.

— Pewnie nie był zachwycony, gdy zjawiłeś się wtedy w Lochgarry.

— Też tak sędzę.

— Anna wspominała, że ma podbite oko.

— Doprawdy? Pierwszy raz słyszę — odparł ze zdziwieniem.

— Uderzyłeś go? Przyznaj się, Hugh.

— Powiedzmy, że go musnąłem.



— Co będzie z ich małżeństwem?

— Nic szczególnego. Brian przypuszczalnie będzie nadal dokazywał, jeśli to słowo pasuje do mężczyzny w jego wieku, Anna będzie nadal ignorowała jego wysoki. W każdym razie małżeństwo przetrwa.

— Sądzisz, że dziecko coś pomoże?

— Najwyżej Annie.

— To bardzo niesprawiedliwe.

— Takie jest życie, Floro. Z pewnością już sama zdażyłaś się o tym przekonać.

— Tak — westchnęła głęboko. Wszystko to nie brzmiało pocieszająco. — Żałuję, że Rose wyrosła na taką, jaka jest. Amoralną i bezlitosną. Zadającą ludziom ból. Przecież jesteśmy bliźniaczkami. Urodziłyśmy się nawet pod znakiem Bliźniąt. Czemu tak się dzieje?

— Może to kwestia środowiska.

— Chcesz powiedzieć, że gdyby wychowała mnie nasza matka, a nie ojciec, byłabym taka jak Rose?

— Nie. Tego raczej nie mogę sobie wyobrazić.

— Zresztą zazdrościłam Rose jej środowiska. Zazdrościłam jej futra z szynszyli, londyńskiego mieszkania, tego, że szasta forszą, że może pojechać, gdzie chce, i robić, co chce. Teraz jest mi jej tylko żal. Paskudne uczucie. — Oparła podbródek o kolana i zadumała się. — Chyba już nie chcę być Rose.

— Ja też wolę, że nią nie jesteś. Ale przyznam się, że zabiłaś mi wtedy klina. Przez lata wszyscy powtarzali mi, że pracuję zbyt ciężko i że powinienem znaleźć sobie kogoś do pomocy, bo pewnego dnia wysiądę. Zbywałem to śmiechem. I nagle zacząłem się zastanawiać, czy faktycznie nie dzieje się ze mną coś dziwnego. Najpierw zastałem cię sprzątającą moją kuchnię, co tak dalece nie pasowało do Rose, że samo w sobie wytrąciło mnie z równowagi. Potem zacząłem ci opowiadać o starym Angusie McKayu i nagle wzięło mnie na zwierzenia o moim małżeństwie. A to, możesz mi wierzyć, było jeszcze bardziej absurdalne niż Rose w roli pomywaczki. Od lat nie wspominałem o Diane. Zresztą tego, co ci opowiedziałem, nie mówiłem nigdy i nikomu.

— Cieszę się, że mi o tym opowiedziałeś.

— No i gdy zacząłem nabierać lepszego mniemania o Rose, pojawił się Brian Stoddart i wszystko wróciło do normy, jak za dotknięciem magicznej różdżki. A na scenie pozostał stary błazen doktor Kyle, żeby publiczność miała kogo obrzucać jajami.

— Nic dziwnego, że byłeś rozjuszony.  
Z głębi domu dobiegały dźwięki walca.

... *gdy nasz młody król bez korony powróci, gdzie czeka nań lud.* \*

— Jeśli wreszcie się nie ruszymy — powiedział Hugh — zabawa dobiegnie końca przed naszym przybyciem.

— Czy muszę nadal być Rose?

— Sądzę, że powinnaś. — Wstał, wziął pustą butelkę po szampanie i udekorował nią toaletkę Flory. — Jeszcze ten jeden wieczór. Zrób to dla Antony'ego, dla Isobel, no i dla pół setki gości, którzy byliby bardzo zakłopotani. — Podszedł do umywalki, puścił ciepłą wodę i zmoczył nią ręcznik Flory. — A teraz wstawaj i zrób coś z twarzą.

Po chwili była gotowa, uczesana, a jej przypudrowaną twarz pokrywał dyskretny makijaż. Raz jeszcze wśliznęła się w suknię i zmogła większość guzików, podczas gdy Hugh zajął się tymi szczególnie perfidnymi na plecach. Flora czuła się sztywno, jak poprzednio, ale pokrzepiona szampanem doszła do wniosku, że nie ma rzeczy, której nie dałoby się stawić czoło. *Pour etre belle Ufautsouffrir\*\**. Dopięła pasek i spojrzała wyzywająco.

— Chyba już nie wyglądam jak panda?

— Nie — odparł krótko, po czym nieoczekiwanie dodał: — Wyglądasz naprawdę czarująco.

— Ty też wyglądasz czarująco. Stateczny człowiek sukcesu. Szkoda tylko, że jakaś nieuważna wielbicielka wysmarowała ci gors koszuli tuszem do rzęs i na dodatek przekrzywiła ci krawat.

Spojrzał w lustro, aby to sprawdzić. Widać było, że jest zbity z tropu.

— Kiedy mi się przekrzywił?

— Mniej więcej przed kwadransem.

— A więc dlaczego mi go nie poprawiłaś?

— Sama nie wiem. To takie banalne.

— Co widzisz banalnego w poprawieniu mężczyźnie krawata?

— To zupełnie jak w tych starych filmach, które pokazują w telewizji. On i ona są gotowi do wyjścia, ona go kocha, a on o tym nie wie. Wtedy ona mówi, że on ma przekrzywiony krawat, prostuje mu go, wszystko staje się jasne i oboje patrzą sobie w oczy.

\* „...*Gdy nasz młody...*” — mowa o Karolu Edwardzie Stuartcie; (*Bonnie Prince Charles*). \**Chcąc być piękną, trzeba cierpieć.*

— A co potem? — spytał Hugh, jakby naprawdę chciał poznać ciąg dalszy.

— Potem przeważnie on ją całuje, a niebiański chórek śpiewa *I'll Be Seeing You* lub coś w tym rodzaju, gdy objęci, oddalają się od kamery, z napisem „The End” na plecach. Strasznie to banalne — dokończyła z nieco mniejszym przekonaniem Flora.

Przez chwilę Hugh jakby rozważał plusy i minusy opisanej sceny.

— Jedno jest pewne — powiedział wreszcie. — Nie pokażę się gościom z przekrzywionym krawatem.

Flora roześmiała się i starannie poprawiła mu węzeł. Nie pytając o zgodę, pochylił się i pocałował ją. To było miłe. Tak miłe, że gdy się skończyło, teraz ona objęła go ramionami i przyciągając jego głowę, oddała pocałunek.

Przyjął to jakby z zakłopotaniem. Flora odsunęła się i zmarszczyła brwi.

— Nie lubisz, gdy cię całują? — spytała.

— Bardzo lubię. Tylko że trochę wyszedłem z wprawy. Nie pamiętam, kiedy zdarzyło mi się to ostatni raz.

— Hugh, przecież ty naprawdę nie możesz dłużej tak żyć. Bez kogoś, kogo mógłbyś kochać.

— Można się przyzwyczać.

— Wbrew sobie? Zrozum wreszcie, że nie jesteś typem samowystarczalnego odludka. Potrzebujesz żony i dzieciaków, które uganiałyby się po waszym domu.

— Zapomniałaś, że raz już próbowałem i skończyło się to jedną wielką klapą.

— Nie z twojej winy. A poza tym czemu nie spróbować drugi raz?

— W moim wieku, Floro? Mam trzydzieści sześć lat. Za kilka miesięcy będę miał trzydzieści siedem. Nigdy nie dorobię się majątku. Jestem starzejącym się prowincjonalnym lekarzem, bez szczególnych zawodowych ambicji. Przypuszczalnie spędzę resztę życia w Tarbole, robiąc dokładnie to, co niegdyś mój ojciec. Nie mam czasu nawet dla siebie, a nieliczne wolne chwile wolę poświęcać na wędkowanie. Dość żałosne perspektywy dla towarzyszkę życia.

— Wcale nie muszą być żałosne — trwała w uporze Flora. — Pomaganie ludziom w potrzebie nigdy nie jest żałosne.

— Dla mnie nie jest. Ale to w końcu moje życie.

— A czemu nie miałyby być życiem kogoś, kto cię kocha?

— Łatwo to powiedzieć. Pocieszać jeszcze łatwiej.

— Wcale cię nie pocieszam.

— Co zamierzasz robić, gdy będzie już po wszystkim? — spytał nieoczekiwanie. — Mam na myśli Armstrongów.

— Wyjadę — odpowiedziała, choć trudno było przyjąć bez bólu nagłą zmianę tematu.

— Dokąd?

— Do Londynu — odparła, wzruszając ramionami. — Muszę dokończyć to, co zaczęłam, gdy spotkałam Rose. Znaleźć pracę. Znaleźć jakiś dach nad głową. Czemu pytasz?

— Pytam, bo coś mi mówi, że po twoim wyjeździe wszyscy poczujemy tu pustkę. Mrok. Jakby przygasło światło. — Pokręcił głową. W jednej chwili jego zaduma prysła. — Idziemy, Floro. — Zamaszystym ruchem otworzył przed nią drzwi. — Idziemy. I to już.

Ujrzała długi korytarz, usłyszała znów gwar głosów i muzykę. Straciła pewność siebie.

— Będiesz w pobliżu?

— To zadanie Antony'ego.

— Zatańczysz ze mną?

— Każdy będzie chciał z tobą zatańczyć.

— Tak, ale... — Pragnęła podtrzymać jak najdłużej wątlą nić przyjaźni, którą z takim trudem udało się wreszcie spleść.

— Mogę obiecać ci jedno — powiedział Hugh. — Po tym wszystkim stawiam ci kolację. Co ty na to?

— Słowo?

— Słowo. A teraz do dzieła.

Gdy bal wyprawiony przez Tuppy na cześć Antony'ego i Rose dobiegł końca, Flora stwierdziła, że pamięta z niego tylko pojedyncze, nie powiązane ze sobą epizody; ulotne wrażenia bez ładu i składu.

Najpierw były prowadzące do holu schody, a na nich ona i Hugh, niczym nurkowie powracający z morskiej głębin w świat dźwięków, słońca i rozpromienionych na jej widok twarzy. Wszyscy chcieli ją poznać, przedstawić się, ucałować, pogratulować, a przynajmniej ucisnąć dłoń. Słyszała dziesiątki nazwisk, ale żadnego z nich nie była w stanie skojarzyć z żadną z dziesiątek twarzy.

Zapamiętała grupki dorodnych młodzieńców i grupki leciwych panów, wszystkich w szkockich spódniczkach.

Zapamiętała, jak wprowadzono ją uroczyście do salonu, gdzie czekała sama pani Clanwilliam. Jej uwieńczona diademem z rodowych brylantów koafiura przypominała skrzyżowanie peruki sędziego z ptasim gniazdem, a spoczywająca przy fotelu laska i dzierzona w krzepkiej dłoni szklanica czystej whisky grały rolę insygniów. Pani Clanwilliam nie była w najlepszym nastroju, a samo przybycie na party wzbudzało w niej mieszane uczucia. Wyjaśniła Florze, że na bale przychodzi się po to, żeby tańczyć do białego rana, a nie grzać nogi przy kominku. Po czym — zwyczajem głuchych — ryknęła Florze w ucho, że nie może tańczyć, bo ma coś z biodrem, a wszystko to skutkiem upadku z drabiny podczas malowania sufitu łazienki. Dodała mimochodem, że w osiemdziesiąte siódme urodziny będzie już w formie.

Flora zapamiętała też Crowthersów, wykonujących przy ogólnej owacji popisową partię *Eightsome Red*. Wielebny Crowthers wydobywał z siebie okrzyki godne licytatora, a jego małżonka płaśała w ich takt, powiewając jedwabną spódnicą w szkocką kratę i przy okazji prezentując publiczności wkładane tylko na tańce, sięgające wysoko nad kostkę góralskie trzewiki.

Zapamiętała szampana. Zapamiętała bardzo starego człowieka o twarzy w kolorze suszonych jagód, powtarzającego komuś, że Tuppy była wspaniałą dziewczyną i że popełnił błąd swego życia, nie prosząc jej o rękę. ^

Zapamiętała *Strip the Willow* odtańczone wspólnie z Jasonem, który kręcił nią i przeprowadził z przejściem przez długi szpaler konkurentów. Salon wirował, jakby dostał kręćka. Upadłaby, gdyby nie coraz to inne ramiona. Srebrne spinki przy mankietach sukni wpijały się jej w przeguby. Przechodziła z rąk do rąk i za każdym razem powracała do Jasona.

Zapamiętała Annę Stoddart, tym razem w wyjątkowo dobranej do jej urody sukni, siedzącą na kanapie przy Isobel i wyglądającą tak uroczo, że Flora nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Zapamiętała moment, kiedy odchodząc od bufetu stanęła twarzą w twarz z Brianem Stoddartem. Instynktownie poszukała wzrokiem śladów sińca.

— Co ma znaczyć to spojrzenie? — spytał z przekąsem.

— Anna wspomniała mi, że podobno wpadłeś na drzwi.

— Doktor Kyle powinien nauczyć się wreszcie trzymać nos z dala od cudzych spraw, a łapy w kieszeni.

— A więc to nie były drzwi?

— Skończ z tą naiwną minką, Rose, skoro oboje wiemy to samo. Pewnie Hugh będzie się tym chełpił do końca życia. Pieprzony wtrącałski. — Spojrzał wilkiem w stronę Kyle'a. — Poprosiłbym cię do tańca, ale te wygibasy nie są w moim stylu, a kapela pewnie nie ma nic lepszego w repertuarze.

— Rozumiem cię — Flora pokiwała współczująco głową. — Straszna nuda. „Te same twarze, te same stroje, te same dowcipy...”

Zerknął na nią podejrzliwie.

— Wyczuwam w twoim głosie nutę... sarkazmu?

— Nutę? Powiedzmy, że półnutkę.

— Kiedyś było cię stać na lepsze teksty. Wychodzisz z wprawy.

— To też ma swoje uroki.

— Mówisz jak dziewczyna, której wyprano mózg.

— Zmieniłam się, Brian. Rozmawiasz z zupełnie inną dziewczyną.

— Wyczuwam to i ubolewam. — Wytrzepał z cygarniczki niedopałek papierosa. — Przykro mi to mówić, ale obawiam się, że się ustatkowałaś.

— Może byś też spróbował? Posłał jej zimne jak lód spojrzenie.

— Daruj sobie te kazania, Rose.

— Czy nigdy nie myślisz o Annie?

— Stale i niezmiennie.

— A więc czemu nie przyniesiesz jej kieliszka szampana, nie usiądziesz przy niej i nie powiesz, że wygląda bosko?

— Bo to byłoby nieprawdą.

— Nie będzie, jeśli się postarasz. A poza tym — dodała słodkim tonem — szampana dają tu za darmo.

Antony był stale w pobliżu i nawet zatańczyła z nim, ale nie mieli okazji porozmawiać. Flora wiedziała, że musi się z nim rozmówić jeszcze przed północą. Dopadła go przy bufecie, nakładającego na talerz wędzonego łososia i sałatkę z ziemniaków.

— Kogo zamierzasz tym uszczęśliwić? — spytała.

— Annę Stoddart. Nie może zostać do końca party, a Isobel upiera się, że musi coś przekąsić.

— Kiedy wreszcie pogadamy?

— Też bym chciał, ale nie było jak.

— Więc może teraz?

Rozejrzał się. Wyglądało na to, że chwilowo nikt nie oczekuje ani nie domaga się jego towarzystwa.

— W porządku — skinął głową.

— Gdzie się spotkamy? — spytała.

— Wiesz, gdzie jest stara spiżarnia? Tam, gdzie Watty i Isobel zawsze pole-  
rują sztucce.

— Wiem.

— A więc weź butelkę szampana, dwa kieliszki i udaj, że idziesz do kuchni w jakiejś pilnej sprawie. Czekam tam na ciebie.

— Nie zauważą naszej nieobecności?

— Przynajmniej nie przez dziesięć minut. A jeśli nawet zauważą, to wyba-  
czą nam, jak to narzeczonym. Idę.

Zostawił ją i ruszył z pełnym talerzem w kierunku Anny. Flora wzięła dwa kieliszki i odkorkowała butelkę. Ruszyła swobodnie w stronę kuchni. Spiżarnia mieściła się w bocznym korytarzyku, dzięki czemu łatwo było umknąć wścib-  
skim oczom.

Ciasna klitka miała tylko jedno okno, a każdą ze ścian pokrywały prze-  
pastne kredensy. Miejsca było w sam raz na przykryty ceratą stolik. Całe po-  
mieszczenie pachniało wyszorowanym drewnem i proszkami, za których po-  
mocą Isobel doprowadzała do połysku posagowe srebra Tuppy.

Flora usiadła przy stoliku i oczekiwała na Antony'ego. Po chwili wśliznął  
się jak przystało na konspiratora. Oparł się plecami o drzwi, niczym osaczony  
bohater kiepskiego horroru. Puścił do Flory oko.

— Wreszcie sami — wydusił z siebie. Powiedli po sobie wzrokiem i mina  
Antony'ego zmarkotniała. — Chyba nigdy nie przytrafiło mi się coś tak kosz-  
marnego, jak ten wieczór. Żeby już wreszcie się skończył.

— Przynajmniej masz nauczkę. Nie zadawaj się z dziewczynami w rodzaju  
Rose.

— Ty też nie udawaj świętoszka. Oboje siedzimy w tym po uszy.

— Antony, chcę wiedzieć, co powiedziała ci Tuppy.

Resztki uśmiechu zniknęły mu z twarzy. Podeszedł do stolika, sięgnął po bu-  
telkę i napełnił przyniesione przez Florę kieliszki. Uniósł jeden z nich i podał  
Florze.

— Tuppy była bardzo zła.

— Naprawdę bardzo?

— Tak, naprawdę bardzo. Tuppy potrafi być niezłą diabolicą. — Przysiadł na  
taborecie. — W życiu nie dostałem takiej reprimendy. Pewnie sama się domy-

ślasz. Było o tym, że nigdy jej nie okłamałem, a teraz mam ją za starą sklerotyczkę, więc to i tamto, i owo...

— Dalej jest zła?

— Chyba żartujesz. Zwykła sprzeczka przeczka w rodzinie. Najpierw klapsy, a potem pocałunki. Ale zmyła mi głowę tak, że do końca życia popamiętam.

— A czy na mnie bardzo się gniewa?

— Wręcz przeciwnie, bardzo ci współczuje. Powiedziałem jej, zgodnie z prawdą, że to wszystko z mojej winy i że wmanipulowałem cię w sytuację, nad którą nie miałaś kontroli. A tak w ogóle, to skąd wiesz, że rozmawiałem z Tuppy?

— Hugh mi powiedział.

— Domyślał się od pewnego czasu, że nie jesteś Rose.

— Wszystko przez tę bliznę na ramieniu.

— Zupełnie jak w baśniach z tysiąca i jednej nocy. Żebrak ze znamieniem w kształcie gwiazdy na lewym półdupku okazuje się królewiczem. Skąd miałem wiedzieć, że ta dziwka Rose ma bliznę na ramieniu? — Zwilżył usta szampanem i przez chwilę wpatrywał się w kieliszek tępym wzrokiem. — Hugh przyjechał przed wszystkimi gośćmi. Nie wiedziałem, co go tak wcześniej przygnało, zanim nie spiorunował mnie wzrokiem i nie oznajmił, że ma do mnie kilka słów na osobności. Czuję się jak sztubak wezwany do gabinetu dyrektora. Usiedliśmy tutaj, bo nie bardzo było się gdzie udać, no i opowiedziałem mu wszystko od początku. O tobie i o Rose, o rozstaniu waszych rodziców, o wyjeździe Rose do Grecji i o tym, jak poznaliśmy się w jej londyńskim mieszkaniu. Powiedział, że muszę to wszystko wyznać Tuppy. I to natychmiast. Nie czekając do jutra. Powiedział, że jeśli nie zrobię tego zaraz, on sam mnie w tym wyręczy.

— Gdybyś tego nie zrobił, nie przetrwałabym dzisiejszego wieczoru.

— Co masz na myśli? — spytał podejrzliwie Antony.

— Sama nie wiem. Może dla ciebie to proste okłamywać kogoś przez dłuższy czas. Nawet kogoś, kto ci wierzy. Kogoś, kogo kochasz. Ale ja miałam dość po tych siedmiu dniach. Może dlatego, że kiepska jestem w takich sytuacjach.

— Nie powinienem był cię tu ściągać.

— Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

— Skoro się zgadzamy, może jeszcze łyk szampana? Ale Flora podniosła się z taboretu.



— Wystarczy mi to, co wypiałam.

RS

Wygładziła dłońmi suknię, a Antony odstawił swój kieliszek i wyciągnął ku niej ramiona.

— Przyznam, Floro Waring, że wygląda pani dziś wieczór wyjątkowo czarująco!

— To stara tenisowa sukienka Tuppy.

— Nie mam na myśli sukienki, choć i ta jest niebrzydka. Mówię o tobie. Rozbawionej, promiennej, wystrzałowej.

— Szampan robi swoje.

— Chyba nie tylko szampan. Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że jesteś zakochana. Zakochana lub kochana.

— Całkiem przyjemna wizja.

— Szkoda, że wciąż nie wiem, czemu tym kimś nie jestem ja.

— To ustaliliśmy już dawno. Chemia czy coś w tym rodzaju.

Objął ją i ucałował z namaszczeniem. — Chyba powinienem trochę podciągnąć się z chemii. Może korepetycje?

— Niezły pomysł.

Wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

— Pewnie już ci to mówiłem — pokręcił głową Antony — ale naprawdę wspaniała z ciebie dziewczyna.

*Zakochana lub kochana.*

Antony nie był głupcem. Przez cały wieczór Hugh towarzyszył w pewien sposób Florze. Nie tylko dlatego, że wzrostem i postawą górował nad wszystkimi zaproszonymi przez Tuppy gośćmi. Niestety, od kiedy opuścił ją po zejściu ze schodów, nie wymienili między sobą ani słowa, ani spojrzenia, choć pewnie był w szpalerze mężczyzn, których krzepkie ramiona obracały Florę podczas jej tańca z Jasonem.

Przypominało to nie pisany pakt. Pewnie i on uznał, że to, co ich łączy, jest tak cenne i kruche, że jedno słowo, jeden zaborczy gest może doprowadzić do zerwania. Ale nawet to milczące porozumienie wystarczyło, by serce Flory wypełniła nadzieja. Trochę zaskoczyły ją te refleksje godne piętnastolatki. Miała w końcu dwadzieścia dwa lata, a jej dorosłe życie nauczyło ją nieco o przyjaźniach, romansach i przelotnych namiętnościach. Przypomniał się jej Londyn; wilgotny asfalt odbijający blask neonów i ona sama, wychodząca z restauracji i ściskająca ukradkiem dłoń partnera ukrytą w bocznej kieszeni jego deszczowca. A potem to lato w Grecji. Porośnięte zawilcami urwisko, a na nim znów ona i jej towarzysz, opalony na brąz, ze strzechą wypłowiałych od południowego słońca włosów. Przez ostatnie kilka lat rozmieniała się na drobne,

łamiąc niejedno serce, mimo że czasem trzeba było za to płacić swoim własnym.

Ale tamte rzeczy nie miały nic wspólnego z miłością ani z jej poszukiwaniem. Flora, wychowana przez samotnego ojca, nie bardzo umiała szukać miłości, bo nie wiedziała, czym i gdzie ma się kierować. Teraz, po tych absurdalnych siedmiu dniach, już wiedziała. Spadło to na nią niczym nagły błysk światła, oślepiający i uniemożliwiający wszelkie logiczne działania.

Wszystko było inaczej. Hugh był dojrzałym mężczyzną. Do tego wdowcem. Zapracowanym lekarzem, pogrążonym w problemach specyficznej, prowincjonalnej społeczności. Nigdy nie będzie bogaty, a jego przyszłość wygląda niezbyt obiecująco. Ale wszystko mówiło Florze, że to właśnie on może zapewnić jej to, za czym tęskni najbardziej: miłość, bezpieczeństwo, spokój, radość. Wszystko to odnalazła w jego ramionach. Teraz marzyła, by wracać tam, gdy tylko poczuje potrzebę. Pragnęła, żeby stał przy niej. Pragnęła bywać z nim tu. Właśnie tu, w tym strasznym domu. I już nigdy nie opuszczać Tarbole.

Tak, to było coś zupełnie nowego.

Jro północy kapela, doszczętnie wyczerpana podwójnym bisowaniem *Hrabiego Perth*, odłożyła instrumenty, otarła czoła krwawymi chusteczkami i udała się gęsiego do kuchni, gdzie pani Watty czekała na artystów z suto zakrapianą kolacją. Jason i Antony wyciągnęli natychmiast z dumą stary gramofon i płyty przywiezione z Edynburga.

Większość gości, wykończonych tańcami nie mniej niż muzykanci, ruszyła do jadalni, by pokrzepić się i zwilżyć wyschnięte gardła. Flora siedziała właśnie na schodach w asyście młodzieńca, który przyjechał do Fernrigg aż z Ardnamuchan, gdzie na co dzień handluje łososiami.

— Wybacz, że cię zaniedbuję — powiedział. — Musisz być bardzo głodna. Może przyniosę ci coś tutaj?

— To miło z twojej strony, ale posiłam się już z Hugh Kyle'em.

— A nie wiesz przypadkiem, gdzie on się podziewa? — spytał młodzieniec.

— Nie mam pojęcia, ale pewnie zaraz się pojawi.

— Pójdę go poszukać. — Młody człowiek wstał i strzepnął pył ze szkockiej spódniczki. — Pewnie zaszył się gdzieś w kącie z jakimś drugim wędkarzem i przechwalają się, ile wlezie.

— Nie przejmuj się mną. Idź i także złów sobie coś na kolację.

— Masz rację. Trzeba pośpieszyć się, dopóki pozostało choć trochę zimnego indyka.

Oddalił się. Usłyszała gramofon. Po skocznych, wygrywanych na skrzypcach i akordeonie jigach, muzyka z płyt wydała się Florze obca, sztuczna, przypominająca odległą przeszłość.

*Zatańczymy stare tango, W ramionach chcę cię nieść...*

Antony niósł właśnie w ramionach jakieś dziewczę w błękitnej sukni, zaś Brian Stoddart namierzył bezbłędnie najszykowniejszą z dam, spowitą w czarny szyfon i pobrzękującą złotymi kolczykami.

*Chcę poczuć twój policzek I twego serca bicie...*

Flora wiedziała, że Hugh zjawi się, bo jej obiecał. Mimo to poczuła się głupio, siedząc samotnie na schodach, niczym dziewczyna wyczekująca pod ścianą na pierwszym balu. Młodzieniec z Ardnamurchan nie powrócił i wyglądało na to, że przyłączył się do wędkarskiej dysputy. Nie mogąc opanować niecierpliwości, Flora wstała i sama ruszyła na poszukiwania. Przechodziła z pokoju do pokoju, początkowo powoli, później szybciej, a wreszcie indagując każdego, kto się nawinał.

— Czy nie widział pan Kyle'a? Czy nie wie pan, gdzie może być Hugh?

Niestety, nikt go nie widział. Przepadł bez śladu. Upłynęło wiele czasu, zanim poinformowano ją, że wezwano go telefonicznie do wczesnego porodu i że właśnie wyjechał.

Sztorm zerwał się późnym wieczorem. Nad ranem dmuchało już na całego. Dla gości Tuppy, wdziwiających pośpiesznie palta i deszczowce, było to istnym szokiem. Przyjechali w bezchmurną pogodę, a tu coś takiego. Otwieranie i zamykanie wejściowych drzwi łączyło się ze sporym ryzykiem. Ognie w kominach buchały żarem, a firanki wydymały się za każdym razem złowieszczo. Ogród ociekał deszczem, podjazd zamienił się w jezioro, a wicher miotał w twarze liśćmi i gałązkami drzew.

W końcu ostatnia para opatulonych w palta i szaliki gości pokonała szczęśliwie śliskie stopnie. Antony zamknął drzwi, po czym uroczyście przekręcił klucz i zasunął rygle. Wyczerpani domownicy mogli wreszcie udać się na spoczynek.

Ale dochodzące z zewnątrz dźwięki nie pozwalały zasnąć. Ściana domu od strony morza przyjęła pierwsze uderzenie wichury. Od jej porywów drżały stare mury, a świst wiatru przypominał okrzyki człowieka w agonii. A już najgorszy był łoskot fal nadciągających z głębi oceanu, łamiących się wściekle w grzywacze na piaskach Fhada.

Flora skuliła się pod kołdrą i z otwartymi, wreszcie suchymi oczyma, nasłuchiwała. Bał zakończyła kubkiem czarnej kawy i teraz bicie jej serca przypominało odmierzanie nocnego czasu jak wahadłem zegara. Głowę miała pełną skocznej muzyki, migających przelotnie twarzy, głosów. Chyba nigdy nie doświadczyła podobnej bezsennej nocy.

Dopiero gdy pierwszy brzask nasączył pochmurne niebo, zapadła w niespokojny sen, nawiedzany przez jakieś obce twarze. Gdy zbudziła się, był już dzień: mroczny i pochmurny, ale zawsze lepszy od nie kończącej się nocy. Otworzyła oczy, dziękując za choćby i tę odrobinę światła. Pierwsze, co spostrzegła, to stojącego przy jej łóżku Antony'ego.

Był wyczerpany, nie ogolony, oczy miał zaczerwienione, a jego rudawa czupryna najwyraźniej nie zaznała jeszcze grzebienia. Miał na sobie sweter z owczej wełny, wyświechtane sztruksowe spodnie, a w dłoniach trzymał dwa parujące kubki.

— Dzień dobry — powiedział.

Flora z trudem wyrwała się ze snu. Machinalnie sięgnęła po zegarek, ale Antony ją uprzedził.

— Jest wpół do jedenastej. Przyniosłem kawę. Pomyślałem, że chętnie się napijesz.

— To miłe z twojej strony. — Przeciągnęła się i próbując spędzić sen z oczu, oparła się o poduszki. Podał jej kubek, ujęła go w obie dłonie, ziewnęła i trwała w bezruchu.

Antony znalazł szlafrok i okrył nim ramiona Flory. Włączył grzejnik i przysiadł koło łóżka.

— Jak się czujesz?

— Koszmarnie.

— Kawa dobrze ci zrobi.

Poszła za jego radą i nie pożałowała.

— Czy wszyscy już wstali? — spytała po chwili.

— Powoli dochodzą do siebie. Jason jeszcze śpi. Podejrzewam, że zobaczymy go dopiero podczas lunchu. Isobel jest już od godziny na nogach, a państwo Watty chyba w ogóle się nie kładli. Przynajmniej od ósmej buszują po domu i nawet nie uwierzyłabyś, że było tu wczoraj jakieś party.

— Powinłam wstać i trochę im pomóc.

— Nie budziłbym cię, gdyby nie poranna poczta. — Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej kopertę. — Pomyślałem, że cię zainteresuje.

Wzięła list. Rozpoznała pismo ojca i kornwalijski stempel. Adresatką była panna Rose Schuster.

Flora odstawiła kubek. — To od mojego ojca — wyjaśniła.

— Tak się domyślałem. Pisałaś do niego?

— W ostatnią niedzielę. Zaraz po twoim wyjeździe do Edynburga. — Spojrzała pokornie na Antony'ego i poczuła wyrzuty sumienia. — Musiałam się komuś zwierzyć, a obiecałam ci, że nie puszcę pary z ust nikomu w tym domu. Ale mój stary to chyba co innego? No więc usiadłam i napisałam.

— Nie wiedziałem, że aż tak ci to jest potrzebne. Opisałaś mu wszystko?

— Wszystko.

— Pewnie musiało to zrobić na nim wrażenie.

— Nie sądzę — odpowiedziała Flora, kręcąc markotnie głową. Zabrała się za otwieranie koperty.

— Chyba powinienem odejść i pozwolić ci przeczytać to w spokoju?

— Nie musisz. Nawet wolę, żebyś został. — Ostrożnie rozłożyła list. *Najdroższa Floro!* — zacytowała nagłówek. — Skoro nazywa mnie wciąż najdroższą Florą, nie jest chyba tak źle.

— Myślałaś, że będzie źle?

— Nie wiem. W ogóle o tym nie myślałam.

Podniesiona na duchu obecnością Antony'ego, zagłębiła się w lekturze.

*Seal Cottage*

*Lanyon*

*Land's End*

*Kornwalia*

*Najdroższa Floro!*

*Przed chwilą zaadresowałem tę kopertę tak, jak mnie prosiłaś. Leży teraz tuż koło mnie, niczym żywy dowódna to, że kłamstwa, choćby popelnionego w najlepszych intencjach, nigdy nie da się ograniczyć ani kontrolować, bo prędzej czy później rozprzestrzeni się jak choroba dziesiątkująca coraz to nowych ludzi.*

*To dobrze, że napisałaś tak długi list. Pewnie zajęło ci to sporo czasu, a że oczekujesz z niepokojem odpowiedzi, spróbuję ustosunkować się w miarę zwięźle do nekających Cię problemów.*

*Zacznijmy od Rose. Życie płata figle, których nie wyśnilibyśmy sobie nawet w najkoszmarniejszych snach, ale skoro tak się już stało, jestem Ci winien wyjaśnienia.*

*Twoja matka i ja postanowiliśmy się rozstać w niespełna rok po ślubie. Właściwie mogliśmy to zrobić natychmiast, ale sprawę komplikował ważki fakt: była w ósmym miesiącu ciąży. Tak więc po rozważeniu wszystkich za i przeciw, zdecydowaliśmy się poczekać do rozwiązania. Przez ten ostatni miesiąc ustaliliśmy, że dziecko przypadnie jej i że to ona zajmie się jego wychowaniem. Zamierzała zamieszkać znów z rodzicami i przyjęła to chyba z radością.*

*Ale zamiast jednego dziecka przyszły na świat bliźniaczki. Na wieść o tym Pamela wpadła w histerię, uznała, że dwoje dzieci to ponad jej siły i zanim mnie do niej dopuszczono, zdecydowała, że weźmie jedno, a mnie przypadnie drugie.*

*Przyznam, że i mnie trochę przeraziła ta perspektywa. Ale Pamela, pozbywszy się problemu, szybko doszła do siebie i łzy jej obeschły, gdy pojawiły się przywiezione w łóżeczkach na kółkach dwa noworodki.*

*Tak właśnie wyglądało nasze pierwsze spotkanie. Rose spała jak aniołek, włoski miała ciemne i aksamitne, a piąstkę wielkości muszelki opierała o podbródek. Za to Ty darłaś się wniebogłosy i cała byłaś pokryta jakimś plamami. Twoja matka nie była głupia. Wskazała na Rose, pielęgniarka podała jej małeństwo i wybór został dokonany.*

*Ale ja też dokonałem wyboru. Nie mogłem znieść Twojego płaczu. Serce mi pękało. Uniosłem cię z wózka, przytulilem i zaraz przestałaś płakać. Otworzyłaś oczy i przyjrzeliśmy się sobie. Nigdy wcześniej nie trzymałem na ręku tak drobnej kruszyny i nie miałem pojęcia, jakie to uczucie. Okazało się, że tworzą je duma i opiekuńczość. Byłaś moim dzieckiem. Moim własnym dzieckiem, którego nikt nigdy mi nie odbierze.*

*I tak to się zaczęło. Czy powinienem był Ci o tym powiedzieć? Nie miałem pewności. Może powinienem. Ale byłaś tak wesola i pogodna, że chyba nie miało sensu wprowadzać zbędnych dylematów i wątpliwości w Twój krótki jeszcze żywot. Pamela odeszła, zabierając ze sobą Rose. Otrzymaliśmy rozwód i już nigdy nie widziałem żadnej z nich.*

*Dziedziczność i środowisko to bardzo złożone czynniki. Z tego, co piszesz, wynika, że Rose wyrosła na dokładną replikę swojej matki. Ale mimo to nie chce mi się wierzyć, że Ty, wychowana w innych warunkach, byłabyś równie samolubna, bezmyślna lub nieuczciwa.*

*I właśnie dlatego Twoja obecna sytuacja nappełniła mnie troską. Chodzi mi nie tyle o Ciebie i tego młodzieńca, co o Armstrongów. Z Twojego listu wnoszę,*

*że zasłużyli na coś lepszego niż pospolite oszustwo. Radzę Wam obojgu wyznać*

RS



*prawdę. I to jak najszybciej. Konsekwencje mogą być przykre, ale to w końcu tylko i wyłącznie Wasza wina.*

*A gdy już będzie po wszystkim, chcę, żebyś wróciła do domu. To nie prośba — jak powtarzałem nieraz, gdy byłaś mała — ale polecenie. Jest wiele rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać. Potrzebne Ci jest zagojenie ran i rekonwalescencja po tym z pewnością bolesnym epizodzie.*

*Ucałowania od Marcii. Jesteś zawsze moim dzieckiem, o czym przypomina Ci zawsze kochający*

*Ojciec*

Doczytała do końca list i czuła, że zaraz się rozplącze. Antony czekał cierpliwie. Flora spojrzała na jego współczujące oblicze.

— Muszę wracać do domu — powiedziała.

— Do Komwalii?

— Tak.

— Kiedy?

— Zaraz.

Podążyła mu list, żeby go przeczytał. Gdy trwał zagłębiany w lekturze, dopiła kawę, wstała, włożyła szlafrok i szczelnie się nim owinęła. Podeszła do okna i zobaczyła niskie, skłębione chmury. Przyptyw skończył się i chłodne, szare morze docierało teraz do samego ogrodu. Kilka zmokniętych mew zmagало się mężnie z wiatrem. Trawnik pod oknem pokrywały zwiędłe liście i kawałki zerwanej przez nocną wichurę dachówki.

— To miły list — powiedział Antony.

— Bo pisał go miły człowiek.

— Sądzę, że powinienem pojechać z tobą. Choćby po to, żeby przyjąć na siebie pierwsze uderzenie.

Flora poczuła wzruszenie. Odeszła od okna, by dodać Antony'emu otuchy.

— To niepotrzebne. Zresztą masz dość własnych problemów. Teraz, tutaj.

— Naprawdę chcesz jechać już dziś?

— Tak. Może uda mi się zdążyć na pociąg z Tarbole.

— Ten do Londynu odjeżdża o pierwszej.

— Podwieziesz mnie do Tarbole?

— Zawiozę cię nawet na koniec świata, jeśli tylko zechcesz.

— Wystarczy Tarbole. A teraz muszę się ubrać i wpaść do Tuppy.

— No to na razie. — Odłożył list, wziął puste kubki i ruszył w stronę drzwi.

— Antony! — zatrzymała go.

Przystanął i odwrócił się. Zdjęła z palca zaręczynowy pierścionek. Wydawał się jakby mniejszy i stawiał opór, ale w końcu udało się go zsunąć. Podała go Antony'emu i uniosła głowę, by ucałować go w policzek.

— Tylko pilnuj go. Pewnego dnia może jeszcze ci się przydać.

— Nie jestem pewny. Coś mi mówi, że ten pierścionek przynosi pecha.

— Przesądny Szkot — spróbowała pocieszyć go żartem. — Przecież mówią, że jesteście skąpi. Pomyśl tylko, ile za niego dałeś.

Antony zdobył się na uśmiech i włożył pierścionek do kieszeni.

— Będę czekał na dole — powiedział.

Ubrała się i uprzątnęła pokój, jakby pozostawienie go w nienagannym stanie było jedynym, co miała do zrobienia. Wzięła list i wyszła na korytarz, który prowadził do oczekującej na nią z pewnością Tuppy. Zapukała do drzwi.

— Proszę — zawołała Tuppy i Flora weszła do środka.

Tuppy czytała właśnie poranną gazetę, ale odłożyła ją i zdjęła okulary. Posłały sobie spojrzenia tak wymowne, że Flora pomyślała, że pięknie jej serce i pewnie pokazała to po sobie, bo Tuppy uśmiechnęła się i powitała ją.

— Ach, to ty, Floro!

Flora, nie będąc wreszcie Rose, przymknęła drzwi i poszybowała niczym gołąb pocztowy prosto w ramiona Tuppy.

— Sama nie wiem, co mam powiedzieć — wyjąkała. — Naprawdę tak strasznie mi przykro. Nie wiem, jak prosić cię o wybaczenie.

— Tylko żadnych przeprosin. Ty i Antony zachowaliście się jak paskudne dzieciaki, ale przemyślałam to sobie przez noc i doszłam do wniosku, że zrobiście to w najlepszych intencjach. Tylko że najlepszymi intencjami wybrukowane jest ponoć piekło, więc musiałam wczoraj zmyć porządnie Antony'emu głowę, a i tak ma szczęście, że nie miałam pod ręką pasa.

— Wszystko mi opowiedział.

— Pewnie myślał, że wybieram się na tamten świat i że zniosę wszystko, łącznie z kłamstwem. A co do Rose, to chwala Bogu, że się z nią nie ożeni. Pomyśleć, że dziewczucha dała drapakę z innym facetem i nawet nie stać jej było, żeby wyznać to osobiście Antony'emu. Brak serca, a do tego głupota.

— To jeden z powodów, dla których przyjechałam do Fernrigg. Chciałam mu pomóc.

— Wiem. Rozumiem. Uważam, że bardzo ładnie postąpiłaś. Ale jak wytrzymałaś przez tydzień, udając Rose? To nie mieści mi się w głowie. Do tego podczas choroby. Nieźle musiałaś się nacierpieć.

— Ale wybaczysz mi?

— Kochanie — powiedziała Tuppy, całując ją czule — a cóż mi innego pozostaje? Flora czy Rose, najważniejsze, że jesteś sobą. Wniosłaś w ten dom tyle radości, tyle szczęścia. Żałuję tylko, że ty i Antony nie macie się ku sobie i że raczej będą nici z waszego wesela. Przyznam, że rozczarowało mnie to bardziej niż wszystkie wasze kłamstwa. No, ale serce nie sługa. I Bogu dzięki. Gdyby było inaczej, strasznie nudnie byśmy żyli. A więc zapomnijmy o tym raz i na zawsze. A teraz opowiadaj, jak było wczoraj. Tylko szczegółowo...

— Tuppy...

— Słucham? — W jej błękitnych oczach pojawiła się czujność.

— Dziś rano dostałam list od mojego ojca. Antony może wspominał ci, że mieszka w Kornwalii i jest dyrektorem szkoły. Napisałam do niego w ubiegłą niedzielę, bo czułam, że muszę komuś opowiedzieć o tym wszystkim, a przecież nie mogłam zwierzyć się nikomu z was.

— I co pisze?

— Może lepiej będzie, jeśli sama to przeczytasz.

Tuppy w milczeniu włożyła szkła i wzięła od Flory list. Przeczytała go uważnie, od pierwszej do ostatniej linijki.

— Niebywała historia — mruknęła po zakończeniu. — Ale, cokolwiek by powiedzieć, zacny musi być z niego człowiek.

— Też tak sądzę.

— Wybierasz się do domu?

— Tak, muszę. I to już dziś. Mam pociąg o pierwszej. Antony obiecał, że podwiezie mnie do Tarbole.

Twarz Tuppy nagle pomarszczyła się i poszarzała, jej usta zwężyły się, a oczy straciły żywą barwę.

— To bardzo smutne, że nas opuścisz.

— Mnie też jest przykro.

— Ale wrócisz? Obiecuj mi, że wrócisz. Kiedy tylko zechcesz. Fernrigg zawsze będzie czekało na ciebie. Tylko uprzedź nas choć słowem.

— Naprawdę nie macie mnie dość?

— Nie mamy, bo kochamy cię. Prosta sprawa. — Po czym Tuppy przeszła znów na swój praktyczny ton. — Dobrze pisze twój ojciec, też uważam, że powinnaś trochę z nim pomieszkać.

— Wiem, ale zawsze nienawidziłam pożegnań. A poza tym co pomyślą sobie o mnie Jason, Isobel, państwo Watty i McLeod. Wszyscy byli dla mnie tacy mili. Sama nie wiem, jak im teraz powiem, że...

— A niby czemu masz im coś mówić? Powiesz, że dostałaś list i że musisz wyjechać. Niech Antony wyjaśni im wszystko, gdy wróci z Tarbole. W końcu to on nawarzył piwa, więc tyle przynajmniej może zrobić.

— A ci wszyscy wczorajsi goście?

— Rozpuścimy wieści, że narzeczeństwo zostało zerwane. Poplotkują, znudzi im się, zapomną. Zwykła sprawa.

— Ale prędzej czy później dowiedzą się, że nie byłam Rose. I co wtedy?

— No to poplotkują dłużej i też zapomną. Czy to w końcu takie ważne? Nikt nie zginął, niczyje serce nie pękło.

— Dla ciebie to naprawdę takie proste?

— Prawda zawsze jest prosta. A wszystko to sprawił Hugh. Gdyby nie on, Bóg raczy wiedzieć, jak długo trwałaby cała ta idiotyczna farsa. Wiele mu zawdzięczamy. Zawsze byliśmy i będziemy jego dłużnikami. Bardzo przypadłaś mu do gustu, Floro. Ciekawa jestem, czy wiesz o tym. Pewnie nie, bo Hugh zawsze ukrywa swoje uczucia, ale...

Flora nie dosłyszała końca zdania. Siedziała sztywno, wpatrując się w zaciśnięte kurczowo dłonie. Tak kurczowo, że aż pobielwały jej palce, za to rzęsy stały się jeszcze bardziej czarne przez kontrast z nagłą bladością twarzy.

Tuppy dostrzegła to od razu, jak przystało na osobę obcującą od wieków z młodymi ludźmi. Za tym wszystkim musiało kryć się coś więcej niż naturalny opór przed rozstaniem. Zaniepokojona położyła dłoń na dłoni Flory i stwierdziła, że tamta jest zimna jak lód.

Flora spuściła wzrok.

— Wszystko w porządku — powiedziała tonem mającym wyrażać pociechę, a równocześnie bezgraniczny ból.

— Powiedz, kochanie, co się stało? Czy ktoś złamał ci serce? Antony?

— Chyba żartujesz...

Tuppy wyczerpała umysł, szukając tropu. Kto był przed chwilą tematem rozmowy? Czy nie przypadkiem Hugh? Tak... to by pasowało. Wprawdzie Flora nie wymieniła imienia, ale Tuppy już wiedziała, o kogo chodzi.

— Czy to Hugh? — spytała.

— Och, Tuppy, czy naprawdę musimy o tym rozmawiać?

— Oczywiście, że musimy. Nie, wypuszczę cię stąd w takim stanie. A więc... zakochałaś się w nim?

Flora uniosła zmęczone oczy, jakby i ona miała pod nimi siniaki.

— Na to wygląda — powiedziała niepewnym tonem.

Tuppy zamurowało. Nie dlatego, że Flora zakochała się w Kyle'u, co było w pełni uzasadnione. Po prostu dlatego, że wszystko to dokonało się za jej plecami.

— Nie chce mi się wierzyć... kiedy to się stało?

— Mnie też nie chce się wierzyć — odparła Flora matowym głosem. — Nie wiem kiedy, gdzie i jak. Wiem tylko, że to wszystko nie ma sensu.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że Hugh jest taki, jaki jest. Raz dostał po głowie i nie ma ochoty znów ryzykować. Ułożył sobie życie, zbudował własny świat i nie potrzeba mu drugiej żony. Przynajmniej nigdy się do tego nie przyzna. A jeśli nawet, zaraz powie, że nie miałby jej nic do zaoferowania. Mam na myśli sprawy materialne.

— Widzę, że przeanalizowaliście to dość szczegółowo.

— Niezupełnie. Rozmawialiśmy wczoraj wieczór, przed party. Wypiliśmy trochę szampana i może to właśnie rozwiązało nam języki.

— Czy on wie o twoim uczuciu?

— Wybacz, Tuppy, ale pozostało mi jeszcze nieco godności. Brakowałoby tylko, żebym na pożegnanie zawróciła mu w głowie!

— Opowiedział ci o Dianie?

— Mówił mi o niej już wcześniej.

— Z tego wniosek, że musisz być dla niego kimś bardzo bliskim.

— Bywają bliskie osoby, w których niekoniecznie musimy się kochać.

— Hugh to uparciuch i twardziel — ostrzegła Tuppy.

— Nie musisz mi o tym mówić. — Flora zdobyła się na uśmiech pozabawiony radości. — Wczoraj wieczór obiecał, że zaprosi mnie na kolację. Powiedział, że nie zatańczy ze mną podczas party, bo od tego są inni, ale za to zjemy kolację we dwoje. Wiem, że to głupie, ale... zrozum, Tuppy... wtedy było to dla mnie ważne. Może dla niego też. A potem zmył się. Podobno wezwano go telefonicznie do porodu. Wezwano, nie wezwano, w każdym razie tyle go widziałam.

— Taki już ma zawód.

— Wiem, ale przecież mógł mi wtedy powiedzieć. A przynajmniej się pożegnać.

— Może nie mógł cię znaleźć? Może się śpieszył?

— Może... Ale to było bardzo bolesne.

— Zapomnisz o nim, kiedy stąd odjedziesz?

— Nie wiem. Ja już w ogóle nic nie wiem. Podejrzewam, że zupełnie poplątało mi się w głowie.

— Wręcz przeciwnie. Masz tam poukładane jak mało kto. Hugh to skomplikowany człowiek, ukrywający dużej klasy charakter pod niewyparzonym językiem. Trzeba nie lada dociekliwości, by spostrzec, co w nim siedzi.

— A więc co mam robić? — spytała cicho Flora, choć dla Tuppy zabrzmiało to jak krzyk serca.

— To, co sama już postanowiłaś. Wrócić do ojca. Spakować walizkę, pożegnać się, poprosić Antony'ego, żeby zawiózł cię do Tarbole. Prosta sprawa.

— Prosta?

— Życie bywa tak skomplikowane, że czasami nic innego nam nie zostaje. A teraz pocałuj mnie i zmykaj. Zapomnij o tym wszystkim. A gdy znów przyjedziesz do Fernrigg, zaczniemy wszystko od nowa.

— Nie wiem, jak mam ci dziękować — powiedziała Flora, całując Tuppy.  
— Naprawdę brak mi słów.

— Podziękujesz mi, wracając tutaj. To jedyne, czego od ciebie chcę.

Dalszą rozmowę przerwały stłumione, dobiegające z zakamarków pościeli dźwięki. Sukey doszła do wniosku, że pora wstawać. Podrapała koldrę, wyciągnęła się na całą długość łóżka i najwyraźniej miała ochotę wskoczyć Florze na kolana i polizać ją po twarzy.

— Sukey! — powitała ją Flora. — Chyba pierwszy raz jesteś dla mnie miła. — Wzięła w ramiona suczkę i ucałowała ją w czubek łebka. — Skąd ta nagła czułość? — spytała.

— Sukey jest bardzo wrażliwa — wyjaśniła w jej imieniu Tuppy. — Może wyczuła, że nie jesteś Rose. A może po prostu chce się z tobą pożegnać. Czy o to chodzi, Sukey?

Sukey, na dźwięk swojego imienia, natychmiast zapomniała o Florze i skuliła się pod pachą swojej pani.

— Na mnie już czas — powiedziała Flora.

— Tak. Antony pewnie się niecierpliwi.

— Żegnaj, Tuppy.

— Żegnaj? Powiedzmy raczej: *au revoir*.

Flora po raz ostatni podniosła się z łóżka i ruszyła ku drzwiom. Nie zdążyła dotknąć klamki, gdy Tuppy znów ją przywołała.

— Floro!

— Słucham, Tuppy?

— Nigdy nie uważałam dumy za grzech. Dla mnie była to zawsze godna podziwu cnota. Ale gdy dwoje dumnych ludzi nie potrafi się porozumieć, może dojść do tragedii.

— Też tak uważam — odparła Flora z braku lepszej odpowiedzi. Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Szybko uwinęła się z walizką, jeszcze szybciej uwolniła sypialnię od wszelkich śladów swojej obecności. Gdy skończyła, pokój był znów sterylny, bezosobowy, oczekujący na kolejnego gościa Fernrigg. Białą balową suknię powiesiła na drzwiach szafy. Suknia była lekko zmiętoszona, odkształcona figurą Flory, rąbek spódnicy przetarł się podczas tańców, a tu i ówdzie widać było ślady szampana. Flora wyjęła z szafy palto. Przerzuciła je przez ramię, wzięła walizkę w rękę i zeszła na dół.

Wszystko zdążyło już wrócić do normalności. Cichy hol, poustawiane na właściwych miejscach meble, ogień buzujący w kominku. Nie brakowało nawet Plummera wygrzewającego się przy palenisku i oczekującego, aż ktoś wyprowadzi go wreszcie na spacer. Z salonu dochodziły czyjeś głosy. Odłożyła palto i walizkę, weszła do środka i spostrzegła Antony'ego i Isobel, rozprawiających o czymś przy kominku. Na jej widok przerwali rozmowę i spojrzeli w jej kierunku.

— Opowiedziałem wszystko cioci Isobel — wyjaśnił Antony.

— Cieszę się — odparła szczerze Flora.

Isobel sprawiała wrażenie całkowicie zdezorientowanej. Długo nie mogła zrozumieć zawikłanej historii, którą Antony raczył ją przez dobry kwadrans. Była zmęczona, niewyspana, nie miała sił słuchać, a już tym bardziej analizować jego nie kończących się, powikłanych wynurzeń.

Jedno nie ulegało wątpliwości. To Flora — a nie Rose — wyjeżdża z Fernrigg. I to zaraz. Już. Antony ma ją odwieźć do Tarbole na pociąg do Londynu. Wszystko tak nagle, że Isobel aż kręciło się w głowie. Teraz blade, spięte oblicze Flory przywróciło Isobel poczucie rzeczywistości.

— Naprawdę musisz jechać? — spytała, znając odpowiedź, ale liczyła w skrytości ducha, że może jednak jakoś ją przekona. — Nieważne, kim jesteś. Ważne, żebyś została tu, z nami.

— To miłe z twojej strony, Isobel, ale naprawdę muszę.

— Przez ten list od ojca? Antony wszystko mi opowiedział.

— Innym też powiedziałaś? — spytała Flora.

— Powiedziałem im tylko, że wyjeżdżasz. Nie wiedzą, że nie jesteś Rose. Może jednak lepiej z tym poczekać. Przynajmniej odjedziesz z lepszym sercem. — Skwitowała to uśmiechem wdzięczności. — Pani Watty właśnie szykuje ci coś na drogę — dodał Antony. — Nie dowierza wagonom restauracyjnym.

— No to w drogę.

— Zaraz im powiem. Wszyscy chcieliby się z tobą pożegnać. — Wyszedł z salonu.

Flora podeszła do Isobel.

— Obiecujesz, że wrócisz? — usłyszała.

— Tuppy też mnie zaprasza.

— Szkoda, że nie pobierzecie się z Antonym.

— Myślisz, że nie chciałabym wżenić się w tak cudowną rodzinę? Ale tak to już bywa.

— Wiem coś o tym — westchnęła Isobel. — Czasem wydaje się, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik, a potem obraca się w ruinę na naszych oczach.

Zupełnie jak te moje bukiety — pomyślała Flora. Usłyszała zbliżające się z kuchni kroki.

— Żegnaj, Isobel. — Ucałowały się czule, choć widać było, że Isobel nie jest zupełnie sobą.

— Na pewno przyjedziesz? — spytała.

— Jasne, że tak.

Ostatnie pożegnania dobiegły szczęśliwie końca. Markotne miny ustawionych w szpaler domowników wyrażały ból z powodu jej odjazdu, ale i nadzieję na rychły powrót. Chyba nikt nie zauważył braku zaręczynowego pierścionka na palcu Flory, a jeśli nawet zauważył, to nie dał tego po sobie poznać. Flora wycalowała pielęgniarkę, a potem panią Watty, która wsunęła do kieszeni jej palta śliwkowy placek i kilka jabłek. Przyszedł czas na Jasona. Pochyliła się, a on objął ją tak mocno, że zwątpiła, czy zdoła uwolnić się z jego uścisku.

— Może pojechałbym z wami do Tarbole? — zaproponował Jason.

— Wykluczone — odparł Antony.

— Dlaczego?



— Wolalabym, żebyś z nami nie jechał — wyjaśniła pośpiesznie Flora. — Nie znoszę pożegnań na dworcach, pewnie rozbeczę się, a to nie będzie przyjemne ani dla mnie, ani dla ciebie. A tak w ogóle, dzięki za *Strip the Willow*. Chyba nikt mną tak wczoraj nie poobracał.

— Zapamiętasz kroki?

— Zapamiętam do końca życia.

Antony uchylił drzwi i zimny wiatr dmuchnął im w twarze lodowatym deszczem. Wziął jej walizkę, podszedł do samochodu, a ona pobiegła za nim, wtulając głowę w kołnierz palta. Rzucił walizkę na tylne siedzenie i pomógł jej zamknąć drzwi wozu.

Pomimo podłej pogody wszyscy wyszli przed dom, by uroczyście pożegnać Floreę. Plummer ułożył się na schodach, jakby oczekiwał na pamiątkową fotografię. Wiatr wydymał fartuch pielęgniarce, dewastował fryzurę Isobel, a jednak trwali i machali dłońmi, dopóki samochód nie objechał klombu i nie ruszył pełnym gazem przez wyboisty, podziurawiony podjazd. Flora obróciła się i też machała im przez tylną szybę, aż wreszcie wóz wjechał na szosę, a Fernrigg i jego mieszkańcy zniknęli z zasięgu jej wzroku.

Wszystko dobiegło końca. Flora wcisnęła się w fotel i włożyła dłonie w kieszenie palta. Jej palce wymacały „wałówkę” przygotowaną przez panią Watty. Wyczuła kształt placka i stateczną obłość jabłka. Wbiła wzrok w zaparowaną przednią szybę.

Nie było nic do oglądania. Nic, oprócz deszczu. Antony włączył światła. Jedyne widoki były wyłaniające się z szarugi owce lub światła podążających z naprzeciwka samochodów. Dmuchało jak wszyscy diabli.

— Zabierasz nam pogodę — mruknął Antony.

Przypomniała sobie tamten ranek, gdy wjeżdżali na wzgórze; przypomniała sobie zaczarowane wyspy wyłaniające się z cudownego morza, kryształowe powietrze, spowite śniegiem wierzchołki Guillins.

— Może to i lepiej — odparła. — Przynajmniej nie ma czego żałować. Zjechali ze wzgórza do Tarbole i zobaczyli port wypełniony uwiecznionymi przez sztorm łodziami.

— Która to godzina, Antony?

— Kwadrans po dwunastej. Mamy mnóstwo czasu, ale nie ma się czym przejmować. Możemy wpaść na kawę do Sandy; tak jak tamtego ranka po przyjeździe z Edynburga.

— Kiedy to było? Chyba wiek temu?

— Podobno Tuppy prosiła cię, żebyś znów tu przyjechała?

— Dbaj o nią, Antony. Nie pozwól, żeby coś jej się stało.

— Możesz być spokojna. Zaczyna Tuppy pewnie marzy w skrytości ducha, że zaleczę rany, pobierzemy się i że przywiozę cię do Fernrigg w roli oblubienicy.

— Przecież wie, że to nigdy się nie stanie.

— Tak — westchnął Antony. — Wie o tym równie dobrze, jak my.

Byli już w Tarbole i przejeżdżali właśnie wzdłuż portu. Fale przewalały się przez niski, kamienny murek i szosa była pokryta słoną wodą oraz brudną pianą z zatłoczonych kanałów odpływowych. Flora poczuła znów znajomy zapach ryb, olejów napędowych, a jej uszy wyłowiły świst pneumatycznych hamulców potężnej ciężarówki toczącej się na wolnym biegu ze wzgórza po Fort William.

Dojechali do skrzyżowania, a potem przed bank, gdzie kilka dni temu zaparkowała furgonetkę w niedozwolonym miejscu. Mały dworzec, cały z okopconego sadzą szarego kamienia, jakby na nich czekał. Tory kolejowe umykały zygzakiem za końcem peronu. Antony wyłączył silnik. Wysiedli, wziął jej walizkę i oboje udali się do kasy. Pomimo protestów Flory zafundował jej bilet do Komwalii.

— Przecież to mnóstwo pieniędzy, a poza tym stać mnie jeszcze na to.

— Przestań gadać bzdury — odparł szorstko, pewnie chcąc zamaskować wzruszenie.

Wypisywanie biletu zajęło nieco czasu. Czekali cierpliwie. Pomimo włączonych grzejników dworzec pachniał pleśnią. Rozwieszane na ścianach afisze kusiły ofertami wakacji w szkockich uzdrowiskach, obiecywały rzeczne rejsy po Clyde i wszelkie turystyczne uciechy. Flora i Antony przyglądali się im w milczeniu, bo wszystko zostało już powiedziane.

Kasjerka uporała się wreszcie z biletem.

— Właściwie powinienem kupić ci powrotny — powiedział Antony, wręczając jej bilet. — Mielibyśmy pewność, że do nas wrócisz.

— Wrócę. — Włożyła bilet do torebki. — Nie chcę, żebyś tu dłużej czekał.

— Przecież muszę wsadzić cię do pociągu.

— Powiedziałam, że nie chcę, żebyś czekał. Nienawidzę pożegnań, a już najbardziej tych na dworcach. Słyszałeś, co mówiłam Jasonowi? Zawsze beczę.

— Przecież masz jeszcze pół godziny do odjazdu.

— I co z tego? Idź już, proszę cię.

— Niech i tak będzie — odparł bez przekonania. — Skoro naprawdę tego chcesz...

Pozostawili bagaż Flory w poczekalni i wyszli na placyk przed stacją.

— A więc jak się to mówi? — spytał Antony, podchodząc do samochodu.

— *Au revoir*. Przynajmniej wedle życzenia Tuppy.

— Napiszesz? Będziemy w kontakcie?

— Spokojna głowa. Ucałowali się.

— Wiesz co? — spytał Antony.

— Wiem — przerwała mu z uśmiechem. — Chciałeś powiedzieć, że wspaniała ze mnie dziewczyna.

Wsiadł do auta i ruszył tak ostro, że po sekundzie zniknął jej z oczu za narożnikiem banku. Teraz była sama. Deszcz przeszedł w mżawkę, co wcale nie było sympatyczniejsze. Wiatr uderzał wściekle w kominy i telewizyjne anteny.

Nadszedł moment wahania.

*Gdy dwoje dumnych ludzi nie potrafi się porozumieć, może dojść do tragedii.*

Flora ruszyła przed siebie.

Wz górze, szare od deszczu, wydawało się strome niczym szczyt dachu. Kanały przypominały wodne kaskady. Gdy wspinała się, wiatr zbijał ją z nóg i odbierał oddech. Powietrze pachniało morską pianą, a Flora czuła sól w ustach i na policzkach. Dotarła wreszcie na szczyt wzgórze i zatrzymała się przy bramie domu, łapiąc z trudem oddech. Spojrzała za siebie i ujrzała w dole szare, wzburzone morze. Dostrzegła potężne słupy wody, wzbijające się wysoko nad portowym falochronem.

Uchyliła furtkę, przymknęła ją za sobą i ruszyła stromą ścieżką prowadzącą na ganek. Nacisnęła dzwonek i cierpliwie czekała. Buty miała doszczętnie przemoczone, a z pałta dałoby się wykręcić wiadra wody. Zadzwoiła drugi raz.

— Już idę — usłyszała czyjś głos.

Drzwi uchyliły się i w szparze pojawiła się twarz kobiety w bliżej nieokreślonym wieku, spoglądającej zza okularów z wyraźnym niepokojem. Kobieta miała na sobie kwiecisty fartuszek, ranne pantofle przypominające świeżo ustrzelone króliki. Flora domyśliła się w mig, że ma przyjemność stać oko w oko z Jessie McKenzie.

— Do kogo? — spytała niewiasta.

— Czy zastałam doktora Kyle'a?

— Jest w przychodni.

— A kiedy wróci?

— Wróci, gdy będzie jego pora. Ja i pan doktor jesteśmy na nogach już od szóstej, a przychodnię otwierają o dziesiątej. Ale dzisiaj pan doktor przyjmuje od wpół do jedenastej. Przez ten wypadek.

— Wypadek? — spytała drżącym głosem Flora.

— Nie słyszała pani? — Jessie aż odebrało głos. — Pan doktor siadł właśnie do śniadania, a tu dzwoni sam naczelný z portu i mówi, że mają wypadek na kutrze przy nabrzeżu. Puściła lina i cały stos skrzynek z rybami poleciał na jednego z tych chłopaków, co robią przy wyładunku. Podobno zmiażdżyło mu nogę. I to tak, że...

Jessie trajkotała jak stęskniona za słuchaczami katarynka, skrzyżowawszy ramiona na kwiecistym fartuszk. Była nie tyle gruba, co raczej rozlewająca się równiutko na wszystkie strony. Widać było, że nad figurę przedkłada uciechy stołu, ale coś mówiło Florze, że na mszę i na spotkanie kółka parafialnego chadza w mocno zasznurowanym gorscie, podobnie jak osoby sięgające po sztuczną szczękę tylko przed przybyciem gości.

— ...No więc wezwali zaraz doktora Kyle'a, ale nie obeszło się bez ambulansu, bo trzeba było zawieźć biedaka do Lochgarry, a kto by miał go tam zoperować, jak nie nasz pan doktor... Więc powtarzam pani, że nie ma go w domu i prędko nie wróci.

Trzeba było mimo wszystko przerwać ten nie mający końca słowotok.

— A gdzie mogłabym zamienić z nim kilka słów? — spytała Flora.

— Trudno powiedzieć. Ale widziałam pielęgniarkę idącą już do domu, więc może skończył pracę w przychodni. Od rana pewnie nie miał nic w ustach. Przygotowałam mu cały garnek zupy i sama czekam, kiedy wreszcie się pojawi... — Posłała Florze ciekawskie spojrzenie spoza okrągłych szkieł okularów. — A pani kto, pacjentka? Czy to pilne?

— Tak, pilne, ale nie jestem pacjentką. Spieszę się na pociąg. — Minuty upływały i Flora wpadła w desperację. — Może sama zajrzę do przychodni i zobaczę, czy jest bardzo zajęty?

— Czy ja wiem? — zamyśliła się Jessie. — Może jest, może nie jest.

— A jak tam dotrzeć?

— Tą dróżką koło domu.

— Dziękuję pani — powiedziała Flora i chciała się wycofać, ale z Jessie McKenzie nie było to takie proste.

— Paskudny ranek — najwyraźniej miała ochotę na dalszą konwersację-

— Tak, rzeczywiście. — Flora wołała nie ryzykować i pośpiesznie wypadła na deszcz.

Wybetonowana ścieżka prowadziła do samych drzwi przychodni. Flora weszła do pustej poczekalni, gdzie zabłocone linoleum, poodsuwane od ścian krzesła i porozrzucane czasopisma na stoliku nie pozostawiały wątpliwości, że rankiem musieli tu mieć niezły ruch. Pomieszczenie pachniało środkami dezynfekcyjnymi i mokrymi deszczowcami. Przy końcu poczekalni dostrzegła oszklone przepierzenie, a za nim biurko i kartoteki w tekturowych pudełkach.

Drzwi do gabinetu Kyle'a znajdowały się po drugiej stronie pokoju rejestracyjnego i Flora ruszyła ku nim, pozostawiając za sobą odciski ubłoconych butów. Współczuła w duszy komuś, kto po południu będzie musiał zająć się tą podłogą.

Zdobyła się na odwagę i zapukała. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zapukała jeszcze raz i usłyszała nie tyle głos, co ryczenie:

— Przecież mówię: wejść!

Brzmiało to mało zachęcająco, ale przemogła się. Nawet nie uniósł głowy zza biurka. Spozrzęła, że jest zajęty pisaniem.

— Tak, słucham?

Flora zamknęła za sobą drzwi, tym razem nieco bardziej stanowczo. Podniósł wzrok. Przez chwilę sprawiał wrażenie osoby tkniętej paraliżem, a potem zdjął okulary i odchylił się w fotelu, jakby chciał lepiej jej się przyjrzeć.

— A cóż ty tu robisz?

— Wpadłam, żeby się pożegnać.

Teraz żałowała, że w ogóle tu przyszła. Jego gabinet był bezosobowy i zniechęcający. Żadnych wygod, nie mówiąc o pokrzepieniu. Biurko toporne, ściany w kolorze margaryny, linoleum bure. Zauważyła szklaną szafkę wypełnioną jakimiś narzędziami tortur i co prędzej odwróciła od niej wzrok.

— Gdzie się wybierasz? — spytał.

— Wracam do Kornwalii. Do mojego ojca.

— Kiedy ci to przyszło do głowy?

— Dziś rano dostałam od niego list. Wiesz... w ubiegłym tygodniu napisałam mu o wszystkim. Gdzie jestem, co się ze mną dzieje.

— I co on na to?

— Píše, że powinnam wrócić do domu.

Jego twarz przybrała na moment wyraz rozbawienia.

— I pewnie szukasz kryjówki?

— Nie żartuj. Wcale nie jest na mnie zły. Nawet wręcz przeciwnie. Rozmawiałam o tym z Tuppy i ona też powiedziała, że powinnam pójść za jego radą. Pożegnałam się ze wszystkimi w Fernrigg i Antony podrzucił mnie do Tarbole swoim wozem. Mam już bilet, bagaż czeka na stacji, ale pociąg odjeżdża dopiero o pierwszej, więc postanowiłam z tobą też się pożegnać.

Hugh w milczeniu odłożył pióro i wstał z fotela. Był teraz równie potężny jak jego biurko. Przysiadł na nim i pochylił się tak, aby jego oczy znalazły się na wysokości oczu Flory. W pierwszej chwili zrobił na niej bardzo przygnębiające wrażenie, ale spostrzegła, że w przeciwieństwie do Antony'ego zdążył się rano ogolić. Zastanawiała się, czy znalazł czas na sen pomiędzy odbieraniem porodu a opatrywaniem zmiążdżonej nogi chłopaka z kutra.

— Przepraszam cię za wczorajszą noc — powiedział. — Pewnie zachodziłaś w głowę, gdzie mnie wywiało.

— Pomyślałam tylko, że zapomniałeś o naszej kolacji. Potem dowiedziałam się, że cię wezwano.

— To moja wina — pokiwał głową. — Wystarczy telefon i zapominał o wszystkim. Tak już ze mną jest. Przypomniałem sobie o naszej umowie dopiero wracając tutaj, a wtedy było już za późno.

— To już nieważne — odparła głosem, który nawet jej samej nie był w stanie przekonać.

— Możesz wierzyć lub nie, ale dla mnie to ważne.

— Czy to dziecko przyszło na świat?

— Tak, to dziewczynka. Małeństwo, jak to wcześniak, ale sądzę, że przeżyje.

— A ten chłopak z kutra?

— Skąd o nim wiesz?

— Rozmawiałam z twoją gosposią. Opowiedziała mi o wypadku.

— Nie przegapiłaby okazji — mruknął Hugh. — Z nim jest gorsza sprawa.

— Myślisz, że może umrzeć?

— Tak źle nie jest, ale może stracić nogę.

— To straszne.

Hugh skrzyżował ramiona.

— Jak długo zostaniesz u ojca?

— Jeszcze nie wiem.

— A co zamierzasz robić potem?

— Przecież mówiłam ci wczoraj wieczór. Wrócę do Londynu. Znajdę pracę. Rozejrzę się za jakimś mieszkaniem.

— Przyjedziesz do Fernrigg?

— Tuppy mnie zaprosiła.

— Ale pytam, czy przyjedziesz?

— Nie wiem. To zależy.

— Od czego?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Między innymi od ciebie.

— Przestań, Floro...

— Hugh, nie odtrącaj mnie. Przecież tyle nas łączy. Czy naprawdę nie możemy się dogadać?

— A ile ty masz lat?

— Dwadzieścia dwa. Tylko nie mów, że mógłbyś być moim ojcem, bo nim nie jesteś.

— Wcale nie to chciałem powiedzieć. Jeśli już coś, to to, że jestem na tyle doświadczony, aby rozumieć, że masz całe życie przed sobą i nie mam zamiaru cię krępować. Jesteś młoda, piękna, niepospolita. Może wyobrażasz sobie, że jesteś nad wiek dojrzała, ale tak naprawdę dopiero wchodzisz w życie. Kiedyś, gdzieś, poznasz człowieka, który na ciebie czeka. Kogoś, kto nie ożenił się wcześniej, kogoś, kto ma ci coś prawdziwego do zaoferowania, kogoś, kto da ci wszystko, na co naprawdę zasłużyłaś.

— A może ja wcale tego nie chcę?

— Wątpię, czy odpowiadałby ci mój tryb życia. — Widać było, że chce, aby zabrzmiało to delikatnie. — To właśnie próbowałem ci wyjaśnić wczoraj wieczór.

— A ja próbowałam ci wyjaśnić, że gdy się kogoś kocha, tryb życia jest mniej ważny.

— Już raz w to uwierzyłem.

— Ale ja nie jestem Dianą. Jestem Florą. Właściwie miałam rację, mówiąc ci te paskudne słowa. Niezłe cię załatwiła Diana tym wypadkiem. Zniszczyła twoją wiarę w ludzi i wiarę w samego siebie. Tak skutecznie, że nie chcąc narażać się na ból, zadajesz go innym. To smutne, ale prawdziwe.

— Ja naprawdę nie chcę zadawać ci bólu, Floro. Czy nie rozumiesz tego? Założmy, że cię kocham. Założmy, że kocham cię tak bardzo, że nie pozwolę, abyś sama siebie zniszczyła...

Flora spojrzała nań pośpiesznie. W sam raz chwila na miłosne wyznania, gdy kłóca się od dobrych kilku minut. Bo to była kłótnia, przynajmniej sądząc z ich podniesionych głosów. Jeśli Jessie McKenzie nie omieszkała czyhać z uchem przy ścianie, usłyszała pewnie każde ich słowo. Flora żywiła nadzieję, że może jednak Jessie przegapiła okazję.

— Mnie nie tak łatwo zniszczyć — zdobyła się na odpowiedź. — Skoro przetrwałam ten ostatni tydzień, przetrwam wszystko.

— Mówiłaś, że Tuppy zaprosiła cię do Fernrigg.

— Zgadza się.

— I przyjedziesz?

— Powiedziała ci, że to zależy...

— Przestań gadać od rzeczy. Pytam, kiedy przyjedziesz...

Flora straciła resztki cierpliwości. Nie było sposobu, by przełamać jego upartą dumę bez powiedzenia wprost, że zachowuje się jak skończony głupiec.

— Zrozum wreszcie, że albo przyjadę do ciebie, albo moja noga nigdy więcej tu nie stanie! — Milczenie, które nastąpiło po tym oświadczeniu, zaskoczyło chyba ich oboje. Flora postanowiła pójść na całość jak ktoś, kto pali za sobą wszystkie mosty. — A zresztą o czym my mówimy? Nie sądzę, żebyś darzył mnie szczególną sympatią. Mógłbyś przynajmniej po prawić sobie ten krawat — dodała, rzucając na stół ostatnią kartę.

Celnie trafiła. Może ubierał się rankiem w pośpiechu. Może podczas pracowitego dnia zapomniał o własnej prezencji, jak często zdarzało się to jego ojcu, a może...

Florze wyczerpały się pomysły, gdy nagle uświadomiła sobie znaczenie wypowiedzianych naprędce słów. Patrzyła na przekrzywiony krawat, licząc, że Hugh sam go potulnie poprawi. Postanowiła, że gdy tylko to zrobi, opuści jego gabinet, zejdzie ze wzgórza, wsiądzie w pociąg, odjedzie i zapomni o nim raz na zawsze.

Ale Hugh nie miał najwyraźniej zamiaru zająć się krawatem. Trwał niewzruszony, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

— Więc może uratujesz jakoś sytuację? — powiedział wreszcie.

Cóż mogła zrobić? Ostrożnie i powoli rozluźniła węzeł, ułożyła krawat we właściwej pozycji i docisnęła. Zrobiła swoje. Odeszła o krok. Hugh nawet nie poruszył się. Z niewiarygodną determinacją spojrzała mu w oczy.



Nigdy dotąd nie widziała go tak bezbronnego i bezradnego. Zupełnie jak nastolatek. Wymówił jej imię, wyciągnął ramiona, a Flora padła w nie, wydając ni to szloch, ni to okrzyk tryumfu.

- Kocham cię — powiedziała.

— Nieznośny z ciebie bachor.

— Kocham cię — powtórzyła.

— No i co mam z tobą zrobić?

— Możesz na przykład mnie poślubić. Będę wspaniałą panią doktorową. Co na to powiesz?

— Powiem, że przez ostatnie trzy dni nic innego nie przychodziło mi do głowy.

— Kocham cię.

— Myślałem, że uda mi się od ciebie uwolnić, ale to nie takie proste.

— Łatwiejsze, niż sądzisz, bo zaraz mam pociąg.

— Ale wrócisz?

— Wrócę do ciebie.

— Kiedy?

— Za trzy, cztery dni.

— To zbyt długo.

— Ani dnia później.

— Będę wydzwaniał co wieczór do domu twojego ojca.

— Przyjmie to z rozczuleniem.

— A gdy przyjedziesz, będę czekał na peronie z bukietem róż i zaręczynowym pierścieniem.

— Tylko żadnych zaręczynowych pierścionków, Hugh. Mam ich dość na dłuższy czas. Jeśli już musi być pierścionek, to może raczej ślubny.

Wybuchnął śmiechem.

— Jesteś nie tylko nieznośna, ale do tego uparta.

— Wiem o tym. Fatalna sprawa.

— Kocham cię — wydusił wreszcie z siebie.

Jessie zaczęła się niepokoić o czekającą na piecu zupę. Jeśli doktor nie pojawi się przez najbliższe pięć minut, doszczętnie się wygotuje. Skoncentrowała się na własnej przedobiedniej przekąsce: odsmażane ziemniaki, kurze udko, fasola z patelni. Same ulubione przysmaki. Na deser marynowane śliwki, gruszka w cukrze, no i rzecz jasna filiżanka mocnej herbaty.

Już miała ująć w palce kurze udko (nic zdrożnego, skoro i tak zje je sama), gdy usłyszała dobiegające od strony przychodni głosy i pośpieszne kroki. Zanim zdążyła pozbyć się udka, drzwi otworzyły się i stanął w nich doktor Kyle, trzymając za rękę nieznaną w granatowym palcie, która niedawno o niego pytała.

Nieznaną uśmiechała się, a rozwiane wiatrem włosy opadały jej na twarz. Oblicze doktora jakże było promienne. Jessie nic z tego nie rozumiała. Przecież po takim dniu powinien wkroczyć do kuchni ciężkim krokiem, opaść na krzesło i pokrzepić się wzmacniającą zupą, którą specjalnie dla niego przygotowała.

Zamiast tego stał w drzwiach radosny i ożywiony, jakby dwie doby bez snu w ogóle się nie liczyły.

— Jessie! — zawołał.

Wypuściła z palców kurze udko, ale na szczęście chyba tego nie zauważył.

— Idę na stację, Jessie. Wrócę za dziesięć minut.

— Miłego spaceru, doktorze Kyle.

Wciąż padało, a on nie raczył nawet włożyć na siebie deszczowca. Wyszedł, a wraz z nim ta kobieta. Nie domknęli za sobą drzwi i poryw wiatru wdarł się bezceremonialnie do kuchennego królestwa Jessie.

— A co z zupą? — zawołała za nimi, ale było już za późno. Zniknęli jak kamfora. Podniosła się, by zamknąć drzwi od tyłu domu. Potem weszła do holu i dyskretnie uchyliła frontowe. Przez szparę obserwowała, jak idą ścieżką objęci i roześmiani, nie zważając na wiatr i deszcz. Po chwili byli przy bramie i ruszyli najwyraźniej w stronę miasteczka. Zniknęli za murem: najpierw ta kobieta, potem doktor Kyle,

Tyle ich widziała.

Przymknęła drzwi. Pokręciła głową. Niezły pasztet! Ale jakkolwiek by było, zawsze znajdzie się ktoś, komu będzie mogła o tym opowiedzieć.